

Ilias Esenberlin
ZŁOTA ORDA
Tłumaczył z rosyjskiego Tadeusz Gosk
Objaśnieniami opatrzył Stanisław Kałużyński

Czytelnik • Warszawa 1986

ī

Okładkę i kartę tytułową projektowała Anna Wunderlich
Tytuł tekstu rosyjskiego: Zołotaja Orda Kniga pierwaja — Szestigławyj ajdachar

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,
Warszawa 1986
„Czytelnik”, Warszawa 1988. Wydanie I.
Nakład 20 320 egz. Ark. wyd. 18,1; ark. druk. 19,97 At.
Papier druk. Ё. III, 71 g, 82X104.
Oddano do składania 21 III 1985 r.
Podpisano do druku в X 1986 r.
Druk ukończono w listopadzie 1986 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu.
Zara. wyd. 32; druk. 711. P-U.
Printed In Poland
ISBN 83-07-01393-3

Akc. M 19|L

Rozdział pierwszy

Batu-chan uniósł głowę i popatrzył w niebo. Było trochę wyblakłe od stojącego niemal w zenicie słońca i bezbrzeżne jak morze, które widział kiedyś w latach odległej młodości. Wówczas jego nieulekłe tume-ny zatrzymały swe konie pod miastem Trigestum...
Dawno to było. Tak dawno, że wydawało się na poły już zapomnianym snem. Życie upływa szybko, a czas pędzi niczym strzała wypuszczona z twardego mongolskiego łuku.
Batu-chan zmrużył skośne oczy. W błękitnym przestworze nieba majaczył ledwie widoczny punkcik. To orzeł z niebotycznej wysokości wypatrywał swojej zdobyczy. Oczy zaczęły łzawić od jaskrawego światła, więc chan opuścił głowę. Nie, morza nigdy nie zdołałby pokochać tak, jak kochał step, bezbrzeżny i piękny step, który leżał u jego stóp w objęciach wielkiej ciszy. Ciszy majestatycznej i niczym nie zakłóconej, bo nie mógł zmącić jej nawet powiew wiatru, niosącego cierpki aromat piołunu i świeży zapach stepowych źródeł.
U podnóża kurhanu, ledwie widoczny wśród wysokich burzanów, polował na pasikoniki najmłodszy, pięcioletni syn Batu-chana — Barak. W czerwonym kaftanie z bucharskiego aksamitu i w takiej samej czerwonej czapeczce lamowanej futerkiem wydry Barak przypominał żywą kropelkę krwi.
Batu-chan ciężko westchnął. Rozleniwiony od upału step leżał pod wyblakłą czasą nieba. Co widzi orzeł

5

ze swej wysokości? — pomyślał chan. — Jakiej zdobyczy wypatruje?
Ciężko, całym ciałem, obrócił się Batu-chan w stronę rzeki. Tam, na brzegu wielkiego Itilu, znajdowała się jego kwatera, piękne miasto Saraj-Batu.

Wspaniałym, odświętnym blaskiem lśniły w słońcu pozłacane dachy pałacu. Saraj podobny był do miasta Rusów Kermen-kiwe, tylko od niego znacznie mniejszy. Zbudowali go najlepsi mistrzowie wywiezieni z ziemi Rusów, a pałac chana wzniesli Rumijczycy. Z białego marmuru sprowadzonego z podbitych ziem, z twardego jak kamień dębu i smolnych sosen spławianych Itilem budował swoją stolicę wielki Batu-chan.

Miasto wznoszone siłą knuta i złota rosło w oczach, będąc przedmiotem dumy i radości Batu. Syn koczowniczego plemienia, nawykłego niszczyć, a nie budować, doznawał jakiegoś niezwykłego uczucia na widok tego, co tworzyły zręczne ręce rzemieślników. To samo uczucie skłaniało go do szczodrości, do robienia wszystkiego, aby jego miasto stawało się z każdym dniem piękniejsze. Czyż to nie on, wielki Batu-chan, rozkazał pokryć kapryśnie powyginane dachy domu modlitw mongolskich szamanów czystym złotem? Czyż jest coś takiego, czego pożałowałby dla swojej stolicy? Czyż oszczędził dla niej złota podbitych narodów i krwi niewolników?

Jednak każdego roku, gdy tylko na stromych zboczach stepowych jarów pojawiały się pierwsze srebrzyste nitki strumyczków i przez brunatny wojłok zeszłorocznej trawy zaczynały przebijać się ostre zielone ździebła, Batu-chan porzucał swój pałac. W niezmiernym stepie wyrastało inne miasto — miasto zbudowane z białych namiotów. I aż do głębokiej jesieni, do czasu, kiedy dzikie gęsi na starorzeczach Itilu nie zaczynały czerwonymi dziobami odbijać i połykać pierwszych kawałeczków lodu pojawiających się

6

na spokojnym nurcie, ani jednej nocy nie spędzał w murach pałacu.

Prosty lud nazywał tę drugą, przenośną stolicę wielkiego chana Białą Ordą. I od chwili, gdy ta nazwa padła po raz pierwszy, wszystkie ziemie poczynając od Stepu Kipczackiego na północ, na zachód i na południe aż do rubieży, do których docierały mongolskie konie, nazywano chanatem Białej Ordy. I tylko rusczy kniazio wie, zdumieni pięknem miasta i jego wspaniałością, nazywali ziemie podbite przez Batu-chana Złotą Ordą.

W roku myszy (1240), w roku, kiedy Batu-chan zdobył i zniszczył Kermen-kiwe, zaczął budować swoją stolicę — miasto Saraj...

To było siedemnaście lat temu... A dzisiaj, patrząc na swoją siedzibę, Batu-chan po raz pierwszy nie odczuł zwykłego podniecenia. Dzisiaj jego oczy patrzyły na świat obojętnym, pozbawionym radości wzrokiem.

Wielki Batu-chan, którego imię wzbudzało lęk w wielu plemionach i narodach zaludniających pół świata, był chory. Batu nie wiedział, co to choroba, od chwili, kiedy po raz pierwszy wsiadł na konia. Rany odniesione na wyprawach goiły się szybko, jak na stepowym wilku. Tego roku, roku węża, kiedy skończył pięćdziesiąt sześć lat, wielkie siły Nieba odwróciły się od niego. W Chorwacji Batu został ciężko ranny i spadkobiercy już zaczęli popatrywać wilkiem na siebie, gotowi zewrzeć się ze sobą w walce o prawo zasiadania na tronie Złotej Ordy.

Ale Batu zwyciężył śmierć. Tak mu się przynajmniej wydawało do chwili, kiedy poczuł, że losu nie da się oszukać. Nieznana choroba drażyła jego ciało. Nikt nie potrafił jej nazwać, bezsilni wobec niej okazali się najsłynniejsi w stepie znachorzy-bakszowie, najznamienitsi tabibowie i lekarze sprowadzeni z Chin, Iraku, Iranu i Rumii.

7

Jeszcze w zeszłym roku, pełny sił i zdrowia, Batu z łatwością zatrzymywał i powalał na ziemię młodego byczka, a teraz jego ciało wysycha, mięśnie wiotczeją, a dawna siła coraz bardziej opuszcza jego ręce.

Któż jeszcze niedawno, patrząc na groźnego Batu--chana, mógł bodaj pomyśleć, że przyjdzie czas, kiedy będzie on w samotności siedział na kurhanie, że zamieni się w starego, przygarbionego człowieka przypominającego skórzany bukłak, z którego ktoś wyssał wszystek kumys? Kto z wielkich uległ takiej straszliwej i nieznannej chorobie?

Batu-chan gaśł wolno i w miarę tego jak marniało jego ciało, świat wydawał mu się coraz bardziej blade i ponury. Wszystko, co zajmowało innych, co przynosiło im radość, dla niego stawało się obojętne i niepotrzebne. Serce niczego już nie pragnęło: ani zwycięstw, ani krwi wrogów, ani dalekich wypraw.

Grube krople potu pokryły pobladłe czoło chana. Z trudem uniósł rękę i otarł je dłonią. I nagle przypomniał sobie odległe czasy, to, co było trzydzieści lat temu, kiedy jego słynny ojciec Dżuczi-chan, władca Deszt-i-Kipczału, Chorasanu i Ibir-Sybiru odszedł z tego świata. Wtedy... Wtedy serce biło jak dzwon i gorąca krew szybko krążyła w młodych żyłach. Życie wydawało się wielkim, nie kończącym się świętem, wielkim darem Niebios, danym po to, aby mógł jak najwięcej odległych ziem rzucić pod kopyta swojego konia.

Umierając, ojciec zostawił mu tylko ułus Deszt-i-Kipczału. W dwa lata później uniesiono go na białym wojułoku, czyniąc w ten sposób chanem Ordy.

Czyżby od tej chwili minęło już trzydzieści lat? Wydały się one Batu-chanowi krótkie jak dni. Wtedy każde zwycięstwo przepełniało go radością, a każdy podbity kraj wydawał się wysoką górą, na którą udało mu się wdrapać. Wtedy pragnął stać się podobnym

8

do swego wielkiego dziada Czyngis-chana i czynił wszystko, aby się tak stało.

Batu-chan spróbował rozniecić w sobie dawną zaciekłość i nie zdołał — serce milczało.

Pomyślał nagle z goryczą, że pół świata, które dzisiaj należy do niego, nie warte jest pewnie nawet wytartego miedziaka w sakwie ubogiego derwisza, skoro nie można nim wykupić się od śmierci lub przynajmniej odsunąć czasu zgonu.

Ta myśl sparaliżowała go i bezsilnie zamknął oczy.

Gdzieś w niebie nadal szybował silny i swobodny orzeł, a w zaroślach burzanów nadal beztrosko buszował polujący na pasikoniki malutki Barak.

Batu-chan otrząsnął się z przerażenia. Czy wielkiemu, nie znającemu lęku chanowi godzi się dygotać ze strachu przed tym, co ma go spotkać z wyroków Nieba? Popatrzył na bawiącego się syna. Blade wargi chana skrzywiły się w słabym uśmiechu, a w mętnych szarych oczach zapaliła się iskierka światła.

Barak był ostatnią radością Batu-chana. Czterech synów miał władca Białej Ordy: Sartaka, Tutukana, Aju-chana i Ułakczego. Trzech zostało wojownikami i tylko Ułakczy nie chodził jeszcze na wyprawy i nie rządził żadnym ułusem, ale nawet i on uczestniczył już w wyścigach konnych i zaglądał do namiotów młodych niewolnic.

Matka najstarszego syna — Sartaka — była córką możnego ojrackiego beka, zaś pozostałe żony pochodziły z różnych rodów, należących głównie do wspólnoty Kipczałów i wznawały islam.

Chan lubił brać za żony dziewice z podbitych plemion i narodów, bo uważał, że nowa kobieta w pościeli zmusza krew do szybszego krążenia i przywraca młodość.

Kiedy skończył pięćdziesiąt lat i kiedy już coraz rzadziej przekraczał progi namiotów, w których mie-

9

szkały jego żony, zdarzył się cud. Podczas swojej ostatecznej wyprawy w pewnej górskiej dolinie natknął się na dziewczynę z plemienia Chorwatów. Wyszła nieoczekiwanie z zarośli z lubianką pełną grzybów w ręku i znalazła się tak blisko chana, że w jej rozszerzonych ze strachu, głębokich niczym jeziora, oczach ujrzał się jak w zwierciadle.

Batu już dawniej widywał dziewczęta z tego plemienia, ale ani jedna, podobnie jak wiele innych, nie wzbudziła w nim żadnych uczuć poza chęcią zgwałcenia. Ale w tej było coś takiego, czego nawet i dziś chan nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Rozkazał schwytać ją i odwieźć do stolicy.

Później jego wojownicy odszukali rodziców dziewczyny

czyny, a chan zezwolił zachować im życie, uważając Brał chłopczyka na kolana i wówczas jego twarz, spa-

to za wystarczającą zapłatę za ich córkę

Coś niepojętego działo się z władcą Złotej Ordy Batu-chan, który nigdy dotąd nikogo nie kochał, poczuł nagle nie znany sobie, przemożny pociąg do dziewczyny, która bała się go i nienawidziła. Nienawidziła tak bardzo, że próbowała uciec, a kiedy się to jej nie udało, wołała zażyć truciznę, niż być z nim. Jednak straż i służebnice nie pozwoliły jej umrzeć. Batu-chan wziął ją siłą.

żona urodziła chanowi Baraka i od tej chwili przesta

dził inaczej. Jedna z młodszych żon, która nigdy nie zaznała szczęścia macierzyństwa, przekupiła odbierającą poród starą kobietę, która zrobiła tak, że położy nica umarła.

łości rozkazał porąbać winowajczynię i rozrzucić id

niczego równie niepewnego jak los człowieczy podobny do wiecznie skłębionych chmur, nigdy nie wiadomo, kiedy ujrzysz słońce, a kiedy znajdziesz się w głębokim cieniu. Równie mglista i niejasna była przyszłość Baraka. Nikt nie mógł przewidzieć, czyja nienawiść lub też czyja miłość stanie się jego udziałem. Życie w stepie jest kruche i niepewne, bo zależy od ludzkiej zawiści, podstępu i zdrady, od wrogiej ręki uzbrojonej w nóż lub truciznę.

Małoletnim chanem z rozkazu jego wielkiego ojca opiekowali się najwierniejsi, najbardziej

oddani strażnicy. Chłopiec rósł na mocnego, zdrowego mężczyznę. Nastał czas, kiedy wypowiedział pierwsze słowa i od tej pory Batu-chan zaczął go coraz częściej odwiedzać.

łona słońcem i wychłostana wiatrami dalekich wypraw, traciła na moment swą niezmienną

surowość, łagodniała. To również było dla władcy Złotej Ordy zupełnie nowe doznanie. Batu-

chan zawsze obojętny wobec dzieci, zawsze podejrzliwy i okrutny, zawsze zajęty tylko

wojnami i waśniami, przeobrażał się na widok Baraka. W miarę upływu lat chłopczyk stawał

się coraz bardziej podobny do matki i to nie tylko zewnętrznie. W gniewie był taki sam jak

ona — zaciekle

W dziewięć miesięcy i dziewięć dni później nowali uparty. Cieszyło to Batu-chana i z tym większą ra-

dością przyciskał syna do piersi i pieszcząc, mongol-

ła myśleć o śmierci, zapragnęła żyć. Los jednak zrzą-iskim zwyczajem, obwąchiwał mu

czoło. Ostry dziecię-

[cy zapach rozczułał go i coraz częściej sprowadzał niejasną zrazu myśl, że Barak mógłby z

czasem stać się Jjego spadkobiercą, władcą stworzonej przezeń Złotej ■Ordy. Batu nie

potrafiłby wytłumaczyć, skąd bierze

Wielka była rozpacz Batu-chana. W napadzie wściek-łsię ta jego pewność, ale w młodym

chanie było coś

takiego, co nieodparcie skłaniało do takiej myśli. Myśl

szczątki po stepie. 'Nie byłby jednak wnukiem Czyn-Jta okrzepła w momencie, kiedy Batu-

chan zrozumiał, gis-chana, gdyby pozwolił sobie na oddawanie siJze jego dni są już

policzone. Okrzepła i umarła, bo nie smutkowi. Wiedział bowiem, że nie ma pod

księżycen|mógł liczyć na jej spełnienie. Barak był zbyt młody i

10

11

bezbronny, aby ostać się w tym okrutnym i podstęp- raz wyżej wzbija się w niebo orzeł i jak

dygoce w je-nym świecie, gdzie w pogoni za władzą brat nie wa-j go szponach ciałko syna

wyglądające z ziemi jak mar hał się przelać krwi brata.

lutka

kropelka krwi.

Chan pomyślał, że może syna należałoby nazwa^ Batu-ehan, żelazny Batu, który od

dzieciństwa nie Kipczakiem lub Rusem, dać mu imię jednego z nar o- znał litości dla niczego,

co żywe, teraz cicho płakał. dów, które podbił. Stary mongolski obyczaj nakazy- Ten

człowiek, który bez zmruczenia oczu posyłał na wał dawać nowo narodzonemu imię wroga. To był do- śmierć tysiące ludzi, który doznawał rozkoszy na wi-bry omen, gdyż chłopiec poza latami wyznaczonymi dok ziemi czerwonej od krwi, zrozumiał nagle, że mu przez' los otrzymywał dodatkowo lata przeżyte śmierć jest męczarnią, że jest niezmiernym, z niczym przez wroga i w ten sposób życie jego stawało się nie dającym się porównać bólem. Ogień pożarów, ję-długie. Gdyby udało się pożyć jeszcze bodaj tyle, że- ki zwyciężonych i umierających pod nie znającymi li-by syn mógł przy nim okrzepnąć i rozwinąć skrzydła] tości mongolskimi mieczami, widok przemocy i gwał-gdyby nauczyć go tego, czego sam się dowiedział, za- tów, od których włosy mogły zjeżyć się na głowie, hartować jego wolę, wytrzebić z serca litość dla wro- zawsze sprawiały mu radość. W tej okropnej chwili gów. Gdyby...

owe obra2Y zn°w stanęły mu przed

oczyma i wpra-

Batu-chan znów uniósł twarz ku niebu. Orzeł wciąż wiły w przerażenie. Czyżby śmierć syna miała być szybował w bezchmurnym błękitcie, ale teraz był jui wyrokiem losu, fatum, przed którym nie ma ucieczki na tyle nisko, że widać było jego ogromne skrzydłj dla nikogo, dla zwykłego wojownika czy też władcy podobne do potężnych rąk z rozczapierzonymi palca-Złotej Ordy? Wystarczył jeden ruch ręki Batu-chana, mi_

aby miasta zamieniały się w perzynę, a całe narody

I nagle straszliwa myśl poraziła chana. Zrozumiał szły w niewolę. Dziś zabrakło zwykłego łuku i jed-jakiej to zdobyczy wypatruje krwiożerczy ptak w gę. neJ jedynej strzały, żeby uratować syna. Po raz pierw-stych zaroślach burzanów. Batu poderwał się na rów- SZJ w życiu surowy Batu-chan pokochał żywą istotę ne nogi i spojrzał ku podnóżu kurhanu, gdzie beztrósko i właśnie wtedy los doścignął go pod postacią czarne-bawił się jego syn. Krzyknął ochryple i popędził w 8° °rła i odebrał radość. Fatum jest nieubłagane i nie dół, ale ptak go wyprzedził. Złożył skrzydła i runą ma takiej siły, która mogłaby je powstrzymać, jak kamień ku ziemi, tam, gdzie majaczył czerwona Batu wyobraził sobie, jak krzywe szpony orła roz-kaftan Baraka.

szarpują ciało jego syna i w bezsilnej

wściekłości za-

— Tutaj! Tutaj!... — krzyczał rozpaczliwie Batu- zgrzytał zębami. Cóż on, wielki i potężny chan, mógł

-chan pędząc co sił w nogach ku Barakowi i wyma- czynić, aby przeciwstawić się wyrokom losu? chując rękami.

Przed oczami stanął mu

nagle obraz wydarzeń

Czarny ptak oderwał się ciężko od ziemi, unosząc \ 5Przed dwudziestu lat. Jego tumeny składające się szponach czerwoną kropelkę życia i rozpaczliwy, p« l kesziktenów obiegly małą twierdzę nielicznego dum-łen bólu krzyk syna, krzyk umierającej nadziei, ude aeş° plemienia. Mężczyźni poległi w nierównym star-rzył w uszy Batu-chana. "

fiu i twierdzy broniły tylko kobiety. Umierały od ran,

Nie mógł już bieć. Oczami szaleńca patrzył, jak cof śł°du i pragnienia, ale bram nie otwierały. W góry

12

13

ptzysza jesień, pora była zawracać tumeny w step, chan był synem stepu i znał zwyczaj orłów. Wie-a twierdza wciąż pozostawała nie zdobytą. Wówczas ^ñ\ więc, że przeklęty ptak wcześniej czy później Batu-chan uciekł się do podstepu i rozkazał powiedzieć oroci tam, gdzie raz udało mu się coś upolować., obrończyniom grodu: „Poddajcie się. Zabijemy was, o straszliwej śmierci Baraka Batu-chan nie powie-ale nie tkniemy waszych dzieci".

dział nikomu. Lud bijący czołem przed jego majesta-

Obrończyń twierdzy było zaledwie sto. Te wycień- tem i wierzący, że chanowi pomaga samo Niebo, nie czone, na pół żywe z ran i głodu kobiety były niezwy- powinien dowiedzieć się, iż

wnukowi Czyngis-chana ciężone, gdyż dodawała im sił miłość do dzieci. Wła- noże przydarzyć się nieszczęście jak zwykłemu śmier- śnie w imię tej miłości uwierzyły chanowi, który jed- ;elnikowi. Nie wolno też dostarczać wrogom powodów nak nie dotrzymał słowa. Jego wojownicy na oczach io podłej radości.

matek posiekali dzieci krzywymi mongolskimi szab- Nikt z otoczenia chana nie odważył się zapytać, colami. W sercu Batu-chana nie było litości i dlatego stało się z chłopczykiem. Setka osobistych strażników obojętnie patrzył, jak leje się krew, obojętnie słucha: Zaraka, która wszystko widziała z oddali, jeszcze tej krzyków mordowanych i płomień pożaru odbijał się lamej nocy została otruta czarodziejskim jadem. Ba-w jego obojętnych oczach. To okrucieństwo wstrzą- ;u postępował w myśl wskazówek Czyngis-chana, któ- snęło nawet Mongołami. Wojownicy szeptali: „Żyje -y pouczał, iż nikt na świecie nie powinien znać ta- jeszcze Czyngis-chan. Jego dusza wcieliła się w Batu.' emnic chana.

Tak, Batu-chan zawsze był okrutny i bezlitosny. Jak gdyby nic nie zaszło, codziennie zajmował się Wówczas sto kobiet było bezsilnych wobec Batu-losu sprawami Ordy, przyjmował posłów, wydawał sto-a dziś on, niezwyknięty władca, okazał się bezsiln] sowne rozkazy i zdawało się, że bliska śmierć zupełnie wobec losu w postaci orła.

Chan uważał, iż życie jest walką i że słuszne jest *ał bez trudu, że Batu-chan z każdym dniem traci si-

że zwycięża w nim silniejszy. Wczoraj silny był on a dziś przewagę miał czarny orzeł. Tak było i tal :ne, stały się mętne i utraciły blask. zawsze będzie. Batu nie wyobrażał sobie innego życid i dlatego jedną z jego pierwszych myśli była myśl (;praw, Batu ubierał się w czerwony kaftan i takąż

zemście. Od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczy słońce i step, chan wiedział, że wroga nie wolno oszczę

zapkę obszytą futrem wydry — i jechał daleko w step, ia szczyt pamiętnego kurhanu.

Strażnicy jechali za

14

*o nie przeraża. Jednak każdy, kto miał oczy, dostrze- y, że jego skośne oczy, dotychczas zawsze bystre i gro- Dopiero po południu, po załatwieniu wszystkich dzać. Czasami wydawało mu się, że tę wiedzę wyssał lim w pełnej szacunku odległości, lękając się zakłó-

wraz z mlekiem matki i dlatego nigdy nie miał litość ic spokój chana.

dla tych, którzy stawali mu na drodze lub czynili za Wycieńczony chorobą, wyschnięty i słaby chan je-

kusy na jego cześć. Tylko krew mogła zmasać krew hał wolno przez step i dopiero tam, gdzie nikt nie

tylko śmierć — zadośćuczynić śmierci. Dlatego Bara nógł widzieć jego twarzy, pozwalał, aby znów ogar-

zostanie pomszczony dopiero wówczas, kiedy Batu wfc

sną ręką zabije czarnego orła i napije się jego gorąc

krwi.

iały go czarne myśli.

Z każdym dniem coraz mniej bał się śmierci i zara-em coraz wyżej cenił każdą przeżyta chwilę. Przed

15

miesiącem tybetański lekarz, przysłany przez wielk go chana Karakorum, aby wyleczył Batu, powiedzu „Wielce szanowny chanie Złotej Ordy, w całym świ< cie nie ma takiego lekarstwa,

które mogłoby ci prz; wrócić zdrowie. Człowiek opuszcza ten świat, kiedy dwudziestu części wody, jakie zawiera jego ciało, p zostaje tylko jedna. Nic na to nie można poradzić, Krew staje się tak gęsta, iż żadne radości życia i potrafią sprawić, aby szybciej krążyła w żyłach. I ci, panie, jeszcze zostało, nie wiem. Wszystko w r. kach Nieba".

Byli w namiocie sami i Batu-chan, przysłoniwszy oczy ciężkimi powiekami, słuchał obojętnie cichych słów lekarza. Nic, poza goryczą, nie było w tej chwili w jego sercu. Nikomu nie opowiedział o tej rozmowie, ale nieustannie o niej pamiętał.

Koń doskonale znał wielokrotnie już odbytą drogę i bez trudu wnosił Batu-chana na szczyt kurhanu, gdzie chan puszczał go wolno i rumak szedł w step, tam, gdzie na odległość strzału z łuku kryli się w trawie strażnicy.

Jeden tylko Batu wiedział, dlaczego jeździ tam codziennie. Czekał na orła. Dlatego ubierał się w czerwony kaftan, dlatego ukrywał pod jego połą ostry miecz. Batu-chan wierzył, że ptak pomylił się i weźmie jego wysuszone przez chorobę ciało za ciało dziecka. Dlatego obrzucał uważnym wzrokiem niebo i zaczynał cierpliwie czekać.

Choroba zabrała mu siły, ale nie zamroczyła rozumu, widział więc jasno, że koniec jest bliski. Niepokoiło go to, ale tylko dlatego, że myślał o przyszłości stworzonej przez siebie Złotej Ordy. Nie wiedział, czy zdąży pozostawić potomkom słowa swojej woli, której oni winni być posłuszni i dzięki temu nie uronić nic z jego zdobyczy, utrzymać w garści cały wielki chanat. Trzeba więc było ich nauczyć za wszelką cenę,

16

g& również i oni muszą być władcami losu i karzącym :4ftieczem dla pokonanych narodów. - 9 potomkowie... Człowiek rodzi się i umiera. Następ--gy mają własne losy, własną drogę, więc może nie na-sleży się o nich troszczyć? Wielki Czyngis-chan powiedział mu kiedyś:

„Przez całe swoje życie marzyłem

iyiko o dwóch rzeczach. Żeby bez końca rosła moja Sława i żeby sława ta stała się udziałem również mo-ejish potomków, którzy oby zawsze rządili innymi narodami".

Batu-chan przypomniał sobie nagle rozmowę dziada z jednym z jego zaufanych dowódców — Boroku-łem.

— Co ci jest najdroższe na tym świecie? — zapytał Czyngis-chan.

— Życie — odparł Borokuł.

— A jak tego dowiedziesz?

— Dzięki największemu z wielkich Czyngis-chanowi stałem się oto jedną z dziewięciu głównych podpór podtrzymujących górny krąg szkieletu Wielkiej Ordy — rzekł Borokuł. — Wielki chan ofiarował mi swój gronostajowy płaszcz szyty złotą nicią, wzięłem za żony trzydzieści pięknych dziewczyc, dałeś mi, panie, w zarząd ułus i niezliczone stada bydła... Ale zestarzałem się. Dziś bliższy mi jest grób niż najbardziej nawet honorowe miejsce. I gdyby Najwyższy zapytał mnie dzisiaj: „Czy zgadzasz się zrezygnować ze sławy, wyrzec się zdobytego szczęścia i wrócić do czasów młodości, kiedy byłeś zwykłym pastuchem?" — zgodziłbym się bez chwili wahania.

— Słusznie mówisz — powiedział Czyngis-chan. — Nie ma na świecie nic droższego nad życie...

— A czy ty, panie, mógłbyś tak postąpić? — zapytał go wówczas Borokuł.

Czyngis-chan zamyślił się głęboko i wreszcie odpowiedział: ^

"«feZ

Złota

*'

& Ч6.#

17

/mu-

jfij

/~ Nie. Ja bym tak nie potrafił zrobić. Tobie łatwo \Jb wyrzec się sławy, szczęścia i honorów, bo nie ^sz dzieci. Ja zaś mam czterech synów i każdy z ^jch jest władcą. Wszyscy moi wnukowie są chanami, u i prawnuki same już zaczynają siodłać własne ko-hie... Dzięki nim moja sława zyskuje skrzydła. Gdyby Najwyższy zwrócił mi młodość, to jakąż mam pewność, że zdołałbym dać im znowu to, co każdy z nich posiada? Przecież żyłem, walczyłem i przelewałem krew niepokornych nie tylko dla siebie. Nie. Nigdy nie odważyłbym się zacząć wszystkiego od początku. Niechaj lepiej długie i pomyślne będą dni moich potomków. Dopiero wówczas będę po wielokroć rodził się od nowa w każdym ich zwycięstwie, w każdym kroku naprzód. Dzieci są przedłużeniem mojego życia. Jeśli ich sława stanie się wieczna, to i ja nigdy nie umrę. A czyż to nie jest największe marzenie człowieka? Tak rozmawiał wielki i mądry Czyngis-chan z Bo-rokułem...

Ciężka niemoc oładnęła ciałem Batu-chana, sprowadziła na niego nieodpartą senność. Władca Złotej Ordy wciągnął głowę w ramiona i, zda się, zaczął drzemać. Ale tak się tylko wydawało. Nie po to Batu codziennie przyjeżdżał na kurhan, aby drzemać na jego szczycie... Spośród siedemnastu synów Dżuciego najpotężniejszy był Batu-chan. Pod względem pozycji i sławy u-stępował mu najstarszy z braci Orda i najmłodszy — Berke. Pozostali zaś właściwie się nie liczyli, gdyż kierowali tylko zwykłymi ajmakami. Już w owych odległych czasach, kiedy Batu wznosił nad ziemiami Deszt-i-Kipczak sztandar Złotej Ordy, pomógł on starszemu bratu przekształcić zwykły ułus Ibir-Sybir w chanat, który otrzymał nazwę Błękitnej Ordy. Inni synowie Dżuciego też rządili podbitymi narodami, władali niezliczonymi stadami bydła, ale

18

żaden z nich nie wznosił się do godności chana. Wśród wnuków Czyngis-chana sławą i potęgą z Batu równać mogli się jedynie chan Północnych Chin Kubiłaj oraz chan Kaukazu, Azerbejdżanu, Rumii, Iranu i Bagdadu — Hulagu. Żaden jednak z nich nie podbił tylu narodów i nie opanował takiego obszaru jak Batu-chan. Ich posiadłości w porównaniu z posiadłościami Złotej Ordy przypominały skórę owcy przy byczej skórze. W dalekim Karakorum panowali kolejno po Czyngis--chaniu nad mongolskim chanatem Ugedej i Gujuk, a całkiem niedawno uniesiono tam na białym wojłoku Mongkego. Batu-chan nie czuł się związany z ojczyzną przodków. Sam stworzył Złotą Orde i od tej chwili myślał tylko o niej.

Czemu przypisać powodzenie Batu-chana? Ludzie tłumaczyli to tym, że Batu od najwcześniejszej młodości święcie przestrzegał nakazów przodków, i jeśli inni potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem” często woleli kierować pochodami i wyprawami na wroga ze swych głównych obozów czy stolic, to Batu zawsze szedł na czele swych tumenów. Rządząc już Złotą Ordą nigdy nie nosił jedwabnych strojów, nie przyozdabiał się złotem i żył w takiej samej prostocie, jak i jego wielki dziad. Latem nosił kaftan z wielbłądziej wełny, a na głowie kipczacką czapę obszytą popielicami, ciało zaś chronił mu napierśnik ze skóry żrebaka. Wraz z nastaniem zimy chan zakładał brunatny kożuszek lub wilczą szubę i czapkę-tymak z gęstego futerka lisa stepowego.

Dlatego też to, że Batu-chan nagle zaczął ubierać się odświętnie, wszystkich niepomrotnie zaskoczyło. Wezyrzy, nojonowie i nukerzy byli zdania, że wszystkiemu winna jest choroba. Wszyscy wiedzieli, że chan niebawem umrze, ale nikt nie odważał się mówić tego głośno, nikt nie odważał się zapytać, co będzie dalej z każdym z nich.

19

A Batu-chan wcześniej czy później musiał to powiedzieć. Pamiętał o tym stale i dlatego udając się pewnego razu na kurhan wziął ze sobą najmłodszego syna, Uteckiego, którego miał z żoną z rodu Tajdziutów. U-łackci tym0 młodego wieku był wysoki, miał orli nos, wystające kości policzkowe i przypominał raczej Irań-czyka niż Mongoła.

Oczywiście w tych trudnych dla siebie chwilach Batu powinien rozmawiać z najstarszym synem, gdyż właśnie on zgodnie z prawem ustanowionym przez Czyngis-chana miał odziedziczyć władzę nad Złotą Ordą i stanowił najpewniejszą podporę jej władcy. Ale Sartaka nie było w stolicy, gdyż ze względu na swą chorobę chan wysłał go w swoim imieniu na Wielki Kurułtaj do Karakorum.

Ułakc .mU; jako najmłodszemu, zgodnie z obyczajem pisa*»* było zostać strażnikiem ogniska w domu Batu. Tak nakazywał Czyngis-chan, ale jego woli nie zawsze przestrzegano. Potomkowie odziedziczyli po wielkim dziadku wilcze zwyczaje i dlatego częściej zwyciężał silniejszy, niż ten, za którym stało prawo. Prawowity dziedzic czasami padał ofiarą sprytniejszego i bezwzględniejszego.

Batu-chan wszystko to doskonale wiedział, ale do siódmego roku życia wychowywał się w Mongolskiej Ordzie i dlatego postępował zawsze tak, jak nakazywał Czyngis-chan. Sartaka czekała nielekka walka o władzę, więc Batu umyślnie posłał go do Karakorum, mając nadzieję, że syn zdoła się tam nauczyć wiele rzeczy, które przydadzą mu się, kiedy zostanie chanem Złotej Ordy.

Ułakci to nie Sartak, ale mimo wszystko jest teraz dla chana najbliższym człowiekiem. Kto wie, czy Batu dożyje dnia powrotu najstarszego syna? Tylko jednemu Niebu jest to wiadome.

20

Weszli na szczyt kurhanu i Batu, zmrużywszy swoje skośne oczy, długo wpatrywał się w step, zanim powiedział:

— Od chwili kiedy dziedzic chana potrafi sam wsiąść na konia, przestaje się go uważać za dziecko. Stałeś się już dorosły, synu, i dlatego musimy ze sobą porozmawiać. — Batu zamilkł, zastanawiając się, czy Ułakci zdoła go zrozumieć i czy potrafi przekazać potem braciom wszystko to, co teraz usłyszy. — Jestem już stary i chory. Nadeszła dla mnie pora, by obejrzeć się za siebie, popatrzeć na przebytą drogę i zastanowić się nad tym, czego zdołałem dokonać, a co mi się nie udało. I czy wszystko udało mi się tak, jak zamierzałem... Jesteś przyszłym strażnikiem ogniska domowego. Chodź, siądź przy mnie.

Ułakci siadł na kamieniach u nóg oi'

— Orzeł zawsze poluje na to, co widział „, dzieciństwie. Tak było i ze mną. Siedem lat mieszkałem z dziadkiem, z wielkim Czyngis-chanem. Pewnego razu posadził mnie na łęku swego siodła i zawiózł na pobojowisko. Cały step jak okiem sięgnąć zasłany był trupami wrogów poległych pod ciosami maczug i szabel mongolskich wojowników. Czyngis-chan nie powiedział. Popatrzył tylko na mnie, zajrzał mi w oczy i zobaczył, że błyszczą. A oczy błyszcząły mi dlatego, że marzyłem, aby stać się takim samym odważnym i bezlitosnym jak nasi baaturowie, nauczyć się tak jak oni zabijać wrogów. #

Dziad czasami dawał mi rady. Trzy z nich stały się gwiazdą przewodnią, która rozświetlała mi drogę w mrokach nocy z^nej życiem. Podczas krwawych, niszczycielskich wypraw rady Czyngis-chana rozgrzewały moje serce, przydawały pewności i siły.

Pewnego razu powiedział do mnie: „Jeśli tygrys stanie na czele sfory psów, to po pewnym czasie psy

21

przekształcą się w zgraję tygrysów. Jeśli zaś na czele zgrai tygrysów znajdzie się pies, to nie potrwa długo, a tygrysy przekształcą się w psią sforę".

Sugo nie przywiązywałem uczenia do tych słów

dziada, dopóki pod kopytami »^£^^ padł wielki ^ep Beszt-i-S^ ^, ты kujący go naród ate mebaw Ъlora ^

re]:i^nVm^yowerkobiety i przejmują kipcackie

ОбоГ kiedy zrozumiałem słowa Czyngis-chana, oto kiedy zapragnąłem stać się tygrysem, żeby me zarme-5ć się w psa Nas, Mongołów, było niewiele i zęby utrzymać w posłuszeństwie podbity naród zacząłem Sdo sieL najlepszych z Kipczaków. Nie można L

było odmówić odwagi, ale, żeby zwyciężyć, musieli stać się równie okrutni jak moi Mongołowie.

Nie na darmo lud powiada, że poza złamaniem kości wszystkie choroby są zaraźliwe. Udało mi się do-niać tego czego chciałem, i od tej chwili już Kipcza-c'Тpomlgali nam rządzić ich narodem. Strach zamienił kipczackich wojowników w nieustraszonych bohaterów a tych, którzy nie chcieli iść naszą drogą, po prostu zabijaliśmy. W ten sposób zyskałem wielkie wojsko organizowane na sposób wojsk Czyngis-chana i z nim mogłem wyruszyć na Bułgarów, Karłuków, Guzów, Alanów i na inne narody...

— Ale wszak pies przekształcony w tygrysa przy pomocy batoga może w tajemnicy znienawidzić aby potem kiedy naprawdę poczuje się tygrysem, pokazać zębami — powiedział w zadumie Ułakczy.

Batu ledwie zauważalnie się uśmiechnął. Ucieszyło go że syn zastanawia się nad jego słowami. Kto wie, może Ułakczyemu poszczęści się i dożyje chwili!, kiedy stanie się niezłym władcą?

— Masz rację, coś takiego też się może zdarzyć.

22

Ale żeby wszystko toczyło się po naszej myśli, należy użyć jeszcze jednego środka. Przypomnij sobie słowa, które wypowiedział Czyngis-chan do służącego mu wiernie od młodości Dżelme-nojona:

Wraz ze mną i tyś się. narodził, Wraz ze mną stale mężniałeś. Szlachetnego rodu, w psiej kolebce Szczęśliwy, wspaniała mój Dżelme

Poza tymi słowami podarował swojemu nojonowi prawo do dziewięciu bezkarnych występków.

A co powiedział mój dziad Sorkan Szirze człowiekowi, który w młodości uratował go przed wrogami? Powiedział: „Niechaj ziemia Merkitów wzdłuż rzeki Selengi stanie się twoim koczowiskiem. Od dziś należeć ona będzie do twoich potomków i potomków twoich potomków”. Czyngis-chan potrafił nie tylko podbijać narody, lecz także znajdować drogę do serc oddanych mu ludzi. Nie skąpił im dobrego słowa i umiał szczerze nagradzać.

Ja postępowałem tak samo. Najlepsi wojownicy dostawali ode mnie największe sztuki jedwabiu, w ich dłonie najczęściej sypałem złota. Ród lub plemię zasłużone dla Ordy otrzymywało najlepsze pastwiska i najdogodniejsze miejsca na rozbić swoich namiotów. — Batu-chan zamyslił się. — Człowiek jest bezradny nie tylko wobec przemocy. Każdy będzie lizał twoje Pięty, jeśli tylko zdołasz trzymać w garści jego pomyślność...

Chan zamilkł, otarł pot z czoła. Zmęczył się i trudno mu było mówić.

— Innym razem dziad powiedział mi: „Prosty lud szanuje i wychwala tego, kogo się boi. Jeśli chcesz, żeby twoje imię znał cały świat, nie oszczędzaj nikogo. Zabijaj, wycinaj w pień. Im więcej ludzi padnie z twojego rozkazu, tym większa będzie twoja sława”.

Ułakczy opuścił głowę. Batu uśmiechnął się.

23

— Czemu tyjesz oczy? A może przypomniałeś sobie, co Bukendzi-kadi odpowiedział na tą mądrość dziada?

Chłopiec skinął głową.

W Złotej Ordzie wszyscy znali tę historię. Tego roku, kiedy tumeny Mongołów po raz pierwszy dotarły do Chorasanu, wzięły one do niewoli kadiego Bachid-dina Bukendziego.

Czyngis-chan, zdumiony rozległością jego wiedzy, darował mu życie i zostawił przy sobie. Lubił słuchać opowieści kadiego o zwyczajach i obyczajach różnych krajów.

Pewnego razu „Ten, który wstrząsnął światem” powiedział do swych przyjaciół: „Wyrzniętem wiele narodów i dlatego wsławiłem się na cały świat. Sława moja wzrośnie jeszcze bardziej, jeśli nie zostawię przy

życiu nikogo”.

Kadi słysząc te słowa powiedział: „Wielki chanie, jeśli podarujesz mi życie, ośmielę ci się sprzeciwić”. Czyngis-chan był w dobrym nastroju, obiecał więc nie uśmiercić Bukendziego.

— Wielki chanie — powiedział wówczas kadi — jeśli ty i twoje wojsko wymordujecie wszystkie narody, to kto będzie słaawił twoje imię?

Czyngis-chan przeszył Bukendziego nieruchomym wzrokiem i nagle się roześmiał:

„Podbiłem na razie tylko pół świata, więc jeszcze zostali ci, którzy będą mnie słaawić”.

— Dziad mój był mądry — powiedział Batu. — Zawsze dobrze wiedział, o czym mówił. Do podbitych przez niego ziem ja dołączyłem nowe, ale i ja nie mogłem wytrzebić wszystkich narodów, dlatego i dla was jeszcze zostanie dość dalekich wypraw i krwawych bitew.

— Ojczy, ty też jednak nie zawsze i nie wszystko czyniłeś tak, jak nakazywał Czyngis-chan...

24

- Tak - - odparł Batu. - - Nie wszystko. Nie ofiarowałem żadnemu z przyjaciół swoich żon. W tym względzie Batu-chan nie potrafił stać się- takim, jakim był jego wielki dziad...

W swoim czasie „Ten, który wstrząsnął światem” podbił dwa rody — Merkitów i Najmanów. Przywódców tych rodów ścięto. Tego losu uniknęli jedynie Ke-rejowie, których władca Dżakagambu oddał Czyngis--chanowi za żonę swoją piękną córkę Ibaka-begi. Razem z nią do stolicy Czyngis-chana przybyły tabuny koni, karawany wiozące drogocenne jedwabie, złote i srebrne naczynia oraz dwustu niewolników. Wydawać by się mogło, że zawarto trwały pokój, ale Dżakagambu potrzebował tylko krótkiego oddechu i nie minęło wiele czasu, kiedy znów wyruszył przeciwko Mongołom. Oddany Czyngis-chan owi nojon Dżurczedej wciągnął wiarołomcę w pułapkę i odrąbał mu głowę. Również on pomógł rozgromić Kerej ów i w bitwie z nimi uratował wielkiego Czyngis-chana, osłaniając go własnym ciałem.

Czyngis-chan docenił poświęcenie Dżurczedeja i podarował mu swoją żonę Ibaka-begi.

Powiedział przy tym: „Jeśli napadł cię wróg, wykop na jego drodze wilczą jamę. Jeśli masz przy sobie przyjaciela, nie pożałuj dla niego nawet kawałka mięsa z własnego ciała”.

Właśnie o tym wydarzeniu myśleli teraz ojciec i syn.

Ułakczy krnąbrnie potrząsnął głową.

— Nasz wielki przodek — powiedział — ofiarowywał swe żony nie tylko tym, którym zawdzięczał życie. Wszak Kektej-nojon nie dokonał tego, co dokonał Dżurczedej.

— Tak. To również się zdarzyło. Twój dziad był władcą świata i dlatego każdy postępek przynosił mu chlubę. Wiem, o czym mówisz... Sprawa miała się tak: W trakcie walki z rodami Kerej i Tajdziut Kektej-no-

25

jon przeszedł na stronę Czyngis-chana. Niczym więcej się nie zasłużył. Nawet w czasie bitwy z Wang-chanem, kiedy mój dziad zwrócił się do niego o radę Kektej--nojon zmilczał, gładząc grzywą swojego wierzchowca. Taki to był człowiek.

Wkrótce jednak Czyngis-chanowi przyśnił się straszliwy sen, w którym jego ciało miażdżył ogromny płamisty wąż. Wąż powiedział ludzkim głosem: „Połkną cią, jeśli nie oddasz żony”.

Czyngis-chan wierzył szamanom i potrafił tłumaczyć sny. Bano zobaczył, że obok niego leży piękna jak łabędź Abike-begi, którą zupełnie niedawno uczynił swoją żoną. Chan obudził ją.

Od chwili, kiedy wziąłem cią za żoną, powiedział, dusza moja zaznawała spokoju i radości.

Nie gniewaj się, ale przyśnił mi się straszliwy sen i muszą cię oddać innemu.

Abike-begi wiedziała, że chan niczego nie powtarza dwa razy. Zasmucona jego słowami powiedziała tylko: „Niechaj stanie się tak, jak rozkazałeś, i niechaj radość spędzonych wspólnie dni pozostanie z nami. Pozwól mi wziąć tylko złotą czarę, z której piję kumys i oddaną mi służkę imieniem Konataj”. Czyngis-chan zgodził się i wezwał straż.

— Kto dzisiaj pełni wartę? — zapytał.

— Ja — odparł Kektej-nojon.

— Daję ci swoją żonę, Abike-begi. Nojon na te słowa zaczął drżeć z przerażenia.

— Nie bój się — powiedział władczo Czyngis-chan. — Mówię zawsze tylko raz i zawsze tylko prawdę.

Abike-begi, posłuszna gestowi Czyngis-chana, przerzuciła warkocze na pierś. Wedle mongolskiego zwyczaju kobieta, kiedy wychodziła za mąż, dzieliła swe włosy na dwie równe części. Znaczyło to, że od tej chwili połowa jej życia należy do męża. Jeśli zaś robiła tak, jak postąpiła Abike-begi, to na zawsze rozstawiała się ze swoim ukochanym.

26

— Nasz nieustraszony przodek lękał się złych snów... Dziwne to dla człowieka, który zawojował pół świata...

Batu-chan pokręcił ze smutkiem głową.

— Jak niewiele jeszcze rozumiesz, synu. Jeśli człowiek ma wytknięty wielki cel, to w młodości nie myśli o śmierci. Kiedy natomiast wreszcie spełnią się jego marzenia, a śmierć już stoi za progiem, każdy przeżyty dzień staje się dla niego bezcenny. Ludzie cenią tylko to, czego im brakuje.

Ułakczy zrozumiał nagle, że jego potężny, nieustraszony ojciec boi się śmierci. Bardzo się boi. Nie zdołał znaleźć słów odpowiedzi i nad kurhanem zawisła ciężka, ponura cisza.

Przerwał to milczenie Batu-chan.

— Nauczyliśmy się od dziada podbijać kraje i narody, a władać, rządzić nimi musicie uczyć się od nas

— powiedział. — Tylko wówczas potomkowie Czyngis-chana zdołają utrzymać różnorodność plemion w twardej ułudzie i rzucić na kolana cały świat.

— To znaczy, że pradziad nie uczył się od nikogo?

— zapytał Ułakczy. — To znaczy, że idziemy drogą przetartą tylko przez niego?

— Tak. Ta droga została przez niego przetarta — powiedział z niezachwianym przekonaniem Batu. — Niszczyć i równać z ziemią miasta, tratować zasiewy i sady chciał po to, żeby przekształcić wszystkie ziemie w ogromne pastwisko dla mongolskich koni. To było jego wielkie marzenie i dla jego spełnienia Czyngis-chan nie oszczędzał nikogo, zalewał świat krwią. Gardził tymi, którzy mieszkają w miastach i za prawdziwych ludzi uważał tylko Mongołów. Do nich powinien jego zdaniem należeć cały świat, a oni winni podporządkować się jednemu tylko człowiekowi. Dla osiągnięcia tego celu Czyngis-chan żelazną ręką zjednoczył wszystkie mongolskie plemiona i nie miał litości dla nikogo, kto stanął na jego drodze. I to samo nakazał

27

czynić nam... Pytasz, czy dziad uczył się u kogoś? Tak, nie wstydził się tego robić, jeśli doświadczenie innych, mogło pomóc mu w osiągnięciu jego celu.

— Kto był godnym niego nauczycielem?

— Chińscy mędrcy opowiadali mu, jak prowadził swoje wojny Iskander Zulkarnajn, który podobnie jak Czyngis-chan zawojował pół świata. W wojskach Iskandera nie było, tak jak u nas, taboru-auruku, ale żeby pokazać, iż podbite ziemie należą do niego, w każdym nowym kraju pozostawiał wojowników, którzy osiągnęli czterdziesty rok życia. Wojownicy zakładali rodziny, budowali domy i zaprowadzali porządkę przepisane przez Iskandera. Nasz dziad przejął ten sposób i zdobywając miasta, również pozostawiał tam swoich wojowników. Jednak w odróżnieniu od Iskandera pozostawiał ich wraz z żonami i

dziećmi, które ciągnęły za wojskiem w auruku. Utwierdziwszy się na nowych ziemiach wojownicy narzucali podbitym narodom mongolskie prawa i przekształcali obszary zdobyte przez Czyngis-chana w mongolskie ziemie. Poza tym na wzór rzymskich cesarów utworzył najwyższą radę Ordy i nazwał ją „Dziewięć Wielkości”. Jeśli sam Czyngis-chan był złotym słupem podtrzymującym namiot Ordy, to członkowie rady pełnili rolę dziewięciu srebrnych wsporników, na których spoczywa kopuła namiotu. Radę tworzyli najgodniejsi z godnych, których mądrość i odwaga były znane wszystkim. Poza wyznaczonym dniem, w którym zbierała się cała rada, każdy z dziewięciu jej członków miał własny dzień i godzinę przeznaczoną na rozmowę z władcą świata. Czyngis-chan nie powołał do rady żadnego ze swych krewnych, gdyż uważał, iż żaden z przedstawicieli jego rodu nie może być mądrzejszy od niego samego. Nasz dziad nigdy nie toczył walki z kimś, kto nie dorównywał mu bogactwem czy sławą. Jeśli taki człowiek mu przeszkadzał, to rozkazywał któremuś z no-

28
jonów, żeby go zgładził, ale najczęściej starał się uczynić z niego swego przyjaciela. Jeśli nie użyjesz przemocy wobec kogoś mniej potężnego niż ty, to ten człowiek wolał będzie stać się raczej twoim przyjacielem niż wrogiem, mówił.

Batu drgnął. Bystre jeszcze oczy dostrzegły w rozpalonym niebie nad stepem ledwie widoczny punkcik. Nie mógł się mylić. To nad kurhan powracał orzeł, na którego czekał od tyłu dni. Serce chana zamarło, a potem zaczęło bić szybko i mocno. Nadchodziła godzina zemsty...

— Ułaczci — powiedział cicho. — Co w Ordzie mówią o Baraku?

Syn popatrzył czujnie na ojca, ale twarz Batu-chana nie zwiastowała gniewu.

— Ludzie powiadają, że Baraka porwał orzeł... — Ułaczci zawahał się. — Że Batu-chanowi nie mógł oprzeć się żaden człowiek na świecie i tylko orzeł ośmielił się przynieść mu nieszczęście...

Batu zbladł. Od dawna przeczuwał, że Orda zna prawdę o śmierci syna, ale nie chciał w to uwierzyć. Okazuje się, że niepotrzebnie kazał zabić stu strażników, którzy widzieli, jak orzeł porwał Baraka, okazuje się, że rację ma lud powiadając, iż prawda jest jak ostry kindżał, którego nie da się ukryć w dziurawym worku. Nagle poraziła go myśl, że śmierć syna jest zemstą za niewinnie przelaną krew innych dzieci. Myśl ta rozbłysła i natychmiast zgasła jak iskra ulatująca w mrok nocy.

Mów dalej... — powiedział Batu-chan obracając się ku synowi.

Ludzie powiadają, że śmierć Baraka jest zemstą Nieba za to, że Batu-chan odważył się pogwałcić prawo swojego wielkiego dziada.

Batu długo milczał.

"~" Tak, to prawda... — powiedział wreszcie.

29

Oczy Ułaczkiego zalśniły. Chan zdawał się tego nie zauważać. — Moja wina nie polega na tym — powiedział — że zapragnąłem żyć tak długo, dopóki Barak nie dorośnie i nie zastąpi mnie, chociaż zgodnie z prawem chanem Złotej Ordy winien zostać Sar tak... Myślałem, że nie jest ważne, który z moich synów zasiądzie na moim tronie, byle tylko rosła sława Ordy i cały świat nadal drżał przed groźnym mongolskim mieczem... Nie myliłem się i moja wina tkwi w czymś zupełnie innym... — W czym? — zapytał niecierpliwie Ułaczci. Batu-chan udał, że nie zwrócił uwagi na niestosowne pytanie syna, bo nie miał już czasu na gniewne pouczenia. Przyszłość należy do niego, pomyślał. Synowi trzeba powiedzieć wszystko to, co przyda mu się już jutro, bo nie powinien powtarzać błędów tych, których czas się dopełnił.

— Moja wina polega na czymś innym... My, potomkowie Czyngis-chana, winniśmy myśleć o tym, aby stale rósł i nieustannie się umacniał wielki mongolski chanat stworzony przez naszego dziada. I jeśli chcemy, aby arruah — duch Mongołów i duch Czyngis--chana — był

stale z nami, nie powinniśmy osadzać na chańskim tronie syna zrodzonego z córki podbitego narodu. — Batu-chan zamilkł na chwilę. — Chan wy-karmiony mlekiem kobiety z podbitego kraju może stanąć kiedyś po stronie narodu zwyciężonego przez jego ojca. I jeśli Niebo zechce kiedyś zniweczyć Orde, to zguba jej zacznie się właśnie od tego... Wiem to i widzę... Moja wina wobec ducha wielkiego Czyngis--chana polega na tym, że pogwałciłem jego nakazy i poddałem się ojcowskiej miłości do Baraka zapragnąłem losy Złotej Ordy złożyć w ręce syna zrodzonego z córki wroga. Ale teraz groźna siła, zwana sprawiedliwością, przybrałszy postać czarnego orła, naprawiła mój błąd...

30

Ułakci potrzęsnał krnąbrnie głową.

— Jeśli wielki chan uważa śmierć Baraka za sprawiedliwą, to czemu... — zamilkł, lękając się ojcowskiego gniewu, ale jednak przezwyciężył strach i ciągnął dalej — to czemu ubrany w odświętny strój stara się zwabić krwiożerczego ptaka?

— Kto powiedział, że jestem obrońcą sprawiedliwości? — Pomarszczona twarz Batu-chana wygładziła się, a jego blade wargi wykrzywiły się w uśmiechu. — ■ Jeśli chcesz narzucić światu swoją wolę, to nie powinieneś nawet wspominać o sprawiedliwości. To jest niegodne potomka Czyngis-chana. Jeśli chcesz władać, to winienez pamiętać, że na świecie istnieje tylko jedna prawdziwa siła, którą musisz stale podsycać i nie pozwolić zgasnąć tak samo jak ognisku, które ogrzewa twój namiot. Imię tej siły brzmi zemsta. Człowiek nie znający uczucia zemsty jest jak glina, która daje się z łatwością urabiać. Nie powinienez zatem zostawiać niczego, co nie byłoby pomszczone. Przy czym nie jest ważne, kim jest twój wróg: człowiekiem, zwierzęciem czy ptakiem... Umiejętność dokonywania zemsty jest oznaką wielkości i siły...

Ułakci odetchnął z ulgą.

— Wybacz ojcze, że odważyłem się podnieść głos...

— Wszystko mi teraz jedno, jakim głosem będziesz do mnie mówił... Wziąłem cię dziś na ten kurhan nie po to, żeby uczyć cię dobrych obyczajów!

Ułakci słuchał go z najwyższą uwagą.

— Niedługo umrę — powiedział bezlitośnie Batu. — W dniu, kiedy mnie zabraknie, na tronie Złotej Ordy zasiądzie twój brat Sartak, tobie zaś przyjdzie stać się gospodarzem chańskiego domu i strażnikiem ogniska całej Ordy. Sartak jest teraz daleko, chcę więc mówić z tobą...

Ułakci pobladł i odwrócił wzrok.

— Nie mów tak, wielki chanie...

31

_ - Nie martw si, na próżno... - powiedz- Batu -chan zmęczonym głosem. - Każdy ma własną drogą a szczacie znaczy więcej i jest każdemu btaen cieć. Tobie też... Chcę ci dać trzy nakazy, bo zdarzyć się może, że i ty pewnego dnia staniesz S1ę panem Zło tej Ordy...

^Wiefrpewne, co opowiedział pewnego razu Czyngis-chanowi kpiarz imieniem Mangutau?

^cPst?ht Tdtwnych czasach żyły na świecie dwa smoki. Pierwszy z nich miał tysiąc głów i jeden ogon drugi zaś jedną głowę i tysiąc ogonów. Pew-Soi rozpętała się straszliwa burza i na step p^d czasem przyszła zim, Tysiącgłowy smok cW schować się w swojej kryjówce, ale g^jfLS klócić o to, jak najlepiej to zrobić. Nie zdołały dojsc do porozumienia i smok zginął. Drugi ze smoków ten który miał jedną głowę a tysiąc ogonów, uratował się, to tysSc ogonów podporządkowało się rozkazom jed-

ПСС2ІГроіобпа jest tysiącowi ogonów i jeśli tylko będzie mŁła jedną głowę, chana, to me zdoła jej pokonana to ona osiągnie wszystko, czego zapagnie. Potomkowie Czyngis-chana przypominają typowego smoka i jeśli nie potrafią działać w mysi woh fedneC to szybko zaczną się wadzić i znajdą śmierć z rąk swoich wrogów. Mój pierwszy nakaz dla

creble brzmi- Zachowaj jedność wszystkich mongolskich rodów i'potomków wielkiego Czyngis-chana, bo jedynie wówczas zawsze będziecie silni.

Ułakzi nagle szybko sięgnął po leżący obok mego łuk bo czarny orzeł płynnie zniżał się nad kurhanem

1 Zostaw go... - powiedział Batu-chan. - Niech

32

i razie jeszcze pożyje... Jeśli już tu przyleciał, to na pewno jeszcze wróci...

Orzeł jakby usłyszał słowa chana, bo znów zaczął nabierać wysokości.

— Wysłuchaj mojego drugiego przykazania — powiedział Batu, nadal śledząc wzrokiem ptaka. — Stepy Deszt-i-Kipczak podbił mój ojciec Dżuczi na rozkaz Czyngis-chana. Dziad oddał mu te ziemie i pozwolił sprawować nad nimi władzę.

Ludy Deszt-i-Kipczaku mają przysłowie: „Mądry jest nie ten, kto zdobył bydło, tylko ten, kto je wyhodował”. Swoją wielką chana Czyngis-chan stworzył, zjednoczywszy sto mongolskich rodów i podbiwszy czterdzieści narodów. My, jego wnuki i prawnuki, potomkowie czterech jego sławnych synów: Dżucziego, Dża-gataja, Ugedeja i Tołuja — rozszerzyliśmy granice wielkiego chanatu Karakorum i pomnożyliśmy jego sławę. Wielu wspaniałych czynów dokonali moi rówieśnicy Mongke, Gujuk, Orda, Aryk-Bóge, Ałgaj i Kajdu, ja zaś przekroczyłem rubież Deszt-i-Kipczaku, rozprzestrzeniłem swoją władzę na ziemie Rusów, podbiłem Północny Kaukaz i dotarłem do stolicy Madziarów. Z rozplomioną twarzą słuchał Ułakzi opowieści ojca.

— Gdyby nie śmierć Ugedeja, dotarlibyście jeszcze dalej, do ziemi Niemców i Franków — wykrzyknął gorąco. — Jaka szkoda, ojczyste, że musiałeś zawrócić swojego konia....

Batu-chan roześmiał się cicho. Znów wygładziła się jego pomarszczona twarz, znów skóra napięła się na wystających kościach policzkowych.

— To znaczy, że i ty uważasz to za przyczynę mojego powrotu? Jeśli związane to było ze śmiercią wielkiego chana Ugedeja, to czemu Hulagu, który w tym czasie doszedł do Bagdadu, również nie zawrócił swoich tumenów? Dlaczego na czele tylko nielicznych

' — Złota Orda

o o

wojsk ruszył do Karakorum, a główne siły pozostawił na miejscu pod dowództwem Kit-Buginojona? Przecież ja także mogłem tak postąpić. — Batu zamilkł, pogrążając się we wspomnieniach dawnych wydarzeń. — Nie, ja nie mogłem tak postąpić. Śmierć wielkiego Ugedeja była tylko pretekstem do odwrotu. I przyjaciele, i wrogowie nie znają do dziś jego prawdziwego powodu. A był on zupełnie inny.

Ułakzi zamienił się w słuch. Ojciec zamierzał zdradzić mu tajemnicę, której nikt dotąd nie znał.

— Jakież więc to był powód? — zapytał w napięciu.

Batu-chan zdawał się nie słyszeć jego pytania. Nadal w zadumie wspominał to, o czym wiedział tylko

on sam.

— Wielu uważa, że przepравиłem się przez Itil,

żeby zawojować ziemie Madziarów. Nie, wcale nie do tego sprowadzały się moje marzenia, które sięgały o wiele dalej. Z początku jednak chciałem rozbić Madziarów i przekształcić ich bogate stepy w miejsce wypoczynku moich tumenów, a dopiero potem napaść na Niemców, Franków i inne narody żyjące dalej na zachód. Marzenia moje były śmiałe, a pragnienia silne. Swoje tumeny pchnąłem pradawną drogą koczowniczą — najezdźców, przetartą jeszcze przez ich przywódcę Atilę. Wiedziałem, iż ziemie, przez które zamierzałem przejść, zaludnione są przez liczne narody i dlatego, żeby uniknąć morderczego ciosu w plecy, wysłałem do Polski wojsko pod dowództwem wnuka Szejbana, Bajdar-sułtana, a do Czech osiemnastoletniego wnuka wielkiego chana Ugedeja, Kajdu-sułtana, do Bułgarii zaś — wnuka równie wielkiego ojca mojego Dżucziego, Nogaja. Każdemu z nich

dałem po jednym tu-menie. I tym razem uczyniłem tak samo, jak postąpiłem wyprawiając się na Rusów. przed wojskiem wysłałem posłów, którzy mieli powiedzieć narodom tych

34

ziem: „Poddajcie się wielkiemu Batu-chanowi z własnej woli”. Wiedziałem, że nikt dobrowolnie nie podstawi karku pod mongolski miecz, ale nie o to mi przecież chodziło. Pamiętasz przecież, co pewnego razu powiedział nasz wielki dziad do Szigi Kutuku-nojo-na: „Bądź okiem, które zobaczy cały świat. Bądź u-chem, które zdoła cały świat usłyszeć”. Właśnie po to potrzebni mi byli posłowie, którzy zrobili to, czego od nich oczekiwałem. Wkrótce wiedziałem wszystko, co chciałem wiedzieć. Jeszcze w roku kury (1337) chan Kipczaków Kotian, który uciekł ode mnie z czterdziestoma tysiącami kibitek, poprosił o schronienie króla Madziarów Belę IV. Razem mogliby oni stworzyć groźną siłę. Duch Czyngis-cha-na nie odstąpił jednak Mongołów. Posłowie powiedzieli mi, że madziarscy magnaci, lękając się wzmocnienia władzy króla, pokłócili go z Kotianem. Los okrutnie obszedł się z uciekinierami. W ciągu jednej nocy ponad połowa kipczackich wojowników została wycięta, Kotian zabity, a pozostała przy życiu reszta, grabiąc i puszczając z dymem leżące na drodze osiedla, uciekła na Bałkany. Bela IV okazał się złym wojownikiem. Widział nie dalej, niż widzi zwykły pastuch. Wydawało mu się, że nie ma na świecie takiej siły, która odważyłaby się sięgnąć po jego ziemie i dlatego odmówił zawarcia sojuszu z Rusami. Kiedy moje stu pięćdziesiąt tysięcy wojsko pod dowództwem Su-bedeja, Móngkego, Gujuka, Ordy, Kadana, Bajdara, Buriego, Peczeke, Nogaja, Burundaja i Kajdu wkroczyło na ziemie Kermen-kiwe, czernihowski książę Michał wysłał do madziarskiego króla swoich ludzi, żeby poprosili w jego imieniu o rękę córki króla dla syna Rościszława. Gdyby się spowinowacili, mogliby razem wystąpić przeciwko nam. Ale Bela IV nie zgodził się na ten związek. Tak samo postąpił wobec księcia halickiego. Król Madziarów uważał, widząc, że

jego

35

córka ma złotą głowę, a pośladki odlane ze srebra. — Batu-chan uśmiechnął się pogardliwie. — Ja jednak wiedziałem w tym wolą Nieba. Co mogło sprzyjać mi bardziej niż niezgoda między Madziarami a Rusami? Silnymi wrogami mogli okazać się Niemcy, ale wiadome mi było od szpiegujących kupców, iż nie wierzyli, aby kopyto mongolskiego konia mogło kiedykolwiek stąpić na ich ziemią. Spodziewali się nawet, że skoro nie jesteśmy mużulmanami, to może nawet da się nas wykorzystać przeciwko Arabom. Poza tym akurat w tym czasie Niemcy zaczęli przygotowywać się do wyprawy na północne księstwa Rusów, na Nowogród i Psków. Tak rozpoczął się mój pochód na Madziarów. Byliśmy wierni nakazom Czyngis-chana, nie znaliśmy zatem strachu ani litości. Otoczenie króla nie mogło stać mu się oporą i dlatego moje dzielne tumeny rozbiły w puch jego wojska i ziemia stawała się czerwona od krwi. Miasto za miastem zamieniałem w perzyną, czarny dym pożarów zasłaniał słońce. Stolicę Madziarów, Esztergom, zdobyliśmy, zanim jeszcze nadeszła połowa lata. Dziesięć tysięcy wojowników i trzydzieści taranów rozbiło mury tego miasta. I czym odważniej bili się madziarscy wojownicy, tym zacieklejsze były nasze ataki. W tym samym czasie mongolskie tumeny pod dowództwem Bajdara, Nogaja i Rajdu zalały krwią Polskę. Szczęście dopisywało również i średniemu synowi Ugedeja, Kadanowi, który kolejno podbijał południowe państwa. Pod ciosami taranów padały słowackie twierdze. Bajdar i Kajdu, zdeptawszy Polskę, pijani krwią skierowali swoje tumeny na ziemie wschodnich Czechów. I tam los się od nich odwrócił, każdy klasztor, każdy kościół musieli brać szturmem. Mongolscy wojownicy, aby wiedzieć, ilu wrogów padło, odcinali prawe ucho każdemu zabitemu. Szli naprzód, ale topniały ich szeregi. Dowiedziawszy się o tym, rozkazałem Bajdarowi i Kajdu zatrzymać

36

pochód. Nie przystępując do walki z czterdziestotysięcznym wojskiem króla Czechów Wacława tumeny wróciły pod moje sztandary. Właśnie w tym czasie goniec przyniósł czarną wieść o śmierci chana Ugedeja w Karakorum. Aby wybrać jego godnego następcę na Wielki Kurułtaj winni przybyć wszyscy z rodu Czyngis-chana. Wtedy to rozkazałem swoim wojskom powrócić nad brzegi Itilu.

— ■ Gdybyś wówczas powierzył dowództwo któremuś z twoich dzielnych no jonów... — wyszeptał Ułaczi.

Batu-chan długo milczał, patrząc na orła szybującego w wysokim niebie. Jego myśli były daleko od tego miejsca. Od nowa przeżywał dni swojej młodości, podniecające bitwy, a przed oczyma stawały mu miasta ogarnięte płomieniem pożarów.

— Nie mogłem tego zrobić — powiedział twardo chan.

— Ale dlaczego?...

— Niezliczone były podbite przez nas ziemie i narody, ale głos rozsądku skłonił mnie do ostrożności. Wiedziałem, iż ziemie te należą do nas dopóty, dopóki nie zawróciliśmy swoich koni. Zawojowaliśmy te kraje, ale ich nie podbiliśmy. Królowie i książęta, którzy ocaleli z bitew, przysięgli nam na wierność, ale lud ich nie słuchał i dlatego nie mogli przemawiać w jego i-mieniu. Ruszając na tę wyprawę myślałem, że doliny madziarskich rzek staną się pastwiskami dla mongolskich koni, że odpoczniemy tam, nabierzemy sił, żeby znów ruszyć dalej na zachód. Nic jednak z tego nie wyszło, bo na zdobytych ziemiach nie było pokoju. Nie było dnia, żeby oddziały kryjące się po lasach nie napadały na moich wojowników. Nadal lała się krew

i moje tumeny topniały. Był też jeszcze jeden powód, o którym nie wolno zapominać...

Batu-chan zasłonił dłonią oczy, zdając się przywoływać na pamięć dawno zapomniane czasy i wydarze-

37

nia. Ułaczi, z trudem powstrzymując niecierpliwość, czekał aż ojciec znowu zacznie mówić.

— Ten powód tkwił w ruskich ziemiach... zanim ruszyłem na nie, postąpiłem tak, jak to robił mój wielki dziad, wysłałem tam moich kupców i szpiegów. Wkrótce wiedziałem wszystko, co chciałem wiedzieć: i jakie Rusowie mają wojsko, i jak rządzą ich książęta, i jaki ten naród był dawniej.

Rusowie żyli w oddzielnych księstwach, ale byli jednym narodem i nikt nigdy ich nie podbijał. Czasami w bitwach z innymi narodami ponosili klęskę, ale nigdy nie tracili wolności.

Wiedziałem, że zwyciężyć ich będzie niełatwo. Nie myliłem się. Potrzebowałem na to trzy i pół roku, chociaż rok mi wystarczył, żeby rzucić inne ziemie pod kopyta mongolskich koni.

— A jednak ich podbiłeś, wielki chanie! — wykrzyknął Ułaczi.

— Tak. Nie mogli oprzeć się moim nieulekłym tu-menom, bo każdy książę uważał się za silniejszego i mądrzejszego od pozostałych. Nie mówię tu o małych księstewkach, ale gdyby księstwa Włodziemiersko--Suzdalskie i Halicko-Wołyńskie pozostawały ze sobą w zgodzie, to kto wie, czym by się zakończyła nasza wyprawa... Ale jesteśmy potomkami Czyngis-chana i z rfami był mongolski bóg wojny Sulde... Oddawszy na pastwę ognia grody Księstwa Halicko-Wołyńskiego, wkroczyliśmy na ziemie Polaków, Madziarów i Ugrów. Już ci mówiłem, co było dalej. Oczywiście mogliśmy jeszcze długo utrzymać się na ich terenach, ale ja zawsze pamiętałem o Rusach, którzy zostali mi za plecami. Pokonany zawsze myśli o zemście, więc oczekiwałem ciosu w plecy, gdyż widziałem, jak potrafią walczyć Rusowie. Łatwo było rządzić Deszt-i-Kipcza-kiem czy Chorezmem, bo miejscowi mieszkańcy byli podobnie jak my koczownikami. Natomiast tu, na zie

38

miach Polaków, Madziarów i Bułgarów, gładalo inaczej. Gdym to zobaczył, wy-
wystarczy jeszcze tylko niewielka zwłoka, a * dy podbitych krajów zjednoczyły się, a
[иГТТ je tumeny nie poradzą sobie z nimi. Za mnin; i była Złota Orda, której siły,
Jf*3Ta^niГ głem narażać na szwank. Jakby na poparcieY ^ baw rozpoczęło się powstanie
w Bułgarii i м2ы przeciwko Nogajowi. Kiedy więc utT^tT^ kazałem swoim wojskom
powrócić na Deszt^Tp."

— Czyżby więc mongolski miecz bth™ w drzeń, e ca* wSch6dg „ie prSzif °ZyTZO dow?
— zapytał Ułakczy. Y °

Batu-chan popatrzył ze zdziwieniem na syna

-7aPyfałC1 Tak^ 1 Skał ^ naS «S Wschód? zapytał. — Tak, mongolski wojownik przeraz
nnX

bite narody swoim okrucieństwem, ale nSwem nad
chodził czas, kiedy zjawiali się tacy, którzy wotr
śmierć od niewoli. Skłaniali przed nami Sy ^ d
cy, książęta i możni podbitych narodów, którzy pró-
bowali zmusić swoich podwładnych by,, •• Г

samo. Wiesz jednak z opowSoi sta^ch i ^I®

Jak prości ludzie broni/swychmS f f J^

wszędzie: w Chorezmie i na Rusi, w BeZti-^IŁ

słyszeli" Г"• ~ \atu popatrzył w ** makJeT~

^cymi nas dżygitami napa^^^III

zvl ri!P yWeg° Czy martweś° - Mongke wyposa-

^ł dwieście żaglowych łodzi przepłynął III J^

brnęli aГиГр!- IT 7°JOWNicy 8cb^a li niepo-go baatura. Pochyl głowę! Padnij na kolana! -
39

rozkazał Mongke. Nie jestem wielbłądem, żeby padać na kolana, a głowa moja nigdy nie
pochyla się przed wrogiem — odparł Boszpan. Jeden z nojonów, rozwścieczony taką
czelnością, rozrąbał baatura na pół, a wszystkich jego dżygitów wyrżnięto jak owce. Boszpan
zginął, ale wiem, że nadal w sercach wielu tli się iskra buntu. A teraz znów o Rusach. Jeśli
uda mi się zjednoczyć, stanąć w jednym szeregu, wówczas zobaczysz, do czego są zdolni.
Teraz ich siła jest rozproszona, ale strachu już w nich nie ma. Pamiętam Eu-patija Kołowrata
ze spalonego przez nas Riazania. Widziałem jego trupa... W swoim czasie zebrał on wokół
siebie tysiąc siedmiuset wojów. Przyszli z różnych księstw z nie zaspokojoną żądzą
zemsty i byli podobni w swej odwadze do szybkich jak myśl barsów. Tysiące moich
wojowników pozostało w zaśnieżonych ruskich lasach. Mongołowie opowiadali o Eupatiju i
jego ludziach legendy, które mówiły, że Rusowie mają skrzydła, a każdy z nich może bić się z
setką naszych wojowników. Tak to było... Nie wierz, że podbiwszy kraj, zwyciężyłeś zarazem
jego lud. Bądź czujny. Nie tak dawno czernihowski książę Andrzej, nie chcąc oddać koni
naszemu wojsku, przepędził je w inne miejsce. Jego winy nie udało się dowieść, ale ja, żeby
żaden z książąt nie ośmielił się tak postąpić, rozkazałem zatłuc go na śmierć kijami. A halicki
książę Daniel... Za to, że bojarzy chcieli pomagać Mongołom, rozgabił ich włości, odebrał
ziemię, a ich samych przywiązał do ogonów nie objędzonych koni... Podbite ziemie kipią,
jak woda w kotle... Bunt w Twerze, niezadowolenie wśród Bułgarów koczujących nad
brzegami Itilu pod przywództwem Bojana i Dżeku... Dziesięć tysięcy mongolskich
wojowników złożyło głowy tłumiąc bunt w Bucharze. Nie pamiętasz tego, bo nie było cię
jeszcze na świecie, ale zdarzyło się nawet, że moi wojownicy musieli się wycofać, gdyż nie
zdołali podporządkować

40

I

sobie kaukaskich Iczginów i Czerkiesów... W trudnym czasie pozostawiam was, moje dzieci,
abyście rządili Złotą Ordą. Silna jest Orda i wielka, ale nie ma spokoju w jej granicach. Jej

władcy potrzebny jest bystry rozum i żelazna ręka... Powiedz teraz, czy mogłem postąpić inaczej, znalazłszy się w otoczeniu wrogów? Tylko ja sam i najwierniejsi nojonowie rozumieli że nie zdołamy utrzymać podbitych ziem. Wróg był wszędzie. Nawet kobiety stawały się wojownikami i szły bez lęku na śmierć. Wydawało się, że Madziarowie zostali rozgromieni, ich miasta spalone, a pola stratowane, ale ci, którym udało się unieść głowę spod mongolskiego miecza — wojowie, rzemieślnicy, oracze — jakby utracili rozum i przestali cenić życie. Wyłaniali się z leśnych gąszczy jak zjawy, dokonywali zemsty i znikali bez śladu. Wiele zła przyniósł nam oddział dowodzony przez dziewicę imieniem Lanka. Mongołowie nazywali ją Piękną Kurałaj. To było pod miastem Csernhazy. Do walki z tym oddziałem posłałem swego najlepszego nojona Subedej-baatura. Znałeś Subedeja, chytrego i mądrego jak lis, odważnego i żądnego krwi jak tygrys. Jego tumeny otoczyły wojowników Lanki, a ona sama, żeby nie dostać się w nasze ręce, rzuciła się na mongolskie włócznie. Sube-dej-baatur przywiózł mi jej głowę piękną nawet po śmierci. Pomyślałem wówczas, że taka kobieta mogłaby urodzić bohatera nie znającego lęku, ale wojna jest wojną, a wróg wrogiem... Pewni ludzie donosili mi, że oceniwszy potęgę Złotej Ordy podbite państwa i ci, których jeszcze nie dosięgnął mongolski miecz, zaczęli się jednoczyć do walki z nami. Teraz rozumiesz, dlaczego skorzystawszy ze śmierci Ugedeja zawróciłem swoje tumeny?

— Tak — odparł Ułakcz. — Ale zapomniałeś, wielki chanie, udzielić mi drugiego przykazania. — • Nie — wyprowadził go z błędu Batu-chan. —

41

Ten który zasiada na tronie Złotej Ordy aż do ostat

ISoThLnia musi pamiętać c, wszy^ ^

Ułakcz zauważył, że ojcieme odryw &d,,

szybującego orła a w jego o ^^^ zachwy-

chodzącej śmierci, zapalają się czasem

tu nad królewskim lotem ptaka. ^ d gw0Je

_ Teraz _ powiedział Batu te' ci juz

drugie przykazanie Pamięta w^ ^ ^

o kipczackim przysłowiu, które gtos . wyhodo-

mądry, kto zdobył bydło ^Xo1IU 2 — Wał. Tak samo mądry jest шв^, zmusił go

ga i .wyciął go -^*2^ГІІІ PO^Y M°-d0 posłuszeństwa i zęcznie > wrog winien

„ drugie przykazanie brzm,^L» do końca, stać się twoim narodem Uczygo .

omal

W Ułakczim zbudziła się nagie» niLpytał ojca, dlaczego sam -^ £ chan nie teraz mówi, ale

zmilczał,°° sP°^r g^ q czym

powiedział jeszcze wszystkiego. Batu g

MIUcŁ zapytać _ powiedział -«sam£

nie postąpiłem? Otóż roWle^^^ mógł głem. Podbiłem niezliczone z шe^ y ^ ^

tego dokonać mo] ojciec Dzućci z ty Czyngis-

camii mongolskich w^^ w0J0Uy -chan? W moich wyprawach bran ^^

, Karakorum, ale tylko z mmi samymi^ gy^ ^

rzyłbym Złote3 OrdJb.f.;heZnarodów w swoją własną przekształcić siłę podbitych TM*°TM

. w chorez-

siłą. Udało mi się to wM=n^ ^ «

mie, i na stepie Def--fj^lównlż stali się moimi nych, mniej licznych, TMr0^[TM się cała złota

Or-wojownikami. Dziś na nich^ opiera s e ^ ^

da. Dałem im swoich nojonow, a om P

Mongołów. +Q,pmv sie podobni do nich?

— A może to my stajemy się p

Wszak bardzo daleko odeszliśmy od ziemi przodków... — Może... — przytaknął w zadumie Batu-chan. — Głębina wciąga... Oni są liczni... Ale panami Złotej Ordy pozostaniemy my, Mongołowie, i nasza ręka wciąż jeszcze mocno dzierży uzdę. Dopóki tak będzie, dobrocią lub strachem zawsze poprowadzimy ich tam, dokąd zechcemy. Dla zwycięstwa niezbędna jest siła i broń, a do rządzenia — chytrość i biegłość. Wszak nie na darmo powiadają Kipczaczy, że łagodnym słowem nawet zmięć da się wywabić z nory, a krzykiem nawet mużułmanina można zmusić do wyrzeczenia się swojej wiary. Naucz się przemoc upiększać łagodnością, a wówczas podbity kraj stanie się posłuszny tak samo, jak wzięta gwałtem kobieta zostaje twoją żoną. Trzecie moje przykazanie wynika z drugiego. Ułakczy pochylił głowę.

— Słucham cię, wielki chanie...

— Zanim Mongołowie wyruszyli na Rusów, ponieśli wojnę do Ibir-Sybiru, Północnych Chin i Azji Środkowej, na kipczańskie stepy i na Kaukaz. Od chwili swego stworzenia świat nie widział takiego okrucieństwa, jakie wielki Czyngis-chan przejawiał wobec napotykanym po drodze narodów. Jego dzielni wojownicy nie oszczędzali nikogo, bo za wrogów uważali wszystkich: kobiety, starców i dzieci. Żadne żywe stworzenie nie zaznało litości. Mój dziad był okrutny, ale gdyby nie to, pewnie nie zdołałby zjednoczyć niezliczonych mongolskich plemion rozsianych na ogromnych przestrzeniach stepów i gór, wyplenić panującej między nimi odwiecznej wrogości i przekształcić ich w jeden naród — wszechmocny i wolny. Potomkowie mgdy nie zapomną tego, czego dokonał Czyngis-chan. * rY, jego wnukowie, chcieliśmy być we wszystkim podobni do wielkiego dziada i dlatego tak jak on niszczyliśmy, paliliśmy i zabijali. Wilczek musi robić to, czego nauczył się w zgrai.

Batu-chan zamilkł i bezsilnie zamknął oczy. Coraz trudniej było mu mówić. Trawiona chorobą piers u-nosiła się w krótkim, przerywanym oddechu. Wreszcie zdołał na tyle opanować słabość, że znów mógł wydawać z siebie głos:

— Zanim dam ci kolejne przykazanie, muszą powiedzieć wiele rzeczy. Zaczynam z daleka, dlatego że chcą, abyś poznał źródła mojej wiedzy. Mądre słowa tylko wówczas zapadają w serce, kiedy można je wesprzeć przykładami. Słuchaj zatem dalej. W roku zająca (1219) odważni nojonowie Czyngis-chana Dżebe i Su-bedej, utopiwszy Azerbejdżan i Gruzję we krwi, o-świetliwszy niebo tych krajów ogniem pożarów przedostali się przez górskie wąwozy na step leżący u stóp Kaukazu. Tam drogą mongolskim tumenom przegrodziły plemiona Alanów i Kipczaków. Wtedy Dżebe i Subedej uciekli się do podstępu. Wysłali do Kipczaków posłów, którym rozkazali powiedzieć: „Jesteśmy tej samej krwi. I Mongołowie, i wy jesteście koczownikami. Odstąpcie Alanów, a nie ruszymy was”. Kip-czaczy uwierzyli i zdradzili Alanów. Naszą tumeny zmiotły wojsko Alanów z powierzchni ziemi, a potem dopadły Kipczaków i urządziły im krwawą łaźnię. Droga na urodzajne stepy Deszt-i-Kipczak leżała otworem. To właśnie o tych ziemiach powiedział mój ojciec Dżuczi:

„Powietrze tu pachnie, woda jest słodka jak miód, a w soczystych trawach najwyższy koń kryje się z głową. Ścigając rozproszone oddziały Kipczaków, Mongołowie na południowych granicach stepu po raz pierwszy zetknęli się z Rusami. W tym czasie Rusowie i Kipczaczy żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni. Koczownicy nieraz brali za żony ruskie dziewice, a ruscy kniaziowie żenili się z córkami Kipczaków. Drżący ze strachu chan Kotian posłał do swego zięcia, halickiego księcia Mściśława, pewnego człowieka ze słowami: „Dziś Mongołowie odebrali nam nasze stepy, a iu-

tro podbiją wasze miasta”. Kotian prosił Mściśława o pomoc. W Kermen-kiwe zebrali się na naradę wojenną ruscy książęta, którzy nie znali nas, nie znali naszej siły- Książęta wysłuchali prośby Kotiana i postanowili ruszyć nam naprzeciw, ale zanim zebrali swoje wojska, chytry

Subedej znał już plany Rusów. I wówczas zdecydował się postąpić tak, jak uczynił w przeddzień pierwszej bitwy. Posłał do książąt gońca: Zamierzamy bić się nie z wami, powiedział ów goniec, tylko z Kipczakami, którzy nieraz napadali na wasze ziemie. To są i wasi, i nasi wrogowie, więc nie przeszkadzajcie nam w zemście nad nimi". Ruscy książęta nie dali się jednak złapać na ten podstęp. Ich drużyny w pobliżu wyspy Kortuk przeprowiły się przez Dniepr i połączyły z Kipczakami. Pierwsza bitwa była pozornie dla Mongołów niepomyślna. Dżebe i Subedej ustąpili pola. Rusowie i Kipczacy rzucili się w pogoń, ale niezmordowana mongolska konnica z łatwością im uszła. Na ósmy dzień Subedej i Dżebe zatrzymali swe tumeny nad brzegami Kałki. Tam właśnie rozgorzała bitwa, która przeszła - do legendy. Wojownicy wielkiego Czyngis-chana zwyciężyli, gdyż wiedzieli, że nie mają się gdzie cofać, bo za nimi leżą splądrowane ziemie nieprzyjacznych narodów. Poza tym było nas wielu i byliśmy silni, zaś w ruskich wojskach nie ucichały swary między książętami, a kipczaccy wojownicy pamiętali jeszcze rzeź, jaką urządzili im Mongołowie. Chan Kotian z resztkami wojska uciekł na ziemie Madziarów. Spośród ruskich drużyn tylko jeden woj na dziesięciu wrócił do swojego księstwa. Jedno tylko miasto Kermen-kiwe straciło w tej bitwie dziesięć tysięcy mężów. Pijani zwycięstwem Dżebe i Subedej pchnęli swoje tumeny na Itilskich Bułgarów, którzy jednak unikali bezpośredniego starcia, woląc zasadzki i lotne potyczki. Znużone nie kończącymi się walkami mongolskie wojsko zmuszone by-

45

glach, lecz wejść - nie dop.r. wo=, bj ^ ostygna. Wcześniej 3eszcz DZuczi op ^ Te.
warannahru i wschodnią część kipczac* ^^
raz już cały Deszt-i-Kipczak należa* hana
Dziewięciobuńczukowy biały — C*g ^^ „a trwale zawisł u jego TMch°fTMTMiezieTMe uczynić
-chan był mądry i dlatego «P™*^^ na brze-na zawsze swoimi. Rozbił swoj ^J wybijając
gu rzeki Sarykengir i przestał ***^J bezli.
lipczaków. Drugi S^SSTSS Dtuczi na
tośnie wyrzynał podoite narody, n zwycięzo-
podobieństwo pijawki bezboleśn e ptf kre* *^_
nał z ziemią Otrar, Bucnarc zaczął
dzieli rzeki przelanej przez niegokrw, gQ
podziwiać swojego władce, uważa&cj błąd
i sprawiedliwego, oprowadzony P^t,pc naród stracił siły i ochotę, do walki, piYP
wielką ogłuszoną rybą W^^-Łf do* Mon-
miefi. Kipczacy coraz bardzie P Y
gołów. Kiedy ^^SS^Sa syna- *J sób postępuje Dz--- ^ zrozumia P ^.
przez siebie Pa-twa mongo^iego uw ^
najważniejszą i ^ miał ^o a ^^ J
zdaniem ten majestat umn^SZ*\ ^ pQ_
tegp, czego ^"IZ^I niedaWna * ЫТ*2Г!Ыѳ wzglądami upodobn,
46

się do nas, Mongołów... Po śmierci ojca „Ten, który wstrząsnął światem" podzielił należące do Dżuczego ziemie na dwie części. Połowę Chorezmu i cały Deszt- i Kipczak oddał mnie, a ogromny kraj Ibir-Sybir pokryty gęstymi lasami, z niezliczonymi jeziorami i rzekami stał się dziedziną mojego starszego brata Ordy. Z moją pomocą w dziesięć lat później brat ogłosił miasto Szangi-tara stolicą chańską i stworzył Błękitną Ordę, ja zaś wzniosłem niewyciężony sztandar Białej-
Dzień umierał. Słońce zbliżało się do skraju ziemi i błękitnawa mgiełka zasnuwała step. Złotem i krwią iskrzyły się fale wielkiego Itilu i w promieniach zachodzącego słońca gorzały złote dachy stolicy Ordy, Sara j u.
— Nasza Biała Orda przekształciła się w Złotą — przerwał milczenie Ułackzi.

Batu-chan skinał głową.

— Tak. Rusowie nazywają ją Złotą Orda. Tylko narody Wschodu, Kipczacy i Bułgarzy, wciąż jeszcze uważają ją za Białą. Mnie samemu podoba się bardziej druga nazwa... Kiedy ją słyszę, wydaje mi się, że na moje państwo pada odblask świętego dziewięciobuń-czukowego białego sztandaru wielkiego Czyngis-chana. To jest piękne... A tam, gdzie jest złoto, zawsze obok kryje się podstęp i zdrada. Tak było zawsze. Czasami lękam się nazywać swoją Ordę złotą, gdyż widzę za tym słowem wrogość i zło... I zgubę...

Ułaczi wiedział, że i mongolscy nojonowie, i prości wojownicy wierzą w złe duchy, wierzą w znaki i przecucia, ale nigdy nie przypuszczał, aby to mogło odnosić się do jego ojca, wielkiego Batu-chana, na którego twarzy nikt nigdy nie dostrzegł bodaj cienia wątpliwości czy strachu. A okazało się, że i on wierzy... W roku konia (1235) — zaczął ponownie chan — Mongołowie podporządkowali sobie cały Kaukaz, roz-

47

gromili itilskich Bułgarów, i rzucili na kolana ziemie Baszkirów i Mordwinów oraz zawładnęli dolnym biegiem Itilu i Dniepru. Na Wielkim Kurułtaju postanowiono pchnąć mongolskie tumeny dalej na zachód, na ziemie Rusów. Laszkarbaszym mianowano mnie. Kuruł-taj uchwalił, aby każda gałąź rodu Czyngis-chana wysłała na wyprawę po jednym synu i po dwóch wojowników z każdej podwładnej dziesiątki. Sto czterdzieści tysięcy wojowników zebrało się pod moim sztandarem. Spośród potomków Czyngis-chana przyłączyli się do mnie ze swoimi tumenami Orda, Gujuk, Buri, Bajdar, Kadan i Kajdu. Dokładnie w rok po naradzie wyruszyliśmy w pochód, a po dalszym roku wkroczyliśmy na ziemie Rusów...

Batu-chan zamyślił się, wpatrując się w obrazy przeszłości przesuujące mu się przed oczyma, które tak go pochłoneły, że na chwilę zapomniał o siedzącym u jego stóp synu. — To były szczęśliwe dni — powiedział nagle głosem ochryłym ze wzruszenia. — Ziemie, których dotknęły kopyta naszych koni, stawały się słone qd łez zwycięzonych, a wiejące nad nimi wiatry pachniały krwią. Na początku pochodu rozdzieliłem swoje wojsko. Jedna jego część przepawiła się przez Itil i ruszyła w stronę Suzdału, druga pociągnęła na Rianzań, trzecia zaś miała zdobyć Księstwo Woroneskie.

W ciągu trzech lat opanowaliśmy południowe i wschodnie ziemie Rusów. W gruzach legły ich największe miasta: Kermen-kiwe, Rianzań, Włodzimierz, Woroneż, Suzdał, Czernihów... Niepokorny został tylko Nowogród i Psków. Lasy i bagna przegrodziły nam drogę do nich, nie pozwoliły przewieźć tam wielkich taranów. Nie odstąpiłem od myśli zdobycia tych ziem, ale przedtem postanowiłem dać wypocząć swoim tume-nom, bo zwycięstwo nie przyszło nam łatwo. Pozostał} nie zdobyte niektóre twierdze. Nie poddał się nam rów

48

niez Smoleńsk. Postąpiliśmy więc tak, jak uczył nas postępować w podobnych razach Czyngis-chan. Wyminęliśmy gród wiedząc, że i tak nadejdzie czas, kiedy miasto otoczone ze wszystkich stron stanie się nasze. W moim wojsku miałem starego niewolnika — Rumijczyka. Powiedziano mi później, że w tajemnicy prowadził zapiski z wyprawy. Posłuchaj zatem, co pisał ów Rumijczyk: „Jak serca mongolskich wojowników, dokonujących tylu morderstw, mogły to wszystko wytrzymać? Droga wojska była usiana trupami. Mongołowie palili świątynie i niszczyli wszystko, co żywe...”

Batu-chan roześmiał się cicho. Twarz mu się zmarszczyła, oczy skryły się pod ciężkimi powiekami.

— Jak serca mongolskich wojowników mogły to wszystko wytrzymać?... A czemuż by nie miały wytrzymać, skoro pragnęliśmy krwi i wiedzieliśmy, po co wkraczamy na obce ziemie? Droga wiodąca do zwycięstwa, choćby najokrutniejsza, zawsze jest drogą słuszną. Po co nam obce świątynie? Mamy własnych bogów i to oni pomagają nam

zwycięzać. Po co nam obce miasta, gdzie nie ma przestrzeni, a wysokie ściany i tak nie ratują ich mieszkańców przed zakusami zuchwałych i silnych? Wielki Czyngis-chan uczył, że wszystkie narody powinny żyć tak jak Mongołowie, bo nie ma lepszych obyczajów niż nasze. Ludzie, podobnie jak zwierzęta, powinni znać swobodę, żyć tak, jak nakazuje ziemia i niebo i słuchać tylko jednego człowieka, któremu los wyznaczył rolę ich władcy... Tak. Tak właśnie uczył wielki nasz dziad... Ale oto kiedy zakończyliśmy naszą wyprawę i przed powrotem do ojczyzny zebraliśmy się na wielką uroczystość, między

mną a Gujukiem zrodziła się wrogość. Ojciec jego, Ugedej, był wielkim chanem, ale on sam to człowiek pełen pychy i zawiści. Na uroczystości ja, jako dowódca całej wyprawy,

miałem pierwszy wnieść

4 ~" złota orda

49

czarę z winem. Wiedząc o tym dręczeni zawiścią Gu-iuk i Bui"i zaczęli mówić: „Czyż Batu może przed nami zabierać gł^os i Pić wino? Czy nie najwyższy już czas jego sai^{S0} * 3e^o brodate baby zwalić na ziemię i podeptać? Niechaj wiedzą, z kim mają do czynienia!" Po stronie tych dwóch opowiedział się również Argasun, syn Eldżigidej-nojona, wielce zasłużonego dla Czyngis--chana- Widzisz, synu, jacy są potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem"? Na wroga idziemy razem, ale kiedy przY3dzie dziehć sławą i zaszczyty, każdy myśli tylko o sobie i jest gotów zrobić wszystko dla osiągnięcia własnych korzyści. Postąpiłem mądrze i nie u-c n^{em} im nic złego. Potem ojcowie, Ugedej i Dża-oatai surowo ukarali Gujuka i Buriego. Dostało się też za swoje i Argasunowi. Ale... Niechaj oczy two-ie zawsze będą szeroko otwarte, synu... Opowiedziałem ci to JaKO nauce. na przyszłość, a teraz nie powiem już o nieb nic wiCce3> bo niektórzy z nich dawno opuścili ten świat, zabierając ze sobą i dobre, i złe...

Tym razem Batu-chan zamilkł na długo, a Ułakci nie odważył się zakłócić ciszy. Patrzył tylko na zapadłą twarz ojca i na jego oczy, śledzące nieustannie szybującego w przedwieczornym niebie orła.

д groźnemu chanowi przypomniał się nagle żeglarz wzięty do niewoli u brzegów Krymu i jego opowieść o dale^{cn} krajach. Starzec mówił, że jeśli na statku ktoś mi&l umrzeć, to rekiny-ludojady wyczuwały to i płyn^y za statkiem dopóty, dopóki nie doczekały się swej ofiary. Pojawiła się nagła myśl, że czarny orzeł dlatego tak długo nie przylatywał, bo był pewien, iż czaS Batu jeszcze się nie dopełnił, A dzisiaj... Czy nie dlate^o me odlatuje i nie napada, że dzisiaj własni nadeszła ta ostatnia godzina? Może ten złowieszcz; ptak, który zabrał mu syna, czuje zbliżającą się śmierć Serce boleśnie zakłuło. Nie! To niemożliwe! Tylko kruk żywi się padliną, a to przecież jest orzeł... A o-

50

rzeł uznaje tylko żywą zdobycz... Oby starczyło sił, kiedy się to wreszcie wydarzy...

Batu-chan westchnął głęboko i rozejrzał się dokoła. Przepiękna była otulona zmierzchem ziemia, a zasnutę mgiełką tajemnicze dale zdawały się zwać ku sobie.

Chan pomyślał, iż rzadko zauważał piękno ziemi. Wszędzie i wciąż pochłonięty był jedynie marzeniami o zwycięstwach nad wrogami, o podboju świata. Poza tym baczył zawsze, żeby czyjaś ręka nie targnęła się na jego tron...

Wreszcie Ułakci nie wytrzymał milczenia.

— Ojcze — powiedział — pomnożyłeś sławę Czyn-gis-chana. Zrobiłeś tyle dobrego...

Batu-chan drgnął i popatrzył na syna.

— Dobrego, powiadasz? A czy dobrze robiłem, zabijając ludzi i paląc miasta? Traktując z okrucieństwem tyle ziem i narodów?... — Chan umilkł i nagle w jego mętnych oczach zamigotał odblask płomieni. — Masz rację. To, czego dokonałem, to było dobre dzieło, uczynione na chwałę Nieba i chanatu stworzonego przez wielkiego dziada. Moje czyny rozsławiły go i wszystkich Mongołów na całym świecie. A skoro tak, to robiłem dobrze... Już

bardzo niewiele mam ci do powiedzenia. Słowa moje dobiegają końca, tak samo jak moje życie... Wkrótce twój brat Sartak zasiądzie na tronie Złotej Ordy... Na mój rozkaz zbratał się on z nowogrodzkim księciem Aleksandrem Newskim. Teraz jest on najsilniejszym z ruskich władców, bo przy całej swojej odwadze potrafi również widzieć to, co niedostępne jest innym. Niebo mu sprzyja, a inni słuchają. Zapytasz, czemu uczyniłem ich pobratymcami? Odpowiem ci na to. Po wyprawie na Rusów staliśmy się z Gujukiem wrogami, a kiedy on zasiadł na tronie ojca w Karakorum, zapragnął rozprawić się ze mną. Pod swoim dowództwem miał ponad sto tysięcy odważnych mongolskich wojowników... Wówczas zrozu-

51

tóifcmr sie między młotem a kowadłem, mi^em, że, *jata««y« ^ Y ^..^ którzy Zo-ni. mogą zbytnio uciskać^r ^ ^ spQSob_
M wprawdzie Pokonn^e y w ^
ną chwilę zęby napaść_ na << w podobnym
kBIy Dzebe i Subedej szU ^^^ k,
położeniu znalazł7apS;ą.arlv Nowogrodowi nasze tune-l jednej strony^zagra^J No g^ ^^
e_
ПУ' Z riSm Y PO^i narody ^^uj^ czowycb. ^iСШ'У7Я^ier2a li to samo uczynić z Rusami.
nad Bałtykiem i TMTM£TM Aleksander zadał im klęskę Zdarzyło sie. jednak: tak ze** ^^
rycerstwo
nad brzegami Newy, *****?£ κУзיעия Henryka Po-śląskie dowodzone przez^pol kiego
ę N.emcy
bożnego w bitwie pod Legnica, w w bitwie
Lów ruszyli na ^wogrod i Psko^^ _ pobi.
nad jeziorem Czudzkim z^eVowie Mieczowi stali ty nie przestaje Γ^^^iey musieli szukać u
granic Rusow i księżęta n ^ ^ My w
pomocy. Zawsze wyba^ J ^ ^ ruskie ksiQ
wydilataA^^^^aSnamł, Niemcy zas stwa i tylko °^0Z^IJch niew0mików. Ojciec M chcieli
zrobić z Rusow swoich m Gujuka
leksandra, księżę Jarosław udш ^ .^f Д
w Karakorum, licząc- WJP^^ z poduSz-Gujuk nie odznaczał się daleko
ksią_
czenia jednego z b°jarow natez*cy ^^^
ZQcej Toregene-katun, wdowa po ug j ie
4 J Γ „, лтячпир wówczas jego awdj ^j
otruć Jarosława. Wlasm» do Ordy Te,,
^^ГрСГ^«^°- -powiedria!
Ulatoi » dezaprobat, w ^ pomagając.
_ cóż to jest ".ara? To U» ^ Jeśli sp0.
й^^^^-дацировшоуи

52

tęgę chanatu, przyjmij tę, która będzie rin +0 najlepsza. Nasz wielki dziad był Ша1^°
^ë° Celu „Nie wiem, kto jest większy, Allah czy Bo/ΓTM?^ jan. Ale jeśli są rzeczywiście
wielcy, to ZeŻrZe7~ mi pomagają". Ja też nie mam nic przeciwko 1^ J
Sartak został chrześcijaninem a 17Z ^^ Ze
Γ Niechaj Γ będi. Об^^^!^ Te wiary bardzo się od siebie różnią i iЛЙ g
staną się zbyt gorącymi ich wyzZcamff " po^co je przyjęh, to mogą stać się wrogami, «"Sj
- Uważasz, ojcze, że tak może się stać?
z niepokojem Ułakdzi. * taC? ~ ZaWtai
— Tak. Ale nie powinno. Religia TMЯ w ли

tylko czymś takim jak wezyr III Sartak. Tak będzie jeśli Niehndą będzie Mongkego, którego nie bez nasza Wa *YCIno na białym wojłoku ^SZT^Sj^t jedno, a rządzenie, to coś zenb i °ean™ tron to Czyngis-chan, przy'stęPuJΓ'e T^ś^ Γ rzył w trzy rzeczy.

Po pierwsze ΠI ' €" zdołają ^ed^/setkiZZid h^o ΠE Γ" je, na które rzuci swoje turnpnf -I ' * kra" sobą nie porozumieją To wSr^zT^ * " ^ świecie wojowników silniejsi • OL"6 ^ M tym Mongołowie i że ani IPI - odwazniejszych niż ^wstawić. I p^ctwrzL^L^ * IΓ słońcem władcy mądrzejszej* ΠI€ m" P°d ««Y Pozostali s 'tylko prochem n ^ T * * ^Y" jak dalece Czwi IΓ Jeg° StÓp' Nie *iera,

^sto był^Wr?"f "iBT^ " SW°Je Sł°Wa- b° łnie do innych at/,P°Wy * Przem*wał wy-w* nie toΓ^c Γ 1S I Prz^«ele, i wrogo-

Powadzenia wojen tak ak nIT" , Umie^tności^ wojen tak, jak nikt przed nim nie ro- 53

bił, inni natomiast żelazną dyscypliną panującą w wojskach Czyngis-chana. Pewnie mają słuszość. Bo czyż inaczej Mongołowie mogliby pokonać mężnych i przewyższających ich liczebnie Rusów i Gruzinów? Długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że odnosiliśmy świetne zwycięstwa dlatego, iż kraje, na które skierował swój groźny miecz Czyngis-chan, nie przygotowały się do wojny z nami. Byliśmy młodzi, a Niebo zesłało nam człowieka, który potrafił zewrzeć wszystkie plemiona mongolskie w jedną pięść. Wskazał im cel i przekształcił okrucieństwo w główną zaletę wojownika. A państwa, na które padł wzrok Czyngis-chana, powstały dawno i było w nich wielu ludzi żądnych władzy, ale nie umiających rządzić. Ich spory prowadziły do waśni i bratobójczych walk. Tak to już jest na świecie, że nowe państwo zawsze podob- j ne jest do młodego zaczepnego tygrysa, stare zaś przy- j pomina sędziwego lwa, myślącego tylko o tym, w jaki I sposób uratować własną skórę.

— Czy nie przeceniasz, ojczu, odwagi Rusów i Gru- j zinów?

*»

— Nie — odparł zdecydowanie Batu-chan. — Życie I nauczyło mnie szanować wroga, jeśli rzeczywiście na I to zasługuje. Nigdy nie mówiłem o tym głośno, ale I zawsze pamiętałem, że odwaga jest godna szacunku. I Jeśli twój wróg jest tchórzliwy, to jakaż jest wartość I twojego zwycięstwa, jaką sławę przyniesie ci wytrze- l bienie umykających zajęcy? Mongołowie byli zawsze! najokrutniejsi na ziemiach, których mieszkańcy woleli] śmierć od niewoli. Dla swej potęgi i przyszłego bez- J pieczeństwa nie mogliśmy ich oszczędzać. Ty, synuJ musisz znać przeszłość i prawdę o wszystkich naszych podbojach. Im wyższe drzewo, tym głębiej sięgają jeł go korzenie. Musisz troszczyć się o przyszłą potęgę? Złotej Ordy i w tym celu powinienes przeniknąć isWJ tę przeszłości. Ten, który zamachnie się batem, moż*

54

w przyszłości otrzymać cios maczugi. Pamiętaj o tym... Tak, powtarzam, Rusowie i Gruzini byli odważnymi ludźmi. To samo powiem ci o Kipczakach. A jednak zwyciężyliśmy ich wszystkich, gdyż męstwu można przeciwstawić spryt, podstęp i brak skrupułów. Męstwo jedynie wówczas staje się siłą, kiedy kieruje nim wprawna ręka. Opowiem ci o Gruzinach... Jeszcze na długo przed tym, zanim Niebo dało naszemu wielkiemu dziadowi siłę do zjednoczenia Mongołów, naród ten miał swoje państwo i potężne wojsko. Na sto lat

przed nadejściem tumenów Dżagataja sławny król tego narodu, Dawid, zwany Budowniczym, wznosił miasta, pałace i świątynie. Był żonaty z córką wielkiego chana Kipczaków, Konczaka, imieniem Turan--Tochtar. Konczak dał swemu królewskiemu zięciowi cztery tumeny nieustraszonej kipczackiej konnicy i Dawid, połączywszy je ze swoją drużyną, zadał klęskę Seldżukom nieustannie napadającym na jego ziemie. Na granicy z Turkami zbudował Dawid twierdzę War-zia. U wejścia do niej, na skale malarze namalowali barwny wizerunek jego syna Gieorgija i wnuczki, królowej Tamary. Mongolscy wojownicy, bywający tam w czasach mojej młodości, kiedy jeszcze nie chodziłem na wyprawy, opowiadali że ich twarze i stroje bardzo przypominały kipczackie. Nie wiem, czy to prawda, ale tak opowiadali mi wojownicy. Po co ci to mówię? Po to, żebyś wiedział, że zamierzając podbić te ziemie najpierw postaraliśmy się rozbić sojusz Kipczaków z Gruzinami. I dokładnie tak samo przeszkodziliśmy w zjednoczeniu się ruskich książąt. Na tym polegała nasza wielka mądrość. Czyngis uczył podbijać obce ziemie po jednej, nie bojąc się oszukiwać, obiecywać skłócać ze sobą inne narody. Dla osiągnięcia zwycięstwa każda droga jest dobra... Nadeszła pora, abym a* ci trzecie przykazanie. Wysłuchaj go i zapamiętaj. 1 Ono: „Zanim wyruszysz na wyprawę, dowiedz się

55

wszystkiego o sile i potędze narodu, nad głową którego zamierzasz wznieść swój miecz. I jeśli przekonasz się, że jeszcze nie nadszedł czas i nie zdołasz go pokonać, oszukaj, zaprzyjaźń się z tym narodem, ale nie zapominaj, że to twój wróg".

— To znaczy... — Ułakczy popatrzył niepewnie na ojca. — To znaczy, że i księcia Aleksandra Newskiego tylko z tego powodu uczyniłeś pobratymcem Sartaka? Oczy Batu-chana zamieniły się w szparki. — Tak. Na razie nie ruszyliśmy ani Nowogrodu, ani Pskowa... Jeszcze nie pora... Wiem, że książę Aleksander jest naszym wrogiem, ale pamiętam, że wszystkie środki są dobre, kiedy pragnie się osiągnąć wytyczony cel. Nie pozwól się zjednoczyć twoim wrogom, bądź czujny i przewidujący, synu. Kiedy dowiedziałem się, że Sartak zamierza się zbratać z Aleks- ! sandrem, nie przeciwstawiłem się temu. Aleksander Newski jest silnym władcą... Teraz związał się z Or-dą i dlatego pozostali książęta będą odnosić się do niego z wielką podejrzliwością, a niektórzy będą mu również zazdrościć i dlatego długo jeszcze nie osiągną

jedności.

— Ale przecież książę Aleksander nie jest głupi...

Batu znów zmrużył oczy, w których zapaliły się zimne iskry.

— A czyż mówiłem ci coś innego? Do zbratania się z nami zmusiła go nieodparta konieczność. Książę chce mieć pewność, że krzywa mongolska szabla nie spadnie na ziemie Nowogrodu i Pskowa, przynajmniej tak długo, zanim nie poczuje, że niebezpieczeństwo ze! strony niemieckich rycerzy przestało mu zagrażać. Sartak, być może, tego wszystkiego nie rozumie, ale; Aleksander patrzy dalej swego nosa. Boimy się siebie nawzajem i dlatego przyjaźń między Or-dą a księciem przypomina przyjaźń wilka z rysiem, uchodzącymi wspólnie przed pożarem. Kiedy minie niebezpiecze»l

56

stwo, to niewiadomo jeszcze, który z nich pierwszy rzuci się wrogowi do gardła... Nie może być prawdziwej przyjaźni między zwycięzcą a zwyciężonym. Ru-sowie szukają naszego poparcia tylko dlatego, że nie mają teraz innego wyjścia. Inna rzecz, iż wśród książąt są i tacy, którzy dla własnej korzyści gotowi są zrobić wszystko... Zawsze nimi gardziłem, ale dla

dobra Ordy nigdy nie odtrącałem. Niechaj się ją zwadę i bunt, niechaj rozlewają krew, nie jest ważne, który z nich zwycięży. Jeszcze raz ci powtarzam: „Bądź czujny, gdy spoglądasz w stronę ruskich ziem i zawsze pamiętaj, że twój bojowy rumak stale musi stać osiodłany. Tam mieszkają ludzie, którzy nigdy nie staną się przyjaciółmi tych, co przynieśli im ogień i miecz”.

Batu-chan umilkł i przeciągnął po twarzy złożonymi dłońmi.

— Dałem ci trzy rady. Pierwsza bierze swój początek od naszego wielkiego przodka Czyngis-chana. Drugą kierował się twój dziad Dżuczi. Trzecia pochodzi ode mnie. Każdy z nas robił to, co czynić mu nakazywały jego czasy i dzięki temu sława Mongołów nie zbladła, lecz sięgnęła Nieba. A zatem postępowaliśmy słusznie.

Jeśli moje przykazania staną się dla was prawem, to wówczas namiot Złotej Ordy będzie stać wiecznie. Batu-chan wzrokiem pełnym nadziei popatrzył na syna, ale nie dojrzał jego oczu.

— Idź — powiedział cicho po chwili milczenia. — Idź. Powiedziałem ci wszystko, co mogłem powiedzieć. Skąd Batu mógł wiedzieć, że nic nie jest wieczne pod Odwiecznym Niebem? Żył tak, jak żył jego wielki dziad Czyngis-chan i potrafił myśleć tylko tak samo jak on. Cień przodka przesłaniał mu dale i dlatego podobny był do jeźdźca przemierzającego step w zmierzchu gasnącego dnia, kiedy dojrzeć i rozpoznać można jedynie to, co znajduje się o parę kroków.

57

Batu wierzył, że wieczny będzie step i wiecznie pozostaną posłuszni zwyciężeni. Nawet gdy już zasiadł na chańskim tronie, nadal nienawidził i gardził tym wszystkim, czego nienawidził i czym gardził prosty koczownik. Dlatego też nie mógł dojrzeć tego, co przyszłość zgotowała Złotej Ordzie. Wiedząc, że będzie musiał niebawem odejść z tego świata, Batu był przekonany, że zostawia potomkom w spadku mądrość, podczas gdy w rzeczywistości zostawiał im jedynie chytrość stepowego rozbójnika. Batu-chan wierzył, że wszystko będzie trwać bez zmiany, że inne narody będą orać ziemię, uprawiać zboże, tkać jedwabie, wydobywać żelazo i złoto, budować miasta i wsie, a jego potomkom sądzone będzie przychodzić na gotowe i z pomocą krzywej szabli zbierać obfite żniwo. Gardząc pokonanym narodem, Mongoł nie chciał wiedzieć, o czym on myśli. Ale kto mógł Batu-chanowi odkryć wielką tajemnicę człowieka, który w pocie czoła zdobywa swój chleb powszedni? Skąd mógł wiedzieć, że pochylając się nad pługiem i rozcierając w rękę ciężki kłos pszeniczny, ludzie myślą nie tylko o chlebie, ale i o tym, jak będą żyć dalej? Budując miasta i wrastając w ziemię człowiek tworzy swój dzień jutrzejszy, myśli o przyszłości swoich dzieci, a zatem i o przyszłości swojego narodu. I nastąpi wreszcie taki dzień, w którym koń koczownika zatrzyma się przed zdumiewającą przeszkodą, imię której brzmi dzieło rąk ludzkich, a której natury dosiadający go jeździec już nie zdoła zrozumieć. Wtedy obejrzy się w zmieszaniu za siebie i zobaczy tam pusty, jak przed tysiącami lat, step, zbrunatniały od wiatrów i słońca przestwór z rzadkimi wysepkami nędznych jurt przypominających! worki bez dna, których przodkowie nie zdołali wypełnić bogactwami, gdyż wszystko, co tam zwozili, było obce i pachniało krwią.

Batu-chan był dumny ze swej Złotej Ordy i dlatei

58

go nie mógł dopuścić do siebie myśli, że to jego dziecię już w chwili swego poczęcia było skazane na zagładę Słońce dotknęło krawędzi ziemi. Pora już być wyższą, aby Batu-chan powrócił do obozu a

orzeł odleciał do gniazda na nocleg. Obai ipH^i/23"1^

, , - r\ a_ • ii i , WUdj jeanak na cos

czekali. Oświetlony zachodzącym słońcem ubrany na czerwono chan wyglądał jak zboczony krwią Siedział na szczycie kurhanu z głową wciśniętą w ramiona i zdawał się

spać. Orzeł majestatycznie szybował w niebie i za każdym kręgiem coraz niżej opadał ku ziemi. Batu nie widział lotu ptaka, ale jego ciało w przeczuciu walki prężyło się i drżało. Gotów był stanąć do swojej ostatniej bitwy, ale nagle ogarnęło go uczucie podobne do strachu. Nigdy mu się nic podobnego nie zdarzyło, nigdy, choć tyle razy prowadził swoje tumeny do walki i czuł bliskość śmierci nie był *ak przerażony. I tylko nieprzeparta żądza zemsty sprawiła że zdołał wziąć się w garść. Pobłogosławił w myślach Niebo za to, że umrze nie na posłaniu, lecz z szablą w reku, jak przystoi mongolskiemu wojownikowi. Nagle czarny, szeroko rozpostarty cień przemknął nad ziemią i gwałtowny poryw wiatru uderzył chana w twarz. Batu poderwał głowę i zobaczył pstre podbrzusze orła, jego podkurczone łapy, połyskującymi

alą szponami, a na jednej z nich złotą blaszkę na jedwabnym sznurze. To był jego własny orzeł, którego sam kiedyś oswo-

i jeszcze dwa lata temu polował z nim na wilki

iiabS-" ym WZr°k!em Śl6dził Chan czame§° Ptaka
ocZamTlqCeg° WyS°k0ŚCi d° n°Weg0 ataku> a I™* zam jego duszy stanął
niezmierzony, pokryty pierw-

-VIII śniegiem step i dalekie góry z ciemnymi ™-

dowlTT RUmak Pęd"l gal°pem' w twarz bił lo-zawL ^ " Pła łęU Si0dła w Grzanym
kapturze ^ywającym oczy siedział ten sam orzeł

atu-chan wspominał, jak naganiacze wypłoszyli sta-
59

rego wilka, a on, zerwawszy kaptur z głowy swego ulubionego łownego ptaka, podrzucił go w błękitne niczym jedwab niebo. Jeden z nukerów towarzyszących. z dala chanowi uderzył parokroć w skórzany bęben. Potem był wiatr bijący w twarz i radość szalonej pogoni.

Orzeł wziął wilka, ale kiedy Batu-chan zeskoczył z konia i podbiegł do powalonego zwierza, żeby wbić mu kindżał w serce, było już za późno. Ptak rozerwał już pierś wilka i wydarł mu serce.

Batu wpadł we wściekłość, bo orzeł nie miał prawa wyprzedzić swego pana. Nie panując nad sobą chan zamachnął się knutem...

Na resztę życia zapamiętał zimne, nieruchome oczy ptaka, ogromne, rozpostarte na śniegu czarne skrzydła i dymiącą na mrozie rozdartą pierś zwierza. Orzeł wydał przenikliwy krzyk i poderwał się w niebo, aby nigdy już nie wrócić do swego pana.

— Nie ma gorszego wroga niż przyjaciel, który cię znienawidził — wyszeptał chan. Zdążył jeszcze pomyśleć, że nie powie już synowi tego, czego nauczyła, „go ta chwila olśnienia:

„Bądź przyjacielem przyjacielowi i wrogiem wrogowi, nie krzywdź przyjaciela, nie przyjaźń się z wrogiem...” Orzeł złożył skrzydła i runął kamieniem v/ dół.

Batu-chan zdążył dobyć miecza... Orzeł z odrąbanym skrzydłem zwałił się na ziemię. Chan postąpił krok ku niemu i zobaczył bezlitosne, pełne nieujarzmionej wściekłości, nalane krwią oczy ptaka...

Uniósł ponownie miecz, żeby wbić go w pierś przyjaciela, który stał się jego wrogiem, żeby po raz ostat- • ni odczuć rozkosz zemsty, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa, niebo zalane krwią zachodu zbliżyło się a nieznana siła powaliła bez litości wielkiego Batu-"
-chana na ziemię...

Następnego rana o świcie wielki Batu-chan odszedł
60

z tego świata nie odzyskując przytomności. Łzy smutku i żalu zalewały oczy odważnych nojonów i prostych wojowników.

Potomkowie Czyngis-chana, bez względu na wyznawaną wiarę, święcie przestrzegali mongolskich obyczajów. Chan, gdziekolwiek by go dosięgła śmierć, musiał być pochowany

Kipczacy szeptali między sobą, że widocznie nad ich chanem ciąży przekleństwo. Jakże zresztą może być inaczej, skoro dwie jego żony są buddystkami, trzy muzułmankami, on zaś sam jest chrześcijaninem. Jak mogą wyżyć dzieci, kiedy ich rodzice oddają cześć różnym bogom? Wszak od dawna wiadomo, że jeśli zaczną parzyć się wielbłądy, to zginie zaplątana między nie mucha, a jeśli o duszę niemowlęcia zaczną wadzić się dwaj bogowie, to w końcu umrze dziecko, przekłete przez jednego z nich.

Te słuchy dotarły do uszu Sartaka i wówczas postanowił wziąć sobie siódmą żonę, tym razem chrześcijankę. Właśnie wtedy, chyba po raz pierwszy, zetknął się z ograniczeniami, jakie nakłada na człowieka ta wiara.

Podczas któregoś pobytu w Nowogrodzie spotkał szesnastoletnią dziewczicę Nataszę z możnego ruskiego rodu. Białolica, smukła dziewczyna z długim jasnym warkoczem i błękitnymi oczami od razu podbiła serce chana. Jej rodzice, choć bez wielkiego zapału, ale jednak zgodzili się oddać mu ją za żonę. Kto zresztą odważyłby się odmówić synowi wielkiego Batu-chana?

Ale wtedy do sprawy wtrącił się kościół. Sartak i

63

Natasza musieli zawrzeć ślub wedle chrześcijańskiego obrządku. Metropolita nowogrodzki Daniel powiedział: „Synu wielkiego Batu-chana, radzi jesteśmy z twojego zamiaru. Jesteś drogi nam, władco Złotej Ordy, ale jeszcze droższa nam jest chrześcijańska wiara. Nasze prawa stanowią, że wyznawca Chrystusa może mieć tylko jedną żonę. I jeśli miła ci jest dziewczica Natalia, i jeśli chcesz ją sobie wziąć, to musisz oddalić swoje dawne żony. Dopiero wówczas złączą was węzłem małżeńskim”.

Sartak chciał metropolitę skłonić do zmiany zdania prośbą i groźbą, ale ten był nieugięty. Ofiarował Danielowi bezcenną sobolową szubę, podarował rumaka ze srebrnym rzędem, obsypał złotymi monetami, ale nie złamał jego oporu.

Metropolita przyjął podarunki ze słowami: „Niechaj wszystko to, co mi dałeś, stanie się twą ofiarą na świętą cerkiew, ale Bóg mnie pokarze, jeśli dam ci ślub wcześniej, niż rozstaniesz się ze swoimi dotychczasowymi żonami”.

Młodemu chanowi zabrakło hartu ducha, aby postąpić tak, jak tego żądał metropolita. Sartak był wprawdzie wszechmocny, ale nie chcąc burzyć jedności Złotej Ordy, obawiając się zemsty ze strony krewnych swoich żon, postanowił jednak zagrać na zwłokę.

Rozsądek, zda się, zwyciężył, ale rozpalona raz namiętność do ruskiej dziewczicy nie pozwalała mu spać spokojnie. Nie wiedząc, co czynić dalej, jak postąpić, zwrócił się pewnego razu do Rumijczyka Kojaka, który służył w jego stolicy.

— Powiedz — poprosił Sartak — czy święci, którzy stworzyli chrześcijańską wiarę, całe swoje życie spędzali z jedną tylko kobietą?

Kojak domyślił się z łatwością, o co chodzi chano wi, i kryjąc uśmiech odparł z całkowitą powagą: — Tak. Święci dokładnie przestrzegali prawa. Pc

64

za tym żadnemu wyznawcy wiary chrześcijańskiej nie wolno było brać nowej żony, dopóki dawna żyła lub nie była z nim rozwiedziona. Ale ci, którym Bóg dał władzę królewską nad ludźmi... Czyżbyś nie słyszał chanie o sporze, który wynikł między imamem Nu-reddinem Chorezmim a prawosławnymi kapłanami?

Sartak potrząsnął głową.

— Do tego sporu doszło w pałacu chana Gujuka

w tym akurat czasie, kiedy postanowił on wystąpić przeciwko twojemu ojcu, wielkiemu Batu-chanowi.

— Słucham cię, Rumijczyku.

Setnik nie ruszył się z miejsca.

— O, mój panie...

Dopiero teraz chan spostrzegł obcego.

— Słucham cię...

Setnik chwycił mężczyznę za kark i rzucił go przed Sartakiem na kolana. Na twarzy miał wyraz pokory i przerażenia.

— Kto to?

— Człowiek, który uciekł od Berke-chana. Odchodząc z tego świata, Batu, wedle zwyczaju

wprowadzonego przez Czyngis-chana, oddał wiele ze swych ziem we władanie swoim krewniakom, którzy razem z nim chodzili na wyprawy. Samodzielnie zarządzili oni swoimi ułusami, ale jednocześnie podlegali chanowi Złotej Ordy. Zgodnie z tradycją nazywano ich władcami ułusów, lecz gdy Hulagu podbił Iran i Irak, zaczęto nazywać ich emirami. Jedynie plemiona tureckie nadal mieniły ich chanami.

Takim właśnie chanem był młodszy brat Sartaka, Berke. Jego stolica mieściła się na wyżynie Aktiube, na brzegu Itilu, opodal miasteczka Sarykum.

Surowe zimy zmusiły Berkego do zbudowania nie-

67

wielkiego pałacu. Za jego ^{^^} £^№Γ Na którzy wznosili domy z drewna i Y
głów_

Aktiube powstało miasteczko, ktor^J ną stolicę Ordy, zaczęto na^c > ^.^ Batu.

Berke miał silne wojsko i dla* eczfowieka w Złotej -chana uważano go za pierwszeg
Ordzie.

zaoytał groźnie Sartak. —

_ - Dlaczego uciekłeś? — zapy Kim jesteś i jak się nazywasz- gkwapliwie wOJOw-

_ - Jestem Sary-Buga -■ odp Bargutów. Mój

nik. __ Pochodzę » ^eS^ikiem straży osobistej ojciec Jesu-Buga był zwier.cftn

biłem obo-

Jeulęktęgo Subedej-baatura Ja P

wiązki sulgiczi przy chanie ьe ^ przerwał mu

- Nie Pot-ebujemy mewol ^ ^ niecierpliwie Sartak. — ^°wld

Wojownik pochylił g^, Dżucziego, jest moim

_ Berke-chan, syn wielkieg ^^ ^ posłu_

władcą, a ja jego -^°f^łmaninem, ja zaś chrze-szeństwo... Ale on 3est *"łū tak
wpłynęła na

ścijaninem... Widocznie Jego bardziej

niego, że z każdym dmem^^ ^ ^^ # krwiożerczy i ok~ta^ z 3 Jem wytrzymać, a
zwła-Allaha, a z rąk krew. JNie mus szcza tego, co ostatnio uczynił-

— Co uczynił? j proroka

_ Tydzień temu, P-fUfonaS ^dziewicę z No-Mahometa, wziął za czwartą zonę i u
wogrodu... Sartaka:

Złe przeczudescisn serce ^wc __ zapytał

— Jak na imię miaia i<*

gł0Śn°" „ n.vł z wys№^ czoło.

Wojownik zmarszczył z wy ^ i

~ Na-ta-iiii... - -^;ie zaUważając jego stanu Chan zbladł, a wojowmK ciągnął dalej:

68

_ przywieźli ją do pałacu. Berke rozkazał siec ją wierzbowymi witkami i siłą nakłonił do
przyjęcia islamu. Dziewica tak krzyczała, tak płakała... Nie mogłem znieść gwałtów, które
dokonują mużułmanie i u-ciekłem...

__ Wyprowadzić go! — krzyknął Sartak do setnika.

... precz z moich oczu!...

Od tego dnia Sartak, który i przedtem nie lubił Ber-kego, znienawidził go i zaczął szukać sposobu zemsty nad kłamliwym i podstępny stryjem.

Już na przełomie siódmego i ósmego wieku na południu Mawarannharu i na stepie Deszt-i-Kipczak zaczęły powstawać ogniska islamu. W środkowoazjatyckich miastach w rodzaju Samarkandy i Bucharu ludność wyznawała różne religie, więc islam nie natknął się tam na poważne przeszkody. Dlatego niebawem stał się tam religią panującą, a muzułmanie zaczęli okrutnie prześladować wszelkich innowierców.

W trzynastym wieku, kiedy na ziemi Chorezmu i Deszt-i-Kipczaku przyszedł plemiona mongolskie, islam był już tam mocno zakorzeniony. Istniały jeszcze wprawdzie niewielkie gminy chrześcijańskie, ale dni ich już były policzone.

Inna rzecz, iż wzorem Czyngis-chana Mongołowie jednakowo traktowali wyznawców różnych religii. „Ten, który wstrząsnął światem” rozkazał przeciw w swoim czasie, aby kapłani wszystkich kultów byli zwolnieni od podatków.

Sami zaś Mongołowie, jeszcze na długo przedtem, zanim świat usłyszał imię groźnego Czyngis-chana, dość powszechnie wyznawali chrześcijaństwo i były całe rody, dla których była to jedyna religia. Wielu potomków Czyngis-chana brało sobie żony z tych rodów i ich dzieci wychowywały się w duchu chrześcijaństwa. Oto dlaczego chrześcijanie z Chorezmu i Deszt-i-Kipczaku znaleźli oparcie w Mongołach.

69

W okresie panowania karakorumskiego chana Gumka zrodzonego z kobiety pochodzącej z rodu Kere-iów i wychowywanej w chrześcijańskiej wierze, dotychczasowa przychylność dla niej zamieniła się w nieubłagane prześladowania muzułmanów. Gujuk rządził tylko dwa lata, ale to wystarczyło do zbudowania mocnego sojuszu chrześcijan z Azji Środkowej, Armenii i Gruzji-

Mongke, który zasiadł na chańskim tronie po Guju-ku nie wyróżniał żadnej religii. Za jego panowania muzułmanie i buddyści poczuli się bezpieczni. Móng-ke nie zwrócił też żadnej uwagi na to, że syn Batu--chana Sartak jest chrześcijaninem i bez wahania zgodził się na to, aby Sartak objął tron Złotej Ordy.

Zaślepi^ony nienawiścią do Berkego młody chan postanowił rozpocząć z nim walkę. W Samarkandzie było wielu chrześcijan, więc miał pewność, że współwyznawcy go p^oPr-- Miał dalekosiężne plany i marzył o tym, aby Samarkandę przekształcić z czasem w swoją stolicę główną opokę chrześcijaństwa.

Jednak muzułmanie też nie siedzieli z założonymi rekami- Szeregi ich wprawdzie wolno, ale nieustannie rosły. Na ziemiach Chorezmu i Mawarannahru coraz, szersze kręgi zataczała walka dwóch religii.

Nie tylko jednak południowe ziemie przyciągały uwagę młodego chana. Myśl jego coraz częściej powracała do ruskich ziem. Coraz częściej myślał o księstwach leżących na zachód i północ od Ordy...

Najazd Mongołów na Ruś był gorszy od morowej zarazy- Zginęło ludzi bez liku, miasta legły w gruzach orne pola pozarastały piołunem i lebindą, a nad ziemią, rozlegał się nieustanny jęk pędzonych w niewola-

Ruskie księstwa nie wchodziły w skład Złotej Ordy ale Mongołowie obłożyli je takimi daninami, że rósł nań się to powolnej śmierci. Księstwa nie miały czy

70

płacić, bo na stratowanych polach nic nie rosło Mongołowie zabrali bydło, a w bitwach polegli prawie wszyscy zdolni do pracy mężczyźni.

Nie było w owych latach ludzi bardziej bezlitosnych i krwiożerczych niż baskakowie, mongolscy poborcy danin, którzy nieśli ze sobą śmierć i zniszczenie. To o nich śpiewano na ruskich ziemiach przeciągłe, gorzkie pieśni:

Kto nie ma pieniędzy, Temu dzieci zabierze. Kto nie ma dzieci, Temu odbierze żonę. Kto nie ma żony, Tego samego weźmie.

Nie tylko jednak smutek i rozpacz wzbudzały mongolskie grabieże i gwałty. Rosła nienawiść i nieposłuszeństwo. Ludzie na Rusi zrozumieli, że nie ma innego sposobu na zachowanie życia i wiary poza walką. Złota Orda zbierała nie tylko daniny. To jej nie wystarczało. Nie było roku, żeby jej hordy nie napadały na poszczególne miasta i księstwa.

i Ledwie rzemieślnicy i kmiecie zdolają odbudować domostwa, ledwie się trochę zagospodarują, a już znowu płoną chaty, leje się krew i jęki rozlegają się nad umęczoną ziemią. Jedno tylko zostało wyjście, jedna droga — zwyciężyć lub zginąć.

Ale nie tylko Mongołowie czynili zakusy na ruską ziemię. Czekali na dogodną chwilę również Niemcy i Szwedzi, dla których włości Nowogrodu i Pskowa były łakomym kąskiem, gdyż właśnie tamtędy biegły drogi łączące Europę Północną z krajami Wschodu.

Coraz mocniej zaciskał się pierścień wokół księstw ruskich nie podbitych przez Orde. Prosić sąsiadów o pomoc nie było nawet po co, gdyż po najazdach mongolskich oni sami znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

71

W owym to właśnie czasie na tronie Złotej Ordy W owym « „~»w 7 teso ksiązę A-

zasiadł chan Sartak. Skorzysta * teg «PS

Aleksander Newski wysłał do ^^D^e mieH

poselstwo z bojarem Danielem nae^ ^ Sartaka q_

niełatwe zadanie: chodziło o uzy h tumenów

biętmcy, że Złota Orda nie pc* ^^ można

na północne miasta ruskie. Gd Y sąsiada skup..

byłoby me ^^^^incaini. Książ Aleksan-wszystkie siły do walk41wZoi^ie^ysłannikom, żeby

za der nakazał jeszcze —J zwolnie_

wszelką cenę uzyskali PrzeJSC*° którą te miasta

nie Nowogrodu i Pskowa z daniny,

płaciły Złotej Ordzie. nOWogrodzkie poselstwo

W połowie ^7"^^ o°r"yS Po wielodniowej r bogatymi darami do Złotej Y

zamieci lasy tonęły w smeg- ^^ ustąpiła

przekształciły się w ^^ Pokrywa śnieżna

miejsca trzaskającym mrozom Y ^^

stwardniała tak, ze_me ^mf t f^zez gońców między

ani zwierzę. +8c1€2ki_^^r€/y się lodową skorupą, ruskimi miastami a Ordą potoy Y D

zaśnie_

Z trwogą i niepokojem pab ^ P w udziale

żoną ziemię. »we^- g£ do ^ a p0_ i nie wiedzieli czy uda się im kg

tem uzyskać od mego zg^ Y do

Aleksander. I czy w ogóle zdo ^ P ^

ny? Cóż z tego, ze ta**5J L ruscy posłowie gi-Nieraz już się przecież^ zda za* ^P^

nęli w brodze 3^ ^ Z1de^niePwiadom0) co knują.

Tatarzy są podstępni i nigdy ^ w

Orda przywitała posłów z w»«= rtST daleko od stohcy, otoczyli Rusow tulenguci ze stra Y osobistej chana, którzy siekli batogami każdego, kto ośmielił się bodaj zbliżyć do poselskiej karawa-

PIY5ar chan wyszedł z pałacu Gulistan, aby powitać

możnego bojara. Na głowie miał puszystą czapkę z wydry, a na ramionach bezcenną bobrową szubę. Wyszedł do gości bez broni, wykazując w ten sposób wielki szacunek i zaufanie. U szerokiego złotego pasa miał tylko niewielki kindżał w złotej pochwie i z rękojeścią z kości słoniowej. Z nim chan nigdy się nie rozstawał.

Wśród przybyłych Sartak od razu rozpoznał księżęcego krewniaka. Daniel był wysoki i silnie zbudowany, a jego niebieskie oczy patrzyły przenikliwie i uważnie.

Chan bez pośpiechu zaczął zstępować po pałacowych schodach ku zbliżającym się jeźdźcom. Na jego widok posłowie szybko zeskoczyli z koni. Tulenguci sprawnie chwycili je za uzdy i odprowadzili do konowiązu.

Zbliżywszy się do chana posłowie, jak tego wymagał obyczaj, nisko się pokłonili.

Sartak przywitał się z Danielem wedle mongolskiego zwyczaju, przycisnąwszy go do swojej piersi.

— Rad jestem, że pomyślnie dojechałeś, bojarze — powiedział.

— Dzięki za dobre słowo, wielki chanie Złotej Ordy— odparł Daniel z pokłonem. —

Przybyliśmy z daleka, aby przekazać ci słowo twojego pobratymca, księcia Wielkiego Nowogrodu Aleksandra.

Sartak uśmiechnął się.

— Myślę, że słowo księcia nie jest aż tak krótkie, abym miał wysłuchać go pod gołym niebem. Wejdz, bądź moim gościem...

Chan ujął bojara pod ramię i w towarzystwie posłów i strażników skierował się ku pałacowi.

Sartak poczuł dziwny ucisk w głowie. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył wpatrzony w siebie pełne nienawiści oczy. W świetle bojara Daniela był mężczyzna, którego chan znał dobrze i od dawna. Nie mógł się mylić. Czas zdawał się oszczędzać tego człowieka —

73

wysokiego, żyłastego o twarzy pooranej głębokimi zmarszczkami, której nie można było zapomnieć. To był Swiatosław.

Chan przypomniał sobie dawne, zasnute mgiełką czasu wydarzenia. Właśnie wtedy zaczęło się to, co po upływie wielu lat znów zetknęło ze sobą tych dwóch ludzi. Owe dawne wydarzenia pozornie nie miały nic wspólnego ze Swiatosławem, a jednak...

Tego roku, kiedy hordy Czyngis-chana wtargnęły na kwitnące ziemie Chorezmu, naibem miasta Otrar był kadyrchan Ułancyk, przyrodni brat chorezmszacha Muhammeda. Otrar był groźną, dobrze umocnioną twierdzą, a naib miał pod swoim dowództwem dwadzieścia tysięcy wojowników.

Czyngis-chan uczynił tak jak zawsze, kiedy zamierzał napaść na silnego wroga: przed tumenami wysłał do miasta kupiecką karawanę. Ponad czterystu przebranych wojowników towarzyszyło muzułmańskim kupcom-spiegom.

Po bazarach Otraru zaczęły krążyć okropne wieści. Przyjezdni kupcy straszili ludzi nie znanymi im Mongołami, którzy wedle ich słów nie znają litości i już wyruszyli na ziemie Chorezmu, żeby zalać je krwią. Nie ma siły zdolnej się im przeciwstawić, szeptali kupcy i wojownicy.

Kadyrchan-naib szybko się domyślił, że przybyła do miasta karawana nie jest całkiem zwyczajna i na jego rozkaz wojownicy nocą wycięli w pień wszystkich szpiegów. Uciec udało się tylko jednemu.

Na wieść o tym Czyngis-chan wpadł we wściekłość i wysłał do chorezmszacha Muhammeda gońca z żądaniem, żeby przysłał do jego obozu naiba kadyrchana w łańcuchach na rękach i nogach.

Muhammed nie zdecydował się na wydanie krewniaka Moźni Chorezmu znużeni nie kończącymi się waśniami potępiłoby taki postępek, a ponadto sam ka-

dyrchan mający pod dowództwem liczne wojsko nie poddałby się bez walki. Wreszcie nie godziło się władcy karać poddanego za jego wierność.

Chorezmszach rozkazał zabić mongolskich posłów. W odpowiedzi na to Czyngis-chan poderwał swoje tu-meny. Synom, Dżagatajowi i Ugedejowi rozkazał zburzyć miasto Otrar, zaś Dżucziemu opanować miasta leżące w dolnym biegu Sajhunu.

Jesienią tego samego roku Mongołowie stanęli ood murami Otraru. Naib kadyrchan wiedział, że ani 'on ani wszyscy mieszkańcy miasta nie mogą oczekiwać litości zwycięzców i dlatego postanowił walczyć do końca.

Przez sześć miesięcy broniło się obleżone miasto i kto wie, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie zdrada. Pewnej nocy koczownicy pod dowództwem Karacza-baatura, przysłani przez chorezmszacha na pomoc miastu, tuż przed rozpoczęciem oblężenia, ratując się przed nieuchronną, ich zdaniem, klęską, otworzyli bramy twierdzy i uszli w step. Mongołowie wtargnęli do miasta i teraz już na jego wąskich uliczkach i bazarowych placach rozoczczyła się krwawa walka. Mieszkańcy Otraru bronili się zaciekle, przekształcając w twierdze każdy dom i każde podwórze, ale siły były zbyt nierówne. Coraz mniej pozostawało obrońców, a mongolscy wojownicy byli, zda się, niezliczeni. Ślepo posłuszni rozkazom, pijani od Krwi, szli wytrwale naprzód z oczami ołonacymi żądzą bogatej zdobyczy.

■:..-/

Ci, którzy jeszcze mogli utrzymać w rekach broń, zabarykadowali się w pałacu naiba kadyrchana. Podpalone ze wszystkich stron miasto gorzało. Czarne kłę-Y dymu zasłoniły słońce, opadały zwarzone gorącym uscie z drzew, wysychały aryki.

f Kiedy skończyły się strzały i stępiły miecze, ostatni oroncy otraru walczyli jeszcze na dachu pałacu. Ko-

75

biety znosiły tam ciężkie sur[^]we cegły, a wojownicy rzucali je na głowy wrogów.

Wreszcie Mongołom udało się pochwycić umierającego od ran kadyrchana i zawieźli go pod nogi najstarszego syna Ugedeja, Gujuka, który powiedział:

— Okazałeś się prawdziwym wojownikiem, a Mongołowie potrafią cenić odwagę, przed śmiercią możesz poprosić o wszystko, czego tylko zapragniesz.

— Mam tylko jedno życzenie — odparł naib. — Chcę jak najszybciej umrzeć, aby nie patrzeć już na wasze świńskie mordy.

Gujuk dobył miecza i odciął mu głowę.

Synowie Czyngis-chana pozwolili mongolskim wojownikom grabić zdobyte miasto w ciągu dziesięciu dni. Wszystko, czego nie można było zabrać, padało pastwą ognia. Płonęły w ogromnych ogniskach bezcenne księgi ze słynnej na całym Wschodzie biblioteki, popielala mądrość stuleci. Wiatr i woda dokończyły dzieła zniszczenia i piękne niegdyś, bogate miasto obróciło się w perzynę.

Po wzięciu Otraru mongolskie wojska podzieliły się i niczym dwa czarne skrzydła zawisły nad Chorezmem. Jedno z nich straszliwym cieniem przykryło Samar-kandę i Bucharę, drugie zaś kipczackie miasto Syg-nak.

Mongolskie tumeny niosły śmierć wszystkiemu, co żywe, przekształcając w pustynię kwitnące jeszcze do niedawna oazy. Rozpadały się w gruzy zdobione wspaniałymi ornamentami pałace i świątynie, wielkie zbiorniki czystej wody, w których niegdyś gasiły pragnienie tysiące ludzi, teraz były pełne trupów. Dziki step nie znał litości i był głuchy na krzyki umierających.

Przez siedem dni i nocy opierało się wrogowi warowne miasto Sygnak. Rozwścieczeni oporem Mongołowie wycięli w pień wszystkich jego mieszkańców. Tak właśnie było...

Opowiadał o tym ojciec i sta-

76

rzy wojownicy, którym poszczęściło się brać udział w . eh wyprawach i dożyć sędziwego wieku.

Sartak jeszcze raz spojrzął na Swiatosława. Twarz woja była obojętna, tylko oczy, uważne i zimne, patrzyły wilkiem spod krzaczastych brwi.

Kto mógł przypuszczać, że tam, na gruzach Chorez-mu wszędzie gwiazda człowieka imieniem Kara-Buga, aby potem zejść na ruskich ziemiach po jego spotkaniu ze

Swiatosławem. Zaiste, nie ma rzeczy, które nie mogłyby się zdarzyć pod słońcem.

Właśnie tam, w Chorezmie, weszła gwiazda Kara--Bugi... Miał wówczas zaledwie osiemnaście lat. Ten niewysoki, lecz silnie zbudowany młodzieniec nagle wyróżnił się spośród innych wojowników. Wyróżnił się nie nadzwyczajną siłą lub nieprzeciętną odwagą, lecz zaciekłością i okrucieństwem. Gwałcił dziewice na oczach ich rodziców, a jeśli ktoś usiłował mu w tym przeszkodzić, rzucał się na niego ze wściekłością szakala i tajemnym, znanym tylko Mongołom, ciosem łamał mu kręgi szyjne. Potem podstawił dłonie pod tryskającą mu z gardła krew i pił ją.

Los sprawił, że po pewnym czasie Kara-Buga znalazł się w wojsku Batu-chana, wyprawiał się z nim na ruskie księstwa, brał udział w bitwie z Niemcami. Wtedy o jego okrucieństwie nawet Mongołowie mówili tylko półgłosem.

Batu-chan zwrócił uwagę na Kara-Bugę i uczynił go setnikiem, a potem, kiedy podrośl Sartak, oddał go do tumenu młodego chana.

Sartakowi podobało się bezgraniczne oddanie wojownika dla Złotej Ordy. Kara-Buga stał się cieniem chana, jego prawą ręką. I kiedy Sartak ochrzcił się, on wraz ze swym panem przyjął chrześcijaństwo. Nowa wiara nie zmieniła jednak jego natury. Nadal był krwiożerczy i okrutny.

Wszyscy Mongołowie byli okrutni, ale jeden postę-

77

Pek Kara-3ugi wstrząsnął nawet najstarszymi wojownikami i nonami, którzy niejedno w swoim życiu widzieli.

Zdarzyło się to wiosną, kiedy mongolskie bydło poznało już smak młodej trawy, a nad jeziorami i rzeczynymi rozlewiskami rozległy się krzyki powracających z ciepłych krajów gęsi i łabędzi. Rusowie, którym udało się przeżyć "głodną zimę, rozpoczęli siewy.

Niewielki mongolski oddziałek powracał do Ordy po zebraniu wiosennej daniny z ruskich wiosek.

Na czele oddziału jechał na czarnym ogierze Kara--Buga zakuty w zbroję ze szmelcowanej na czarno stali. Jego tęgie już teraz ciało przypominało z oddali złom skalny. Za oddziałem ciągnęły wolno ciężkie dwukołowe arby załadowane tym, co udało się zebrać lub zagrabić w ruskich wioskach. Były to przede wszystkim futra wilków, zajęcy, lisów, bobrów i popielic starannie powiązane w pęczki i osłonięte przed deszczem.

Droga była znajoma i bezpieczna, więc wojownicy odprężyli się, pozdejmowali ciężkie lisie czapy, wystawili głowy na ciepłe wiosenne słońce.

Kiedy oddział okrążył jezioro, na skraju lasu ukazała się niewielka wioszczyna. Widać było jak po czarnych polach chodzili za sochami ruscy chłopci i baby ubrane w długie płócienne koszule. Widok był powszedni i znany.

Nagle Kara-Buga zatrzymał konia. Z gęstych trzciny nad jeziorem Wyskoczyła grupka dzieci, siedmio-dzie-więcioletnich chłopców i dziewczynek ubranych tak samo jak dorośli. Wesoły gwar zmał ciszę. Dzieci niosły coś w podołkach, prawdopodobnie zebrane nad jeziorem jaja dzikich ptaków.

W pewnej chwili któreś z nich zauważyło mongolski oddział i natychmiast przerazimy krzyk uderzył w uszy. Dzieciaki porzuciły swoją zdobycz i zaczęły ucie-

78

kać w stronę wsi. Na końcu biegła szczupła, długono-dziewczynka o złotych włosach.

Kara-Buga patrzył obojętnie na uciekających, ale nagle w jego oczach błysnęło zainteresowanie. Spiął konia i popędził za dziećmi.

Dziewczynka biegła resztką sił. Czasami oglądała się i w jej ogromnych niebieskich oczach Kara-Buga widział tylko śmiertelne przerażenie. Mongoł wyszczerzył z wściekłości zęby i próbował chwycić dziewczynkę za włosy, ale ona w ostatniej chwili odskakiwała i pogoń zaczynała się od początku.

Wreszcie dziecko opadło z sił i upadło. Kara-Buga dopędził je, zeskoczył z konia i odwrócił na plecy. Dziewczynka drgnęła i znieruchomiła.

Kara-Buga nie zauważył, a może nie chciał zauważyć, że dziewczynka umarła. Wziął ciepłe ciało na ręce i zaniósł w trzciny...

Kara-Buga nie uważał się za potwora. Nie umiał i nie lubił myśleć. Przykład i rozkaz wielkiego Batu--chana uczył go, jak ma postępować w tym czy innym wypadku, Kara-Buga pamiętał i lubił opowiadać młodym wojownikom, jak w odległych czasach, kiedy Mongołowie dopiero zaczynali podbijać ruskie ziemie, do ich niewoli dostał się młody książę i jego piękna żona. Batu-chan powiedział wówczas, że daruje im obojgu życie, jeśli żona księcia rozbierze się i ukaże się całemu mongolskiemu wojsku naga. Rusowie wybrali śmierć, rzuciwszy się na włócznie straży. Batu--chan śmiał się: „Głupia! Powinna być dumna z tego, że może pokazać mojemu dzielnemu wojsku to, co dotąd pokazywała tylko swojemu mężowi!”.

Kara-Buga bardzo lubił opowiadać o tym zdarzeniu...

Kiedy krzyk dzieci usłyszeli pracujący na polu mężczyźni, natychmiast zrozumieli, że nad jeziorem zdarzyło się nieszczęście. Chwycili co mieli pod ręką i

79

rzucili się na pomoc dzieciom. Pierwszy dobiegł ojciec dziewczynki, Światosław, któremu złe przeczucie zdawało się dodawać sił. Było jednak za późno. Zdążył zobaczyć tylko plecy Kara-Bugi, ale jednak go rozpoznał. Wszyscy w okolicznych ruskich wioskach dobrze znali tego straszliwego czarnego człowieka.

Słowa były zbędne, więc ludzie zamarli w surowym milczeniu nad ciałem dziecka i w sercach ich wzbierało pragnienie sprawiedliwej zemsty. Ale czyż witka złamie maczugę? Ciężkie dłonie zaciskały się w pięści, a oczy płonęły nienawiścią.

Światosław zwlekł z siebie koszulę, zawinął w nią ciało córki, wziął je na ręce. Potem potoczył po stojących wokół ludziach ośleplonym z rozpaczony wzrokiem.

— Wracajcie do pracy... Ja pójdę do samego Batu--chana.

Nikt nie zastąpił mu drogi, nikt nie odważył się zatrzymać, nikt też nie wyrzekł na pożegnanie nawet słowa. Jedna myśl żyła we wszystkich, jedno pragnienie, ale nie nastąpił jeszcze czas jego spełnienia.

Nie wiedział Kara-Buga, kiedy dopuszczał się swo-« jego okropnego czynu, że przed trzema dniami wielki Batu-chan przyjechał ze swoją świtą nad jedno z pobliskich jezior, żeby zapolować na przelotne ptaki.

przez cały dzień szedł Światosław do obozu chana. Ogromne słońce, jakby świadome jego nieszczęścia, zatrzymało się nad skrajem ziemi i zalało ją krwawym światłem- X namioty chańskiego obozu, gdy Rus w końcu Je zobaczył- wyglądały w tym świetle jak zbroszone krwi3-

gwiatosław zatrzymał się tylko na chwilę. Zamiast umierać co dzień, pomyślał z goryczą, lepiej niechaj się to stanie od razu. Wymacał nóż ukryty w fałdach od>ży i przesunął go bliżej biodra) aby mQŻna był(j w razie potrzeby jak najszybciej dobyć, i ruszył ;r2ed siebie.

80

Chańscy nukerzy, otoczywszy Światosława ciasnym pierścieniem, zaprowadzili go do Batu-chana.

Chan dopiero co wrócił z polowania i stał na progu swego namiotu.

gwiatośław zbliżył się do niego bez cienia lęku, trzymając przed sobą na wyciągniętych rękach ciało dziecka. Patrząc na chana suchymi, pełnymi rozpaczycy oczyma, opowiedział o tym, co się stało. Twarz Batu--chana skamieniała, a ręka sięgnęła do kindżału. Władczym gestem rozkazał swoim tulengutom odszukać i przyprowadzić Kara-Bugę.

Nukerzy błyskawicznie ustawili przed namiotem podróżny tron chana, a Batu rozkazał sprowadzić przed swoje oblicze tybetańskiego lamę Sakia, lekarza wielkiego karakorumskiego chana Ugedēja, który akurat gościł w Złotej Ordzie. A kiedy sędziwy starzec zbliżył się do niego, poprosił:

— Dowiedz się i powiedz nam, dlaczego umarła dziewczynka, którą przyniósł Rus.

Lama pochylił się w głębokim pokłonie.

Czterej tulenguci, popychając Kara-Bugę ostrzami włóczni, przypędzili go przed namiot chana. Mongoł miał spojrzenie zaszczutego zwierza, jego ciemna twarz zupełnie poczerniała i tylko białe zęby błyszczały jak u wilka.

— Zwiążcie go — rozkazał Batu.

Nukerzy powalili Kara-Bugę na ziemię, wykręcili mu ręce do tyłu i skrępowali w przegubach surowymi rzemieniami.

Z namiotu wyszedł lama ze Światosławem. Wokół chańskiego tronu zebrali się ludzie, którzy z zapartym tchem wpatrywali się w ciało dziewczynki, aby po chwili przenieść wzrok na chana. Czekali w napięciu, co będzie dalej.

— Dlaczego więc umarła dziewczynka? — zapytał surowo chan.

6 — Złota Orda

81

— pękło jej serce, wielki chanie.

Batu-chan popatrzył na klęczącego Kara-Bugę. Czyżby niesłusznie skrzywdził swojego wojownika? Czy warto było hańbić i karać jednego z najbardziej oddanych sobie ludzi za śmierć jakiegoś ruskiego dzieciaka?

Batu znów zwrócił się do lamy:

— A zatem Rus kłamie, mówiąc, że jego córkę pohańbiono?

Nieruchome oczy chana zwęziły się i jego wzrok stał się podobny do wzroku węża. Ludzie zastygli ze uszczonymi głowami i tylko Światosław odważnie oatrzył na Batu.

— Nje; on mówi prawdę — odparł cicho lama. —

Gwałt popełniono na martwym ciele...

Zdławione westchnienie jak poryw wiatru przebiegło przez tłum. Dla Mongołów to, czego dopuścił się Kara-Buga, było najcięższym przestępstwem.

Nawet sam Batu-chan, który nie miał dla nikogo litości i urządził uczty na ciałach pokonanych wrogów, po czym obojętnie słuchał, jak łamią się pod ciężkimi deskami ich kości, nawet Batu-chan pobladł.

— Prawdę mówisz, wielki lekarzu?

— Tak — wychrypiał Kara-Buga. — Lekarz mówi prawdę. Ale ja nie męczyłem duszy dziecka, wielki chanie! Przecież martwemu ciału jest wszystko jedno...

Sartak przypomniał sobie, jak obrzydzenie ścisnęło go wówczas za gardło. Przypomniał sobie, jak ojciec zwrócił się do swego brata Móngkego z pytaniem:

— Jak byś ukarał tego człowieka?

Słyszony ze swego okrucieństwa Móngke pomilczał chwilę, a potem powiedział:

est to zbrodnia rzucająca cień na mongolskiego wojownika. Kara-Buga zrobił jednak wiele dla podboju Rusów i dlatego można mu złagodzić karę. Sto kijów-

82

gatu spojrzął na młodszego brata, Berke.

— A ty co powiesz?

— Islam uczy, że taki człowiek będzie po śmierci gorzał wiecznym ogniem, gdyż zadał gwałt martwemu dziecku. Takiej zbrodni nie wolno wybaczyć. Rozkaż dać mu tysiąc kijów.

Batu potoczył wzrokiem po obecnych. Nojonowie i wojownicy zebrani wokół tronu przywykli do ludzkiej śmierci, nie wzruszała ich krew, a serca nie znały litości dla cudzych cierpień. Ale czyn Kara-Bugi wykraczał poza wszelkie granice, więc każdy, bez względu na wyznawaną wiarę, rozumiał, że jest to okropna zbrodnia. Dlatego wszystkie twarze były ponure.

— A czego ty byś chciał? — zapytał nagle Batu--chan Swiatosława.

— Oddaj go mnie — nadal nie odrywając wzroku od twarzy władcy powiedział Rus.

Batu zamyślił się. Móngke ma rację. Nie warto z powodu śmierci dziecka podbitego ludu pozbawiać życia człowieka, który z takim oddaniem służył Ordzie... Tak, popełnił straszliwą zbrodnię i zasłużył na karę. Może więc postąpić tak, jak radzi Berke? Skazać go na tysiąc kijów i... Jeśli Niebo ma go w swojej opiece, to Kara-Buga przeżyje. Ale czy tłum uzna taką decyzję za sprawiedliwą? Widać po twarzach, że wszyscy oczekują na śmiertelny wyrok. Lud jest głupi i łatwowierny. Można unicestwić miliony niewinnych ludzi, a potem raz tylko postąpić sprawiedliwie i wszystko zostanie zapomniane, wybaczone. Lud zacznie go nazywać Sajn-chanem — chanem sprawiedliwym. Czyż więc życie jednego setnika nie jest tego warte? Batu wyprostował się, uniósł głowę i popatrzył prosto w oczy Swiatosława.

— Niechaj stanie się wedle twojego życzenia, Rusie.

83

Tłum odetchnął z ulgą.

— Sława Sajn-chanowi! — krzyknęli ludzie. Kara-Buga szarpnął się i spróbował na kolanach

poczołgać się do stóp Batu-chana, ale włącznie tulen-gutów wpiły mu się w pierś. Przerażony i rozwścieczony tarzał się po ziemi, ale ryk tłumu wychwalającego bez końca mądrość chana zagłuszał jego rozpaczliwe wrzaski.

Swiatosław położył ciało dziecka na ziemi i ruszył w stronę Mongoła. Straż rozstąpiła się przed nim. Rus chwycił Kara-Bugę za włosy, a w drugim jego ręku błysnął wąski nóż.

Ogromna czarna głowa Mongoła potoczyła się po ziemi...

Swiatosław schował nóż, podniósł ciało córki i nie patrząc na nikogo poszedł precz. Tłum wojowników rozstąpił się przed nim z szacunkiem.

Batu-chan obrócił się do swego głównego wezyra Sauka, syna młodszego brata ojca.

— Zatrzymaj go! — powiedział władczym tonem. — Daj konia i wykup za córkę.

Tulen-baatur, zięć Batu, jeden z jego najodważniejszych dowódców pochylił z szacunkiem głowę i powiedział półgłosem:

— Sajn-chan

Jego słowa usłyszeli stojący opodal ludzie i tłum wojowników znów zakrzyknął:

— Batu-chan to chan sprawiedliwy!...

Batu był nieugięty w swych postanowieniach, nie znał litości i współczucia, ale przy tym potrafił udawać człowieka sprawiedliwego, aby w ten sposób wzmóc szacunek swojego wojska. Teraz też nie chciał tracić odważnego Kara-Bugi, ale skoro taka była wola Nieba... Sartak dobrze zapamiętał to wydarzenie i teraz patrząc na Swiatosława, pomyślał, że czas oszczędza tego człowieka. Minęło piętnaście lat, a on nadal

84

krzepki i silny, tylko we włosach i brodzie pojawiła się wyraźna siwizna. Swiatosław musi teraz być w drużynie księcia Aleksandra, skoro przyjechał z poselstwem. Coraz więcej Rusów zbiera się pod sztandarami niepokornego Nowogrodu...

Rozmyślając tak o Swiatosławie, Sartak nie wiedział, że w tłumie witającym ruskie poselstwo jest jeszcze jeden człowiek, który równie dobrze jak on pamięta owe dawne wydarzenia nad jeziorem. Tym człowiekiem był młodszy brat czarnego Kara-Bugi, który na dworze Sartaka piastował godność bokeuła, czyli podstolego i podczaszego zarazem. Wszystko pamiętał i również rozpoznał Swiatosława, chociaż ani jeden mięsień nie drgnął na jego ogorzałej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi. Tylko w oczach zapłonęły na chwilę iskierki nienawiści. Kiedy orszak wszedł do pałacu, Sartak powiedział:

— Szanowni posłowie, nie będziemy dzisiaj rozmawiać o naszych sprawach. Jesteście gośćmi chana wielkiej Złotej Ordy...

Rusowie pokłonili się, wyrażając tym samym zgodę na propozycję chana.

Sartak obrócił głowę w stronę mężczyzny o surowej, ponurej twarzy.

— Sądzę, że mój pierwszy wezyr nie ma nic przeciwko temu?

Mężczyzna przytaknął ruchem głowy. To był sławny Sauk, który pełnił obowiązki wezyra za Batu-chana. Dawno już przekroczył sześćdziesiątkę i jego niegdyś gładka, okrągła twarz teraz pokryta była zmarszczkami. Był najstarszym z potomków Czyngis-chana i dlatego miał szczególnie wpływ na wszystkie sprawy Złotej Ordy. Podczas wyprawy na Rusów ojciec Sauka,

u kan, dowodziłdzielonymi wojskami. Jego tume-ny zdobyły Kołomnę, ale podczas ataku na miasto zginął on od ruskiej strzały.

85

Czyngisydzi mieli niepisane prawo, że jeśli w trakcie oblężenia miasta ginął ktoś z ich rodu, to jego obrońców musiała dosięgnąć szczególnie okrutna zemsta. W tym wypadku też nie było inaczej. Wszyscy mieszkańcy Kołomny, od niemowląt do zgrzybiałych starców, zostali wycięci w pień.

Żądza dalszej zemsty za śmierć ojca rządziła odtąd całym życiem Sauka. I od chwili, gdy stał się pierwszym wezyrem Batu, powtarzał nieustannie chanowi, że z Rusami można rozmawiać jedynie językiem krzywych mongolskich szabli. Baaturzy, mówił, nie zjednoczą się, dopóki są skłóceni. Spustoszone przez ciebie państwo nigdy nie będzie ci przyjacielem. Będzie zabiegać o przyjaźń tylko tak długo, jak długo czuje twoją siłę. Jeśli nie chcesz, żeby Rusowie zwrócili się przeciwko tobie, musisz jeszcze bardziej wzmóc swą potęgę, być okrutnym i bezlitosnym.

Na ucztę dla ruskich gości zabito młodą kobyłkę, przyniesiono wino i bukłaki pełne pianistego kumysu. Znany kipczański bajarz Sułungut, wtórując sobie na dombrze, zaczął śpiewnym głosem opowiadać zebrany historię życia Czyngis-chana.

Śpiewał o Sorkan Szirze, który uratował młodego Czyngis-chana, kiedy ludzie z rodu Tajdziutów chcieli go zamordować. I o tym, jak prosty Mongoł Temu-dżyn, kiedy stał się wielkim Czyngis-chanem podarował mu ziemie Merkitów rozciągające się od mongolskich stepów aż po rzekę Selengę, obdarzył tytułem darchana, pozwolił nosić kolczugę { pióra na czap^

ce.

Teln-atpb^a SfZodr°bliwość „Tego, który wstrząsnął światem I dlatego darQwał gorkan Sz.rze

,
dziewie, me popełnionych jeszcze nrzewinień

ГJa"ГnĭĭĈI2a1 W StrU^ d°mbr^ a ^Y jego pł* ntl> Xciū 1ĈT; WiSr^ To dla ruski<* Posłów opól wi^a. o życiu pradziada Sartaka, opowiadał, jak Ten

86

który wstrząsnął światem" potrafił za dobro odplącać dobrem.

O postuszeństwie i oddaniu dla wielkiego Czyngis-_chana wszystkich plemion i narodów mówił Sułungut, opowiadając o przysiędze, jaką złożyli mu nojono-wie Ałtan, Kuczar i Secze-beki, gdy zasiadł na złotym tronie.

Jeśli na wroga pójdziemy,
Przywiedziemy ci do pałacu najpiękniejsze dziewice.
1 żony przyprowadzimy ci wdzięczne, Argamaki wyborne, smukloszyje, Najszybsze w całym stepie.

Jeśli na łowy pójdziemy, to upolujemy,
Do siodła przytroczymy
Zwierzęta najwspanialsze i sobole czarne.
Jeśli przysięgę swą złamiemy,
To nas, niewolników swych niewdzięcznych,
Zostaw u wygasłego ogniska,
Eozłącz z żonami i dziećmi.

Bajarz zakończył pieśń i powiódł po wszystkich wzrokiem pełnym godności i dumy. Samą swą postawą zdawał się dawać ruskim posłom radę, aby byli uczciwi i oddani Sartakchanawi, potomkowi wielkiego Czyngis-chana, tak samo jak byli oddani mu ludzie żyjący przed wieloma dziesiątkami lat.

Zrozumieli to wszyscy obecni i dlatego Sauk nieco rozpogodził swą ponurą twarz, zaś Swiatosław jeszcze bardziej sposepniał. Brzydziła go ta uczta, dławiło sa-tno powietrze chańskiego pałacu. Z ledwie skrywaną nienawiścią patrzył Swiatosław na ludzi ubranych w wilcze i bobrowe szuby, w lisie czapy nad lśniącymi od tłuszczu twarzami. Pycha biła od Mongołów odzianych w drogie futra, obwieszonych bronią i złotymi 'dobami. To wszystko zostało zrabowane tym, którzy teraz puchli z głodu w kurnych chatach, jęczeli w ciężkim jarzmie na spustoszonej ruskiej ziemi.

87

Jedzenie stawała u kością w gardle, wino i kumys trzeźwiły zamiast bpijac-
Jego stan zautyjfcy-ł nie tylko Sartak, ale również bystrooki Sauk. ^a^ samo jak ja nienawidzę Rusów, tak samo oni nie^^idzą nas, pomyślał nagle z niewytłumaczalnym Ipjjjem. Przyjdzie pewnie czas, kiedy drogi nasze się sk^yżują...

Powitalna uczta dobiegała końca. I znów kipczacki bajarz Sułungut Wziął do rąk dombkę, aby odśpiewać to, co odrzekł C?:yngis-chan na przysięgę swych nojo-nów:

Łupów zdobytych na wrogu nie znoście mnie, Lecz sobie zatrzymajcie-Soboli i wilków przez siebie złowionych Nie oddawajcie mi. Sobie je weźcie.

Nadeszła północ. Turgautowie strzegący pałacu w ciągu dnia ustąpili miejsca kebeułom, wojownikom czuwającym nad bezpieczeństwem chańskiej rodziny w nocy. Teraz aż do pierwszego brzasku słońca nic co żywe nie mogło zbliżyć się do pałacu. Szabla i strzała strażnika pozbawiłyby życia każdego, kto ośmieliłby się zakłócić spokój władcy Złotej Ordy. Minęło czterdzieści lat od śmierci Czyngis-chana, a jego potomkowie nadal święcie przestrzegali jego przykazań. Do ochrony pałacu i utrzymania porządku w Ordzie wydzielony został umyślny tumen keszikte-nów. Czyngis-chan uczył: „Dawniej mieliśmy pod swymi rozkazami ośmuset kebeułów i siedmuset tur-gautów. Rozkazaliśmy utworzyć tumen kesziktenów. Zostać nim może sy11 nojona i tysięcznika, syn setnika i dziesiętnika, i Każdy wojownik z ludu. Musi tylko umieć dobrze walczyć i być przystojny. Syn tysięcznika winien przyprowadzić ze sobą dziesięciu towarzyszy i młodszego bra^ syn setnika pięciu towarzyszy i brata, syn dziesi<?tnika lub prostego człowieka —

88

po trzech towarzyszy i brata. Każdy, kto pragnie zostać kesziktenem, winien w dawnym miejscu służby otrzymać konia i broń. Niechaj nikt nie waży się stawiać przeszkód wojownikom wstępującym w szeregi kesziktenów".

Wielkie obowiązki brał na siebie każdy, kto zostawał członkiem gwardii Czyngis-chana, ale też w zamian otrzymywał ogromne przywileje. „Ten, który wstrząsnął światem" nakazywał:

„Nikt nie ma prawa siedzieć wyżej niż keszikten. Nikt nie ma prawa, przechodząc obok niego, nie wymienić swojego imienia. Do domu lub namiotu, którego strzeże keszikten, nikt niechaj nie waży się wchodzić bez jego pozwolenia. Przechodząc obok niego, nie wolno z nim o niczym rozmawiać. Zabrania się pytać kesziktęna o liczbę ludzi w miejscu, którego strzeże. Człowiek znajdujący się w pobliżu bez pozwolenia kesziktęna może być przez niego zatrzymany lub nawet w razie nieposłuszeństwa zabity. Zwyczajni nojono-wie i tysięcznicy winni siedzieć w pełnej szacunku odległości od szeregowego kesziktęna”.

Oporą Ordy Czyngis-chana zawsze byli wojownicy, a najlepszymi z nich, najbardziej oddanymi byli ke-sziktenowie, niezawodna maczuga chana w walce z wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami.

„Moi potomkowie, którzy po mnie zasiądą na tronie i potomkowie moich potomków, jeśli chcą wnieść mi złoty pomnik, niechaj jak żrenicy oka strzegą kesziktenów, gdyż oni zawsze strzegli mnie bardziej niż własnego życia”, mówił Czyngis-chan.

Kiedy Batu został chanem Złotej Ordy, postąpił tak, jak nakazywał wielki jego dziad. Oddana gwardia o-toczyła jego tron, tylko jej członkowie nosili u niego nazwę tulengutów.

Ruskich posłów, zmęczonych drogą i wydaną na ich cześć przez Sartaka ucztą, zaprowadzono na spoczynek.

89

Przed drzwiami komnaty, w której miał spać Daniel, stanął tulengut z obnażoną szablą. Bojar rozebrał się i zamierzał już położyć się w pościeli rozesłanej na ogromnej tygrysięj skórze, gdy otworzyły się drzwi i z pochodnią w rękę wszedł doradca Sartaka Rumijczyk Kojak.

Odblask płomienia zaigrał na dywanach, którymi obieszono były ściany komnaty, wychwytyjąc z mroku ich wspaniały, barwny ornament.

Rumijczyk skłonił się w milczeniu.

Daniel popatrzył na niego wyczekująco.

— Zaraz na rozkaz wielkiego chana przyprowadzą ci, panie, dziewicę — powiedział Kojak.

— Dziewicę? — zapytał bojar ze zdziwieniem.

— Wedle starodawnego mongolskiego obyczaju zawsze się tak postępuje wobec szanowanego gościa...

— Ale przecież wiara chrześcijańska tego zabrania. Czyż wielki chan Sartak nie jest chrześcijaninem?

Rumijczyk skrzywił wąskie wargi w lekkim uśmiechu, ale natychmiast postarał się ukryć twarz w cieniu.

— Nie — powiedział. — Chan jest Mongołem. Skąd bojar mógł wiedzieć, że Sartak po przyjęciu

chrześcijaństwa nadal przestrzega mongolskich obyczajów? Zresztą w duszy nowego chana Złotej Ordy zgodnie sąsiadowała wierność dla pogańskich wierzeń, odziedziczonych po Czyngis-chanie, i dobra znajomość chrześcijańskich dogmatów, którymi jednak rzadko kierował się w swoim życiu...

Daniel chciał wypytać Kojaka o zwyczaje chana, ale Rumijczyk już zniknął za cichutko zamkniętymi drzwiami.

Wkrótce ogromnego wzrostu tulengut wpełznął do komnaty najwyżej trzynastoletnią dziewczynką, delikatną jak jedwab i piękną jak kwiat.

Wedle porządku zaprowadzonego jeszcze przez Czyngis-chana straż pałacowa pełniła nie tylko służbę woj-

90

ską. Do obowiązków tulengutów należało również urządzenie różnych świąt i uroczystości w Ordzie, a nawet zaopatrywanie chańskiego dworu w żywność. Los mężczyzn i kobiet żyjących przy dworze, wyjąwszy krewnych chana, znajdował się w ich rękach. Właśnie

dlatego dowódca straży po otrzymaniu rozkazu Sartaka na własną rękę rozporządził losem jedynej córki wdowy pracującej w chańskiej kuchni.

Tulengut po wepchnięciu dziewczynki do środka przycisnął rękę do piersi, skłonił się w milczeniu bojarowi i zniknął za drzwiami.

Dziewczynka była przedziwnie piękna. Smukła jak wiosenna trawa, białolica, z ogromnymi oczami wiel-błądziątka i warkoczami czarnymi jak noc. Jej oczy pełne łez patrzyły z przestraczem na bojara.

Daniel podszedł wolno do niej i położył jej rękę na ramieniu. Szczuplutkie ciało zadrżało. Dziewczynka zakryła twarz rękami i rozplakała się w głos.

Popychając ją łagodnie, bojar odprowadził dziewczynkę do drzwi.

— Nie bój się, nic ci nie zrobię — powiedział dobierając z trudem kipczackie słowa.

Dziewczynka widać go nie usłyszała, bo nie przestawała płakać. Daniel otworzył drzwi i powiedział do tulenguta:

— Niech idzie do siebie. Nie potrzebuję kobiety. Również następnego dnia chan Sartak nie przystąpił

do rozmów. Zaprażył pokazać ruskim posłom swego ścigłego jednochodźca, swoje gończe psy i celnych strzelców. Dlatego urządził polowanie.

Rusów zbudzono o świcie. Zima tego roku była surowa, śnieżna i wokół chańskich tabunów zebrały się wilki chyba ze wszystkich kipczackich stepów.

Wojownicy wydzieleni do ochrony tabunów nie mogli sobie z nimi poradzić. Śnieg zapadał się pod kopytami koni i wilcze zgraje z łatwością umykały przed

91

pościgiem. Tylko szybkie i lekkie gończaki i celni strzelcy mogli znaleźć sposób na gzarach r0Zbójni-ków.

Zmęczeni myśliwi wrócili do Ordy dopiero późnym wieczorem. Szczęście im sprzyjało) więc przywieźli obfitą zdobycz. Uzyskawszy zapewnienie chana, że rozmowy zaczną się jutro; ruscy posłowie rozeszli się do swoich komnat.

Ledwie Daniel położył się na pościeli, ten sam co wczoraj ogromny tulengut znów przyprowadził do niego wielbłądzioką dziewczynkę. Tym razem już nie płakała, tylko oglądała się niespokojnie na drzwi. Bojar zrozumiał, że dziewczynka chce coś powiedzieć i przywołał ją gestem do siebie.

Pokonując strach przed Rusem, dziewczynka podeszła na palcach, pochyliła się nad nim i szepnęła: Nie pij ardza-wino, które dadzą ci jutro. Daniel zrozumiał tylko „ardza-wino”.

Wiedział, że tak nazywa się alkohol, który zwykle pijają mongolscy chanowie. Serce uderzyło mu mocno. Dziewczynka go ostrzegała!

~ Co powiedziałaś? Powtórz...

Dziewczynka zdziwiła się, że Rus nie rozumie jej języka. Oczy pociemniały jej z rozpaczy, ale nagle zapaliła się w nich iskierka nadziei. Znów zaczęła szeptać, wspierając słowa gestami:

— Jutro poczęstują cię ardza-winem. — Dziewczynka dotknęła palcem piersi bojara. — Nie pij go. — Potrząsnęła gwałtownie głową i udała, że odpycha czarę. — Jeśli wypijesz... — uniosła do ust złożone dłonie — umrzesz!... — Upadła jak martwa na ziemię. Daniel zrozumiał.

— Wino-ardza... — powtórzył, wpatrując się U-ważnie w pełną napięcia twarz dziecka.

— Tak! Tak!

Dziękuję... — Bojar uśmiechnął się z wdzięcznością i pogładził dziewczynkę po głowie. — A teraz idź. — Wskazał jej ręką drzwi. Dziewczynka zwinnie rzuciła się do wyjścia.

Wino zawsze odgrywało dużą rolę w losach poszczególnych ludzi i całych narodów. Historia zaświadcza, że były państwa, które zniknęły z powierzchni ziemi tylko dlatego, że jego poddani zbyt lubili wino. Potężne mocarstwa, podbijając ziemie słabszych od siebie sąsiadów, wraz z orężną przemocą i zwykłym okrucieństwem niosły zawsze wino. Najeźdźcy, którzy nie zdołali osiągnąć swych celów przy pomocy broni, podporządkowywali sobie ludzi dzięki religii, nowym obyczajom i właśnie winu. Straszliwym zagrożeniem dla narodów, które jeszcze nie stworzyły własnej państwowości, było wino. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę Czyngis-chan, który wiedział, że aby pokonać wroga, nie wystarczy żelazna dyscyplina. Poza nią winna istnieć inna siła, która by podgrzewała zmysły i przytłumiała rozsądek wojowników jego wielonarodowej Ordy. Dlatego „Tego, który wstrząsnął światem” pozwalał grabić, gwałcić kobiety i pić. Sam zresztą lubił wino i często nie znał w picciu umiaru. Pewnego razu, gdy wielodniowa pijacka orgia w jego głównej kwaterze omal nie skończyła się śmiercią chana, jego doradca Szigi Kutuku powiedział z goryczą:

— O wielki chanie, nie wiedziałem dotąd, że jest na świecie siła, która stoi ponad tobą...

Czyngis-chan dotknięty do żywego słowami doradcy zdjął z głowy czapkę, położył ją na tronie i nisko jej się skłonił.

— Nade mną jest tylko moja czapka — powiedział z pychą w głosie.

— Nie — odparł na to Szigi Kutuku. — Ponad tobą stoi wino.

93

Może właśnie ta rozmowa, a może późniejsze wydarzenia nagle zmieniły tryb życia Czyngis-chana, który stał się powściągliwy w picciu i okrutnie karał tych, którzy postępowali inaczej. Po zwycięstwie Ugedeja i Dżagataja nad chorezmszczykiem Muhammedem ich wojsko omal nie uległo zagładzie. Po zdobyciu Chorezmu i odnalezieniu pałacowych piwnic jego wojownicy rozpoczęli pijatykę, synowie Czyngis-chana, jego nojonowie i szeregowi wojownicy pili tydzień, pili dwa, pili do utraty przytomności. Spitych Mongołów setkami wyrzynie ocaleli mieszkańcy Chorezmu.

Dowiedziawszy się o tym, Czyngis-chan wpadł we Wściekłość. Wysłał do Chorezmu umyślny oddział, który przy pomocy chińskiego proszku, składającego się ze sproszkowanej siarki i bawełny wysadził w powietrze winne piwnice szacha.

W ten sposób wojsko mongolskie zostało uratowane.

Historycy utrzymują, że Czyngis-chan rozgniewał się na swoich synów za to, że przywłaszczyli sobie Wszystkie łupy. Ale rzecz była chyba nie tylko w tym. „Tego, który wstrząsnął światem” przeraziło to, że jego synowie, oddawszy się pijaństwu, nie zdołali doścignąć i całkowicie wytepić rozbitych wojsk chorezmszczyka. Właśnie po tym wydarzeniu rozkazał zapisać swoje słowa:

„Człowiek pijany jest głuchy i ślepy, i nie ma w nim ni rozsądku, ni rozumu. Taki człowiek nie osiągnie nic Poza hańbą. Władca skłonny do pijaństwa nie jest zdolny do wielkich czynów. Dowódca otumaniony winem nie może prowadzić wojowników. Pijany nojon nie będzie wiedział, dokąd posłał strzałę i czy trafił w cel”.

Jeśli nie sposób zupełnie powstrzymać się od picia, to co najwyżej można dać sobie folę trzy razy w miesiącu. Dobrze jest pić raz. Jeszcze lepiej nie pić zupełnie. Ale trudno jest spotkać niepijących...

94

Potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem” starali się w miarę sił spełniać jego przykazanie, ale nie zabraniali picia narodom państw podbitych i zależnych. Na odwrót, aby osłabić ich rozum i ducha, na wszelkie sposoby popierali używanie wina.

Mongołom nie udało się namówić do tego jedynie muzułmanów, którzy lękali się przekroczyć zakaz Mahometa i trafić w ten sposób do piekła.

Podczas dysputy między chrześcijanami a muzułmanami, która odbyła się za czasów chana Gujuka, chan zapytał imama Nureddina Chorezmiiego:

— Wino pomaga w począć zmęczonemu, pociesza nieszczęśliwego, polepsza nastrój i podnosi na duchu. Sporządza się je z czystych ziaren pszenicy i prosa, ze słodkich winnych gron. Skoro więc prorok Mahomet istotnie kocha ludzi i myśli o ich szczęściu, to czemu zakazuje swym wyznawcom picia?

Nureddin Chorezmi odparł na to:

— Dawno, dawno temu jeden z wyznawców proro-ka-sahiba znużony długą drogą postanowił zatrzymać się na wypoczynek u samotnej kobiety. Młoda wdowa nie chciała go wpuścić do domu. Powiedziała: „Jeśli chcesz zanocować, to musisz spełnić jeden z trzech warunków. Albo prześpij się ze mną, albo zabij mojego pięcioletniego syna, albo wypij czarę gronowego wina”.

Wyznawca proroka pomyślał: „Gdy prześpię się z kobietą, to popełnię grzech, gdy zabiję niewinne dziecko, to popełnię zbrodnię. Wobec tego napiję się wina, bo będę miał z tego pociechę i radość”.

Obiecał kobiecie spełnić jej ostatni warunek. Kobieta wpuściła go do domu i naląła wina. Pobożny wędrowiec upił się, wziął kobietę i zabił jej dziecko. Bo czego pijany nie zrobi? Po tym wypadku Mahomet z miłości do ludzi zakazał im pić wino.

Tak właśnie było.

95

Następnego dnia rano w Ordzie zaczęły się rozmowy z ruskimi posłami. Uwzględniając ciężkie położenie Księstwa Nowogrodzkiego, chan Sartak zgodził się w ciągu dwóch lat nie pobierać od Rusów szulenu, jama-nu, undanu i awarizu. Zwolnił z tych danin również inne księstwa, których władcy popierali Aleksandra Newskiego.

W sprawie pomocy Złotej Ordy dla księcia w wypadku napadu Niemców na Nowogród Sartak się do końca nie wypowiedział.

Miał po temu swoje powody. Starszyzna rodu Czyn-gis-chana i tak już krzywym okiem patrzyła na jego stosunki z Rusami. Chan musiał strzec się i Nogaja, i Sauka, i Bahadura, i Móngkego, i Temira. Wszyscy oni uważali, że Orda nie powinna pomagać tym, którzy jeszcze wczoraj byli jej wrogami.

Z powzięciem ostatecznej decyzji co do pomocy Ru-som nie trzeba się było spieszyć, bo na razie nie było takiej potrzeby. Jeśli zaś rycerze niemieccy ruszą na Nowogród, to wówczas prościej będzie przekonać opornych o konieczności zjednoczenia się z ruskimi książętami. Pokonawszy Nowogród, Niemcy staną u granic Złotej Ordy, a jest to wróg silny i jego interesy ponad wszelką wątpliwość okażą się sprzeczne z interesami Mongołów. Sartak postanowił ten argument zachować na przyszłość, kiedy dojdzie do walki z jego przeciwnikami

Musiał myśleć o przyszłości Ordy. Chanat nadal zdawał się być wielki i potężny, ale już oderwał się od niego Kaukaz i Azerbejdżan. Ziemie te przeszły we władanie innego potomka Czyngis-chana — Hulagu. Sartak wiedział również, że wielu chętnie podporządkowałyby sobie Krym i Chorasán. Co będzie, jak potoczą się sprawy za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat? Złota Orda nie powinna odrzucać sojuszu z północnymi księstwami ruskimi, bo może zdarzyć się tak, że

96

ich pomoc okaże się niezbędna w rozprawie z wrogami wewnętrznymi.

Podczas rozmów z Rusami Sartak stwierdził, że nie tylko Sauk i Bachadur są przeciwni jego sojuszowi z Nowogrodem. Niechętnym okiem patrzył na to również Swiatosław, ale stary woj robił wszystko, żeby nie dać tego po sobie poznać. Nietrudno było go zrozumieć. Czy człowiek, który widział, ile nieszczęść przynieśli jego ojczyźnie Mongołowie, może szukać porozumienia z nimi? Tylko nieodparta konieczność kazała im zabiegać o pomoc Złotej Ordy, bo u granie stali niemieccy rycerze i Rusowie musieli wybierać mniejsze zło.

Pewni ludzie donieśli Sartakowi, że Światosław cieszy się w Nowogrodzie wielkim szacunkiem prostego ludu i ma wpływ na księcia Aleksandra.

Bardzo to chana niepokoiło.

Wielki Czyngis-chan uczył: „Jeśli podejrzewasz, że jutro twój wróg stanie się twym przyjacielem, a przyjaciel wrogiem — odwróć się od nich, dopóki przyjaciel jest przyjacielem, a wróg — wrogiem”.

Mądra myśl, ale pradziad był jedynowładcą wszystkich podbitych ziem i nie musiał obawiać się bliskich, którzy dziś w każdej chwili mogli poderżnąć gardło lub nasypać trucizny do czary z winem.

Po zakończeniu rozmów na cześć odjeżdżających posłów została wydana uczta. W pałacowych komnatach ustawiono niskie stoły i podano na nich wszystko to, czym mogła chlubić się Złota Orda. Na drewnianych misach parowały stopy mięsiwa, w dzbanach pienię kumys i mongolski napój darasun, w srebrnych czarach podano ardżę.

Na honorowym miejscu po prawej stronie chana siedział jego główny doradca Sauk, po lewej bojar Daniel.

Zgodnie ze zwyczajem wprowadzonym przez Czyn-

? — Złota Orda

9?

..gis-chana dworski bokeuł zbliżył się do Sartaka i spróbował kawałek mięsa z podanej mu misy, następnie upił łyk wina z jego czary. Chan musiał mieć pewność, że jego jadło i napój nie są zatrute.

Sartak pierwszy wznosił złotą czarę i wypił do dna. To samo uczyniła jego świta. Tylko ruscy posłowie odstawili swe czary nietknięte na stół.

Chan zdziwił się. Jeszcze wczoraj Rusowie z przyjemnością pili wino, pili dużo i nie upijali się, a dzisiaj... Boją się czegoś? A może nie piją dlatego, że bokeuł spróbował wina tylko z jego czary? Ale przecież dokładnie tak samo działo się w poprzednich dniach... Zatem musi być jakaś inna przyczyna. Ale to źle, kiedy goście nie ufają gospodarzowi.

— Co się stało? — zapytał Sartak zmarszczywszy z niezadowoleniem czoło. — Dlaczego goście nie zechcieli skosztować naszego wina?

Chan patrzył na bojara Daniela, który nie zdążył nic powiedzieć, gdy Światosław ostrożnie podniósł swoją czarę i postawił ją przed Saukiem.

Wezyr, który zwyczajem prostych mongolskich wojowników wołał pić darasun, zrozumiał, czego chce ruski poseł. Niespiesznie wziął czarę do rąk.

Sartakowi przemknęło przez głowę, że Rus wybrał właściwą osobę. Jeśli wino jest zatrute, to nasypać do mego jadu mógł Sauk, który nie ukrywał swej wrogości do Nowogrodzian.

Wez?r jednak z kamienną twarzą podniósł naczynie do ust.

ud młodości przywykłem do mongolskiego napoju, a kipczackiego wina nigdy nie lubiłem — powiedział. — Jeśli jednak gość tego pragnie... Chan nagle wyciągnął rękę.

doczekaj, wezyrze... Wiemy, że nie pijasz wina...

— Oczy

Sartaka obiegiły zebranych. Nie, widocznie

uk die jest niczemu winien, skoro tak odważnie

98

wziął czarę... Można byłoby rozkazać w ogóle sprzątnąć wino, ale nawet jeśli nie jest zatrute, to takie polecenie utwierdzi Rusów w przekonaniu, że ich podejrzenia były słuszne. A wówczas wina spadnie na samego chana.

Gdyby Sartak mógł w tym momencie widzieć białą jak śnieg twarz znieruchomiałego za jego plecami bo-keuła, natychmiast by wszystko zrozumiał...

Wzrok chana zatrzymał się na jednym z tulengu-tów pełniącym straż przy wejściu. Przywołał go gestem ręki.

— Podejź tu i wypij — powiedział. Onieśmielony wojownik, uszczęśliwiony tym, że chan zaszczycił go poczęstunkiem, ujął czarę w obie ręce i wypił parę łyków. Nikt w Ordzie nie odważył się postąpić wbrew woli chana, ale tulengut nagle przestał pić. Twarz mu stężała ze strachu.

— Wielki chanie — powiedział. — Pozwól, abym nie pił dalej, jestem muzułmaninem i... — Tulengut nie dokończył zdania. Twarz zniekształcił mu grymas bólu, czara wypadła z rąk... Padł w drgawkach na ziemię.

W sali biesiadnej zapadła śmiertelna cisza. Setki o-czu patrzyły teraz na Sartaka, setki ludzi czekały na, to, co powie i jak się zachowa. Nozdrza chana rozděły się, oczy zwężyły, a ręka, żeby ukryć drżenie, sięgnęła do rękojeści kindżału.

Sartak gwałtownie wstał od stołu i nie mówiąc słowa wyszedł z sali.

Dla chana stało się teraz oczywiste, że ktoś chce skłócić go z Rusami. Widocznie nie on jeden pamiętał, że wiele lat temu Toregene-katun — matka chana Gujuka — otruła w Karakorum ojca Aleksandra, księcia Jarosława. Właśnie wówczas odwrócili się od Gujuka i Aleksander, i jego brat Andrzej, aby zbliżyć się z Batu-chanem.

9<

Ktoś o tym wszystkim pamiętał i chciał powtórzyć to, co raz już kiedyś było. Ale kto?

Na rozkaz chana sprawdzono całą straż pałacową i wszystkich, którzy mogli mieć dostęp do naczyc z winem. Poszukiwania winnych były bezskuteczne. Milczała, obawiając się o swoje życie, dziewczynka Kun-duz i jej matka, która widziała, jak bokeuł dolewał do wina sok z jadowitego ziela.

Dwa pytania dręczyły Sartaka — kto zatrzał wino i kto ostrzegł Rusów przed niebezpieczeństwem. Nie ma widać jedności w Ordzie i nawet w jego pałacu znajdują się ludzie, którzy w każdej chwili mogą zapragnąć śmierci chana.

Czyżby w sprawę zamachu był zamieszany Sauk? Wezyr wprawdzie nie lubi Rusów, ale chyba nie czyha na moje życie? Gdyby wiedział, że wino jest zatrute, z pewnością nie chciałby go pić. Jest chytry jak lis i z łatwością mógłby znaleźć jakąś wymówkę, zrobiłby wszystko, żeby uniknąć śmierci.

Młoty tulengut, który skosztował wina, był nieprzytomny przez całą dobę. Lekarz nadworny, który wlewał mu do ust napary z ziół i mleko, powiedział: „Jego szczęście, że wypił tak mało, inaczej jego koniec byłby bliski”.

A więc gdzieś w bezpośrednim otoczeniu chana kryje się zły i podstępny Wróg> który wyczekuje tylko sposobnej chwili, żeby spełnić wolę swoją lub potężniejszego od siebie mocodawcy. Ci, którzy zasiadali na tronie Złotej Ordy, zawsze mieli wrogów. Orda jest zbyt silna i bogata, aby nie być łakomym kąskiem •dla zawistnych.

Sartak po długim zastanowieniu doszedł do wniosku, że jedynym człowiekiem, który mógłby liczyć na zajęcie jego miejsca, jest chan Berke . że nid ku mogą biec do mego. Ale w Ordzie chyba nie ma oddanych mu ludzi poza bokeułem, który kiedyś uciekł

od niego. Ale bokeuł nienawidzi Berkego, a poza tym przez wiele lat spędzonych na dworze miał mnóstwo możliwości otrucia chana.

Z drugiej strony jednak Berke też od dawna utrzymywał dobre stosunki z księciem Aleksandrem i było mu na rękę skłócenie Ordy z Rusami.

Z nastaniem wiosny chan Sartak wraz ze swoim dworem opuścił Saraj i pokoczował w step.

A kiedy podeschła ziemia i rzeki powróciły w swe koryta, u-dał się do Karakorum, aby złożyć swój szacunek wielkiemu chanowi Móngkemu i poradzić się go w sprawach Złotej Ordy.

Jak to było od dawna w zwyczaju, przejeżdżając przez ułusy rządzone przez potomków wielkiego Czyn-gis-chana, Sartak odwiedzał ich główne obozy. Nie chciał jedynie spotkać się z Berkem. W duszy chana niechęć do brata ustąpiła miejsca nienawiści, a podejrzienia przekształciły się w pewność.

Dowiedziawszy się, iż Sartak wyminął jego stolicę, rozgniewany Berke z sotnią nukerów dopędził karawanę chana Złotej Ordy u przeprawy przez Jaik.

— Jestem najstarszym z potomków Czyngis-chana! — powiedział z ledwie hamowaną wściekłością. — Dlaczego hańbisz mnie w cudzych oczach, dlaczego nie zajechałeś do mnie, żeby naradzić się w sprawach, o których będziesz mówił z wielkim chanem Mongkem w Karakorum?

Sartak popatrzył na niego zimnym wzrokiem.

— Rzeczywiście, jesteś w Ordzie najstarszym z potomków Dżuciego... Ale ty jesteś muzułmaninem, ja zaś chrześcijaninem... Nie chciałem popełnić wielkiego grzechu i patrzeć w twarz takiego innowiercy jak ty...

— To tak! — Twarz Berkego wykrzywiła się z nienawiści. — Wobec tego żegnaj!...

100

101

Uniósł ku niebu wskazujący palec, na którym błysnął pierścień z wielkim brylantem. Boker Sartak „ocierając sobie ze strachu oczy dłonią.

i Żegnaj! - powtórzył z groźbą w głosie Berke i wskoczył na jednochodźca, którego podał mu nuker. Sartak nie odpowiedział, tylko długo patrzył za odjeżdżającym, dopóki jego oddział nie zniknął w ste-

po te ceo imago dnia karawana chana i towarzyszący . . . Liac odważnych nukerów przeprawili się przez Skrtak skierował swego konia ku nadirtyskim

Stw°Twa dni później dotarli do brzegów Irgizu i po-tanowili zatrzymać się tam na popas.

Sartak poczuł

S. Żył i dostał krwawej biegunki. Chan pożałował, z

nie wziął ze sobą lekarza. Z każdą godziną robił w coraz słabszy i po dwóch dobach, nie odzyskując prz-

tomności, chan Złotej Ordy, chrześcijanin Sartak.

ZmChan Berke, który po spotkaniu z Sartakiem wrócił do swego obozu posępny jak noc, długo nie mógł się uspokoić. Zsiadł z konia, rzucił wodze nukerowi i wszedł do namiotu.

Tam rozpiął wysadzany z otom i drogimi kamieniami pas, założył go sobie na znak «mutku na szyję i zaciął zawodzić:

— O, Allahu! Jeśli wiara proroka Mahometa jest sprawiedliwa, to niechaj gniew twój i twoja zemsta spadną na głowę hańbiącego ją niewiernego Sartaka. Allah zdawał się nie spieszyć z wysłuchaniem jego modlitwy, chociaż była tak głośna, że wszyscy ludzie w obozie mogli ją bez trudu usłyszeć. Minął dzień, drugi, trzeci... I wreszcie przez obozowisko przemknął* konny goniec trzymający w ręku czarną chorągiew. Goniec krzychał: — Ludzie!

Nieszczęście! Umarł chan Złotej Ordy,

Sartak!...

102

Muzułmanie, którzy słyszeli zawođenje Berkego, mówili między sobą:

— Nasz chan jest prawdziwym wyznawcą proroka. Allah usłyszał go i pokarał Sartaka.

Zemsta się dokonała!

Berke nabrał teraz niezachwianego przekonania, że wreszcie wybiła godzina, w której zasiądzie na tronie Złotej Ordy, ale wielki chan Karakorum Mongke znów go pominął i uczynił chanem młodszego syna Batu, Ułaczkiego.

Nie minęło jednak nawet pół roku, kiedy młody chan odszedł z tego świata po wypiciu w czasie uczty zatrutego wina.

i.

9I

-T-

Rozdział trzeci

Sary-Buga, były bokeuł chana Sartaka, stał na urwi stym brzegu Itilu. Daleko w dole płynęła spokojni i majestatycznie wielka rzeka. Pod błękitnym niebe leżał jak okiem sięgnąć ukwiecony, pokryty soczystą trawą step. Pod porywami chłodnego wiatru chylił się ku ziemi wysokie burzany. Jaskółki na kształt czarnych błyskawic wzbijały się ku niebu, by za chwilę opaść nad samą wodę.

Sary-Buga jak zaczarowany wpatrywał się w fale wielkiego Itilu. Dusza w nim śpiewała z radości, ale nikt patrząc na nieruchomą postać Mongoła nie domyśliłby się nawet, jaka burza w nim teraz szaleje.

Przed tygodniem najmożliwi i najbardziej szacowni unieśli Berkego na białym woźniku i uczynili go chanem Złotej Ordy. Spełniło się jego dawne, najskrytsze marzenie.

Nowy chan natychmiast wysłał do Sary-Bugi swojego człowieka. Tulengut, który zjawił się u bokeuła, wyszeptał z szacunkiem:

„Wielki chan powiedział, że kiedyś oślepiony wściekłością jego brat Batu rozkazał zgładzić baatura Kara--Bugę, mężnego i wiernego wojownika Złotej Ordy. Nadeszła pora uspokoić jego duszę. Niechaj zatem nasza łaska spłynie na młodszego brata zamordowanego, Sary-Bugę...”

— Myślę — dodał od siebie tulengut, którego oczy płonęły z zawiści — że chan uczyni cię zarządcą aj-maku lub dowódcą tysiąca.

104

Cienkie wargi Sary-Bugi rozciągnęły się w uśmiechu na to wspomnienie, skośne oczy zamieniły się w wąskie szparki, a zęby wyszczerzyły się jak u wilka

...Batu wydał Kara-Bugę na pastwę Rusa... Nie, Sary-Buga nie jest starą, głupią babą, która wszystko zapomina. To przecież Berke zaproponował dać bratu tysiąc kijów i mówił, że za swoją zbrodnię Kara-Buga będzie, „ja*ko mużułmanin, wiecznie gorzał w piekle. A czyż tysiąc kijów nie jest piekłem? Nie, Berke wcale „nią okazał litości... A z jaką pogardą patrzył na brata Sartak! Czy coś takiego można zapomnieć?

Ponad dziesięć lat trzeba było czekać na chwilę, w której wybiła godzina zemsty... Nie, wcale nie dla zasług Kara-Bugi wzywa go teraz chan. Dawno już uległy zapomnieniu bohaterskie czyny Kara-Bugi podczas zdobywania Otraru i Kermen-kiwe... Potomkowie Czyngis-chana dobrze pamiętają jedynie zło i to nie przeszłość skłania ich do okazywania dobroci...

Wszystkie słowa o zasługach Kara-Bugi wypowiedziane zostały wyłącznie dla tulenguta, żeby rozpowiedział wszystkim o dobroci chana Złotej Ordy.

Za dzisiejsze zasługi winien wynagrodzić Berke-chan swego wiernego niewolnika. Skoro zasiadł na tronie kraju, którego ziem nie da się objechać w pół roku, to czyż nie może uczynić go zarządcą ułusu równego obszarem sześciodniowemu marszowi? Uczyni. Na pewno uczyni, bo Sary-Buga zna wielką chańską tajemnicę...

Twarz byłego bokeuła nagle pobladła, uśmiech zamarł na wargach a dusza napełniła się strachem.

Sary-Buga usłyszał, jak drży ziemia, jak nad stepem przetacza się złowieszczy huk.

Gwałtownie odwrócił głowę. Huk potężniał, narastał i wprawne ucho Mongoła rozpoznało w nim tętent kopyt. Oczy Sary-Bugi rozszerzyły się z prze-

105

rażenia. Zza ostrego łuku Itilu wprost na niego pędził ogromny tabun koni.

Były bokeuł rzucił się w stronę dolinki, w której pasły się spętane wierzchowce i stała jego jurta. Tam była jego żona i dwóch nieletnich synów. Droga jednak była odcięta. Również z tej strony, wzbijając kopytami zasłaniający niebo kurz, toczyła się żywa lawina. Sary-Buga zdążył jeszcze zauważyć pędzącego na czele tabunu ciemnotarantowatego ogiera Berkego, nie znającego, co to uzda lub arkan i z łatwością dającego sobie radę z każdym wilkiem...

Myśląc już tylko o własnym ratunku Sary-Buga znów popędził w stronę urwiska, ale mknące w szalonym pędzie konie były już zbyt blisko. Mongoł upadł na kolana i zakrył twarz rękami...

Potężny, długogrzywy ogier Berkego uderzył go żelaznym kopytem. Ciało Sary-Bugi potoczyło się pod nogi tabunu...

W tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Mongoł, spotkały się dwa tabuny półdzikich rumaków należących do Berke-chana. Zderzając się piersiami? gryząc się, wściekle rżały ogiery. Chrapały kobyły,* a żałosne głosy zagubionych źrebiąt długo jeszcze unc siły się nad stepem.

iX-

Potem oba tabuny uspokoiły się i wolnym, nie koń czącym się strumieniem popłynęły na zachód. Szły długo i zatrzymały się tuż przed zachodem słońca. Ziemia, po której przemknęły tabuny, zamieniła się w proch i nikt nawet nie mógłby się domyślić, że jeszcze niedawno na ich drodze stała jurta i mieszkali ludzie.

Tylko główny chański koniuch Salimgirej zauważył to, na co inni nie zwrócili najmniejszej uwagi. W chwili, gdy konie, niczym żywa lawina, wybiegły zza łuku Itilu, na urwistym brzegu rzeki mignęła mu malutka sylwetka człowieka.

106

Nikom o tym nie powiedział, ale następnego dnia rano wrócił na to miejsce. Jego orli wzrok go nie zawiódł. Na urwisku w roztartej na proch ziemi zauważył niewielki kindżał. Zeskoczył z konia i podniósł go. Końskie kopyta nic nie zdołały zrobić ze świetną damasceńską klingą i rękojeścią wysadzaną drobnymi diamentami.

Salimgirej domyślił się nagle, dlaczego Berke-chan rozkazał przepędzić swoje tabuny nad samym brzegiem Itilu.

Przypatrując się migotliwym kamykom zdobiącym rękojeść kindżału, pomyślał niewesoło: „Widocznie Berke-chan lękał się ciebie, skoro kazał rozdeptać twego właściciela swoimi tabunami. Chytry jest chan, podstępny i okrutny, jeśli wymyślił taką śmierć dla niewygodnego sobie człowieka. Nie na darmo ludzie powiadają, że chan jest zawsze mądrzejszy niż czterdziestu mędrców naraz”.

W kilka dni później Salimgirej ofiarował kindżał ■дегке-CHANOWI. To rzecz cenna, godna tylko chanów, Dowiedział. Znalazłem ten nóż na brzegu Itilu, tam, którą przeszły tabuny...
_tChan uważnie popatrzył na koniucha. Poznał swój kindżał, który wiele lat temu włożył do ręki Sary-Bugi, tłumacząc przy tym, do czego ma go w stosownej chwili użyć. A zatem bokeuła nie ma już wśród żywych i razem z nim umarła tajemnica chana. Na zawsze i dla wszystkich. Allah jest wielki!

Chan podziękował koniuchowi za cenny podarunek, a potem wezwał wezyra i rozkazał mu mianować Sa-limgireja setnikiem.

Stawszy się chanem Złotej Ordy, Berke nie przeniósł swego dworu do Saraju, do pałacu Batu-chana. Jego główny obóz nadal pozostał na ziemiach należącego

107

doń ajmaku, w niewielkim miasteczku Aktiube, leżącym w odległości dziewięciu farsachów od Sarykum. Jednak na wzór założyciela Złotej Ordy rozkazał nazwać swą siedzibę również Sarajem, chociaż oficjalną

stolicą Ordy pozostał Saraj'Batu- . . . +

Jednym z jego pierwszy* poczynań po objęciu tronu był rozkaz wzniesienia meczetu z połączanymi minaretami.

Podobnie jak Batu Ber** nie odznaczał się mocną budową ciała, był średniego wzrostu, szczupły i rucn-Hwy. Podobnie jak większość potomków Czyngis-cha-na, on również odziedziczył P° dziadku złośliwość, zawiść, okrucieństwo i umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. I podobnie jak Jeś° wielki Przodek P°-trafił ukrywać swoje uc^cia i

zamysły. W przeciwieństwie do swojego brata Batu Berke mgdy. III C mścił się otwarcie i Wolał dokonywać tego cudzymi rękami, sam pozostając w cieniu.

Za jego namową Mong* e teg° roku' kiedy stał się władcą wielkiego chanatu mongolskiego w Karakorum, rozkazał wyróżnić jednej »0CY siedemdziesięciu pięciu mongolskich dostojników wraz z najstarszym synem Dżagataja Burim. Nikt nie dowiedział się nigdy, jaką rolę odegrał w tym Berke> który obawiał się rosnących wpływów potomków Ugedeja i Dżagataja.

Berke uważał, że nie nadszedł jeszcze czas otwartego działania. Zresztą po co miałby tak postępować? Nie na darmo mówi się, że Jeśli Allah zechłCe USły" szeć, to usłyszysz nawet najcichszy szePŁ

Daleko sięgały podstępny PlanY Berke2°- Czekał 1Y1~ ko na sprzyjającą chwila- 2eBY unicestwić wszystkich potomków Ugedeja i DżagataJa> na zawsze odciąć te dwie potężne gałęzie rodu Czyngis-chana.

Ale wszystkie jego zamysły pokrzyżował w swoim czasie Batu-chan. Wyprawiając się na Rusów i inne leżące na zachód ziemie wziął ze sobą- AłşuJa zró dzo- 108

nego ze średniego syna Dżagataja, Bajdara, i osiemnastoletniego Kajdu, zrodzonego z syna Ugedeja, Ka-szima.

Szczególnie mocno nienawidził Berke odważnego-i zuchwałego Ałguja, w którym wyczuwał swego największego przyszłego konkurenta. Pragnął jego śmierci, ale lęk przed narażeniem się na wrogość Batu-chana zmuszał go do odłożenia swoich zamysłów.

Berke zawsze cieszył się szacunkiem wielkiego chana Móngkego. Pewnego razu na jego prośbę chan nawet kurułtaj rozkazał zacząć od mużułmańskiej modlitwy. Był to dowód wielkiego uznania dla krewnego^ gdyż sam Mongke nie wyznawał żadnej wiary i czcił jedynie to, co jego przodek Czyngis-chan.

Ostrożność Berkego i jego chytryść pozwalały mu zawsze być jednym z pierwszych wśród potomków „Tego, który wstrząsnął światem”. Wcale dobrze zasłużył się przy zdobywaniu Chorezmu, podporządkowywaniu kipczackich stepów i podczas wypraw na Rusów. Nigdy nie rzucał się na wroga na czele swoich tumenów, ale też nigdy nie zostawał w tyle. Nikt nie widział na jego twarzy strachu. Wprawdzie nie słynął wśród Mongołów ze swego bohaterstwa, jak słynął z niego Nogaj, ale powierzonymi mu wojskami dowodził zawsze rozumnie.

I oto teraz, kiedy Berke przekroczył pięćdziesiątkę, zasiadł wreszcie na tronie Złotej Ordy. Ziściły się dawne marzenia i plany. Wszystko zda się było od dawna przemyślane, ale jednak... Od czego rozpocząć panowanie? Nie od dziś wiadomo, że co innego zasiąść na tronie, a co innego utrzymać się z nim.

Siedzieć na tronie Złotej Ordy znaczyło to samo, co siedzieć na grzbiecie smoka. Wystarczyła byle niezręczność, chwilowy brak uwagi, aby smok zrzucił jeźdźca na ziemię, a drapieżna paszcza pochłonięła swego niedawnego pana.

109

Złota Orda była przy tym niezwykłym smokiem, lecz smokiem siedmiogłowym. Ledwie uspokoi się jedną, a już sześć pozostałych głów tylko patrzy, jak by tu wyrwać kawał żywego ciała. Orda miała rzeczywiście siedem głów: ziemie Kipczaków, Chorezmu, Cho-rasan, ziemie Bułgarów, Krym z jego starożytnymi nadmorskimi miastami - Kaffą i Sudakiem, Kaukaz aż po Derbent i Zachodni Ibir-Sybir.

Batu i Berke wyrosli z jednego korzenia, ale mało byli do siebie podobni. Pierwszy z nich przywodził na myśl orła, drugi natomiast bardziej przypominał jastrzębia. Różnili się lotem i zdobyczą, jaką każdy z nich mógł upolować. Batu potrafił podbijać inne narody, Berke zaś marzył tylko o tym, żeby utrzymać je w posłuszeństwie. Zdawał się czuć, że wystarczy, by rozłożył nieco ręce chcąc schwytać, dodać coś do potęgi Złotej Ordy, a natychmiast zacznie się sypać i rwać to, nad czym na razie jeszcze niepodzielnie panuje.

Na pozór wszystko pozostało tak samo, jak za Batu-chana. Na ziemiach Ordy panował spokój, a lud był pokorny. Ale tak było tylko na pozór. To tu, to tam zjawiali się ludzie pragnący zburzyć porządku ustanowione przez mongolskich chanów. I co najdziwniejsze ludzie ci nie pozostawali samotni. Oddziały ich od razu rosły w siłę, nabierały mocy i potęgi. Zatem lud był pokorny tylko na pierwszy rzut oka. Berke doskonale rozumiał, jak straszliwie niebezpieczne dla Ordy były takie bunt. Ludzie lepiej zapamiętują to, co raz zobaczyli, niż mieliby sto razy usłyszeć, i dlatego chan był umyślnie okrutny dla buntowników, i żaden z nich nie mógł liczyć na jego litość.

Nad Złotą Ordą, wielką i potężną, nieustannie wisiał niepokój i oczekiwanie burzy lub bliskiego nieszczęścia. Mało kto potrafił to w owym czasie wyczuć, ale każdy widział, jak z każdym rokiem ubo-

110

żeje koczownik, który przestał wyruszać na wyprawy i nabijać juki zdobytymi na wrogu łupami, każdy spostrzegł, jak po straszliwych spustoszeniach odbudowują się coraz ludniejsze miasta Rusów. Ani daniny z podbitych ziem, ani myto ściągane z przeciągających przez tereny Ordy kupieckich karawan nie umacniały stworzonego przez Batu-chana państwa, gdyż wszystkie te dochody wpływały do skarbu chana i przeznaczone były na utrzymanie siły wojska. Nawet islam ze wszystkimi swoimi dogmatami i nakazami niewolniczego posłuszeństwa dla władców nie potrafił zjednoczyć ubogiego narodu przywykłego wyłącznie brać i nie umiającego dawać nic w zamian innym.

I nie ze szlachetności, nie z dobrej woli Berke ograniczał się do pobierania daniny z ruskich ziem. Dla tego koczownika niezrozumiały i zagadkowy był naród, który po zabranii mu wszystkiego nie zamienił się we włóczęgów, lecz z niesłychanym uporem nadal wznosił miasta i orał ziemię. Tajemniczą i niepojętą wydawała się ziemia Rusów, której granice ginęły gdzieś daleko na północy za czarnymi lasami i nieprzebytymi bagnami, w których grzęzły mongolskie konie. Węch koczownika podpowiadał Berkemu, iż od rzeczy niepojętych należy trzymać się z daleka i wystarczy od czasu do czasu jedynie najeżdżać Rusów, żeby wróg nigdy nie stał się silny i skłócać między sobą książąt, a resztę pozostawić w rękach Wielkiego Nieba.

Po śmierci Batu-chana, poczuwszy słabość jego następców, podniosły głowy, pociągnęły ku dziedzinom Ugedeja i Dżagataja, Chorezm i Chorasán. Azerbejdżan zagarnął zaś bez walki Hulagu.

Strach ogarniał Berke-chana na myśl, że z potężnej Złotej Ordy mogą pozostać jedynie żalosne strzępy dawnej siły. Utrzymać się na grzbiecie siedmiogło-

111

wego smoka można było jedynie pod warunkiem, że na każdą głowę narzuci się nową uzdę w miejsce ze-tłalej i uchwyci się ją żelazną dłonią. A ręce wyciągające się ku Złotej Ordzie należy bezlitośnie odciąć. Nie będzie to łatwe, ale innego wyjścia nie ma. Nie po to przez tyle lat Berke walczył o tron, aby, gdy wreszcie go zdobył, zostać chanem bez władzy.

Tak myślał Berke stojąc na zboczu wzgórza i przypatrując się budowie nowego meczetu, który swą wspaniałością i pięknem miał podbijać serca muzułmanów i gości odwiedzających jego nową stolicę.

Wznosił go sławny murator, Rumijczyk Kolomon. Dawno temu, kiedy dzielne wojsko Hulagu po raz pierwszy wkroczyło na ziemie Ormian, Kolomon dostał się do niewoli. Berke wyprosił go od krewnego, bo już wówczas marzył o wzniesieniu wspaniałego meczetu, ale Rumijczyk nie podporządkował się rozkazowi. Jestem chrześcijaninem, powiedział, i nie godzi mi się budować domu obcemu Bogu...

Mistrz był zakamieniały w swym uporze i kilkakrotnie próbował ucieczki, więc Berke rozkazał zakuć go w kajdany. Teraz, kiedy został chanem Złotej Ordy, Berke przypomniał sobie o istnieniu Kolomona i polecił mu stawić się przed swoje oblicze.

— Jeśli zbudujesz meczet, któremu nie dorówna żadna świątynia całego muzułmańskiego świata, wówczas obdarzę cię wolnością — powiedział chan.

— Mówisz prawdę, wielki chanie? — zapytał Kolomon.

— Tak. Chan nigdy nie powtarza swego słowa i nigdy go nie cofa.

Stęskniony za wolnością Rumijczyk zamyślił się głęboko.

— Zgoda — odparł wreszcie. — Kocham swoją wiarę, aie wolność kocham jeszcze bardziej...

T(? Właśnie rozmowę wspomniał teraz Berke na

112

widok Kolomona. Obnażony do pasa Rumijczyk, muskularny i opalony na brąz, z powiewającą na wietrze rudą brodą przypatrywał się rysunkowi nakreślonego na czarnej deszczulce. Wokół niego mrowili się niewolnicy dźwigający kamienie i cegły.

Kolomon obrócił się nieco i chan zobaczył skuwa-jące go łańcuchy. Wargi Berkego wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu. No cóż, musiał wydać taki rozkaz, gdyż w przeciwnym razie przekłety giaur znów mógłby próbować ucieczki. Ma czterdzieści lat, jest jeszcze pełen sił i nikt nie wie, co roi mu się w głowie.

Berke stał bez ruchu, patrząc na to, co działo się w dole. Twarz miał zupełnie bez wyrazu.

Równie nieruchomo i w najgłębszym milczeniu, aby nie zakłócić rozmyślań chana, stała za jego plecami świta.

Nowy chan miał o czym rozmyślać. Wiedział, że budowa meczetu sama przez się nie zapewni mu jedności Ordy, a mimo to uważał, że postępuje słusznie. Meczet jest symbolem władzy, a lud kocha takie symbole.

Berke był człowiekiem skrytym. Jego myśli i planów nie znali nawet najbliżsi. Straszne było to, co zamyślał i dlatego nikomu nie mógł zwierzyć swej tajemnicy.

Złota Orda jest olbrzymem. Zajmuje trzecią część imperium utworzonego przez Czyngis-chana, ale nadal, podobnie jak za jego życia, zależy od Karakorum i każde swe posunięcie musi uzgadniać z panującym tam chanem.

»Ten, który wstrząsnął światem" dobrze w swoim czasie przemyślał wewnętrzny kształt państwa mongolskiego. Podzielił je na ułusy i każdy z nich oddał we władanie jednemu ze swych czterech synów. Ułusy dzieliły się z kolei na ajmaki, którymi zarządzili synowie jego synów. Zgodnie z najsroższym przykazaniem wielkiego kahana ajmaki winny

podporządko-

— Złota Orda

ИЗ

wać się ułusom, a wszyscy razem wielkiemu chanowi w Karakorum.

Dawno odszedł ze świata groźny Czyngis-chan, a jego potomkowie święcie przestrzegali ustanowionych przezeń porządków. Co roku odsyłali do Karakorum całą daninę zebraną przez nich wśród podbitych narodów, wszystko, co udało się im zdobyć podczas łupie-skich wypraw. Tylko wielki chan Karakorum miał prawo dzielić zdobycz i decydować, co się komu należy. Zapewniwszy sobie poparcie kurułtaju mógł w ogóle zabrać wszystko i oddać komuś jednemu na przygotowania do nowej wyprawy.

Wielki i potężny był ten, kogo unoszono na białym wojułoku w Karakorum.

Trzeci syn Czyngisa, Ugedej, gdy stał się chanem nie mógł dokonać tego, co uczynił jego ojciec. Zdołał jednak utrzymać w całości państwo mongolskie i wysławszy na wyprawy odważne wilczęta — Batu, Gu-juka, Buriego, Kubiłaja, Hulagu, Bajdara, Móngkego Kajdu i Nogaja — rozszerzyć jego granice.

Kiedy natomiast na tronie Karakorum zasiadłJ3u-juk, szczęście jakby odwróciło się od Mongołów. Zwycięskie bitwy na obcych ziemiach ustąpiły miejsca wewnętrznym waśniom i bratobójczym walkom.

Obecnie za wielkiego mongolskiego chana Karakorum uważany jest Mongke, ale i on nie ma żelaznej woli swojego przodka. Dlatego dwaj jego bracia, dwa wilczki z gniazda najmłodszego syna Czyngis-chana — Tołuja — Kubiłaj i Hulagu już zaczynają pokazywać zęby. Pierwszy z nich podbił Północne Chin* drugi zaś Iran. I nie upłynie zbyt wiele czasu, gó-Hulagu stanie się ilchanem całego Iranu, a niebawem i Kubiłaj ogłosi się cesarzem Chin... Niedaleka już jest godzina, w której rozpadnie się wielkie imperium Czyngisa, czyż zatem i Złota Orda nie winna już stać się samodzielna? Jak długo bo-

114
gactwa płynące z jej ziem będą tuczyć Karakorum? I czy jeśli nadal tak postępować, to czy Orda zdoła zachować swoją potęgę?

Wąż, który nie rośnie, nie stanie się smokiem; tron, który nie stoi na złocie wcześniej czy później musi się zachwiać, a wówczas może poń sięgnąć każdy, kto tego zapagnie.

Berke-chan myślał o samodzielnej, podległej tylko jemu Ordzie i była to jego najsekretniejsza, najbardziej paląca myśl. Nikomu z niej nie odważył się zwierzyć, gdyż znał bezwzględność Móngkego... Musiał zatem czekać, aż któryś z potomków Czyngis-chana spróbuje usamodzielnąć się pierwszy i dopiero wtedy...

Żrenice skośnych oczu Berkego nagle rozszerzyły się i pociemniały, a żółtawa twarz nabiegła krwią.

— Przyprowadzić tu niewolnika Kolomona! — rzucił przez ramię.

Jeden z nukerów pospiesznie ruszył w dół zboczem wzgórza.

Popędzany przez nukera Rumijczyk zaczął wolno wspinać się na górę. Ta powolność muratora doprowadziła chana do wściekłości, której jednak starał się nie okazać. A tymczasem Kolomon zatrzymał się o jakieś dwadzieścia kroków od niego, uniósł twarz i powiedział:

— Berke-chanie, moje łańcuchy są zbyt ciężkie, abym mógł szybko się wspinać. Minie jeszcze wiele czasu, zanim zbliżę się do miejsca, w którym stoisz i padnę do twoich nóg. Uznaj, że już to zrobiłem. Słucham cię...

Y* Niepokorny Rumijczyk nigdy nie nazywał chana "m wielkim", za co już niejednokrotnie karany był chłostą i więziony całymi tygodniami w głębokim lochu, ale nie mogło złamać jego dumy.

Berke milczał, wpatrując się weń pociemniałymi ze wściekłości oczami.

115

— Samobójstwo uważane jest przez chrześcijan za wielki grzech — powiedział Kolomon. — Ale będę szczęśliwy, jeśli twój miecz spadnie na moją głowę. Śmierć oznacza bowiem koniec niewoli...

Chan zdawał się nie zwracać uwagi na jego zuchwałość. Zapytał tylko:

— Rozkazałem ci wymurować fundament meczetu z kamienia, dlaczego więc nie usłuchałeś mnie i robisz go z cegły? Meczet może runąć...

Runiijczyk zmrużył ironicznie oczy.

— Wszystko jest w rękach Allaha. Po cóż zatem miałby On burzyć to, co zostało wzniesione ku jego chwale?

Berke zaczął mówić cichym głosem dławionym wściekłością:

— Meczet zbudowany przez chana Złotej Ordy winien stać wiecznie...

Kolomon pokręcił głową, udając, że nie zauważa gniewu Berkego.

— Świątynie i meczety stoją długo nie dlatego, że wzniesione zostały z rozkazu władców, lecz dlatego, że budują je ludzie, którzy się na tym znają. Mur z palonej cegły i zaprawy wapiennej jest trwalszy od kamienia...

— To znaczy, że nie chcesz wykonać mego rozkazu?... — zapytał łagodnie chan.

— Na-wet głupi wykona mądry rozkaz, ale słowa głupiego człowieka mogą najmądrzejszego sprowadzić na manowce — odparł wyzywająco murator.

— Jesteś zatem mądrzejszy ode mnie?

Gdyby Kolomon stał w pobliżu, na pewno pożegnałby się już z życiem, zapłaciłby głową za swoją zuchwałość. Cofnęli się w przerażeniu nukerzy, doradcy, no jonowie. Znali swojego władcę i wiedzieli, że ogarnięty zimną wściekłością potrafi rzucić się z mieczem na każdego, kto nawinie mu się pod rękę.

116

Chan jednak uspokoił się równie szybko, jak wpadł we wściekłość. Kolomon uśmiechnął się. — Czemu się śmiejesz, Rumijczyku? — zapytał Berke.

Murator zmrużył swoje niebieskie oczy i odparł-

— Słuchając twoich wymysłów przypomniałem sobie przypowieść, którą opowiadają ludzie w mojej ojczyźnie...

— Opowiedz ją zatem i nam — zezwolił łaskawie chan.

— Pewnego dnia kozioł wdrapał się na wysokie urwisko — rozpoczął Rumijczyk — i zaczął wymyślać wilkowi najgorszymi słowami. Przeklinał go i przeklinał, ale po jakimś czasie się uspokoił. Wówczas odezwał się wilk: „Dlatego jesteś koźle taki odważny, że nie mogę się w tej chwili do ciebie dobrać. Ale to jeszcze może się zmienić...”

Berke z trudem stłumił nowy napad wściekłości.

— Podejdź do Rumijczyka — rozkazał spokojnie jednemu z nukerów — i utnij mu głowę... I nagle chan spostrzegł, że twarz muratora pobladła, a w jego oczach zapłonął strach. Berke roześmiał się.

— Gotów jesteś na śmierć, Rumijczyku?

— Czekam na nią od chwili, kiedy dostałem się do niewoli, bo śmierć będzie wyzwoleniem od męk, które stały się moim udziałem... Kto jednak dokończy budowy twojego meczetu?

Berke zamyślił się. Zbliżył się doń Sauk i powiedział półgłosem:

— Wielki chanie, daruj życie zuchwałemu giuuro-wi. Meczet jest tego wart. Jego wspaniałość sprawi, że potomkowie zachowają twoje imię w wiecznej pamięci...

J r

Chan uniósł rękę, wstrzymując tym gestem nukera, Który już trzymał swą krzywą szablę nad głową Конотопа.

117

— W twoich oczach, Rumijczyku — powiedział Berke _ p0 raz pierwszy dojrzałem strach. To dobrze... Daruj ci życie. Dać mu sto batów.

zwrócił się i odszedł. Nie widział, jak pojaśniała twarz niewoinika, a westchnienie ulgi wyrwało się z Jego piersi. Chan szedł przed siebie i myślał, że Rumijczyk chyba stracił rozum. Przecież śmierć rzeczywiście byłaby dla niego wyzwoleniem z niewoli. Jest (chrz^cijaninem, dlaczego więc jego ostatnie słowa dotyczą meczetu? Mnie jest on potrzebny, ciągnął swoją myśl> aby umocnić ducha muzułmanów i rozślawić Swoje imię. Rumijczyk zaś doskonale wie, że i ta^ nie wybaczę mu jego zuchwałości i rozkażę zgładzić, gcy tylko meczet zostanie skończony.

clian nie zrozumiał pobudek muratora. Skąd mógł wiedzieć człowiek wychowany na stepie, gdzie nawet powietrze przesycone jest zapachem krwi i żądzą ni-

I szczenia, że są na świecie inni ludzie, których dusza

może przebywać w cudownym świecie, jeśli nawet ciało jęczy z bólu. Nie znał najwspanialszej ze wszystkich, ogromnej radości tworzenia...

Kłaniając się co chwilę w pas, zbliżył się setnik oail*ngirej.

-^ Wielki chanie — powiedział szeptem, nie odważając się podnieść oczu. — Barakczikatun z dziesięcio-ma strażnikami przepawiła się przez Kumbel. W

chan podniósł głowę. Nie od razu otrząsnął się z zadurzenia (i zagadkowym postępowaniem Rumijczyka, wi(?<ł chociaż bez trudu domyślił się, dokąd skierowała się Barakczikatun, zapytał z nadzieją w głosie:

— Może udała się na przejażdżkę?

S[^]alimgirej skłonił się jeszcze niżej.

-[^] Moi ludzie myśleli tak samo, dopóki jej oddział nie zaczął schodzić z przełęczy. Kobiety są uzbrojone i najprawdopodobniej kierują się do Iranu, do chana Hulagu.

118

Barakcziki-katun była wdową po Batu, matką poprzednich chanów Złotej Ordy — Sartaka i Ułakcziki-g0 — Tatarką z rodu Ałczin i wyznawczynią wiary chrześcijańskiej. Ta cicha, niepozorna kobieta była nieubłaganym wrogiem Berkego. Poróżniła ich wiara, ale w jeszcze większym stopniu walka o władzę.

po śmierci Sartaka z woli wielkiego chana Mongołów z Karakorum chanem Złotej Ordy został Ułakcziki. Nie skończył jeszcze wówczas nawet siedemnastu lat i dlatego w imieniu syna miała na razie sprawować władzę mądra i dalekowzroczna Barakcziki-katun.

Kiedy jednak młody chan nieoczekiwanie zmarł i Berke wreszcie dopiął tego, że uniesiono go na białym woźniku, Barakcziki-katun zrozumiała, że jej dni są policzone. Znając usposobienie Berkego wiedziała, że nie ujdzie śmierci. Mongołowie nigdy nie wybacжали krzywd, nie znosili wokół siebie konkurentów. Katun żałowała ponieważ, że nie namówiła w porę Batu-chana do zgładzenia Berkego. Teraz żąda zemsty za synów i pragnienie przywrócenia władzy nad Złotą Ordą popychały ją do czynu.

Barakcziki-katun wysłała do Iranu, do chana Hulagu, zaufanego człowieka. Hulagu powodowany nienawiścią do Berkego, którego uważał za swego konkurenta i wroga, zgodził się wziąć pod ochronę starą katun.

I oto teraz Barakcziki-katun uciekła. Berke nie byłby sobą, gdyby tego nie przewidywał i dlatego polecił nieustannie szpiegować starą władczynię. Doniesienie Salimgireja nie było dla niego niespodzianką.

— Dobrze... — powiedział chan i skóra twarzy napięła mu się na wystających kościach policzkowych. Postanowiła szukać pomocy u swego współwyznawcy Hulagu... — Obrócił się gwałtownie do Salimgireja. — 'Weź swoją sotnię i dopędź ją... Chcę mieć jej głowę...

119

Sauk drgnął.

— przecież to wdowa po Sajn-chanie, sprawiedliwym Batu... To twoja krewna. Jak możesz ją zabić? Niech ucieka... Jaką szkodę może ci wyrządzić kobieta?...

Berke nawet nie raczył spojrzeć na swego sędziwego doradcę.

— Jeśli dzisiaj ją oszczędzę, to jutro ona połączy swe siły z chanem Hulagu i wówczas nie będzie miała litości dla mnie. Pędźcie co koń wyskoczy i uczynicie to co rozkazałem!...

Sauk już się nie odezwał. Zbyt dobrze znał chana, aby jeszcze się łudzić, że cokolwiek zdoła poruszyć jego kamienne serce. Pamiętał przecież, iż to właśnie za podstępłą namową

Berkego Mongke wymordował w Karakorum niemal stu potomków Ugedeja i Dża-gataia.

Wiedział, że Barakcziki-katun nic nie znaczyła dla władcy Złotej Ordy.

Berke nagle przerwał głuchą ciszę: — Niechaj lud pozna mnie nie tylko jako dobrotliwego chana wznoszącego meczety... Niechaj dojmie się, że jestem surowy i w sprawiedliwym gniewie nie zawahałem się rozkazać uciąć głowę nawet żonie rodzonego brata, wielkiego Batu-chana... Winniśmy zawsze pamiętać nauki Czyngis-chana, który mówił, że lud szanuje swego władcę tylko wówczas, gdy się go boi...

Następnej nocy krępy Mongoł o szerokiej, pozbawionej brwi twarzy nisko pokłonił się chanowi i podał mu jedwabną chustę, w którą zawinięta była głowa Barakcziki-katun...

Berke popatrzył na twarz zmarłej i przebijając paciorki różańca jako prawowierny muzułmanin odmówił modlitwę i rozkazał pochować głowę ze wszystkimi honorami należnymi przy pogrzebie członkom chańskiej rodziny. Jeszcze jednego wroga osiągnęła jego zemsta...

120

Nadszedł czas, aby pomyśleć o innych sprawach, zapobiec nowym kłopotom. Chwiejącą się w posadach Złotą Ordę należało umocnić, znów uczynić ją tak potężną i groźną, jaką stworzył ją wielki Batu. Berke zazdrościł bratu sławy, zazdrościł i próbował dociec, jak udawało mu się zawsze osiągnąć to, czego zapragnął.

Podbijając Mawarannah, Czyngis-chan nie napotkał na swej drodze poważniejszego oporu. Padły kolejno Samarkanda i Buchara, a wiele twierdz otwierało swe bramy, nawet nie usiłując walczyć z Mongołami. Trochę kłopotu sprawiły Otrar i Sygnak, ale tylko miasto Chodżent odważnie stanęło do walki z dzikimi hordami.

Kiedy mongolskie tumeny dotarły do górnego biegu rzeki Sejhun i obieły Chodżent, emir miasta, Temir Melik nie otworzył jego bram. Był to człowiek potężnej budowy, miał urodziwą smagłą twarz, był odważny i zuchwały. Twierdza miała niewielu obrońców, konnica koczowników przysłana na pomoc przez chorezmszacha zdradziła i zawczasu uciekła za mury, ale emir wierzył w odwagę swoich ludzi. Wraz z wojownikami nieustannie znajdował się na murach obronnych strzelając z łuku i rzucając na wroga ciężkie kamienie. Po kilku próbach wzięcia miasta ь marszu Mongołowie zaprzestali ataków w oczekiwaniu na posiłki. Nie potrafili od razu złamać emira, o którym po wielu latach napisze irański historyk Dżuwejni: „Temir Melik był prawdziwym bohaterem. I gdyby potężny Ku-stem, bohater poematu «Szahrame», żył w owych czasach, to nadawałby się co najwyżej na jego koniucha”.

Siły Mongołów i obrońców miasta były nierówne, więc kiedy przyszła zła godzina, Temir Melik z pozostałymi przy życiu wojownikami ukrył się w kamien-

121

nej cytadeli, Chazarze, która stała na niewielkiej wysepce pośrodku Sejhunu. Nie dolatywały tam strzały z łuków i kamienie z chińskich machin oblężniczych.

Rozwścieczeni swym niepowodzeniem i wytrwałą obroną chodżentczyków Mongołowie spędzili pięćdziesiąt tysięcy niewolników z Otraru, Buchary, Samar-kandy i kazali im budować most na wyspę.

Kamienie, z których miała być usypana grobla, wydobywano w odległości trzech farsachów od rzeki. Nie kończąca się procesja wynędzniałych, głodnych i obdartych ludzi dzień i noc ciągnęła z kamieniołomu do rzeki.

Ale Temir Melik nie pozwolił Mongołom doprowadzić budowy do końca. Co noc dwanaście łodzi dowoziło jego wojowników do przeprawy, żeby mogli zburzyć to, co zostało wzniesione w ciągu dnia. Zapalające strzały Mongołów były bezsilne wobec łodzi pokrytych wołokami nasyconymi mokrą gliną.

Po jakimś czasie na wyspie zaczął się głód. Wówczas Temir Melik załadował swoich wojowników na łodzie i postanowił popłynąć w dół Sejhunu.

Dziwna to była wyprawa. Po obu brzegach rzeki ścigały ich oddziały mongolskiej konnicy, która w miejscach, gdzie nurt się zwężał, zasypywała łodzie gradem strzał.

Temirowi pozostawało coraz mniej wojowników. Płynął jednak z nimi dalej, dopóki nie nadszedł czas ostatniej próby. Na rozkaz Dżucziego koło twierdzy Dżent zbudowano na rzece zapórę z nadmuchanych bydlęcych skór wzmocnionych pniami drzew.

Temir Melik wylądował i z niewielkim oddziałem uszedł na pustynię Kyzyl-Kum. Pogoń jednak trwała. Wreszcie wrogowie dopadli rannego, broczącego krwią bohatera. Było ich trzech, on pozostał sam. Leżący pod krzewem saksaułu, niezdolny już się poruszyć Temir Melik krzyknął do Mongołów:

122

— Jest was trzech, a ja mam trzy strzały. Jeśli chcecie żyć, zawracajcie!

Zdumieni jego męstwem wojownicy uznali po krótkiej naradzie, że i tak śmierć go nie minie i odjechali.

Ale Temir Melik nie zginął i zdołał dotrzeć do Cho-rezmu. Tam, na rozkaz Muhammeda, został dowódcą wojsk broniących Urgenczu, gdzie też o jego męstwie zaczęto opowiadać legendy.

Kiedy stało się jasne, że dla Chorezmu nie ma ratunku, Temir Melik wraz z nieustraszonym synem szacha, Dżelal ad-Dinem i trzystoma wojownikami uszedł do Chorasaniu.

Tak było w owych dalekich latach. Chodżent, zburzony i tonący w krwi zwyciężonych, podarował Dżu-czi piętnastoletniemu Berkemu, którego wraz z bratem Berkedżarem wychowała jedna z żon Dżucziego — Henikej-begi — która przyjęła wiarę muzułmańską. Tam właśnie, otoczony stale biegłymi* w piśmie, stał się Berke podobnie jak jego brat prawowiernym wyznawcą islamu.

Czas upływał. Berkedżar został władcą Suzaku, a Berke, pozostawiwszy za radą ojca Chodżent swojej macosze Henikej-begi, odszedł wraz z nim na kipcza-ckie stepy.

I oto teraz, kiedy Berke stał się wielkim chanem Złotej Ordy, myśl jego coraz częściej powracała do Chodżentu, Samarkandy i Buchary.

Chan, marzący o przywróceniu Złotej Ordzie wielkości i potęgi, miał swoje plany. Pragnął zjednoczyć wszystkie plemiona i narody pod sztandarem islamu, gdyż wierzył, że jedynie islam pozwoli mu porachować się z takimi wrogami jak Hulagu.

Nie mógł zwlekać z urzeczywistnieniem swych zamiarów, ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Główne siły Ordy składały się z Kipczaków, Tatarów,

123

Bułgarów, Guzów, Alanów i innych koczowniczych plemion podbitych w swoim czasie przez Mongołów. Tych koczowników trudno byłoby nazwać prawdziwymi muzułmanami. Nie mieli ani meczetów, ani me-dres. Wśród nich było bardzo niewiele, którzy by, tak jak tego wymaga islam, pięć razy na dobę odmawiali namaz, zatem bardzo trudno byłoby z nich uczynić obrońców wiary, jeśli w ogóle było to w ich wypadku możliwe.

Nie. Należało zacząć od miast Mawarannahru, gdzie większość mieszkańców wyznawała prawdziwą wiarę, gdzie wznoszono meczety i medresy, a ulemowie, rau-ridowie i imani mocno trzymali lud w garści.

Berke chciał rozślawić swoje imię i dowieść światu, że on jeden spośród potomków Czyngis-chana jest nadzieją i podporą islamu. Spodziewał się przeciągnąć w ten sposób na swoją stronę duchowieństwo, sprowadzić go na tereny Deszt-i-Kipczaku, aby odprawiało modły w meczetach wzniesionych przez niego w miastach Złotej Ordy i uczyło koczowników zasad islamu.

W tym celu, aby ukryć do czasu swoje rzeczywiste zamiary, chan Berke ogłosił, że udaje się do Buchary po to, aby zapoznać się ze świętobliwymi mężami tego miasta i dać im dowody swojej chańskiej łaski.

Był jeszcze jeden powód tej wyprawy, ale chan na razie trzymał go w tajemnicy.

Po zagarnięciu Mawarannahru Czyngis podzielił między swoich synów wziętych do niewoli rzemieślników. Swój udział otrzymał również i Dżuczi.

W Bucharze mieszkało około pięciu tysięcy złotników, kowali, budowniczych domów i meczetów, którzy byli własnością Ordy. Byli tacy ludzie również w Chodżencie i Benakencie. Wszystkie ich wyroby, cała zapłata za ich pracę winna trafiać do skarbu Ordy. Jednak w ostatnich latach ten strumień złota się

124

zmniejszył i Berke podejrzewał, że nie obeszło się tu bez ingerencji potomków Dżagataja i Ugedēja, którzy zagarniali część tego, co wedle prawa powinno należeć do niego. Na coś takiego nie wolno się było godzić.

Wiosną następnego roku chan Berke w asyście dziesięciu tysięcy wojowników przybył do Buchary.

Z honorami należnymi chanowi powitał go u zachodniej bramy darugaczi miasta Musabek, mężczyzna o wyglądzie Persa. Ryczały surmy, rżały nienawykłe do takich dźwięków kipczackie konie.

Po wypowiedzeniu stosownych w takich razach słów powitania, Musabek jeszcze raz nisko pokłonił się Berkemu.

— Wielki chanie — powiedział — pozwól, że odprowadzimy teraz ciebie i towarzyszących ci dzielnych wojowników do obozowiska, które urządziliśmy poza obrębem miejskich murów...

Berke zachmurzył się.

— Czyżby w waszych pałacach nie było dość miejsca?

Darugaczi zmieszał się.

— Nasze pałace są obszerne, wielki chanie — powiedział — ale...

— Mów!

Musabek uniósł głowę i popatrzył w twarz chana swymi przenikliwymi ciemnymi oczami.

— W mieście jest niespokojnie... Na wieść o twoim przybyciu jego mieszkańcy zaczęli się burzyć niczym woda wrząca w saganie. Zwłaszcza rzemieślnicy będący własnością Złotej Ordy.

— Z czego są niezadowoleni?

— Ludzie powiadają, że cały ich zarobek trafia do Złotej Ordy i że przez to nie mają z czego utrzymywać żon i dzieci... Powiadają: „Niechaj chan okaże nam odrobinę litości albo każe wymordować...”

Twarcz Berkego wykrzywiła się z wściekłości.

125

— Stęsknili się za rzezią! — warknął. — Chcą mnie nastraszyć... Radzisz mi więc zatrzymać się za miastem?...

— Tak. Po co drażnić wściekłe psy?—

— Nie! — powiedział Berke-chan. — Nie zawrócę swego konia! Nauczę ich, jak trzeba witać swojego władcę! — I zwróciwszy się do Salimgireja rozkazał: — Prowadź karawanę!

*

Chan nie posiadał się ze wściekłości.

Karawana wolno przeciągała przez bramę w murach obronnych. Wojownicy w błyszczących kolczugach otaczający chana na swych gniadych koniach trzymali w pogotowiu długie włócznie.

Zapadał zmierzch. Od szmerzących aryków ciągnęło wilgotnym chłodem, w ciemnych sadach śpiewały słowiki. Na czarnym aksamicie nieba zapłonęły jaskrawe gwiazdy.

Na czele karawany jechał darugaczi Musabek i setnik Salimgirej. Ciężka, przytłaczająca cisza otoczyła jeźdźców. Berke poczuł się nieswojo. Nienawidził zamkniętych przestrzeni, w miejskiej ciasnocie bywał tylko podczas zaciekłych bitew, teraz więc mimo woli się wzdrygnął. Może jednak należało posłuchać rady darugacziego i stanąć obozem za murami? Ulica wiodąca ku głównemu placowi miasta skręciła nagle i zaskoczony Berke odruchowo powstrzymał konia. Ulica była pełna ludzi. Ludzie stali w milczeniu i tysiące kopających pochodni płonęły nad ich głowami. Odblaski płomieni skakały po ich twarzach i dlatego wydawało się, że tłum kołysze się w ciężkim, groźnym rytmie. Dla chana był to widok niezwykle i przerażający.

Straż przyboczna zamknęła go w ciasnym kręgu. Wojownicy dobyli krzywych szabel i unieśli je wysoko nad głowami. Purpurowe światła płomieni zaigrały na klingach.

126

Tłum trwał w nieruchomym milczeniu, zagradzając dalszą drogę. Odwrot wąską ulicą też był niemożliwy i jedynie spokój i zimna krew mogły w tej sytuacji uratować chana. Zdał się więc na los szczęścia, spał konia i ruszył do przodu.

Tłum rozstąpił się w milczeniu przepuszczając chana. Ciszę zakłócało jedynie zdławione rżenie niespokojnych koni.

Berke dygotał z przerażenia, bo wiedział, że wystarczy czyjś sygnał, aby żywa rzeka w jednej chwili zmiażdżyła i jego samego, i nukerów z obnażonymi szablami. Walki nie będzie, będzie po prostu błyskawiczna rzeź.

Ale ludzie trwali w bezruchu i karawana bez większych przeszkód dotarła do głównego placu miasta. Wydawało się, że już jest po wszystkim, ale właśnie w tym momencie z bocznej ulicy wypłynęła nowa ognista rzeka, która zagroziła drogę karawanie.

Salimgirej i Musabek zatrzymali konie, zerkając niespokojnie na chana, gdy z tłumu wyszedł na przód wysoki chudy mężczyzna w błękitnym zawoju na głowie.

Berke, dławiąc się ze strachu i wściekłości, napał na niego koniem.

— Czego chcecie? — krzyknął. — Kto ośmielił się zastąpić drogę chanowi Złotej Ordy?

— Wielki chanie! — Mężczyzna w błękitnym za-woju patrzył na niego bez lęku. — Lud ma do ciebie trzy prośby...

— Mów...

— Chanowie nie są bogami, aby przez całe życie trzymać ludzi w niewoli. Nawet morderców rzadko skazuje się na dożywocie... Wszystko ma swoje granice... Wielu rzemieślników wziętych do niewoli przez Mongołów i oddanych na własność domowi Dżuczy-dów zestarzało się i zniedołężniało. Teraz ci ludzie nie

127

mogą już robić tego, co robili dawniej. Pierwszą zatem prośbą jest prośba o zwrócenie im wolności. Urodzili się jako wolni, więc niechaj nie umierają w niewoli. Berke już się opanował. Prośba była łatwa do spełnienia. Bo jakąż to korzyść ze starców...

— Dobrze — powiedział. — Uwolnię ich.

— Druga prośba ludu... — Mężczyzna zawahał się. — Jest tu niemal pięć tysięcy kowali, snycerzy i rymarzy należących do Złotej Ordy. Wielu z nich zostało niewolnikami twego dziada Czyngis-chana we wczesnej młodości. Teraz dawno już pozakładali rodziny, ale ponieważ twoi ludzie zabierają im wszystkie zarobki — żyją w wiecznej nędzy, nigdy nie najadają się do syta i nie mogą kupić sobie przyodziewku. Wielki chanie, lud prosi, abys rozkazał zabierać tylko trzecią część ich zarobku...

Oczy Berkego zwęziły się.

— A czego żądają rzemieślnicy należący do innych chanów?

— Tego samego...

Berke popatrzył na tłum, w którym wielu ludzi było uzbrojonych w maczugi.

— Żądają z maczugami w rękach?

Mężczyzna w błękitnym zawoju nie odwrócił wzroku.

— Kiedy idzie o życie — powiedział — można chwycić nie tylko za maczugi...

Chan znów popatrzył na tłum. Odblaski pochodni padały na surowe twarze ludzi, odbijały się w ich oczach. Tacy gotowi są na wszystko, pomyślał, i strach znowu ścisnął mu serce.

Berke w swym życiu widział wiele powstań przeciwko Złotej Ordzie, sam brał udział w ich tłumieniu, ale w ten sposób, twarzą w twarz z ludzką nienawiścią zetknął się po raz pierwszy.

Miał wielką ochotę odmówić, ale nie czuł się wystarczająco mocno

128

na tronie, żeby zdobyć się na taką zuchwałość. Postanowił zatem zyskać na czasie, okrzepnąć i dopiero potem...

— Trzecia prośba ludu... Niechaj dzieci twoich niewolników, tak samo jak dzieci wolnych mużułmanów zyskają prawo uczęszczania do medres i uczenia się pisma.

Berke spodziewał się wszystkiego, ale to żądanie go zaskoczyło. Mongołowie nie mieli pisma, ale kiedy wielki Czyngis-chan stworzył swoje niezwykłe królestwo, rozkazał zapisywać mongolskie słowa literami alfabetu ujgurskiego. Tak powstała „Złota Księga”,

historia życia i dokonań „Tego, który wstrząsnął światem”, czyli „Tajna Historia Mongołów” przeznaczona dla jego potomków. Uczyć się czytania i pisania mogli jedynie Czyngisydzy i Mongołowie ze szlacheckich rodów. A tutaj, w Bucharze, szalona czerń chciała równać się z najgodniejszymi.

— Nigdy! — powiedział twardo chan.

Wydało mu się, że tłum nagle rzucił się na niego. Zarżały przestraszone konie.

— Pomyślmy... — powiedział nieoczekiwanie chan. — Przyjdiesz jutro do pałacu i wówczas objawimy swoją wolę.

Odwrócił się od mężczyzny w błękitnym zawoju, spał konia i wjechał w tłum...

Rankiem następnego dnia mężczyzna w błękitnym zawoju udał się do pałacu. Ludzie zatrzymywali go na ulicach, odradzali samotną wyprawę do jaskini lwa, ale on odpowiadał im niezmiennie:

— Wszystko może się zdarzyć, wszystko jest w ręku Allaha... Ale nic się nie zmieni, gdy chan zamyśla coś złego, jeśli pójdziesz ze mną jeszcze dziesięciu czy stu innych. Ma ze sobą dziesięć tysięcy wojowni-

9 — Złota Orda

* nn

ków, *ięc nie złęknie się żadnej siły^ PoJ*.niepotrzebne ofiary? Wypadło mi spełnić obowiązek, a za

tern g0 spełnię...

dobrze Znał życie

M^czyzna w błękitnym zawoju

^

i widział, jak trudno jes^poc^ać•

* ^ ^

nych, nieszczęśliwych 1и<ш-

^ ^^ roz_

oceanu, wielkiego i groznego

Fvzyiazd chana

kołysać, potrzebny jest su y

A le chan ob.e_

Złotej Ordy Pozornie wzbu^y

^^ ^

cywał spełnić prośby i ша чи

rzył w słowo władcy...

ierwszy okazał niepo-

Jprlnak lud Bucharu po raz v^

j JeflI

„„

„7I^7IPII wczoraj strach w o-

śluszeństwo. Wszyscy w dzieli w j czach Berkego i wiedzieli, że chan na zawsze zapa^

czacn вы s tworze ludzi i odblask płomieni

mięta tę noc, surowe twarze iuu

"StSStta lat deptały tj ziemię mongolską konie i przez czterdzieści lat ludZle pokornie chylili głowy przed knutem. Wydarzenia ostatniej nocy dowiodły jednak, że ludzie zaczęli się powoli budzić ze 7u± wiedzą czego chcą, i że również w przyszłości Tędą walczyć «oswoję P-wa. Wielką jest potęgą Złotej Ordy, ale nawet ona nie zdoła złamać narodu złączonego jedną myślą. Naród w końcu zwycięży.

Bez lęku szedł mężczyzna w błękitnym zawoju do pałacu, w którym zamieszkał chan

Wiedział, że do tym, co wczoraj uczynił, nie zdoła skryć się ani uciec z miasta. Przez całą noc wokół jego domu krążył; • ludzie darugacziego, śledzili każdy jego krok. Ale to, co ma się stać, i tak się stanie...

W pałacu czekali na mężczyznę w błękitnym zawoju. Tulenguci bez słowa obszukali go i zaprowadzili do sali, w której siedział Berke.

Chan długo i uważnie wpatrywał się w przybysza.

Nagle zapytał:

— Jesteś chrześcijaninem?

130

Mężczyzna w błękitnym zawoju spostrzegł, że chan wygląda zupełnie inaczej niż wczoraj. Oczy bez śladu strachu, władczy wyraz twarzy, głos twardy i pewny. Zresztą co w tym dziwnego? Dziś siła była po jego stronie. Przybyli wraz z nim wojownicy Złotej Ordy

otoczyli pałac, a po ulicach jeździły oddziały konnicy Musabeka i zapędzały ludzi na podwórka domów.

— Nie. Jestem człowiekiem.

— Może zatem jesteś muzułmaninem?

— Nie.

— ■ Dobrze. Skoro nie jesteś chrześcijaninem ani muzułmaninem, to bądź sobie człowiekiem

— powiedział z krzywym uśmiechem Berke, wolno przebierając w palcach perły różańca. Przeżyty wczoraj strach musiał jednak pozostawić ślad, bo chan powrócił do wydarzeń na placu: — Powiedziałeś wczoraj, że chanowie nie są bogami... Czy znaczy to, że wierzysz w boga?

— Tak, wierzę... — odparł mężczyzna w błękitnym zawoju. — Imię mojego boga brzmi prawda.

Berke zatrząsł się w bezdźwięcznym śmiechu.

— Może powiesz mi zatem, gdzie znajduje się twój bóg?

— Śmietana rozpuszcza się w mleku... Tak samo prawda, która jest wszędzie: na ziemi, w niebie, we mnie i w nim... — mężczyzna wskazał tulenguta sto-5cego za plecami chana.

*— A we mnie ona jest? Jak sądzisz? — zapytał MKbpiną w głosie chan.

— Nie wiem...

— Za to ja wiem... Moja prawda tkwi w mojej sile, w mojej wierze. A nie masz boga nad Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem. Ja zaś jestem wyznawcą proroka i obrońcą jego wiary.

Teraz mężczyzna w błękitnym zawoju roześmiał się półgłosem. Pod czarnymi wąsami błysnęły białe, równe zęby.

131

— Jeśli wielki chan mówi prawdę — powiedział — to powinien oddać pierwszeństwo Jezusowi lub Mojżeszowi. Obaj są silniejsi od Mahometa.

Perły różańca zaczęły szybciej przesuwać się w rękach Berkego.

— Kto ci to powiedział, gjaurze? Żaden święty nie jest silniejszy od Mahometa, który jest wysłańcem Boga na ziemię. Mojżesz jest również prorokiem, ale to młodszy brat Mahometa. Tam, gdzie stąpał Mojżesz, obnażyło się dno morskie, Jezus mógł wskrzesić umarłego, ale tam, gdzie modlił się Mahomet, góry zamieniały się w kamienie, a kamienie w proch. Działo się tak dlatego, że Allah chciał widzieć twarz swojego świętego syna. On jest najsilniejszym prorokiem i nikt nie śmie być silniejszy od niego...

Mężczyzna pokręcił z zastanowieniem głową.

— Wszystko jest na tym świecie możliwe... — powiedział. — Gdyby Jezus był silny, to nie pozwoliłby się ukrzyżować.

— Nosisz zawój — powiedział znacząco chan — ale z pewnością nie czytałeś Koranu i nie rozmawiałeś z uczonymi ulemami. Wiem, że Jezus też jest synem bożym i wiem, że to wcale nie jego, tylko kogoś zupełnie innego przybito do krzyża.

— Czyżby? — zapytał mężczyzna z ledwie zauważalnym uśmiechem.

Berke nie zauważył uśmiechu. Lubił pouczać, lubił szczyścić się swym przywiązaniem do islamu i swoją wiedzą.

— Posłuchaj mnie, gjaurze — powiedział. — Jezus czynił cuda i dlatego niewierni przyrównali go do Boga. Wyznawcy Mojżesza zaczęli go z zawiści prześladować. Pewnego razu, uchodząc przed wrogami, Jezus ukrył się w jakimś domu i gdy poczuł, że zbliżają się nieprzyjaciele, wzniósł się do nieba. Wrogom udało się schwytać człowieka, który był podobny do

132

świętego. Tego właśnie człowieka ukamienowali i przybili do krzyża. Mężczyzna w zawoju powiedział z lekką ironią:

— Wychodzi więc na to, że Jezus pozwolił, aby zamiast niego zginął niewinny człowiek... Oczywiście, jeśli ktoś jest podobny Bogu, to może uczynić wszystko, czego zapragnie... Pewnie dlatego również Jezus pił wino?

— Nie. Jezus napił się wina przypadkiem — odparł zadowolony z siebie Berke. Paciorki różańca znów przesuwały się w jego rękach powoli i miarowo. — W drodze do Jerozolimy święty Jezus poczuł pragnienie. Wszedł do winnicy i zaczął szukać tam wody. Wreszcie zobaczył gliniany dzban, w którym był płyn podobny do wody. Jezus napił się go. Płyn okazał się gorzkawy i kwaśny w smaku. Wówczas Jezus zapytał dzban, dlaczego tak jest. Dzban odparł na to, że ktoś ukradł igłę i sprzedał ją za miedziaka. Ta moneta trafiła do rąk właściciela winnicy, który kupił za nią dzban. Dlatego woda z dzbanu jest gorzkawa. Widzisz więc, giaurze, że mały grzeszek, jakim jest kradzież igły, przekształcił wodę w podstępne wino. Prorok Mahomet był mądrzejszy od Jezusa i przykazał nam, abyśmy nie czynili sobie nawzajem zła i nie pili wina, żeby bogaci pomagali biednym. Tak głosi piąta sura naszego świętego Koranu...

Mężczyzna w zawoju nisko pochylił głowę.

— Teraz rozumiem, wielki chanie, dlaczego wczoraj przystałeś na prośby ludu. Muzułmanie we wszystkim kierują się przykazaniami proroka Mahometa...

Różaniec znieruchomiał w rękach chana. Berke powrócił na ziemię i w jego skośnych oczach błysnęła wściekłość.

— Nie! — krzyknął. — Niczego nikomu nie obiecywałem!

- Ale twoje słowa, wielki chanie, słyszeli ludzie...

133

— Jacy ludzie? Tłum! To nie ludzie, tylko moi niewolnicy! Wiesz, giaurze, że obietnica wymuszona groźbą lub siłą zgodnie z Koranem jest nieważna?

Twarz mężczyzny w niebieskim zawoju pokryła się śmiertelną bladeścią.

— A zatem wczoraj obleciał cię strach? — zapytał cicho. — Zatem jest siła, która przyprawia o drżenie nawet chana Złotej Ordy?

Berke roześmiał się z zimną pogardą.

— Drzeć będą na dźwięk mojego imienia!... Teraz i zawsze!

Chan chwycił srebrny dzwonek i gwałtownie nim potrząsnął. Drzwi otwały się i w progu stanął setnik tulengutów, Salimgirej. Berke wskazał palcem mężczyznę w błękitnym zawoju.

— Skazuję go na śmierć za to, że wzniecił w świętej Bucharze bunt i nakłaniał czerń do okazania mi nieposłuszeństwa! Niechaj krew tego giaura nie bezcześci murów pałacu!

Wyprowadź go za miasto i utnij głowę, i niech jego ścierwo pożrą szakale!

Chan wpił się wzrokiem w skazańca, ale twarz mężczyzny w błękitnym zawoju pozostała spokojna.

— Bierz go!

Salimgirej skłonił się w milczeniu, dobył szabli i popędził mężczyznę w błękitnym zawoju ku wyjściu.

Berke zamknął oczy i długo siedział bez ruchu. Powoli wracał mu spokój, gniew ustępował, przestały drżeć palce.

Chan klasnął w dłonie. Wszedł wezyr.

— Wprowadź muzułmanów przybyłych z Samarkandy...

Wezyr wycofał się za drzwi, a po pewnym czasie do sali weszli ludzie w białych zawojach. Kłaniając się nisko podeszli do podwyższenia, na którym siedział chan, i usiedli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

Jeden z nich, grubas o czerwonej twarzy, zaczął

134

odmawiać modlitwę pięknym aksamitnym głosem. Kiedy ją skończył, wszyscy przesunęli po twarzach złożonymi dłońmi. Berke, jak na prawowiernego muzułmanina przystało, również powtórzył ten gest.

—■ Amen!

Po chwili ten, który odmawiał modlitwę, odezwał się smutnym głosem:

— Najszacowniejszy chanie Złotej Ordy, w zeszłym roku straciłeś na raz dwóch najbliższych ci ludzi: chana Sartaka i chana Ułakcziego. Niech im ziemia lekką będzie... Przyjmij nasze wyrazy współczucia...

— Dziękuję wam, szanowni mężowie. Wszystko na tym świecie jest w ręku Allaha, więc nie godzi się nam sarkać na jego wyroki. — Chan zamilkł na chwilę. — Macie do mnie jakąś prośbę?

Głos zabrał czarniawy mężczyzna podobny do rosnącego na pustyni węzlastego drzewa — saksaułu.

— Wielce szanowny Berke-chanie — zaczął cichym, skrzypiącym głosem. — Przyszliśmy do ciebie z sercami wypełnionymi smutkiem. Twój współwyznawcy i zwolennicy, muzułmanie z Samarkandy, są przez niewiernych okropnie prześladowani. Nie ma poniżenia, którego by nam oszczędzono! Niedawno giurzy spalili na stosie pewnego młodzieńca, który przyjął naszą wiarę. Darugaczi miasta popiera chrześcijan, a nas pozbawił wszelkich praw. Znając cię, panie, jako sprawiedliwego władcę i prawowiernego muzułmanina, przyszliśmy tu prosić o wzięcie nas w obronę... Ochroń nas przed gwałtami niewiernych.

Berke zmarszczył brwi.

— Czyżbyście nie mieli dość sił, aby poradzić sobie z niewiernymi? A może w Samarkandzie muzułmanie zapomnieli już, jak należy bronić wiary?

Jest nas wielu... — odrzekł samarkandczyk, który zrozumiał ukryte znaczenie odpowiedzi chana — ale jak do tego odniesie się Złota Orda? Dotychczas

135

nikt nie powiedział nam słowa zachęty i nie próbował pomóc.

Mężczyzna mówił prawdę i Berke doskonale o tym wiedział.

Wiara chrześcijańska umocniła się w Samarkandzie na długo przedtem, zanim przyszli tam Mongołowie. Chrześcijanom sprzyjali potomkowie Samanidów i Ka-rachanidów. Poza tym upadek Chorezmu, w którym muzułmanie zawsze znajdowali oparcie, doprowadził do tego, że islam zaczął tracić wyznawców. Mongołowie natomiast nie wyróżniali żadnej religii. Wszystko to sprzyjało chrześcijanom i dlatego ich gmina okrzepła. Silny lubi pamiętać o krzywdach i mścić się na pokonanym wrogu. Zyskawszy poparcie potomków Czyngis-chana, z których wielu w swoim czasie przyjęło chrześcijaństwo, kościół zaczął prześladować muzułmanów.

Widząc, że chan milczy, samarkandczyk znów zaczął mówić:

— Młodzieniec-chrześcijanin odstąpił od swej wiary i przyszedł do meczetu, gdzie za jego zgodą „został obrzezany i przysiągł na Koran, że będzie wiernym wyznawcą proroka Mahometa... Chrześcijanie poskarżyli się darugacziemu miasta, mówiąc fałszywie, że zmusiliśmy go do tego siłą. Darugaczi rozkazał młodzieńcowi powrócić do starej wiary, ale nawrócony odmówił, gdyż Allah oświecił go blaskiem prawdy... Wówczas chrześcijanie schwyтали go i spalili nocą na stosie.

Chan skrzywił się. Takie szczegóły go nie interesowały.

— Na jakie słowo oczekujecie? — zapytał niecierpliwie. — Na jaką pomoc?

— Chrześcijanie są liczni... — odparł wymijająco samarkandczyk.
Berke zamyślił się.

— W imię Allaha wszystko zostanie wybaczone...

136

Z wami będą moi wojownicy przebrani za prostych ludzi...

— Niechaj Allah ci dopomoże, wielki chanie... Najlepiej będzie dokonać tego w niedzielę, kiedy chrześcijanie zbiorą się w swoich kościołach...

—■ Amen!... — powiedział chan.

— Amen!... — powtórzyli za nim jak echo muzułmanie z Samarkandy.

Tego samego jeszcze dnia Berke przyjął w pałacu wielmożów miasta, uczonych ulemów, muridów i ka-dich miejscowych meczetów. Rozdzieliwszy między nich bogate dary przywiezione ze Złotej Ordy, chan udał się na spoczynek.

Gdy na ziemię zaczęła opadać noc, Salimgirej wziął do pomocy kilku tulengutów i pognął za miasto mężczyznę w błękitnym zawoju, aby spełnić to, co rozkazał chan.

Wąskie, pogrążone w mroku uliczki miasta wyglądały groźnie i tajemniczo, wzbudzały swą ciasnotą strach w przywykłych do stepu koczownikach. Salimgirej szedł jednak pewnym krokiem, zdając się węchem odnajdować drogę w plątaninie przejść i zaułków przypominających lisie nory i niebawem cała grupka znalazła się koło miejskiej bramy.

Salimgirej przystanął, zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

— No dobrze. Nie musicie już, dalej ze mną iść, sam sobie poradzę z tym giaurem.

Wracajcie.

Zza wysokich murów obronnych miasta wyłonił się wąski sierp księżycy i w jego świetle gliniane domy zaczęły przypominać grobowce, a w ciasnych uliczkach mrok jeszcze bardziej zgęstniał.

Tulenguci stanęli jak zaczarowani. Bali się wracać sami, a jeszcze bardziej bali się wychodzić poza brankę, gdzie w zaroślach na zboczach jarów ochryple poszczekiwały szakale.

137

— Chętnie wrócimy- — odezwał się wreszcie jeden z tulengutów — ale Jak odnajdziemy drogę do obozu?

Salimgirej roześmiał się przyjaźnie.

— Przyjrzyjcie się. uważnie... Tam jest minaret meczetu. Jeśli pójdziecie tą ulicą, to dojdziecie akurat do niego. Tam Są nasi wojownicy, którzy wskażą wam drogę do pałacu.

Wartownicy którzy znali osobistego strażnika chana, otworzyli mu wąską furtkę i wypuścili z miasta. Kiedy Salimgirej i mężczyzna w błękitnym zawoju odeszli dostatecznie daleko od murów, żeby nikt nie mógł ich usłyszeć, obaj zatrzymali się jak na komendę.

— Po co było iść tak daleko, Salimgireju? — zapytał z goryczą w głosie mężczyzna w błękitnym zawoju. — Czy nie prościej byłoby mnie zarznąć gdzieś w ciemnej ulicy?

— Jesteś wielkim uczonym, Tamdamie, i chan o tym wie. Gdybyśmy zabili cię w mieście, już jutro mówiliby o tym wszyscy ludzie. Chan pragnie, aby nikt się nie dowiedział, gdzie i jak umarłeś.

— Chan jest mądry- — roześmiał się niewesoło Tamdam. — Któż mógł przypuszczać, że oto pewnego dnia spotkają się dwa wilczki, dwaj uczniowie Ma-hmuda Tarabiego, i że jeden z nich poderżnie gardło drugiemu?...

Salimgirej nie odpowiedział i dwaj przyjaciele długo stali w milczeniu, patrząc na księżycowe światło rozlewające się nad uprawnymi polami i głębokimi zapadliskami jarów-

— Gdzie byłeś Przez ten cały czas? — zapytał Salimgirej.

— Najpierw uciekłem do Bagdadu, ale i tam dotarli

Mongołowie. Żądza zemsty nie pozwalała mi żyć w spokoju, wróciłem więc tutaj, do Buchary...

— Nie traciłeś czasu na próżno... Ludzie powiadają,
138

ie poznałeś mądrość wielu ksiąg, na pamięć umiesz Koran i znasz wszystkie prawa szariatu...

— Prawdę mówią...

— Ja natomiast uciekłem w kipczackie stopy. Kto mógł mnie tam rozpoznać? Przelotne ptaki? Byłem koniuchem i przez wiele lat pasłem tabuny. Dzisiaj jestem dowódcą sotni tulengutów strzegącej samego chana...

— Wiele osiągnąłeś... — powiedział z ironią Tamdam. — He bratniej krwi przelałeś, żeby zasłużyć sobie na taki honor?

Salimgirej uniósł dumnie głowę.

— Dlaczego tak mówisz? Ręce moje są czyste, bo jeszcze nie nadeszła pora, żeby zbroczyć je krwią. Ty wiesz przecież, czyja to będzie krew.

Zamilkli. Salimgirej nagle wyciągnął rękę w stronę Tamdama.

— Dalej nie pójdę. Weź, przyda ci się to, bo masz przed sobą drogę daleką i niełatwą. W świetle księżycy błysnęło złoto.

Tamdama zawahał się, a potem wziął monety.

— Dziękuję...

— Poczekaj! — Salimgirej spróbował zajrzeć mu w oczy. — Nie myśl, że stałem się wilkiem, że zapomniałem, ile krwi Kipczaków i Ujgurów przelali chanowie... Czyż można zapomnieć naszego nauczyciela i to, co przekazał nam w testamencie?... Żegnaj!

— Poczekaj... — Tamdam położył rękę na ramieniu Salimgireja. — Weź moją czakcę i zanieś ją chanowi, bo inaczej nie uwierzy w moją śmierć... Bardzo dawno temu zrobił dla mnie tę czakcę stary Kipczak więziony w Bagdadzie. Jakże ten człowiek tęsknił za ojczyzną!...

Przyjaciele objęli się i wkrótce spowita w biały strój postać Tamdama rozpląnęła się w migotliwym blasku księżycy.

139

Złe wieści lecą na skrzydłach ptaka. O tym, że muzułmanie wymordowali w Samarkandzie wszystkich chrześcijan, wiedzieli już wkrótce mieszkańcy wielkich i małych miast. Ludzie rozmaicie mówili. Najzacieklejsi wyznawcy islamu cieszyli się, ale ci, którym wiara nie zaćmiła rozumu, żalowali poległych, gdyż zarówno chrześcijanie jak i muzułmanie byli jednej krwi, należeli do tego samego narodu. Jednak kalif Mysyru, uznawszy Berkego za prawdziwego wyznawcę proroka Mahometa, wysłał do niego posła z cennymi darami. Chan Berke nabrał wody w usta. Nie chwalił głośno samarkandzkich muzułmanów, ale też nie potępił ich nawet słowem. Cekał na dalszy rozwój wypadków.

Spędziwszy jeszcze tydzień w Bucharze, postanowił wracać do Złotej Ordy. Wyprawa nie przyniosła mu zadowolenia, lecz wręcz przeciwnie, wzbudziła wewnętrzny niepokój. Zresztą nie miał powodów do radości. Wielkie imperium Czyngis-chana chwiało się w posadach. Zaciekła zawiść rządziła postępkami, potomków „Tego, który wstrząsnął światem”. W Mawarannahrze, Chorasanie i Turkiestanie Wschodnim rośli w siłę zwolennicy usamodzielnienia się, oderwania od Karakorum ulusu Dżagataja. A to znaczyło, że nie minie zbyt wiele czasu, kiedy zdecydują się oni wystąpić przeciwko potomkom Tołuja.

Po tym, jak Mongke został wielkim chanem Mongołów na tronie Karakorum, wzmożła się nienawiść między Czyngisydami, zwłaszcza między potomkami Dżagataja i Ugedreja.

Zgodnie z testamentem Czyngis-chana w razie popełnienia przez któregokolwiek z członków jego rodu czynu przestępczego lub zbrodni, sędzić go winni wszyscy Czyngisydzi. Jednak jego nakazy uległy zapomnieniu i sędzili winnych ci, po stronie których była siła. W ten sposób potomkowie U-

gedeja zgładzili najmłodszą córkę Czyngis-chana Ał-taľun-begi, a zamiast Sziremuna, który po śmierci ojca winien zostać wielkim chanem Karakorum, wzniesli na białym woľoku Gujuka. Kiedy po jego śmierci Batu-chan pomógł Mńngkemu zasiąść na tronie wielkiego chana Mongoľów, przeciwko niemu powstał syn Dźagataja Jisu Mongke. Jednak wnuk Dźagataja Ka-ra-Hulagu, zrodzony z jego syna Mutugena, stanął po stronie Mongkego. Nowego chana poparli równieź wnukowie Ugedeja, zrodzeni z jego synów Kadana i Ku-tana. W roku świni (1252), kiedy potomkowie Czyngis-chana zjechali się na sąd nojonów, Mongke okrutnie rozprawił się ze swoimi wrogami. Oszczędził jedynie Sziremuna, ale i jemu nie uwierzył do końca, bo w trzy lata później Sziremun na jego rozkaz został utopiony w rzece. Mongke bez żadnego sądu stracił niatkę Sziremuna, Barakczi-katun i wdowę po Gujuku, Oguł--Kajmysz. Ułus naleźący do Dźagataja oddał Kara--Hulagu, a ten, żeby pozbyć się żony Jisu Mongkego, rządzącej dotychczas ułusem, rozkazał rzucić ją pod kopyta tabunu koni. Natychmiast po śmierci wielkiego Czyngis-chana zaczęła się rzeź między jego potomkami. Chanowie i władcy zmieniali się nader często. Kindźał i trucizna stały się główną bronią w walce o władzę. Ród Czyngis--chana był jednak bardzo liczny i dlatego waśnie ciągnęły się dziesięcioleciami, bo zawsze było kogo zarzynać i truć. Najgorzej działo się przy tym podbitym narodom. To ich wysyľali do walki Czyngisydzi, próbując umocnić się w tym czy innym ułusie. Ledwie chan Berke powrócił do Złotej Ordy, gdy juź czarny jeździec przyniósł z Karakorum wieść o tym, że wielki chan Mongoľów Mongke na wieki zamknął oczy. Było to w roku owcy (1259). Czterdzieci

tysięcy ludzi zjechało się na jego pogrzeb, dwa tysiące białych jurtt wyrosło w mongolskim stepie. Pogrzeb odbył się dokłaďnie wedle zasad, jakie Czyngis-chan przekazał w swym testamencie. Ciało Mongkego złoźono do ziemi w tajemnicy, zgłaďziwszy potem wszystkich uczestniczących bezpośrednio w pochówku. Tysiące koni przemknęły nad świeźą mogiľą, aby na zawsze ukryć miejsce, w którym pochowano chana. Podobnie jak śmierć Ugedeja dała początek waśniom między Czyngisydami, tak i zgon Mongkego zapoczątkował podział imperium stworzonego przez Czyngis--chana.

W roku maľpy (1260) zdarzyła się rzecz niesłychana. Po raz pierwszy na tronach zasiadło dwóch wielkich chanów. Byli nimi synowie Toľuja: Kubiľaj w Chinach i Aryk-Boge w Karakorum.

Jeden kocioł jest za ciasny dla dwóch baranich łbów, nic wieć dziwnego, że między nowymi chanami zapanowała natychmiast okrutna wrogość. Na kuruł-taju, gdzie ich wybierano, nie byli obecni dwaj najbardziej wpływowi przedstawiciele rodu Czyngisydów — Hulagu i Berke. Nie bez powodu.

Średni syn Toľuja — Hulagu — speľniając woľę Mongkego podbił v/ poprzednich latach Iran i Iraku a Mongke ogłosił go ilchanem wszystkich podbity[^] ziem. Hulagu był chrześcijaninem i właściwie powinna popierać Aryka-Bóge, ale okoliczności sprawiły, że Karakorum nie mogło liczyć na jego pomoc. Mamelucy Bejbarsa rozbili jego w Tojska i ruszyli na Syrię. W tym czasie król Gruzji Dawid Wielki wzniecił powstanie przeciwko ilchanowi.

Hulagu okrutnie rozprawił się z Gruzinami, ale nadal nie było spokoju na jego ziemiach. Dlatego musiał rozejrzeć się za sojusznikiem, na którym można byłoby oprzeć się w trudnej chwili.

A takie chwile nadchodziły. Gruzini burzyli się na-

dal, a egipscy mamelucy rośli w potęgę. Ich przywódca Bejbars walczył z powodzeniem z krzyźowcami i nie chciał odstąpić Syrii, którą pragnął podporządkować sobie ilchan Hulagu.

Hulagu zatem coraz częściej zerkał z nadzieją na ułus Dżagataja. Złota Orda z kolei lękała się silnego ilchana i usiłowała umocnić swe więzy z Bejbarsem. Berke nie chciał stracić Azerbejdżanu, ale wystąpić otwarcie przeciwko Hulagu na razie nie miał jeszcze odwagi. Ten widocznie wiedział, na co się zanosi, bo nie zawahał się otruć kilku krewnych Berkego znajdujących się w Iranie.

Berke myślał tylko o jednym: jak przywrócić Złotej Ordzie jej dawną potęgę i majestat, i czekając na sposobną chwilę, żeby rozprawić się z jej wrogami zewnętrznymi, postanowił na razie zająć się sprawami wewnętrznymi państwa.

Stolica Złotej Ordy winna wedle zamysłów Berkego zdumiewać swym pięknem przyjaciół i wrogów, świadczyć o potędze i bogactwie.

Na wysokim brzegu Itilu rozkazał wznieść swój pałac otoczony nieprzystępnymi murami obronnymi. U ich podnóża tysiące niewolników kopało głębokie fosy i umacniało ich ścianki ceglami spajanymi zaprawą wapienną.

a¶I)o chwili powrotu Berkego z Buchary wiele już zrobiono. Setki arabskich rzemieślników trudziły się nad upiększeniem zewnętrznych ścian pałacu surami Koranu i urywkami ze słynnych poematów.

Z pałacu chana, składającego się z dwóch części — sali tronowej i pomieszczeń mieszkalnych, w których mieścić się miała żeńska połowa i pomieszczenia gospodarcze, rozpościerał się widok na miasto i meczet budowany przez Kolomona.

Berkego złościł sposób, w jaki pracował Rumijczyk. Budowa rozpoczęła się dawno, gdy tylko chan stał się

143

pełnoprawnym władcą Złotej Ordy, a meczet gotowy był dopiero w połowie. Wyglądało na to, że murator umyślnie się nie spieszył z robotą. Należało go za to ukarać, ale gdy Berke obejrzał to, co już zostało zrobione, jego gniew minął. Meczet był zachwycająco piękny. Rumijczyk umiejętnie użył marmuru, szklistych niebieskich kamieni sprowadzonych z ormiańskich gór, samarkandzkiego błękitu i snycerki w białym wapniaku. Ściany meczetu grą ornamentów i barw przypominały wschodni dywan.

Z początku Koloman miał inny pomysł i zamierzał ozdobić ściany meczetu scenami z życia Czyngis-chana i Batu-chana, obrazami przedstawiającymi ich wyprawy i bitwy, ale Berke nie pozwolił mu tego robić.

Rzecz w tym, iż prorok Mahomet surowo zabronił swoim wyznawcom sporządzania wizerunków zwierząt, ludzi, bogów i świętych, jako że nikt nie ma prawa nawet w myśli współzawodniczyć z Allahem, stwórcą wszelkiego życia na ziemi. Oto dlatego Kolomon musiał przyozdabiać meczet wymyślnym ornamentem.

Chan z niecierpliwością czekał na zakończenie budowy świątyni, która wedle jego zamysłów miała pomóc mu w zjednoczeniu wszystkich muzułmanów i ugruntować jego sławę jako obrońcy islamu. Berke o-czami duszy widział już, jak będą płonąć w słońcu złote minarety, przekonując ludzi o potędze Złotej Ordy władającej połową świata.

Jak skłonić niepokornego Rumijczyka do pośpiechu? Jak zachęcić go do wyteżonej pracy, skoro najwidoczniej osłabła jego tęsknota za ojczyzną lub może zgasła wiara w to, że Berke po zakończeniu budowy zwróci mu wolność?

Można było ściąć Kolomona i zlecić budowę innemu muratorowi, ale skąd pewność, że inny rzemieślnik zdoła pojąć plany Rumijczyka i wykonać je równie pięknie? A tymczasem sześć sztab złota czekało w pod-

144

ziemnym skarbcu, aż Kolomon zażąda ich do ozdobienia minaretów...

Kolomon zaś istotnie nie spieszył się z zakończeniem budowy, co było całkiem niezrozumiałe. Jakiż bowiem mistrz nie pragnie jak najszybciej urzeczywistnić swoich zamysłów? Rumijczyk nie był pod tym względem wyjątkiem, ale miał też powody skłaniające

go do zwłoki. Skąd chan Złotej Ordy mógł znać myśli prostego Rumijczyka, najędźniejszego z niewolnych?...

Berke lubił budzić się o świcie, kiedy w szarawym niebie gasły ostatnie gwiazdy. Tego ranka też postąpił zgodnie ze swym zwyczajem i odmówiwszy poranny namaz w asyście dwóch nukerów pojechał do ka-rawanseraju stojącego opodal miasta na brzegu Itilu. Poprzedniego wieczoru do stolicy przybyła wielka karawana z Isfahanu, która przywiozła ładunek irańskich towarów. Zazwyczaj karawany takie ciągnęły na kipczackie stepy przez ziemie Chorasanu, ale w ostatnich czasach na stepie było niespokojnie i dlatego irańscy kupcy przeprawili się na łodziach przez Morze Chazarskie i płynąc w górę Itilu dotarli do Złotej Ordy. Chan długo przebierał towary przywiezione przez karawanę i z każdą chwilą był coraz bardziej z nich zadowolony. Irańscy kupcy przywieźli wszystko, co zamówił u nich do wyposażenia swojego pałacu, a zwłaszcza słynące na cały świat puszyste dywany i różnobarwne naczynia. Misy i czarki ozdobione były nie tylko wzorami irańskimi, lecz także ornamentami zapożyczonymi od plemion koczowniczych wchodzących w skład Złotej Ordy. Na brzegach mis widniały wypisane złotymi zgłoskami przykazania proroka Mahometa i sury Koranu. Taka była wola Berkego.

Gnąc się w pokłonach przed chanem, karawan-baszy podarował mu kindżał z isfahańskiej stali ze złotą rękojeścią. Berkemu dar się spodobał. Dobył kindżał z pochwy

~ Złota Orda

145

wysadzanej drogimi kamieniami, sprawdził ostrze na paznokciu.

— Kindżał jest ładny — powiedział — ale to broń bandytów i morderców. Wojownikowi przystoi bar-dziej miecz.

— Wielki chanie — karawan-baszy znów zgiął się w ukłonie — pamiętałem również o mieczu...

Ogarnięty przerażeniem w obliczu wszechpotężnego chana karawan-baszy zapomniał zupełnie, że ten miecz przeznaczony był dla kogoś zupełnie innego. Ale słowo się rzekło i cofnąć go nie mógł już nawet sam Allah.

— Niechaj tak będzie... — powiedział Berke. — Kindżał i miecz odniesiesz do pałacu i oddasz je mulazi-mowi Ordy...

Chan zadowolony z oględzin zawrócił konia. Stary karawan-baszy wciąż jeszcze zgięty w pół długo patrzył za odjeżdżającym Berkem. Kindżał i miecz warte były majątek i starzec pomyślał ze smutkiem, że prosty człowiek nie omieszkałby nigdy wywdziękzyć się za drogi podarek. Do czegoś podobnego zdolny był jedynie chan, który ma wszystko i któremu stale czegoś jeszcze brakuje.

Po opuszczeniu karawanseraju Berke skierował konia nad niewielkie stepowe jezioro, aby popatrzeć na wspaniałe ptaki. Chan bez zmrużenia powiek przelewał krew ludzką i zwierzęcą, ale wręcz ubóstwiał swoje łąbędzie. Ich widok sprawdzał na niego poczucie siły i spokój. łąbędzie były oswojone. Z nastaniem mrozów u-mieszczano je w ciepłym pomieszczeniu, a kiedy nadchodziła wiosna, wypuszczano na to jezioro. Nikt nie śmiał bodaj zakłócić spokoju ptaków, nie mówiąc już o strzelaniu do nich. Pilnowali tego umyślnie wyznaczeni ludzie, a okrutna kara czekała tego, który odważyłby się złamać zakaz.

146

Którejś jesieni pilnujący jeziora chłopiec poszedł do domu. Kto mógł przypuszczać, że właśnie tej nocy będzie pierwszy mróz i śnieg?

łąbędzie nie umiały latać, więc kiedy swym zwyczajem chan przyjechał rankiem nad jezioro, ujrzał ołżywe ptaki wmarznięte w lód. Berke nie posiadał się z wściekłości. Na jego rozkaz dwóch nukerów rozebrało się do naga i łamiąc lód własnymi ciałami wyniosło łąbędzie na

lód. Strażnicy zawinęli je we własne odzienie i zanieśli do chańskiego pałacu. W ciepłe ptaki ożyły, a chan własnoręcznie je nakarmił. Tej samej nocy chłooiec wyznaczony do pilnowania ptaków umarł pod razami bata.

Wszyscy w Ordzie wiedzieli, że Berke kocha ptaki, ale nikt nie przypuszczał, że należy do nich cała jego dusza.

Berke miał zaledwie jedenaście lat, kiedy jego dziadek Czyngis-chan po zdobyciu jednego z chińskich miast podarował mu te oswojone łabędzie, wówczas niemal jeszcze piskłeta.

Czyngis-chan powiedział do wnuka: „Łabędzie są świętymi ptakami. Miej je zawsze przy sobie i nie pozwalaj nikomu skrzywdzić”.

W głosie dziadka było coś takiego, że Berke uwierzył w wyjątkowość ptaków i opiekował się nimi lepiej niż dziećmi. Kiedy wypadało mu iść na wyprawę, wówczas do pilnowania ptaków wyznaczał najbardziej zaufanego człowieka, którego, chociaż nigdy nikomu nie płacił za służbę, obdarowywał prawdziwie po królewsku...

Dawno odszedł z tego świata Czyngis-chan, dawno umarł ojciec Berkego Dżuczi, sam chan przeżył już sześćdziesiąt lat, a czas zdawał się płynąć obok ptaków, które nadal były tak samo piękne, zwinne i młode jak niegdyś. Chan z każdym rokiem coraz bardziej przywiązywał się do łabędzi i coraz silniej zdumiewała go ich niezwykła długowieczność.

147

Pewnego razu wezwał do siebie kuszbiegiego, znanego w Ordzie łowczego, i zapytał go:

— Powiedz mi, jak długo żyją łabędzie?

— Sto siedemdziesiąt, a nawet sto osiemdziesiąt lat — odparł starzec.

— A orzeł?

— Ten żyje krótko jak człowiek, najwyżej do osiemdziesięciu lat.

Berke z niedowierzaniem patrzył na łowczego.

— Dlaczego silny orzeł żyje krócej niż słaby łabędź?

Starzec uśmiechnął się.

— Orzeł jest okrutny i krwiożerczy. Jego ofiarą pada słaby. A łabędzie żywią się płatkami kwiatów, ziołami i białymi korzonkami, które wydobywają z dna czystych jezior...

Odpowiedź kuszbiegiego nie spodobała się chanowi.

— Powiedz mi zatem — rozkazał sucho — dlaczego łabędzie umierają.

Starzec popatrzył na chana wyblakłymi oczami.

— Łabędzie może zabić strzała, zęby zwierzęcia, iii dziób drapieżnego ptaka albo rozpacz...

— A czy ptak może rozpaczać? Kuszbeń pokiwał głową.

— Czyżby wielki chan nie wiedział, że łabędź nie

może żyć bez pary? Lud ułożył nawet o tym pieśń. Posłuchaj jej, wielki chanie... — I zaśpiewał drżącym schrypniętym głosem:

Łabędź długo żyć będzie na jeziorze Jeśli w parze radośnie dni jego płyną. Lecz nieszczęsny postarzeje się i umrze, Jeśli straci umiłowanego przyjaciela.

Minęło niemal pięćdziesiąt lat od chwili, gdy dziadek podarował Berkemu te ptaki i wreszcie niedawno chanowi zaczęło się wydawać, że posiadał ostatecznie

148

tajemnicę, której Czyngis-chan mu nie odstąpił. Łabędzie nie były zwyczajnym podarunkiem, lecz upostaciowaniem jego losu. Dlatego też, dopóki białe ptaki żyły, Berke-chan też nie miał się czego obawiać, mógł być pewien, że wyjdzie cało nawet z największych o-pałów. Im więcej o tym myślała tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu o cudownym związku między swoim życiem, a życiem ukochanych ptaków.

Wpatrując się z zachwytem w łabędzie, chan zapominał o bitwach, o wrogach, o zemście... Być może przenosił się w myśli do odległych czasów dzieciństwa, kiedy dusza jego była iasna i czysta, a przelana krew nie zaciemniała rozsądku. A może wieczna młodość ptaków dawała pociechę, oszukiwała jego niedaleką już starość, obiecywała długie życie i spełnienie wszystkich marzeń, nawet tych najbardziej zda się nieosiągalnych... Kto wie?...

Bez pośpiechu, puściwszy luźno wodze konia, jechał tego dnia Berke nad jezioro. Tuż za nim, nie odstępując go nawet na krok, jechali wierni nukerzy.

I nagle chan spostrzegł jeźdźca. Przyjrzał mu się uważniej i nie uwierzył własnym oczom. Z przeciwka na wspaniałym jednochodźcu jechała młoda dziewczyna w atłasowej czapeczce obszytej sobolem i w kaftanie z czerwonego aksamitu.

Dziewczyna nie poznała chana. Widać spieszyła się, bo nawet nie spojrzała na grupę jeźdźców. Chan zdążył jednak dostrzec w przelocie jej młodą, czystą twarzyczkę i wielkie, ciemne oczy przypominające oczy wielbłądziątka. Dziewczyna uśmiechała się — widocznie myślała o czymś radosnym.

Berkego kobiety już prawie nie podniecały, ale piękno młodej jeźdźczyni przypawiło jego serce o żywsze bicie.

— Czyja to córka? — zapytał chan z niezrozumiałą dla niego samego złością.

149

Jeden z nukerów zbliżył się doń i powiedział z szalonym cunkiem:

— To córka kobiety, która służyła w kuchni w pałacu chana Sartaka. Na imię ma Kunduz.

— Córka służebnicy? — Chan jeszcze bardziej się zachmurzył. — Kto więc dał jej jednochodźca i taki bogaty strój?

— To stało się niedawno, wielki chanie. Uczynił jej tę łaskę chan Nogaj. Matka Kunduz jest daleką krewną jedną z jego żon.

Berke wykrzywił się w ponurym uśmiechu. Dalekie krewne chańskich żon mają czelność zachowywać się tak jakby pochodziły ze szlacheckiego rodu.

— Jak matka może pozwalać młodej dziewczynie jeździć, gdzie jej tylko przyjdzie do głowy? Kunduz jest zamężna?

— Nie, wielki chanie, ale została już wyswatana.

— Kto zostanie jej mężem?

— Została przyobiecana Danielowi, bojarowi wielkiego księcia Aleksandra Newskiego.

Chan popatrzył z chmurnym zdziwieniem na swego nukera.

— Jesteś pewien, że niczego nie pomyliłeś? — zapytał.

— Tak. — Nuker pochylił się w siodle i zniżył głos. — Służyłem w pałacu chana Sartaka. Tego roku, kiedy wyniesiono go na białym woju, do Ordy przyjechał Daniel...

— Wiem!... — przerwał mu niecierpliwie Berke.

— Tę dziewczynę na rozkaz chana zaprowadziłem w nocy do komnaty młodego bojara.

Miała wówczas trzynaście lat. Widocznie spodobała się bojarowi, bo w dniu odjazdu poprosił chana Sartaka, aby oddał mu Kunduz za żonę...

Nuker nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, że wszystko wyglądało inaczej. Daniel postanowił odplącić

150

dziewczynę dobrem za to, że uratowała go od śmierci, tnie ujawniając prawdziwej przyczyny, Daniel poprosił Sartaka, aby, gdy tylko dziewczyna podrośnie, przysłał ją w gości do Nowogrodu. Chan pomyślał, że Kunduz spodobała się bojarowi i po odjeździe Daniela odmawiał wszystkim starającym się o jej rękę.

Potęga Ordy po śmierci Batu-chana zachwiała się i każdy z potomków Dżuciego, licząc się z możliwością bratobójczej walki, starał się zapewnić sobie po-oarcie silnego sojusznika, takiego jak Wielki Nowogród.

Dlatego właśnie Nogaj przypomniał sobie o dalekim pokrewieństwie żony z matką dziewczyny, dlatego I przysyłał jej podarunki. Kunduz mogła zostać nowo-I grodzką bojarynią i osobą w tej roli bardzo pożyteczną. Berke słuchał nukera i myślał o swoich sprawach. I Jemu również dla osiągnięcia własnych celów mógł I przydać się sojusz z Nowogrodem. Dlatego uznał, że dla jakiejś tam kipczackiej dziewczyny, choćby najpiękniejszej, nie warto psuć stosunków z księciem Aleksandrem.

— To dlatego ona tak się zachowuje... — powie-Iział z krzywym uśmiechem. — Ale jeśli będzie bie-

I gać luzem jak lisica, to z pewnością znajdzie się sokół, który ją dopadnie... — Berke obrócił się do nukera. — Dopilnuj, żeby nie zadziobały jej zawistne kruki. Strzeż jej, jak źrenicy oka. Orda powinna dotrzymywać słowa, jeśli nawet dała je tylko ruskiemu księciu...

— Jeśli jeszcze nie jest za późno... — zauważył nieśmiało nuker.

Chan uniósł gwałtownie głowę.

— Mów!...

— Ludzie powiadają, że Kunduz co rano jeździ do Rumijczyka Kolomona, który buduje meczet...

— Po co?

151

— Nie wiem...

Berke o nic więcej już nie zapytał. Wielkiemu chanowi nie przystoi wypytywać o takie sprawy prostego nukera! W pałacu jest dość ludzi, którzy dziś jeszcze opowiedzą mu wszystko o Kunduz i Kolomonie, opowiedzą o wszystkim, co było, i nawet o tym, co będzie. Na moment przed oczami stanęła mu rozpromieniona twarz dziewczyny.

Koń zatrzymał się na brzegu jeziora i niespokojnie poruszając delikatnymi uszami dziarsko parsknął.

Rozcinając piersiami zaróżowioną w porannej zorzy gładź jeziora wolno i majestatycznie płynęły po nim ptaki. Nagle samiec przyspieszył i rozbryzgując skrzydłami wodę popędził za towarzyszką. Jego radosny, podobny do głosu trąby, krzyk uniósł się nad taflą jeziora i utonął w otaczających je gęstych trzcinach. Znowu zapadła cisza. Śnieżnobiałe ptaki zbliżały się i oddalały od siebie wyginając z wdziękiem długie szyje, co sprawiało wrażenie, jakby szeptały sobie na ucho jakieś pełne czułości słowa.

Berke oczarowany widokiem znieruchomiał w* siodle. Jego oczy wpatrywały się w igraszki łabędzi, a chmurna zazwyczaj żółta twarz rozjaśniła się uśmiechem. W tym momencie zapomniał, że jest wielkim chanem Złotej Ordy, zapomniał o budowie meczetu i o dziewczynie imieniem Kunduz, która dopiero co zmusiła jego serce do żywszego bicia. Nic nie istniało teraz dla niego poza ptakami, poza ich cichym rozhoworem. Łabędzie obiecywały mu długie życie i spełnienie wszelkich pragnień, były świętymi strażnikami jego losu. Chan stał nad brzegiem do chwili, gdy zza krawędzi ziemi ukazała się purpurowa tarcza słońca. Lekki wietrzyk, słaby jak westchnienie, przebiegł po stepie, zmarszczył zwierciadlaną powierzchnię wody i tajemniczo zaszemrał w trzcinach.

Berke gwałtownie zawrócił konia w kierunku swej

152

siedziby. Twarz nadal miał uśmiechniętą i nikt, kto go nie znał, nie mógłby w tej chwili pomyśleć, że ten człowiek może być krwawym okrutnikiem obojętnym na cudze nieszczęścia, a tym bardziej radości. Jednak nie trwało to długo. Twarz chana przybrała ponownie zwykły wyraz ponurego zatroskania. Z pamięci znowu wypłynął obraz dziewczyny na jednochodźcu. Berke zmarszczył brwi i przynaglił konia.

Tym razem podjechał do wznoszonego meczetu od strony Itilu. Setki niewolników krzątały się na brzegu, miesiły glinę i obciosowywały kamienie. Chan zachwycony widokiem wstrzymał konia. Ściana meczetu grała wszystkimi barwami tęczy. Kolorowe wzory układały się w

przykuwający wzrok przepiękny ornament. Coś niesłychanie radosnego i odświętnego było w dziele muratora Kolomona. Chan usiłował sobie przypomnieć, gdzie już zetknął się z podobnym widokiem, ale nie potrafił. Potem nieoczekiwanie pamięć podsunęła mu obraz wiosennej łąki nad brzegiem błękitnego Kerulenu w ojczyźnie przodków, którą widział kiedyś w dalekim dzieciństwie. Wtedy sama ziemia grała tęczą barw, a tutaj tę tęczę stworzył człowiek i to było zdumiewające...

Wielki Allahu, daj Rumi językowi siły, aby mógł na czas dokończyć to чудо! — pomyślał Berke. —• W całym świecie nie będzie wówczas piękniejszego meczetu!

— Berke-chanie! Podoba ci się zdobienie ścian? Chan drgnął i obrócił się w stronę mówiącego. Ru-

mijczyk Kolomon stał opodal i wpatrywał się w niego uważnie. Włosy i broda były tak długie, że niemal zakrywały jego twarz. Murator był chudy i ogorzały od stałego przebywania na słońcu i tylko błękitne, jasne i czyste oczy płonęły niepokojącym światłem.

Berke nie zdołał pohamować swoich uczuć i powiedział:

— Podoba się...

153

— Jeśli ci się podoba, to znaczy, że mi się udało...

Chanowi wydało się, że wyczuwa w jego głosie drwinę i niezadowolony z tego, że nie potrafił ukryć swych uczuć, zapytał sucho:

— Kiedy skończysz pracę?

— Jesienią... — odparł spokojnie Kolomon.

— Dobrze...

Berke ruszył, ale po przejechaniu paru kroków niemal wbrew własnej woli odwrócił się, żeby jeszcze raz popatrzeć na meczet. To, co zobaczył, dosłownie odebrało mu mowę. Zerknął na Rumijczyka i spostrzegł, że jego twarz pokrywa się śmiertelną bladością.

Berke pospiesznie zsiadł z konia, zrobił parę kroków w stronę meczetu, po czym wrócił na dawne miejsce i, jakby nie wierząc własnym oczom, przeciągnął ręką po twarzy. Nie. Wzrok go nie zawodził. Widzenie nie zniknęło.

Na ścianie w płątaniu ornamentu dostrzegł postać dziewczyny na jednochodźcu. Nie mylił się. To była Kunduz. Przyjrzał się uważniej i rozpoznał jej twarz, jej uśmiech, a nawet tę samą odzież i konia, na którym jechała, gdy natknął się na nią w drodze ttad jezioro.

Po wielokroć chan odchodził i wracał na zaczarowane miejsce. Wizerunek Kunduz niknął i znów się pojawiał, pojawiał się i zniknął... Dopiero co na ścianie widniała dziewczyna wierzchem na jednochodźcu, a za chwilę po prostu tęczą gra jaskrawych barw.

Wargi Berkego poruszały się bezdźwięcznie. Słyszał o wielu cudach, wiedział o istnieniu sławnego irańskiego meczetu pod siedmioma kopułami... Powiadają, że jeśli stanie się tam dokładnie pod kopułą i wypowie słowo, to echo powtórzy je pod wszystkimi pozostałymi, ale wystarczy zejść z tego miejsca, żeby odpowiedzią na najgłośniejszy nawet krzyk było tylko grobowe milczenie.

Wiele jest tajemnic i cudów na świecie, ale o takim,

154

jaki zobaczył tego ranka, nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się słyszeć.

Murator liczył na to, że jego sekret nie ujawni się zbyt szybko, gdyż w przeciwnym razie nie zdecydowałby się na podobną zuchwałość. Widocznie samo Niebo sprawiło, że chan akurat dziś znalazł się w tym miejscu. Berke wzdrygnął się. Allah widać tak chciał, pomyślał z trwogą.

Kolomon stał bez ruchu i tylko jego oczy, z ogromnymi, rozszerzonymi ze strachu źrenicami, wodziły nieustannie za chanem. Berke bez słowa zbliżył się do konia i ciężko wgramolił się na siodło...

...Nie ma na świecie uczucia silniejszego niż miłość. Dzięki niej tchórz może stać się bohaterem, a człowiek niepiśmienny ułożyć piękny wiersz.

Kolomon ujrzał Kunduz po raz pierwszy pod koniec maja. Wiosenne słońce oświetlało niebo i ziemię, a wonne trawy Deszt-i-Kipczaku sięgały już kolan. Wiatr stepowy przynosił nad rzekę ich oszałamiające zapachy.

Nadeszła noc i księżyc w pełni wyruszył już w swą niespieszną podróż po czarnym aksamicie nieba. Gdzieś za Itilem w/ czerniejącym zębatą ścianą lesie krzyczał tajemniczo i namiętnie jakiś ptak.

Dwaj konni tulenguci pędzili Kolomona przez ulice Saraju. Murator jak zwykle spędził cały dzień na budowie meczetu i teraz wracał do swojej komórki.

Był zmęczony i mimo ponagleń tulengutów szedł wolno. Nie wzruszało go piękno wiosennej nocy, radosne mruganie jaskrawych gwiazd na ciemnym nieboskłonie ani widmowy blask księżyca rzucającego g^oste cienie w głąb wąskich, zakurzonych uliczek. Ru-roijczyk był pogrążony w myślach o tym, co już zrobił i co jeszcze musiał zrobić przy budowanym przez 155

siebie meczecie. Cicho pobrzękiwały kajdany na jego nogach.

Kolomon nie zauważył, skąd nagle zjawiły się te dwie kobiety. Szły z przeciwka, a on, zajęty swymi myślami, obojętnie prześlizgnął się po nich wzrokiem. Do brzęku jego kajdanów nagle dołączył się melodyjny dźwięk srebrnych monet wplecionych w dziewczęce warkocze.

— Witaj, szacowny.

To był głos dziewczęcy, dźwięczny i głęboki. Zdumiony Rumijczyk uniósł głowę i przyjrzał się kobietom. Księżyc świecił jasno, więc bez trudu dojrzał ich twarze. Jedna była niemłoda już, lecz z widocznymi śladami dawnej urody, druga zaś młodzianka i bardzo piękna. To właśnie ona musiała go pozdrowić.

Dziewczyna była wysoka, smukła i wielkooka. W dwa długie, sięgające niemal do ziemi warkocze wplecione miała sznury srebrnych monet, które przy każdym kroku melodyjnie podzwaniały.

— Witajcie... — odparł zmieszany murator. Kobiety przeszły, a on wciąż patrzył na nie, dopóki«

jeden z tulengutów nie smagnął go knutem.

— Ruszaj...

Kolomon usłuchał, a przed oczami wciąż stała mu twarz dziewczyny oświetlona migotliwym blaskiem księżyca, jej czapeczka ozdobiona bogatym pióropuszem, jej ciężkie warkocze... Nie mógł się przy tym wyzbyć wrażenia, że we wzroku dziewczyny dostrzegł zaciekawienie, a nawet podziw.

Co niezwykłego mogła zobaczyć w nim piękna nieznajoma? Kolomon miał na sobie tylko spodnie, a jego obnażone ciało zahartowane ciężką pracą było muskularne i opalone na brąz.

Tak samo wyglądali niemal wszyscy niewolnicy i jeńcy chana Berkego.

Dawno już umilkł, zagubił się w wąskich uliczkach Saraju dźwięczny śmiech obu kobiet, a Kolomon

156

wciąż jeszcze go słyszał. Poczuł nagle, że do jego znękaną duszę zapukało nagle nieznane, słodkie i niepokojące uczucie.

Tej nocy spokój opuścił Rumijczyka, praca przestała dawać zadowolenie, a zrodzone w jego głowie ornamenty zbladły i wydawały się teraz topornym, wyrobniczym naśladownictwem prawdziwego dzieła. Godzinami wpatrywał się w to, co już zrobił, i czuł do siebie coraz większe obrzydzenie. Wydawało mu się, że kolory wypływały, że z jego dzieła uszło życie. Ten stan trwał bardzo długo, praca przy budowie meczetu zaczęła zamierać, a Kolomon popadł w czarną rozpacz.

Lato zbliżało się do końca, zimne wiatry z ciemnych lasów dolatywały do brzegów Itilu, woda w rzece mętniała, zaś murator Kolorribn był nadal smutny i pochmurny jak nadchodząca jesień.

Pewnego ranka Rumijczyk jak zwykle z pierwszym brzaskiem słońca przyszedł na budowę.

To, co tam zobaczył, wydało mu się snem. Na ciemnoszarym koniu w siodle nabijanym srebrem siedziała dziewczyna, którą spotkał owej wiosennej, księżycowej nocy.

Kolomon patrzył na nią, a dziewczyna z ręką opartą na łęku siodła i odrzuconą do tyłu głową w sobolowej czapeczce jak zaczarowana przyglądała się ornamentom zdobiącym ścianę meczetu. Była tak pochłonięta tym widokiem, że nawet nie usłyszała brzęczenia kajdanów na nogach Rumijczyka. On zaś, uderzony jej pięknnością, znieruchomiał w zachwycie i nie ważył się postąpić kroku, żeby jej nie przestraszyć lub spłoszyć.

Nagle doznał olśnienia, oślepiającego jak błyskawica. Teraz już wiedział, co brakowało jego dziełu i co należy zrobić. Zuchwała myśl wywołała skurcz serca, ale gdy już raz się pojawiła, nie dała się zdławić. Murator wiedział, na co się decyduje, wiedział, czym to się może dla niego skończyć, wiedział, co w razie nie-

157

powodzenia uczyni ze swym niewolnikiem potężny Berke-chan, a jednak...

— Witaj, siostrzyczko... — powiedział cicho.

— Witaj... — odparła odruchowo Kunduz i odwróciła się gwałtownie. Poznała Kolomona i spłonęła się zmieszana.

— Kto zrobił to cudo? — zapytała.

— Ja...

Kolomon uważnie, nie odwracając oczu wpatrywał się w twarz Kunduz, jakby na zawsze chciał utrwalić w pamięci jej rysy.

— Kiedy zakończysz, szacowny, budowę? Rumijczyk roześmiał się nagle, ukazując wspaniałe

białe zęby, które błysnęły oślepiająco na tle zarośniętej gęstą brodą twarzy.

— Kiedy rozkażesz...

Kunduz popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— To niemożliwe — powiedziała i nagle potrząsnęła głową, a monety wplecione w jej warkocze zadźwięczały jak dzwoneczki. — A zresztą, zrób to dziś, zaraz!...

*»

— Masz rację, to niemożliwe — odparł ze smutkiem Kolomon, ale zaraz w jego oczach zapaliły się zuchwałe ogniki. — Jeśli jednak rzeczywiście chcesz, żebyśmy szybko skończyli pracę, przyjeżdżaj tu codziennie o tej samej porze.

— Po co? — Kunduz wzruszyła ramionami.

— Nie mogę ci tego na razie powiedzieć, ale jeśli naprawdę chcesz zobaczyć wkrótce ukończony meczet...

W twarzy Kunduz nic nie drgnęło, ale Kolomonowi wydało się nagle, że zaraz zdzieli konia biczykiem i odjedzie, na zawsze zniknie z jego życia.

— Przyjeżdżaj! — poprosił gorąco Rumijczyk. — To bardzo ważne! Przyjeżdżaj, kiedy cały Saraj jeszcze śpi i tylko niewolnicy przystępują do swojej ciężkiej pracy!....

158

Jego słowa kryły w sobie zagadkę, lecz było w nich również coś nieuchwytnego, coś, co dziewczynę przekonało. Przyjrzała się uważnie Rumijczykowi, zobaczyła ciężkie kajdany na jego nogach, zobaczyła płonące, niebieskie jak wiosenne niebo oczy i powiedziała:

— Dobrze. Spełnię twoją prośbę.

Od tego dnia w Kolomona jakby wstąpiły nowe siły, głęboka radość natchnienia rozświetliła mu oczy. Kunduz przyjeżdżała teraz codziennie.

Serce nie sługa, więc z każdym dniem dziewczyna coraz mocniej przywiązywała się do Rumijczyka. Nie знаła jeszcze miłości i dlatego nie opierała się wzbierającemu w niej uczuciu.

Jednak w pewnej chwili Kunduz zrozumiała, że kocha, i wpadła w przerażenie. Wydało jej się, że pędzi po krawędzi przepaści i nie ma siły powstrzymać galopującego konia, nie może utrzymać się w siodle.

Kolomon jest wspaniałym człowiekiem i wielkim mistrzem, ale wierzy w innego boga... Czy pozwoli jej wyjść za niego? Poza tym jest niewolnikiem, a niewolnik według praw Ordy nie jest uważany za człowieka, zaś jego życie ceni się niżej niż życie byle bydłęcia. Żaden muzułmanin nie będzie jej przychylny, matka nie zgodzi się na małżeństwo, bo cóż może być gorszego od pogwałcenia przykazań przodków?

Kunduz lękała się o tym wszystkim myśleć, odpędzała od siebie myśli o Rumijczyku, ale te myśli wciąż powracały i nie pozwalały jej żyć z dawną beztroską. Dziewczyna nagle zdała sobie sprawę z tego, że ich częste spotkania mogą stać się niebezpieczne dla obojga, bo jeśli ktoś dowie się o łączącym ich u-czuciu, to może zdarzyć się nieszczęście.

Serce jednak nie chciało słyszeć o obyczajach przodków i ciągnęło ją w dzień i w nocy nad brzeg Itilu. Kunduz nie mogła już przeżyć nawet dnia bez widoku

159

cudownych ornamentów wyczarowanych rękami ukochanego.

Miłość i piękno zawsze odnosiły zwycięstwo nad rozsądkiem. Kunduz przysięgała sobie, że już nigdy nie pojedzie do Rumijczyka, ale gdy tylko nastawał świt pospiesznie siodłała konia. A jednak bała się samej sobie przyznać, że nie wyobraża już sobie życia bez Kolomona, bez tego silnego, porywczego w ruchach, dobrego człowieka.

Tak było i owego dnia, kiedy przyjechała pod meczet wcześniej niż zazwyczaj. Słońce jeszcze nie M/zeszło i na brzegu nie było nikogo poza niewolnikami i pilnującymi ich tulengutami.

Kunduz lekko zeskoczyła z siodła, przywiązała jed-nochodźca do pnia wątlęgo drzewka i radośnie uśmiechnęła się do Kolomona.

Murator delikatnie ujął jej rękę i poprowadził w kierunku meczetu. Dekoracja jednej ze ścian była już niemal ukończona, a osłaniające ją dotychczas rusztowanie zdjęte. Kunduz spostrzegła, że Rumijczyk jest niezmiernie podniecony. Puścił jej rękę, szybkim krokiem przeszedł się wzdłuż ściany, a potem odszedł od niej na taką odległość, żeby można było objąć ją jednym spojrzaniem.

— Chodź tutaj! — zawołał Kunduz. Dziewczyna posłusznie podeszła i stanęła obok niego.

Pierwsze promienie słońca uderzyły w ścianę i rozjarzyły się na niej bajeczną grą barw.

Kunduz widziała to już dziesiątki razy, więc teraz ze zdumieniem obróciła się do Kolomona, nie wiedząc, czego od niej chce i po co ją zawołał.

— Patrz! — szepnęła z napięciem w głosie Rumijczyk. — Patrz uważnie! Zaraz dokona się cud!...

Kunduz patrzyła. Nagle słońce przesunęło swe promienie, jaskrawe barwy ornamentu zblakły i spod je-

160

go płataniny wyjrzało coś, co przyprawiło ją o zawrót głowy.

Zobaczyła siebie jadącą wierzchem na jednochodźcu. Obraz zajmował całą ogromną ścianę, więc nie mogło być mowy o pomyłce. Po raz pierwszy zobaczyła siebie z boku, cudzymi oczami: szczęśliwa twarz, dumnie u-niesiona głowa z cienkimi splotami warkoczy i rumak, zupełnie jak żywy jednochodziec zrywający się do biegu.

Mimo woli zrobiła krok do przodu, żeby dotknąć ręką tego, co zobaczyła, ale w tej samej chwili cudowny obraz zniknął, a na ścianie iskrzyły się tylko wielobarwne plamy zawilego rysunku. Cofnęła się i natychmiast znowu zobaczyła obraz.

Stała chwilę jak zaczarowana, a potem wolno odwróciła się i popatrzyła na Kolomona z zachwytem.

— Co to jest? — zapytała ledwie słyszalnym głosem. Rumijczyk położył jej rękę na ramieniu.

— Cicho, dziecko, cicho! Opanuj się. O tym, co zobaczyłaś, nie może dowiedzieć się nikt poza tobą, nie może się nawet domyślać... — Kolomon mówił głosem urywanym ze wzruszenia. — Marzyłem o dokonaniu takiego cudu przez całe życie, ale wciąż je odkładałem... Jednak zjawiłaś się ty... Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem, żebyś przyjeżdżała tu codziennie rano? Ten obraz można zobaczyć tylko z tego miejsca i jedynie wówczas, kiedy dopiero co wzeszło słońce... Wystarczy, żeby słońce przesunęło się na niebie i nikt, nawet z tego miejsca, niczego nie zdoła zobaczyć!... Tylko wielkie i dobre słońce, które darzy ludziom światło i ciepło, odślania swymi promieniami niewidzialne barwy i zmusza je do pojawienia się na świecie.

Kunduz wciąż jeszcze nie mogła przyjść do siebie.

— Jak ci się udało dokonać czegoś takiego?!

— Rozum ludzki nie zna granic. Ja sam zrobiłem niewiele — odkryłem po prostu jedną z tajemnic u-

4 — Złota Orda

161

czonego męża, który żył w czasach Iskandera Dwuro-giego... — Kolomon nagle umilkł, gdyż wprost ku nim zmierzał jeden z tulengutów pilnujących niewolników. — Później ci o wszystkim opowiem — dokończył spiesznie.

Odsunął się od niej, ale nie spuszczał z dziewczyny swoich przenikliwych błękitnych oczu.

— Kunduz, muszę cię zobaczyć! Dzisiaj, gdy tylko zapłoną gwiazdy, przyjdź nad jezioro! Mam kilka złotych monet i kupię tę noc od strażnika!... Będę czekał!...

— Dobrze, przyjdę — cichym, lecz zdecydowanym głosem odparła dziewczyna.

Kiedy opończa nocy okryła ziemię i w czarnej wodzie jeziora zadrzały odbłaski gwiazd podobnych do dalekich, zagubionych w stepie ognisk, Kolomon i Kunduz spotkali się. Po raz pierwszy znaleźli się sam na sam i po raz pierwszy ich samotne, stęsknione za sobą serca zabiły silnie i radośnie jak jedno ogromne serce.

A z nieba w wysokie trawy Deszt-i-Kipczaku, pozostawiając za sobą mgliste ślady, padały wielkie jak jabłka gorące gwiazdy. Był sierpień, miesiąc spadających gwiazd...

Tej nocy zakochani umówili się, że gdy tylko Kolomon zakończy budowę meczetu, uciekną oboje w step. Ustalili też, że Kunduz zawczasu przygotowuje konie, o-dzież i wszystko, co niezbędne na daleką drogę.

Postanowili też, aby nie wzbudzać podejrzeń, spotykać się od tego dnia znacznie rzadziej.

Nieszczęście chciało, że wracając z nieczęstej teraz wyprawy nad brzeg Itilu Kunduz natknęła się na Berke-chana.

Po powrocie do pałacu Berke rozkazał, żeby nikt go nie śmiał niepokoić i długo siedział w samotności.

162

Myśl o tym, co zobaczył, nie dawała mu spokoju. Wstrząs minął i teraz mógł się nad wszystkim spokojnie zastanowić.

Należało coś przedsięwziąć, ale co? Podstępny Ru-mijczyk, wiedząc, że religia muzułmańska zabrania przedstawiania ludzi, zwierząt i ptaków, mimo wszystko dopuścił się tej

zuchwałości. Jeśli ktoś domyśli się tego, co dzisiaj zobaczył on, to muzułmanie odwrócą się od chana, który pozwolił giaurowi popełnić takie świętokradztwo.

Z drugiej zaś strony meczet był przepiękny. Podobnych ornamentów i barw Berke nigdy jeszcze nie widział, chociaż w swoim długim życiu bywał w wielu krajach. Pomyślał nagle, że nikt nie dowie się nigdy, że pod bogatymi wzorami kryje się wizerunek człowieka, że może nie należy niszczyć tego, co stworzył zuchwały Rumijczyk? Może zamiast tego rozkazać zbudować coś na miejscu, z którego odkrywa się tajemnica?

Ale zaraz wątpliwości ustąpiły miejsca podejrzliwości. Co będzie, jeśli nie jest to jedyny sekret budowniczego? Kto wie, czego się po takim giaurowie można spodziewać?

Krew odpłynęła z twarzy chana na samą myśl o takiej możliwości. Nie! Wyjście było tylko jedno: zniszczyć cały ornament i zmusić Kolomona do stworzenia nowego dzieła.

Przed oczami Berkego znów ze zdumiewającą wyrazistością stanął wizerunek pięknej dziewczyny na jednochodźcu. Trudno było podnieść na coś takiego rCkę. Ale dlaczego budowniczy to zrobił, co skłoniło go do tego szalonego postępku? Tulengut próbował chanowi dać dziś coś do zrozumienia, ale pokazał jedynie głowę węża, którego ciało starannie zagrzebał w ziemi. O cóż więc tu chodzi?

Berke myślał o Rumijczyku, a przed oczami stała

163

mu postać dziewczyny. Dawno już żadna kobieta nie poruszyła jego serca i nie wzbudziła żądz posiadania jej młodego ciała. Mógł rozkazać nukerom, aby odszukali ją i przyprowadzili do pałacu, ale coś powstrzymało chana przed wydaniem tego rozkazu... Jak więc postąpić z muratorem? Niewolnik ośmielił się pokochać wolną kobietę, młodą i piękną jak gwiazda zaranna...

Chan ujął srebrny dzwoneczek i gwałtownie nim potrząsnął.

Do komnaty pospiesznie wbiegł setnik Salimgirej.

■— Sprowadź tu budowniczego Rumijczyka.

— Słucham, wielki chanie.

Po jakimś czasie wojownicy z obnażonymi szbalami przywlekli Kolomona do pałacu i wepchnęli go do komnaty chana.

— Zostawcie nas samych — rozkazał Berke.

Wojownicy wyszli. Chan długo i uważnie wpatrywał się w Rumijczyka, jakby chciał odgadnąć jego myśli. Twarz muratora była blada i nieruchoma i tylko krople potu na wysokim czole zdradzały jego niepokój.

Wargi Berkego wykrzywiły się w niedobrym uśmiechu.

— Mów!

— O czym, Berke-chanie?

— Chociażby o tym, na początek, kiedy skończysz budowę meczetu.

— Już mówiłem... Na jesieni.

— Dobrze. A teraz powiedz mi, dlaczego narysowałeś na ścianie tę dziewczynę.

Kolomon uniósł gwałtownie głowę.

— Bo ją kocham!

— A ona?

— Ona też mnie kocha...

Twarz chana wykrzywiła się, ale zdołał zdławić o-

164

garniający go gniew i ciągnął tym samym spokojnym głosem: .— Czyżbyś nie wiedział, że jest wyswatana?

— Wiem o tym, ale czy to ma jakieś znaczenie, kiedy ludzie się kochają?

Zuchwałość Rumijczyka, jego upór i odwaga rozwścieczyły Berkego, aie wciąż jeszcze udawało mu się nie dawać tej wściekłości upustu.

—• Jesteście różnej wiary. Dziewczyna wyznaje i-slam...

Niewolnik nie opuścił oczu.

— Największą religią, jakiej oddają cześć wszyscy ludzie na ziemi, jest miłość...

Twarz chana pobladła, a jej rysy zaostrzyły się. Czuł, jak zalewa go fala dzikiej, nieokiełznanej wściekłości. Wystarczy nieco jej pofolgować, a wówczas...

— Wiesz... że nasza religia... zabrania rysować ludzi... — Berke z trudem wyduszał słowa ze ściśniętego złością gardła.

—■ Kocham ją... i nie miałem innego sposobu, żeby to wyrazić. Kunduz nie rozumiała i lękała się moich słów, bo słowa mogą kłamać.

—■ Mów dalej...

— Dalej? Kiedy zobaczyła swój wizerunek, wtedy zrozumiała. Kunduz doskonale wie, czym mi to grozi. Jeśli zatem nie zląkłem się niebezpieczeństwa, to znaczy, że moje słowa nie są kłamliwe. Dziewczyna zobaczyła, że kocham ją bardziej niż własne życie. I zgodziła się... W kącikach ust chana pojawiła się piana, a jego i tak już wąskie oczy zamieniły się w ledwie widoczne szczeliny.

— Zgodziła się?

— Tak. Zgodziła się zostać moją na zawsze. — Kolomon nagle upadł na kolana. — Wielki chanie, nigdy w życiu nikogo o nic nie prosiłem, a teraz klęczę

165

przed tobą i błagam o wzgląd dla mojej miłości... Proszę tylko o jedno... Nie chcę już wolności. Mogę na zawsze zostać niewolnikiem i zbudować jeszcze tysiąc wspaniałych meczetów, ale pozwól, aby Kunduz została moją żoną...

Ręka Berkego opadła na leżący obok kindżał.

__A dziewczyna zgodzi się zostać żoną niewolnika?

— Tak, wielki chanie, ona również o to cię prosi... __A więc zakończysz meczet, jak obiecałeś?

__Dotrzymam słowa, wielki chanie.

Twarz Berkego złagodniała. Wezwał dzwonkiem Sa-limgireja.

— Umówiliśmy się z budowniczym Kolomonem — wargi chana rozciągnęły się w uśmiechu, ale jego o-czy pozostawały zimne — że połączę go z dziewczyną, o której mówił, jeśli oczywiście dotrzyma słowa i u-kończy meczet jeszcze tej jesieni. Czy tak, Rumij-czyku?

— Tak. — Kolomon pochylił się w niskim ukłonie.

— A teraz wysłuchajcie mojej woli — twarz Berkego znów pobladła z wściekłości. — Za rysunek, który wykonał na ścianie meczetu, ukarać go setką kijów. Za chęć wzięcia za żonę mużłmanki rozkazuję go wymusić. Zrobić to należy w obecności dziewczyny i wszystkich niewolników. Później, zgodnie z umową, połączycie Rumi języka z dziewczyną.

Kolomon zachwiał się. Znał obyczaje tego straszliwego świata, jakim była Złota Orda, i wiedział, że jej chan nigdy nie zmienia swych rozkazów.

— Lepiej zabijcie mnie na miejscu! Po co mi życie?... — zapytał ochryple.

— Nie — powiedział władczym tonem Berke. — Twoje życie jest mi jeszcze potrzebne, bo musisz dokończyć budowę meczetu...

166

Straszliwa to była noc. Niemal dziesięć tysięcy niewolników rozkazał spędzić chan na głównym plac miasta. Cały ten tłum otaczał pierścień konnych tulengu-tów z obnażonymi szablami w rękach. Zakuty w łańcuchy Kolomon stał otoczony strażami na wysokim pomoście i wszyscy go widzieli. W rogach pomostu płonęły ogromne purpurowe ogniska, których płomienie odbijały się w rozszerzonych z przerażenia żrenicach niewolników i połyskiwały na ostrzach krzywych szabel straży.

Noc zdawała się zagęszczać nad głównym placem miasta, a niebo, czarne i ciężkie, opuściło się tuż nad ziemię i gotowe było runąć na głowy zgromadzonych tam ludzi.

Dwaj tulenguci przyprowadzili Kunduz i wciągnęli ją na pomost. Cichy szept podobny do jęku przetoczył się nad tłumem. Dziewczyna była piękna. Błada twarz, zamknięte oczy i czarne włosy rozpuszczone w nieładzie na ramionach...

— Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie wszyscy! — wykrzyknął chański herold, ogromny Mongoł, podobny do statui z brązu. — Na rozkaz chana Złotej Ordy, niezrównanego Berkego, niewolny Rumijczyk za to, że zbeczczył ściany meczetu ukarany zostanie setką razów.

Kat, wysoki chudy mężczyzna w lisiej czapie nasuniętej na same oczy, uniósł rękę.

Tulenguci otaczający Kolomona przewrócili go na pomost...

— Raz, dwa, trzy...

Na placu zapadła cisza, zakłócona tylko świstem kija i równym, obojętnym głosem herolda liczącego razy:

— Cztery, pięć, sześć...

Purpurowe płomienie ogniska drgały nad pomostem, oświetlając migotliwym blaskiem surowe twarze niewolników, ich gniewnie zmarszczone brwi. W niepew-

167

nym świetle ognia krew niewolnika Kolomona miała czarną barwę.

— Pięćdziesiąt... sześćdziesiąt jeden... — liczył herold.

I nagle przenikliwy kobiecy krzyk rozległ się nad placem.

To był głos Kunduz.

— Ludzie! Uratujcie go! Przecież to wielki budowniczy Kolomon!...

Tłum zafalował, zbliżył się do pomostu, ale natychmiast cofnął się i znów zamarł w ciężkim milczeniu.

— Dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt jeden... — padały na głowy niewolników obojętne słowa.

Tulenguci chwycili Rumijczyka pod ramiona i postawili go na pomoście. Skóra na plecach budowniczego była pocięta w strzępy i broczyła krwią.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — znów krzyknął herold. — Z woli chana Złotej Ordy, wielkiego Berkego, za to, że niewierny Rumijczyk chciał wziąć za żonę mu-zułmankę, kipczacką dziewczynę Kunduz, zostanie pozbawiony męskości! Wykonajcie mądry rozkaz chana!

Na pomost wszedł mułła w białym zawoju. W jego ręku błysnął nóż.

■— Zerwijcie z niewolnika odzież, połóżcie go na plecach i mocno trzymajcie — rozkazał tulengutom.

Kunduz zachwiała się. Głowa opadła jej na pierś.

— Podnieście głowę tej nieczystej! — krzyknął kat do tulengutów trzymających dziewczynę.

— Niechaj zobaczy, jak jej przyszły mąż zostaje eunuchem!

I nagle silny głos rozdarł przygnębiającą ciszę.

— Ludzie! Pozwolicie na taki gwałt? A może już zapomnieliście, że jesteście ludźmi?!

Wszystkie głowy obróciły się w stronę wołającego. Wysoki mężczyzna w czarnym stroju stał opodal pomostu. Jego twarz aż do samych oczu zasłaniała chu-

168

sta i nikt w owej chwili nie mógł się nawet domyślić, że był to setnik osobistej straży Berkechana, Salimgirej.

Tłum poruszył się niespokojnie, zahuczał jak rój podrażnionych pszczoł.

— Uwolnić Rumijczyka!

—■ Lepiej umrzeć, niż tak żyć dalej!

— Wolności! Wolności! —■ Naprzód!

— Nie zwlekajmy!

Tłum niewolników, jeszcze przed chwilą sparaliżowany myślą o tym, co się miało zaraz stać, teraz wrzał ze wściekłości.

— Cofnąć się! Cofnąć! — krzyczał herold. Niespokojnie rżały, chrapały, stawały dęba przerażone konie, szczekała broń.

Dziki, pełny przerażenia i rozpaczony ryk tłumu zagłuszał jęki i błagania o litość. Błyskały szable, w tulengutów leciały kamienie, silne ręce niewolników ściągały ich z koni i rzucały pod nogi w żółty kurz pokrywający plac.

— I tak zginiemy!..

— Naprzód!..

— Do końca!..

— Zemsta! Zemsta!..

Tak w roku kury (1261) w stolicy Złotej Ordy Sa-raj-Berke rozpoczęło się powstanie niewolników. Przez trzy dni lała się krew i płonęły domy. Chan Berke ukrył się w swoim pałacu i wezwał na pomoc tumeny laszkarbaszego Nogaja.

Niewolnicy stawiali zaciekły opór. Wiedzieli, że nie będzie litości i dlatego każdy z nich wart był w tej bitwie dziesięciu wojowników. Każdy dom, każda le-Pienka przekształciła się w twierdzę. Zropaczeni, prze-

169

ważnie bezbronni ludzie z szaleńczą odwagą rzucali się na jeźdźców z dachów domów.

Wypierani z miasta przez wojowników Nogaja niewolnicy ukryli się w murach nie wykończonego meczetu na brzegu Itilu. Strzał już nie mieli, rozbierali więc ściany, aby bronić się kamieniami i ceglami.

Na trzecią noc, widząc, że nie sprostają chańskim wojskom, niewolnicy całymi gromadami przebijali się w step, uchodzili wpław na drugi brzeg Itilu.

Zemsta chana była straszliwa. Wszystkich, którzy pozostali przy życiu, Berke rozkazał wyprowadzić za miasto, gdzie wojownicy rąbali ich szablami i tratowali końmi.

Chan odniósł zwycięstwo, ale strach, który zakradł się do jego serca, już go nie opuszczał. Po raz pierwszy nie gdzieś w odległej Bucharze lub Samarkandzie czerń podniosła głowę, ale tu, w samym środku Złotej Ordy, trwającej niewzruszenie od chwili, gdy stworzył ją wielki Batu-chan. Działy się rzeczy niepojęte i Berke nie wiedział, co ma przedsięwziąć.

Kiedy rozprawa z niewolnikami dobiegła końca, chan wysłał nukerów nad jezioro, żeby dowiedzieli się, czy jego łabędzie ocalały i rozkazał im odszukać Rumij-czyka i Kunduz. Łabędzie w czasie buntu nie ucierpiały, ale ani Ko-lomona, ani dziewczyny nie było wśród żywych i martwych.

... Kryjąc się za dnia w leśnej gęstwinie, Kolomon i Kunduz z niewielkim oddziałem zbiegłych niewolników szli nocami w kierunku rzeki Tan.

Rozdział czwarty

Nogaj, jedyny syn Tataru zrodzonego z najmłodszego syna Dżuciego — Mogoła — w czasie, kiedy Batu--chan ruszył na Europę, skończył właśnie dwadzieścia lat. Był odważny i zapalczywy. Ani jego dziad Mogoł, ani ojciec Tatar nie wstawili się na wyprawach, nie zdobyli godności chana. Zgodnie z wprowadzonym przez Czyngis-chana porządkiem brali udział we wszystkich przedsięwzięciach Ordy, ale po zakończeniu wyprawy wracali do swego ułusu, gdzie oddawali się rozkoszom spokojnego życia.

Ostatnim ułusem Tataru po jego powrocie z Europy Wschodniej stała się ziemia krymska, gdzie rozłożył się obozem w mieście Kaffa.

Nogaj podczas wypraw na Rusów i Węgrów dowodził tumenami składającymi się z Mongołów-Chadar-kińczyków oraz jeźdźców manguckich.

Zarówno jedni, jak i drudzy słynęli jako świetni wojownicy i niezrównani łucznicy.

Chadarkińczycy poza tym wyróżniali się bezwzględny przestrzeganiem przykazań Czyngis-

chana i przywiązaniem do wprowadzonej przez niego żelaznej dyscypliny. Nie na darmo głowa ich rodu, Mukur Kuran, był w swoim czasie emirem i dowodził prawym skrzydłem Czyngiso-wego wojska.

Tumeny Nogaja nie znały porażek. Z tego względu Batu-chan mianował go namiestnikiem na podbitych przezeń ziemiach Bułgarii i Mołdawii. Jednak po tym, jak główne siły mongolskie wróciły nad brzegi Itilu,

171

Nogaj, przy którym zostały zaledwie dwa tumeny, nie zdołał długo utrzymać w posłuszeństwie podbitych narodów. Okoliczności sprawiły, iż zmuszony był w dwa lata później przyprowadzić swoje przetrzebione wojska do ułusu ojca na Krymie. Tatar w owym czasie już nie żył i ułus prawnie należał się Nogajowi.

Ale wielki Batu-chan zdecydował inaczej. Rozkazał Nogajowi przybyć do Saraju i uczynił go laszkarba-szym całego wojska Złotej Ordy.

Nogaj usłuchał rozkazu, ale wrodzona ostrożność i przezorność kazały mu pozostawić w ojcowskim ułusie większość przekazanych mu w dowództwo Chadar-kińczyków. Pozostawił im wszystkie łupy zdobyte podczas wypraw, a poza tym nagroził dodatkowo ze swojej kiesy.

Korzyść z tego postępku odniósł wiele lat później, kiedy zdecydował się przystąpić do walki z chanem Złotej Ordy, Toktajem. Mongolscy wojownicy nie zapomnieli jego szczodrości.

Wszyscy jak jeden mąż stawili się pod jego sztandary i stali się wierną, niezawodną podporą. Już wówczas Chadarkińczycy i Man-gutowie zamieszkujący Krym nazywali siebie Nogajami.

I nie tego, który zasiadał na tronie Złotej Ordy, lecz swojego władcę Nogaja czcili jako chana.

Po śmierci Batu chanie w Ordzie, a Nogaj nadal pozostawał laszkarbaszym całego wojska, gdyż nikt nie dorównywał mu odwagą i daleko-wzrocznością. Prości wojownicy cenili go za szczodrość i sprawiedliwość i gotowi byli skoczyć za nim w ogień.

Siła zawsze jest po stronie tego, w czyich rękach znajduje się liczne i oddane wojsko. Berke

nie był podobny do wielkiego Batu-chana. Tamten potrafił stworzyć potężną Złotą Orde,

Berke zaś usiłował tylko zachować ją w całości, nie pozwolić innym potomkom Czyngis-chana rozdrapać ziem podbitych przez brata. Niesłychana pycha i sekretne, daleko idące zamysły

kazały mu my-

172

śleć o niedalekiej zwadzie z ilchanem Hulagu, z potomkami Dżagataja, z Kubitajem i

Arykiem-Bóge.

Nie rozumiejąc, że nie dane mu jest dokonać tego, co stało się udziałem Batu-chana, Berke marzył o ogromnym państwie, do którego ponownie, jak za czasów wielkiego Czyngis-chana,

weszłyby ziemie należące wyłącznie do jego dziada. A władać tym imperium miało wedle niego nie Karakorum, lecz Złota Orda.

Obmyślając w samotności swoje zamierzenia, Berke nagle zaczął obawiać się Nogaja. Co z tego, że ani jego ojciec, ani dziadek nie byli chanami? Chaństwo jest przywilejem

najstarszych synów Dżuciego, ale kto teraz przestrzega zaleceń „Tego, który wstrząsnął światem”? Każdy, który ma siłę, narzuca dziś własne prawa. Najlepszym tego przykładem

jest Kubitaj. Czyż to nie on jako pierwszy z potomków Czyngis-chana opierając się na swoim wojsku oderwał się zuchwale od Karakorum i utworzył własny chanat? Za życia wielkiego

dziada za taki występki zapłaciłby okrutną śmiercią, a teraz? Teraz nie ma już komu karać odstępców.

Któż więc może zaręczyć, że Nogaj uznawszy się za potomka Czyngis-chana godnego tronu

Złotej Ordy, któregoś dnia poń nie sięgnie? To właśnie on ma w rękach wojsko, i to wojsko bardzo mu oddane.

Nogaja zatem należało się pozbyć. I to jak najprędzej. Berke rozumiał przy tym, że jednakowo niebezpieczne byłoby dla niego odebranie Nogajowi godności laszkarbaszego, jak i otrucie go. Nogaj był zbyt wpływowy, aby można było wydać mu bezkarnie otwartą wojnę. Może więc wysłać go na wyprawę do chanatu Hulagu, żeby odbić utracony przez Orde Azerbejdżan i Szyrwan? Na wojnie wszystko może się zdarzyć. Jeśli Nogaj odniesie zwycięstwo, to Złota Orda stanie się silniejsza i wówczas łatwiej będzie pozbyć się konku-

173:
rentów. Jeśli zaś przegra, to wtedy popadnie w niełaskę i przestanie być laszkarbaszym! Berke gorąco marzył o zwycięstwie nad silnym i o-krutnym Hulagu, a jednocześnie nienawidził Nogaja.

Niespokojnie było w ziemiach otaczających podkową od wschodu i południa Złotą Orde. Starożytne miasta Ałmałyk, Piszpek, Tokmak, Merke, Kułan, Aktiube, Taraz, Saudankent, Kumkent, Czulfakkorczan, Suzak i Akbakesz stały na granicy włości Złotej Ordy niczym nad przepaścią. Za nimi znajdowały się urodzajne doliny sycone lodowatymi wodami górskich rzek, pokryte bogatymi niwami i sadami, a przed nimi wielki step Deszt-i-Kipczak z gliniastymi i piaszczystymi gruntami, z pustyniami i podobnymi do białych jezior sołończakami i takyrami. Tylko w samym jego środku leżało, niczym szlachetny kamień, morze Bałchasz. Kiedyś ogromne przestworza stepu nieraz ratowały Kipczaków przed wrogami. Tak było do czasu, kiedy pojawiła się szybka konnica Czyngis-chana.

Za należącymi do Kipczaków miastami Sygnak i Otrar zaczynał się bogaty Mawarannah. W owym czasie, kiedy Batu-chan stworzył Złotą Orde, tamtejsze miasta Chodżent, Bucharą i Samarkandą w jakimś stopniu zależały od zuchwałego chana.

To było dawno. Batu odszedł na tamten świat i wszystko się zmieniło, jakby wraz z nim odeszła również potęga Ordy.

Berke wiedział, dlaczego tak się stało.

Ryba psuje się od głowy. Wszystko zaczęło się już w chwili, gdy Kubiłaj oderwał się od Karakorum. O-znaczało to, że na tronie „Tego, który wstrząsnął światem” zasiadło dwóch chanów naraz.

Kipczacy powiadają: „Dwie baranie głowy nie zmieszczą się w jednym kotle”. Tron Czyngis-chana jest wprawdzie ogromny, ale zdecydowanie za ciasny dla dwóch.

174

Aby oczy nie mogły siebie nawzajem oczerniać, Bóg oddzielił je od siebie nosem. Między braćmi, Kubiłajem i Arykiem-Boge, Bóg zapomniał ustawić przegrodę i dlatego wraz z upływem czasu między synami Tołuja powstała ogromna jama. Imię jej było zawiść. Inni potomkowie Czyngis-chana, również marzący o władzy i sławie, o tronie dziada, powoływali się na to, że Kubiłaj pierwszy pogwałcił prawa przodków i bez zgody ku-rułtaju mianował się chanem, pogłębiając w ten sposób ową jamę, przekształcając ją w nieprzebytą przepaść.

Wszystko pomieszało się pod Wiecznym Niebem. Potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem” zapomnieli o wspólnej krwi płynącej w ich żyłach i stali się wrogami.

Po stronie Kubiłaja stanęli: syn Ugedeja, Kadan, oraz syn Temuge Otczigina, najmłodszego syna Czyngis-chana, Tokuczar. W ich rękach znalazły się zahartowane w niezliczonych bojach wojska, wojska przywykłe do posłuchu i odważne, pod których ciosami padły niegdyś Północne Chiny.

Ale również i Aryk-Boge miał groźnych i niezawodnych sojuszników. Popierał go Ałgaj, potomek sławnego Bajdara, syna Dżagataja, który brał udział w zdobyciu Kermen-kiwe i podboju polskich ziem. Popierał go także wnuk Ugedeja, Kajdu, odważny wojownik, uczestnik wielu wypraw. W owym czasie rządził on ajmakiem Mekrińskim we Wschodnim Tienszanie.

Siły zdawały się być równe. Ale tak się tylko wydawało.

Aryk-Boge zasiadający na tronie w Karakorum doskonale rozumiał, iż podporządkowana mu formalnie Złota Orda była niepewnym sojusznikiem. Chan Berke od dawna marzył o oderwaniu się i czekał tylko na sprzyjające okoliczności.

175

Wojska najstarszego syna Tołuja, Kubiłaja, i najmłodszego, Aryka-Boge, spotkały się nad brzegami rzeki Ongin. Niebo odwróciło swą twarz od najmłodszego z braci. Jego tumeny zostały rozbite, zaś sam Aryk--Boge uciekł nad Jenisej do plemion kirgiskich.

Kubiłaj zdobył Karakorum, zostawił tam niezbyt liczne wojska i uskrzydłony zwycięstwem wrócił do Chin, do swej głównej siedziby w mieście Szangtu. Wkrótce przybył tam z hołdem zaufany człowiek Aryka-Boge. Kubiłaj, znając zapalczywość brata i jego skłonność do dawania ucha cudzym podszeptom i plotkom, wybaczył mu.

Jednak inni potomkowie Czyngis-chana, nienawidzący zwycięskiego Kubiłaja i starający się uczynić z Aryka-Boge sztandar w wojnie z nim, zebrali wojska i bez większego trudu zdobyli Karakorum.

Aryk-Bóge zapomniał, że jeszcze niedawno błagał o litość, i ruszył ze swymi tumenami na południe ku włościom brata, licząc tym razem na zwycięstwo. Słynna konnica Kubiłaja składająca się z doborowych wojowników, kesziktenów, zatrzymała się na grasicy pustyni Gobi i znów pobiła na głowę wojska Aryka-Boge.

Kubiłaj mógłby na zawsze pozbyć się wielkiego chana Mongołów z Karakorum, ale nie pozwolił ścigać swojej konnicy uciekających tumenów brata, gdyż nie ■chciał, aby krew Mongołów zbroczyła ziemię, gdzie niegdyś wielki Czyngis-chan wznosił swój sztandar i gdzie zrodziła się potęga tego narodu. Zamiast tego zakazał wysyłania żywności do Karakorum i tam, gdzie jeszcze niedawno deptano chleb i masło, zaczął się głód.

Na krótko przed tymi wydarzeniami do głównego obozu Aryka-Boge przybyła Organa-begi, wdowa po Kara-Hulagu, władczyni byłego ułusu Dżagataja. Nie dla próżnej zachcianki puściła się w długą i trudną podróż. Organa-begi pragnęła zawrzeć sojusz z Ary-

176

kiem-Boge, bo doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że pożar bratobójczych walk będzie się z każdym rokiem wzmagał i że wkrótce wszyscy Czyngisydzi zostaną wciągnięci do tych waśni. Za wszelką cenę chciała zachować swój ułus, na który zerkali chciwie dwaj krwiożerczy konkurenci — Berke i Hulagu — czekając tylko na sposobną dla siebie chwilę. Potrzebny jej był niezawodny, silny sojusznik, a w okolicznych ziemiach siedzieli albo nieprzyjaciele, albo tacy, którzy sami w trwodze oczekiwali, aż któryś z silniejszych sąsiadów zadecyduje o ich losie.

Pragnąc zdobyć poparcie Karakorum, Organa-begi, obiecała Arykowi-Boge, że jeśli Berke i Hulagu zdecydują się posłać swoje tumeny na pomoc Kubiłajowi, wyśle swego syna Ałguja z wojskiem do Wschodniego Turkiestanu, żeby zagrozić im drogę.

Hulagu jednak zdawał się na razie nie mieć zamiaru wtrącać się do walki między braćmi. Wiedząc, że w końcu będzie zmuszony to uczynić, pospiesznie u-macniał swój ilchanat, a ponieważ doświadczenie podpowiadało mu, że niebawem jego najważniejszym wrogiem stanie się Złota Orda, wszelkimi sposobami starał się skłócić ze sobą Berkego i Ałguja.

Zanim jednak wdowa po Kara-Hulagu zakończyła rozmowy w Karakorum, Ałgaj, nie czekając na dalszy rozwój wypadków, poprowadził swoje tumeny do Kasz-gari, gdzie miał wielu wiernych sobie ludzi, wzmocnił nimi swoje wojska i ogłosił się chanem Wschodniego Turkiestanu.

Nowy chan działał szybko i energicznie. Na jego rozkaz stryjeczny brat Nikpej-Ogłan na czele pięciu tysięcy wojowników wtargnął w granice międzyrzecza Sej-hunu i Dżejhunu i niemal bez walki zdobył główne miasta Mawarannahru — Bucharę i Samarkandę.

Ałgaj, który od dawna nie znosił Berkego, za radą Hulagu rozkazał wymordować wszystkich, którzy mie-

li jakiś związek ze Złotą Ordą. Ci zaś, którym udało się ocaleć, porzuciwszy dobytek i bydło uciekli w popłochu z międyrzecza. To zmusiło Berkego do szukania sojuszu z Arykiem-Bóge. Dla każdego, kto miał oczy, było oczywiste, że ten sojusz będzie krótki i nietrwały. Berkego i Aryka-Boge dzieliły zbyt wielkie przestrzenie, a ponadto nietrudno było zgadnąć, że Złota Orda tylko czeka na dobrą sposobność, żeby na zawsze oderwać się od Karakorum.

Ałgaj, czując się silnym, odważył się pójść dalej i czynem zaświadczyć, że nie zamierza już popierać Karakorum. Po zdobyciu Mawarannahru nowy chan rozkazał zgładzić emirów zagarniętych miast i odebrał poborcom podatków pieniądze odsyłane dotychczas do Aryka-Boge.

Nie lękając się zemsty za to, co uczynił, Ałgaj, zyskawszy uprzednio przyrzeczenie Hulagu, że nie będzie mu w tym przeszkadzał, pchnął swoje tumeny na Chorezm i do Afganistanu. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że Złota Orda nie zdołała zareagować oszołomiona zuchwałym postępowaniem Ałgaja, który jeszcze niedawno niczym się spośród innych Czyngisydów nie wyróżniał.

Chan Berke był wściekły. Wiedział wprawdzie, że to jeszcze nie koniec Złotej Ordy, ale zdawał sobie sprawę z tego, iż niewiele do tego końca brakuje. Niedaleka była chwila, kiedy ogromna bycza skóra, jaką dla niego były ziemie Ordy, poszarpana i okrojona przez innych Czyngisydów, mogła przekształcić się w skórę owcy. Jeśli całe jej władztwo ograniczy się jedynie do stepu Deszt-i-Kipczak, wówczas upadek stanie się nieuchronny. Step jest bezbrzeżny, ale jego ziemie rodzą tylko trawę, więc nie będzie skąd brać zboża, złota, jedwabiu. A gdy zniknie bogactwo, zabraknie również siły.

Potrzebni są nowi sojusznicy, a takimi sojusznikami

mogą stać się jedynie Rusowie. Byli na razie pokorni, ale któż mógł wiedzieć, o czym myśli i co zamyśla tajemniczy, niezrozumiały dla koczownika osiadły leśny naród?

Chan czuł, jak nieubłaganie zbliża się starość, jak coraz częściej pragnienia nie pokrywają się z możliwościami. Nie było już czasu na snucie dalekosiężnych planów, nie było też komu zostawić w spadku Złotej Ordy, o władaniu którą marzył tak długo. Berke nie miał dzieci. Zgodnie z nakazami proroka Mahometa miał cztery żony. Wszystkie były piękne, ale żadna z nich nie urodziła mu syna ani nawet córki. Traktował je nieźle, ale też nie był do nich szczególnie przywiązany. W latach, kiedy Berke czuł w sobie jeszcze dość sił, napęlić jego serce ogniem i myśli rozkoszą mogła tylko jedna kobieta, jego macocha Kanikej-begi. Brał ją rzadko, ale może dlatego, że była w jego życiu pierwszą kobietą, zawsze o niej pamiętał. Nawet teraz, kiedy starość wplotła w jego brodę białe nici, nie umiał myśleć o niej bez wzruszenia.

Czyż można zapomnieć to, co się wówczas wydarzyło... Od jak dawna pamiętał Berke tę kobietę, tak dawno wydawała mu się zawsze młoda, a jej ciało było silne i pachniało gorącym stepem.

Chan zamknął oczy i wyraźnie, jakby to było wczoraj, ujrzał daleką przeszłość.

Miał wówczas niespełna czternaście lat i w trakcie jakiejś zabawy wbiegł do jurty Kanikej-begi. Słońce dotykało już skraju ziemi i w jurcie panował tajemniczy półmrok.

Berke zmrużył oczy chcąc sprawdzić, czy kogoś w jurcie nie ma i nagle jakby przez grubą warstwę wody dojrzał nagie ciało. Piękne ciało. Poczuł, że rumieniec wstydu zalewa mu twarz, ale nie potrafił oderwać wzroku od ciała kobiety.

Kanikej-begi leżała pośrodku jurty na szerokim miękkim piernacie i zmrużywszy swoje skośne zielone oczy przyglądała się z ciekawością chłopcu. Nagle powiedziała:

— Chodź tutaj. Połóż się przy mnie...

Berke milczał i nie odrywał wzroku od kobiety. Był muzułmaninem i już wiedział, że pożądać jednej z żon ojca, znaczy popełnić wielki grzech. Tak głosił Koran.

Kanikej-begi wsunęła pod głowę swe pulchne ręce i przy tym lekkie drzenie przebiegło po jej rozpostartym u nóg Berkego ciele. Cicho jęknęła i nie spuszczać wzroku z chłopca zaczęła mówić:

— Wstydzisz się, bo jestem żoną twojego ojca, prawda? Nie krępuj się... Nie bój... Jesteś Mongołem, a ja Bekrinką...

Oczy Kanikej-begi lśniły zielonym czarodziejskim blaskiem i dlatego Berke widział je nawet w zgęszcza-jącym się mroku. Jego ciało stało się słabe i bezwolne, a nogi jakby wrosły w ziemię.

— Bekrinki kochali wszyscy, nawet wielki Czyngis--chan. Wiem, że i ty mnie pragniesz... Tylko lęk przed wejściem do pościeli żony twego ojca cię powstrzymuje. Nie bój się. To nie jest żaden grzech.

Głos Kanikej-begi, pętał i zniewalał, zmuszał do słuchania jej cichych, czułych słów.

— Czyżbyś nie znał historii Mukaj-katun? Ona również była Bekrinką. Dżinaczi, głowa naszego rodu, oddał swoją córkę Mukaj starzającemu się Czyngis-cha-nowi, który uczynił z niej swoją nałożnicę. „Ten, który wstrząsnął światem” miał w swoim życiu wiele kobiet, ale ją pokochał tak, jak nigdy jeszcze żadnej nie kochał. Jeśli zdarzało się tak, że w przeddzień wyprawy spędzał noc z Mukaj-katun, to rankiem tę wyprawę odkładano i krew wrogów nie lała się na ziemię. Tę kobietę ubóstwiali wszystkie dzieci wielkiego chana... Widzisz, jakie są Bekrinki?

180

Po śmierci Czyngis-chana Mukaj-katun wziął za żonę jego syn Ugedej. On też ją kochał, chociaż nie rodziła dzieci. Jeszcze nie wiedząc, że ta kobieta już dzieliła łożę z jego bratem, Dżagataj przysłał do stolicy zaufanego człowieka z prośbą, żeby Mukaj-katun oddano jemu. Wówczas Ugedej odpowiedział: „Już wziąłem ją sobie, a ty, jeśli chcesz, weź sobie którąkolwiek z żon ojca”.

Widzisz więc, że nie ma nic nagannego w tym, że posiadzie się żonę ojca. Słuchaj mnie, słuchaj! Przecież nie jestem nawet żoną, lecz zaledwie nałożnicą i podobnie jak Mukaj-katun nie rodzę dzieci. Nikt się niczego nie dowie. Wiedział będzie jedynie Bóg, ale On nikomu o tym nie powie. Chodź do mnie, chodź...

I Berke, dygocąc na całym ciele, nie mogąc się o-przeć jej i swojej żądzy, zbliżył się do Kanikej-begi...

Po śmierci ojca i powrocie ze swej pierwszej wyprawy zamierzał wziąć ją sobie za żonę.- Berke był jednak muzułmaninem, a dla ludzi jego Wiary taki postępek był straszliwym grzechem, za który grozi piekło. Miotał się w poszukiwaniu wyjścia, ale wyjścia nie było. Zrozpaczony Berke gotów już był pogwałcić zakaz religii, ale los sprawił, że Kanikej-begi umarła otruta przez służebnicę.

Dawno to było, ale pamięć o tej kobiecie wciąż żyła i budziła wzruszenie.

Berke wspomniął nagle o Kunduz. Dziwna rzecz, nigdy nie znał blisko tej dziewczyny, ale uczucie, jakie wzbudzało w nim jej piękno, bardzo przypominało namiętność, którą żywił do zmarłej Kanikej-begi.

Chan pomyślał, że przez całe życie prześladowały go pokusy. Był prawowiernym muzułmaninem, więc czemu Allah pozwalał wciąż od nowa dręczyć jego serce? Pożądał nałożnicy swego ojca... Pragnął śmierci najbliższych krewnych... Zabijał ich cudzymi rękami...

A rysunek Kunduz na ścianie meczetu? Zrządzeniem

181

losu już nie istnieje, ale dlaczego, gdy tylko chan go ujrzał, nie rozkazał natychmiast zniszczyć wizerunku? Co go przed tym powstrzymało?

Przerażony Berke nagle zrozumiał, że dzieło Rumij-czyka zaczarowało go i odebrało wolę. Dlatego popełnił zbrodnię wobec wiary, bo przecież prorok Mahomet zabronił prawowiernym muzułmanom nawet patrzeć na takie rzeczy. On zaś odważył się wątpić i długo zastanawiał się, czy zniszczyć rysunek, czy też go pozostawić...

Teraz nie ma ani Kunduz, ani jej wizerunku... Ciężko i mrocznie było na sercu wielkiego chana

Złotej Ordy...

W kilka dni później Berke zwołał radę przyboczną. Na granicach Ordy było coraz niespokojniej, a niepokojące wieści przynoszone przez gońców czasami przeczyły sobie nawzajem i dlatego wzbudzały jeszcze większą trwogę.

Rada zebrała się w nowym pałacu.

Na podwyższeniu zasłanym jaskrawoczerwonym perskim dywanem zasiadał na złotym tronie Berke. Szaty z żółtego chińskiego jedwabiu haftowanego w złote wzory podkreślały żółty kolor twarzy chana, który przypominał teraz posąg Buddy odlany ze szczerego złota i ustawiony na honorowym miejscu pagody.

W sali tronowej panowała pełna szacunku cisza. Najbliżej władcy siedzieli Czyngisydzi: Barchudur, lasz-karbaszy Nogaj, syn Kułkiego, Sauk, oraz wnuk młodszego brata Czyngis-chana — Kasara — Dżongatbaj. Dalej zajęli miejsca nojonowie, emirowie i inni dostojnicy, których chan raczył zaprosić na posiedzenie rady.

Berke obrzucił zebranych badawczym spojrzeniem.

— Z woli Allana ja, władca Złotej Ordy, Berke--chan otwieram naradę. Amen. — Przesunął złożonymi dłońmi po twarzy.

Obecni zamarli w oczekiwaniu.

182

— Dziś Złota Orda ma wiele ważnych i nie cierpiących zwłoki spraw. Na południu Hulagu-chan otruł potomków Dżuciego, ogłanów Berkendżara i Bołtuga-ja, i wyróżnawszy ich ludzi zawładnął całym Iranem i Azerbejdżanem.

Nie lepiej dzieje się na wschodzie. Od chwili, gdy Aryk-Boge i Kubiłaj rozpetali wojnę, nie po naszej myśli układają się sprawy w Mawarannahrze, Chora-sanie i Chorezmie. Ałgaj, potomek sławnego Bajdara, który poprzednio nie wykazywał braku szacunku dla Ordy, wypędził z ulusu Dżagataja Organa-katun i ogłosił się chanem. Zagarnął Mawarannahr i Chorasana, a teraz jego tumeny gotowe są rzucić mu do nóg Cho-rezm. Ałgaj ośmielił się wyróżnić naszych namiestników i poborców podatków w Bucharze i Samarkandzie. — Berke zamilkł i jeszcze raz przenikliwie popatrzył na zebranych. — Co powiecie wy, najlepsi z najlepszych, najodważniejsi z odważnych? Czy Złota Orda ma znosić te krzywdy, czy też dobyć na niepokornych miecza? A może któryś z was wskaże inny sposób ukarania wrogów? Nikt chanowi nie zdążył odpowiedzieć, gdy otwarły się drzwi i do sali wszedł Salimgirej. Zakłócenie obrad rady uważane było za straszliwą zbrodnię i odważyć się na coś podobnego mógł tylko dowódca straży przybocznej, jeśli chanowi zagrażało niebezpieczeństwo lub gdy zjawił się goniec ze szczególnie ważną wiadomością.

Wszyscy czekali na słowa setnika.

— Mów! — Berke zmarszczył brwi i przeszył Salim-gireja wzrokiem.

Setnik skłonił się nisko.

— Złe wieści, wielki chanie... — powiedział.

— Rozkazuję, mów! — powtórzył Berke. — Tutaj zebrał się ci, którzy mogą wiedzieć wszystko.

— Wielki chan Mongołów z Karakorum, Aryk-Boge,

183

wysłał na ziemię Rusów swój oddział pod dowództwem Szełkene-baskaka, nie zawiadamiając o tym naszych ludzi. Wojownicy zażądali od Rusów daniny, którą oni zazwyczaj przysyłają do Ordy. Rusowie okazali opór i otoczyli oddział Szełkene-baskaka. Goniec powiedział, że oddziałowi grozi zagłada.

— To znaczy, że stary wilk Szełkene jeszcze żyje? — zapytał żywo Barchudur.

— Chyba tak — odparł Salingirej — skoro rabuje Rusów.

Barchudur chciał zbesztać setnika za wtrącanie się do rozmowy Czyngisydów, ale Berke nagle władczym gestem uniósł rękę.

— Nie będzie żadnych danin dla Karakorum — powiedział twardo. — Niechaj goniec przekaże Rusom, że mogą wyciąć oddział w pień. Żywy potrzebny mi jest tylko Szełkene-baskak. Dopilnuj tego sam, setniku. Szełkene-baskak wiele zrobił dla potęgi tronu, więc chcę, żeby wrócił na mongolskie stepy żywy.

Członkowie rady milczeli. Rozkaz Berkego oznaczał całkowite zerwanie z Karakorum. Wszyscy spodziewali się tego od dawna, bo zwada była nieunikniona? ale mimo to dla niektórych słowa chana były zaskoczeniem.

Barchudur, korzystając z prawa przysługującego potomkom Dżuciego, powiedział:

— Wielki chanie, wydając ten rozkaz gwałcisz tym samym najważniejsze przykazanie Czyngis-chana...

— Wiem i pamiętam o tym — odparł sucho Berke.

— Czy zatem należy tak postępować?

— Tak. To jest niezbędne dla pomyślności Złotej

Ordy.

Wzrok Berkego zatrzymał się na dwudziestoletnim Ulketaj-nojonie, wnuku emira Dżałairów, atabeka Ka-dana, który w swoim czasie był wychowawcą syna Czyngis-chana, Ugedeja.

Jego ojciec Aldżetaj służył

184

z oddaniem Ugedejowi i za swą uczciwość i prostolinijność został wyróżniony godnością emira. Tego roku, kiedy kurułtaj wyniósł na białym wojłoku na tron wielkiego chana Mongołów w Karakorum syna Tołu-ja, mężnego Móngkego, Aldżetaj, nie lękając się zemsty, rzekł do Czyngisydów: „Każdy z was przysiągł w swoim czasie, że zgodnie z przykazaniem wielkiego Czyngis-chana uczyni chanem każdą żywą istotę spośród potomków Ugedeja. Jak wiadomo nawet krowa nie śmie jeść trawy z miejsca, na które stąpiła ta istota, a pies nie ma prawa wachać jego śladu. Wy zaś dzisiaj złamaliście przysięgę...”

Odparł mu na to Kubiłaj: „Tak, przysięgaliśmy... Ale wszak pierwsi przykazania dziada pogwałcili potomkowie Ugedeja. Czyngis-chan mówił: «Jeśli którykolwiek z moich potomków dopuści się zbrodni lub przestanie szanować prawo, to mogą go osądzić jedynie wszyscy zebrani razem moi potomkowie...» Zaś ród Ugedeja, nikogo nie pytając o zdanie zgładził wnuka Dżagataja, Ałtału-ogłana. Jeśli ci to nie wystarczy, to mogę dodać coś jeszcze... Czyż to nie sam Ugedej na łożu śmierci prosił o uczynienie jego następcą najmłodszego syna Sziremuna? W tym wypadku jego potomkowie też złamali prawo, wznosząc na białym wojłoku i mianując chanem Gujuka”.

To była szczerza prawda, więc Aldżetaj musiał zamilknąć.

Tak to było wówczas. I dziś patrząc na Ulketaja Berke pomyślał, że Czyngisydzi już od dawna nie przestrzegają zwyczajów ustalonych przez ich wielkiego dziada, że kiedy trzeba, naginają je do swoich potrzeb. No cóż, swój ułus, swój chanat, własne korzyści są zawsze człowiekowi najbliższe.

Decydując się na zerwanie z Karakorum Berke nie czuł ani wyrzutów sumienia, ani skruchy. Wręcz przeciwnie, po ogłoszeniu swej woli poczuł wielką ulgę.

185

Pozbył się bowiem tajemnych trosk i dręczącej go stale niepewności. Od tej chwili Złota Orda sama będzie stanowić o własnych sprawach bez proszenia o zgodę wielkiego chana Mongołów. Nie będzie też musiała odsyłać do głównej stolicy części łupów i danin od podległych jej narodów.

Przekonany o słuszności swego postanowienia Berke zwrócił się do członków rady: — Powiedzcie mi, kto dziś jest wielkim chanem Mongołów, Kubilaj czy Aryk-Boge? Oni sami nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie. Może zatem powinniśmy obu im posyłać daninę? Nie. Złota Orda nie będzie się od dzisiaj z nikim dzieliła swoim łupem. Czekają nas walki z Hulagu i Ałgujem i dlatego sami będziemy potrzebować bydła i ziarna, które otrzymujemy z podbitych ziem. Będziemy potrzebowali złota i pieniędzy, żeby wyposażyć tumeny i nagradzać dzielnych.

Większość członków rady skłoniła głowy, pochwalając w ten sposób mądrość chana. I tylko Barchudur i Sauk nie odezwali się nawet słowem, nie przytaknęli najmniejszym nawet gestem. Byli najstarsi z obecnych i jeszcze doskonale pamiętali wspaniałość i potęgę imperium stworzonego przez „Tego, który wstrząsnął światem”, pamiętali czasy, kiedy wśród Czyngi-sydów panowała zgoda i kiedy jednoczył ich wspólny cel. Starzy wojownicy rozumieli, że teraz, kiedy Złota Orda oderwała się od wielkiego chanatu Mongołów w Karakorum, zachwiał się szkielet państwa mongolskiego i biały dziewięciobuńczukowy sztandar Czyngis--chana nigdy już nie zbierze wokół siebie silnego, zjednoczonego wojska. Zapowiedź bliskiego nieszczęścia u-nosiła się w powietrzu. Złota Orda, główna podpora Karakorum, odwróciła się odeń w najtrudniejszej chwili. Tak jednak widać zrządził los, bowiem wszystko, co dzieje się na ziemi, dzieje się z woli Allaha.

186

Narada tego dnia trwała bardzo długo. Postanowiono wystawić przeciwko Hulagu dwadzieścia tysięcy wojowników pod dowództwem Nogaja, a dziesięć tysięcy wojska miał poprowadzić na Ałguja sam Berke. Do aułów i na koczowiska pomknęli gońcy, żeby ogłosić ludowi wolę chana i zwołać na wyprawę Kipcza-ków, Mangutów, Bułgarów i dżygitów z innych plemion podbitych przez Złotą Orde.

Wieczorem tego samego dnia do pałacu przybiegł nuker i padając na twarz u nóg Berkego, zawołał:

— Wielki chanie! Przyniosłem ci złą nowinę!..

— Kiedy ktoś wreszcie zjawi się tu z dobrą wiadomością? — burknął ze złością Berke, a jego twarz zbladła jakby w przeczuciu nieszczęścia. — Mów! Co się stało?

— Został zabity jeden z twoich łabędzi! Przesądny Berke drgnął i zachwiał się jak od ciosu.

— Szukać! Szukać winnego! Zginie najstraszliwszą śmiercią, jaka tylko istnieje na ziemi! Poszukiwania nie dały jednak żadnego wyniku.

Chan rozkazał pochować łabędzia z honorami, jakie zwykle oddaje się bliskiemu człowiekowi. Na kurhanie nagrobnym położono płytę z białego marmuru z arabskim napisem głoszącym: „To był ukochany ptak wielkiego Berke-chana. Jakiś okrutny człowiek skrzył mu szyję. Ktokolwiek był tym złoczyńcą, niechaj Allah go ukarze i riechaj umrze, jak ten ptak, ze skrzyconym karkiem”.

Cała Orda chowała łabędzia Berkego, a opodal w stepie zarastały trawą i piołunem mogiły dziesięciu tysięcy zbuntowanych niewolników. Zrozpaczony chan nawet nie spojrzął w tamtą stronę.

Nie wiedział, że w trzy dni później nieznani ludzie położą tam czarny kamień ze smutnymi i gorzkimi słowami:

187

Nie mogą znieść raniącej duszę niewoli, Nie widząc brzasku wstającego dnia. Dziesięć tysięcy niewolnych przeklina Berkego, z którego ręki padli.

Przypadkowi wędrowcy przejeżdżając obok tego kamienia zatrzymywali się i odmawiali modlitwy. Opowiadali potem o czarnym kamieniu swoim dzieciom i wnukom, ale nie znaleźli się nikt, kto doniósłby o nim chanowi.

Po śmierci łabędzia do serca Berkego zakradł się niejasny, dokuczliwy niepokój, trwożliwe przecucie przeszkadzające żyć, myśleć i działać. To był znak losu, ale przed czym on przestrzegał? Może samo Niebo mówiło chanowi, że skoro zginął jeden ze świętych łabędzi, to również jedna z planowanych przez niego wypraw zakończy się niepowodzeniem? W takim razie należało szukać jakiegoś wyjścia.

Chan znalazł je. Na miejsce siebie dowódcą wojska idącego na Ałguja mianował młodego nojona Ulketaja.

Mądry Barchudur spróbował ostrożnie ostrzec swego władcę.

— Ulketaj jest zbyt młody. Ma zaledwie dwadzieścia lat... Czy podola?

— A ile lat mieliśmy — odparł na to Berke — kiedy ojcowie powierzali nam dowództwo tumenów? Ulketaj jest młody, ale ma wiele sił i chęci wyróżnienia się w walce. Wierzę w niego...

Przygotowania do wypraw toczyły się w Ordzie zgodnie z od dawna zaprowadzonym porządkiem, dlatego każdy wiedział, co do niego należy i wykonywał rozkazy bez ociągania i zwłoki.

Berke nadal co rano przyjeżdżał nad zarośnięte trzcinami jezioro i długo wsłuchiwał się w żalosne krzyki osamotnionego łabędzia.

Przecucie zbliżającego się nieszczęścia nie ustępowało. Ludzie pilnie śledzili każdy krok swojego chana

188

i nie rozumieli go. Podobnie jak wszyscy Czyngisydzy nie miał dla nikogo litości, dlatego więc tak rozpaczał po stracie łabędzia? Czyżby lata zmiękczyły serce Berkego?

Nie. Serce chana nadal było takie, jak dawniej i nadal pragnęło przemocy, bardziej nawet niż serce któregośkolwiek innego z Czyngisydów. Po prostu Berke nie miał zdolności dowódczych swego brata, Batu-cha-na, gdyż w przeciwnym razie zamieniłby ziemię w pustynię i zalałby ją strumieniami krwi.

W tydzień po tym, jak Nogaj i Ulketaj wyruszyli ze swymi tumenami na wyprawy, rudy nuker zastępujący setnika Salimgireja na czas jego podróży do ruskich ziem, przyniósł chanowi kolejną złą wiadomość.

— Wielki chanie! — powiedział. — Goniec z Ma-warannahru doniósł, że gdy tylko Ałgaj i Hulagu dowiedzieli się o przedsięwziętych przeciwko nim wyprawach, rozkazali wypędzić poza mury miejskie Bu-chary wszystkich rzemieślników należących do Złotej Ordy i wyrznać ich wraz z żonami i dziećmi.

Wiadomość istotnie była zła, ale w oczach Berkego zapaliła mściwe błyski. Przypomniał sobie swoją podróż do Buchary, przypomniał sobie noc rozświetloną trwożnymi blaskami pochodni nad głowami tysięcy ludzi, którzy ośmielili się przedstawić swoje żądania jemu, wielkiemu chanowi Złotej Ordy. Przypomniał sobie strach, który ogarnął go wówczas na wąskich uliczkach przypominających gliniane wąwozy... Zemsta dościgła buntowników. Szkoda tylko, że to nie on urządził tę rzeź.

Widząc, że chan milczy, rudy nuker pomyślał, że jego władca nie zrozumiał całej wagi wydarzenia i powiedział:

— Pewnie zrobili to po to, aby Złota Orda nie miała od kogo ściągać danin...

189

— Tak — odparł obojętnie Berke. — Ale to niewiele znaczy, bo rzemieślnicy i tak byli we władzy Ałguja i Orda ostatnio nie miała z nich żadnego pożytku... Niedługo będziemy mieli mnóstwo nowych niewolników... Całkiem niedługo...

Dziwne jest życie, myślał chan. Zemsty za mnie, Czyngisydę, dokonali inni Czyngisydzi, chociaż to moi wrogowie.

Berke nagle odwrócił się gwałtownie w stronę rudego nukera.

— Czy setnik Salimgirej już wrócił?

— Jeszcze nie, wielki chanie...

— Są jakieś wiadomości od niego?

— Nie.

— Gdzie on się mógł podziać? Nuker w milczeniu pochylił głowę. —• A co ty w ogóle wiesz? Co wiesz?!

— Nic, wielki chanie...

— No to precz z moich oczu!..

A Salimgirej w tym czasie zamęczając kolejne konie coraz bardziej oddalał się od granic Złotej Ordy. Wykonał rozkaz chana i nie pozwolił Rusom zabić Szełkene-baskaka. Uratował go jednak nie po to, aby mógł dalej żyć na ziemi. Niemłody już, ale nadal krzepki i barczysty baskak wciąż jeszcze był postrachem podbitych narodów, i nawet wśród Mongołów wyróżniał się niepomiernym okrucieństwem. Tam, gdzie pojawiali się poborcy podatków pod wodzą baskaka Szeł-kene, natychmiast płonęły chaty, krzyczały kobiety i dzieci, a wszystko, co żywe i niepokorne, obracało się w proch. Salimgirej uważał, że taki człowiek nie ma prawa do łycia, ale musiał wygrać na czasie, żeby zabezpieczyć sobie tyły.

Kiedy wreszcie minęli ziemie Rusów, gdzie w każ-

190

dej chwili można było natknąć się na wszechobecne oddziały Mongołów, Salimgirej wysłał jednego ze swych wojowników do Saraju, aby zawiadomił Berke-00 o wykonaniu polecenia. Tej samej nocy setnik zaprowadził Szełkene w leśną gęstwinę i tam zarąbał go szablą. O świcie oddział Sa-limgireja składający się z oddanych mu ludzi skierował swoje konie w stronę Kaukazu. Setnik liczył na to, że Berke, zmylony przyniesioną przez umyślnego wieścią o jego powrocie, nie od razu domyśli się, co się stało i zanim wyśle pościg, oddział zdąży ujść daleko.

Salimgirej długo nie mógł zdecydować się na ucieczkę, ale tak się złożyło, że dłuższe pozostawanie w Or-dzie zaczynało być dla niego niebezpieczne. Ludzie chana wytrwale szukali mężczyzny w czarnym stroju, który zagrzewał niewolników do buntu. Jeszcze nikt nie domyślał się, że był nim Salimgirej, ale pętla wokół niego zaciskała się z każdym dniem coraz silniej, a on, setnik straży przybocznej chana, widział to wyraźniej niż ktokolwiek inny. Z Samarkandy dochodziły słuchy, że pojawiła się tam wspólnota ludzi występujących przeciwko mułom, iszanom i chanom oszukującym i grabiącym prosty lud. Przewodząc tym niezadowolonym miał człowiek imieniem Tamdam. Salimgirej owi nie trzeba było tłumaczyć, kto to taki.

Setnik żałował jedynie, że nie udało mu się spełnić swego dawnego zamysłu i zabić Berke-chana. Trudno, widać taka była wola Allaha.

Salimgirej nie wiedział jeszcze, że Berke czeka nań nie tylko dlatego, że miał przywieźć ze sobą Szełkene--baskaka. Koło się zamknęło. Ludzie chana już wskazali na setnika i znaleźli świadków, którzy mogli potwierdzić jego udział w powstaniu niewolników oraz ucieczce Kolomona i Kunduz.

191

Na ziemiach leżących na wschód od Złotej Ordy szalał pożar.

Pokonany przez Kubiją wielki chan Mongołów z Karakorum, Aryk-Bóge, zrozumiał, że nigdy nie zdoła zwyciężyć brata i postanowił rzucić swe tumeny do walki z innym niepokornym, Ałgujem. Dowodzili tym wojskiem Kara-Buga-nojon i syn zmarłego chana Món-gkego, Asutaj.

Ałgij, ostrzeżony zawczasu przez szpiegów, nieoczekiwanie napadł na Kara-Bugę nad jeziorem Sum. W bitwie sam nojon poległ, a jego wojsko zostało rozproszone po stepie. Upojony łatwym zwycięstwem Ałgij zapomniał o ostrożności i rozkazał rozbić swe namioty na długi popas nad brzegiem bystrej rzeki Iii.

Został okrutnie ukarany za swój brak przezorności. Drugie skrzydło karakorumskich wojsk, dowodzone przez Asutaja, po błyskawicznym nocnym marszu runęło na obóz Ałguja. Chan zdołał się uratować i z niewielkim oddziałem ująć do Wschodniego Turkiestanu.

Aryk-Boge, uskrzydłony pierwszym zwycięstwem w długotrwałej walce ze swymi przeciwnikami, głęboką jesienią przybył sam z nowym wojskiem do Doliny Ilijskiej, aby po przezimowaniu tam dobić Ałguja i przywrócić władzę Karakorum nad utraconymi ziemiami. Chan był zapalczywy i dlatego jego decyzje nie zawsze były przemyślane. Teraz też nad brzegami burzliwej Iii zaczął rozprawiać się z ocalałymi podkomendnymi Kara-Bugi i bez litości uśmiercił wielu nojonów, oskarżając ich o wszystkie dawniejsze niepowodzenia. Widząc takie okrucieństwo wielkiego chana Mongołów, emirowie plemion koczowniczych, którzy przyłączyli się do Aryka-Boge na początku wyprawy, z nastaniem zimy zaczęli go porzucać pod różnymi pretekstami.

192

Zima tego roku była bardzo surowa. Głębokie śniegi pokryły ziemię i nawet mongolskie koniki, które niemal w każdych warunkach potrafiły zdobyć pokarm, zaczęły chudnąć i padać z głodu. Nadeszła odwilż, a potem silne mrozy, którym towarzyszyły huraganowe wiatry. Sytuacja wojsk Aryka-Boge stawała się coraz trudniejsza. Miejscowej ludności zabrano wszystko, co mogłoby przydać się Mongołom, ale i to nic nie pomogło. Na wiosnę wojsko pozostało niemal zupełnie bez koni. A Mongoł bez konia już nie jest wojownikiem, lecz łatwym łupem każdego, kto tylko będzie miał ochotę go zagarnąć.

Nigdy jeszcze od czasu, kiedy wielki Czyngis-chan zebrał pod swoim dziewięciobuńczukowym białym sztandarem wszystkich Mongołów, nigdy jeszcze wojsko mongolskie nie znalazło się w takiej rozpaczliwej sytuacji. Aryk-Boge musiał prosić o litość i zdać się na łaskę Kubiłaja.

Kubiłaj po raz wtóry okazał bratu łaskę. Darował życie Arykowi-Boge i synowi zmarłego wielkiego chana Mongołów Móngkego, Asutajowi, pozostałych zaś nojonów dowodzących wojskami rozkazał zgładzić.

Ałgij, który zbiegł do Wschodniego Turkiestanu, zgromadził tam nowe wojsko, wziął za żonę wypędzoną przez siebie z ułusu Dżagataja wdowę po Kara--Kułagu, Organa-katun, złożył hołd chanowi Kubiłajowi i w ten sposób uznał jego zwierzchnictwo.

W tym samym czasie, kiedy szczęście uśmiechnęło się do nowego władcy ułusu Dżagataja, wojska Ulke-taja, przezimowawszy w stepach Deszt-i-Kipczak, wyruszyły z ziem w dolnym biegu Itilu w kierunku miast Sygnak, Otrar i Suzak.

Naprzeciw nim, czując oparcie w swym władcy Ku-"iłaju, rzucił podległe mu tumeny Ałgij... Czarna wieść dotarła do uszu Berke-chana rankiem, kiedy po dokonaniu ablucji skończył odmawiać mo-

Złota Orda

193

dlitwę. Ranny, nieprzytomny ze zmęczenia goniec zawiadomił go, że wojska Złotej Ordy po trzydniowych walkach zostały rozbite, a mążny Ulketaj poległ. Mszcząc się za zuchwałość Ałgij zniszczył i spalił należące do Złotej Ordy miasto Otrar.

Kłęska Ulketaja była ciężkim ciosem dla Berke-go. Wszystko zaczynało się zupełnie nie tak, jak w swej próżności zamyślał. Teraz niezbędne mu było choćby niewielkie zwycięstwo, które dodałoby otuchy wojownikom, zagrzałoby ich do przyszłych, prawdziwie trudnych bitew.

Chan jednak stracił nadzieję. Pomyślał, że może jego klęski chciało samo Niebo. Przecież chyba nie bez powodu zginął jego ukochany łabędź... Wiedział też, że za pierwszą złą wiadomością muszą przyjść następne, bo nieszczęścia chodzą jedne za drugim, jak wielbłądy w karawanie.

Nie mylił się.

Wkrótce stało się wiadome, że Ałgij zagarnął Sied-miorzecze, Wschodni Turkiestan, Mawarannahr, połowę Chorezmu i Północny Afganistan.

Po poddaniu się Aryka-Boge i Asutaja, po uznaniu] przez Ałguja zwierzchnictwa Kubiłaja, wszystkie zie-j mie imperium Czyngis-chana, poza Złotą Ordą oraz ilchanatem Hulagu, stały się jego własnością. Od tej chwili prawdziwym wielkim chanem Mongołów zo-j stał Kubiłaj. Ciężkie strapienia nie dawały spokoju Berke-cha-J nowi. Liczba jego wrogów zmniejszyła się, ale reszta stała się o wiele potężniejsza niż dawniej. Na wscho-j dzie Kubiłaj. Na południu Hulagu. Obaj mieli wie-j lu wrogów zewnętrznych, ale i Złota Orda byłabjj dla każdego łakomym kąskiem. Wprawdzie osłabła i zubożała, straciła na potędze, jaką miała za Batu-I - chana, bo sąsiedzi zdążyli poobgryzać najbogatsze i najludniejsze ziemie, ale... Berke był mimo wszystko

194

przekonany, że zdoła jeszcze wystawić silne wojsko. Usta przywykłe do sytego jadła i ręka przyzwyczajona do ubrania — nigdy nie pogodzą się z ograniczeniami.

Chana niepokoiło co innego. Dochodziły go słuchy, że Kubiłaj zamierza ogłosić się cesarzem Chin, o-świadczyć, że jest równy Czyngis-chanowi, a co za tym idzie, że wszystkie ziemie, których dotknęły kopyta mongolskich koni, znajdują się w jego władaniu. Kto mu może w tym przeszkodzić? Co robić, jeśli rzeczywiście to się stanie?

Hulagu też jest silny i chytry jak wilk. Szybko i o-krutnie rozprawił się ze zbuntowanymi Gruziniami. A jeśli jeszcze odniesie zwycięstwo nad egipskimi ma-melukami, którym przewodzi Bejbars, to cały świat zostanie podzielony między Hulagu a Kubiłaja. I wówczas nadejdzie kres Złotej Ordy.

Łabędź nie może pływać w brudnej wodzie. Brudny ptak nie zdobi brudnego jeziora.

Człowiek małoduszny i słaby Nie zerwie zdradzieckich pęt. "I

Berke doskonale pamiętał te słowa. Pamiętał, rozumiał, ale nie chciał pogodzić się z myślą, że dla Złotej Ordy wkrótce mogą nadejść czarne dni. Lękał się przyznać przed samym sobą, że od chwili gdy został chanem, nie uczynił nic dla sławy Ordy, która wciąż jeszcze trzymała się tylko dzięki zaprowadzonej przez Batu-chana żelaznej dyscyplinie. Berke wprawdzie dbał o rozwój miast, bił monetę, popierał rozwój rzemiosła i handlu, ale tego wszystkiego było mało i potęga Złotej Ordy podupadała.

Chan próbował pocieszać się tym, że jedna przegrana bitwa jeszcze nie musi oznaczać klęski i że nie należy bać się wrogów myszkujących nad granicami Złotej Ordy. Jednak gdzieś na dnie świadomości tkwiła

195

niepokojąca myśl o ruskich księciach. Trudno przecież było liczyć na to, że będą oni bez końca podgryzać sobie nawzajem gardła! A co się stanie, jeśli znajdzie się człowiek o żelaznej woli, który zbierze ich wszystkich i skupi w żelazną pięść? Może zresztą już taki człowiek się zjawił... Może nie przypadkiem Rusowie odmówili płacenia daniny Szełkene-baskakowi?

Dopiero teraz, kiedy nad Ordą zebrały się ciemne chmury, Berke po raz pierwszy zrozumiał naprawdę, jak trudno jest być chanem. Ten próżny, myślący tylko o sławie człowiek pomyślał ze strachem o tym, co powiedzą przyszłe pokolenia, gdy pozwoli pohańbić sztandar Złotej Ordy, co powiedzą Czyngisydzi, potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem”

Ten, który wybrał zbyt ciężką dla siebie maczugę, na pewno spuści ją na własną głowę. Czy aby jemu właśnie to się nie przydarzyło? Czy nie popełnił błędu wspinając się na złoty tron?

Jego wyćwiczony przez wieloletnie intrygi umysł szukał jakiegoś wyjścia z sytuacji. Na próżno.

Ostatnimi czasy Berke częściej niż dotychczas odwiedzał ciche jezioro. Nic tam nie zakłócało jego rozmyślań, nikt nie ośmielał się przeszkodzić, naruszyć jego samotności. Chan nie lubił ludzi, nie szukał z nikim przyjaźni i nie prosił nikogo o radę. Wiedział, że na stepie nikomu nie wolno wierzyć do końca. Jeśli człowiek zdobył bogactwo i sławę, to musi być o-strożny, gdyż otaczają go wówczas jedynie zawistni-cy i wrogowie udający przyjaciół.

Pewnego razu, odwiedzwszy jak zwykle jezioro, chan spostrzegł ze zdumieniem, że po jego tafli pływają trzy łabędzie zamiast jednego. Nie mógł zrozumieć, skąd się wzięły te dwa obce ptaki. Czyżby to były zeszłoroczne pisklęta, które wróciły nie chcąc zostawiać w nieszczęściu osamotnionego rodzica? A skoro tak, to czyż wśród Czyngisydów, ludzi tej samej krwi,

196

nie znajdują się tacy, którzy by go podtrzymali w trudnej chwili? Trzeba za wszelką cenę znaleźć niezawodnego sojusznika. Wprawdzie synów chana Tołuja jest trzech, ale spośród licznych potomków Czyngis-chana muszą znaleźć się tacy, którym zamysły braci nie odpowiadają, podobnie jak jemu, Berkemu.

Od razu przyszedł mu na myśl wnuk Ugedeja, Kaj-du. Cóż z tego, że wywodzi się on z rodu Dżuciego? Wszak będąc jeszcze młodzieńcem wyprawiał się z Batu-chanem na Rusów. Był wojownikiem biegłym i odważnym. W ostatnich latach władał ziemiami leżącymi między Chinami a Ujguristanem. Kajdu starał się nie wtrącać do waśni Czyngisydów, ale uważnie obserwował wszystkie wydarzenia, gdyż jego ułus graniczył z ułusem Dżagataja i wzrost potęgi Ałguja również jemu był bardzo nie na rękę. Rdzeniem wojsk Kajdu byli Bekrinowie i koczujące na podległych mu ziemiach kipczackie rody Ujszunów, Dułatów, Ałba-nów i Sybanów.

Wątpliwe, aby Kajdu zechciał się podporządkować Ałgujowi, co byłoby nieuchronne, gdyby ten poczuł, iż nie ma godnych siebie przeciwników.

Trzeba zatem niezwłocznie wysłać do Kajdu zaufanego człowieka i spróbować przeciągnąć go na swoją stronę.

Berke zawsze wierzył w znaki, więc te trzy łabędzie... Może to sam los podpowiedział mu w ten sposób rozwiązanie? Potrzebny jest silny sojusz. On sam, Kajdu... A kto będzie trzeci?

O trzecim Berke myślał już dawno, jeszcze zanim zasiadł na tronie Złotej Ordy. Pragnąc stać się sztandarem islamu, uważnie śledził rozwój wydarzeń w Egipcie. Mamelucy mogli stać się jego podporą. Są muzułmanami i znajdują się w stanie nieustannej wojny z Hulagu, który popiera chrześcijan, a poza tym ich przywódca Bejbars jest z pochodzenia Kipczakiem,

197

zaprzędanym w swoim czasie w niewolę przez Mongołów.

Dzień, w którym Berke ujrzał na jeziorze trzy łabę- | dzie, stał się dla niego dniem radości.

Mało, że posta-nowU zawarł sojusz z przywódcą mameluków, który mógłby zapewnić potęgę Złotej Ordzie, to ledwie wrócił do pałacu, gdy doniesiono mu o przybyciu poseł- : stwa od Kajdu. Na jego czele stała osiemnastoletnia córka władcy ułusu, Kutułun Czaka. O jej odwadze i czynach wojennych krążyły legendy. Od chwili, gdy nauczyła się jeździć na koniu i posługiwać łukiem, j Kutułun Czaka stale towarzyszyła ojcu wTe wszystkich wyprawach. Była piękna i Mongołowie nazwali ją Angriam — Jasna jak księżyc.

Kutułun Czaka była niezamężna i złe języki utrzymywały, że Kajdu kocha ją nie tylko jak córkę.

Berke po raz pierwszy widział Angriam. Od jej twa- I rzy istotnie trudno było oderwać oczy. Serce chana mocniej zabiło. Poczuł się nagle orłem, który dojrzał rudą lisicę.

Uradowany chan rozkazał wydać na cześć gości wielką ucztę. Na złotych tacach parowały stopy mięsna, a piany kumys i słodkie wino Arranu lały się strumieniami do połączonych czar.

Bajzar Sulengit zdołał znów dobrać głos ze struni swojego starego kobyzu. Drżącym ze starości głosem zaśpiewał pieśń ku czci szanownego gościa.

Usta niczym księżyc i oczy słoneczne... To ty, piękna. Zęby jak perełki, Czyny bohaterskie —
To ty, dziewczę męzne

198

po uczcie, kiedy chan został sam na sam z Kutułun Czaka, dziewczyna zdradziła cel swego przyjazdu. Kajdu prosił o pomoc w walce z Ałgujem.

Berke słuchał jej i triumfował. Nie pomylił się w swych przewidywaniach, a nawet otrzymał więcej, niż się spodziewał... Kajdu sam przysłał posłów, a zatem będzie niezawodną pomocą w walce z wrogami Złotej

Ordy.

Jego radość była tak wielka, że Berke zapomniał o swojej wierze i z bezpośredniością pogańskiego Mongoła powiedział Angriam, że pragnie ją posiadać.

Tej nocy chan poznał córkę Kajdu i przekonał się, że nie tylko jej jasna twarz, ale i ciało jest piękne, a ręce delikatne i czułe jak dwa łabędzie skrzydła.

— Za każdą noc dam ci tysiąc wojowników — powiedział jej.

Rano Berke wezwał do siebie żauryńczy, wieszczka przepowiadającego przyszłość z kształtu baraniej łopatki, i poprosił go, żeby wywróżył losy Kajdu. Wieszczek powiedział, że walka Kajdu z Ałgujem będzie pomyślna.

W tydzień później Kutułun Czaka opuściła stolicę, wioząc zezwolenie Berkego na zebranie tumenu wojsk na ziemiach Złotej Ordy graniczących z ułusem Dża-gataja. Na czele wojska i karawany objuczonej bogatymi darami udała się do ułusu swego ojca.

Nie minął nawet tydzień od wyjazdu Kutułun Cza-ki, gdy do Saraju przybyli posłowie z Egiptu.

W roku konia (1258), kiedy to Ałguy podporządkował sobie Mawarannahr, Hulagu zburzył mury obronne Bagdadu. Uskrzydłony zwycięstwem pchnął swoje tu-meny do Syrii, ale drogę przegrodziło im wojsko egipskiego sułtana Bejbarsa.

Od czasu, gdy w roku węża (1250) Bejbars został sułtanem, nieustannie śledził on rozwój wypadków w swej ojczyźnie, w Wielkim Deszt-i-Kipczak. Bardzo

199

go też ucieszyło, że chanem Złotej Ordy został muzułmanin Berke. Był niemal pewien, że wcześniej czy później zdoła zawrzeć sojusz z Ordą, która dopomoże mu w walce z opiekunem chrześcijan Hulagu.

Właśnie dlatego wyprawił swoich posłów do Berkego.

Poselstwo składało się ze świętych hadżich i ule-mów ubranych w błękitne kałtany i ogromne białe zawoje. Każdy z nich nosił gęste wąsy i brodę, każdy był wysoki i krzepki jak rnanyszłacki wielbłąd.

Podarunki, które Bejbars przysłał chanowi, były piękne i niezwykle cenne: dziewięć arabskich rumaków czystej krwi z rzędami wybijanymi srebrem, dywany i tkaniny jedwabne, złote naczynia i klingi z damasceńskiej stali. Najbardziej jednak ucieszył się Berke z białego chałatu noszonego niegdyś przez samego kalifa i z Koranu, który należał kiedyś do proroka Mahometa. Cóż z tego, że chałat był uszyty ze zwykłej tkaniny, a Koran był stary i zniszczony! Te podarunki dowodziły, że świat muzułmański uznał Berkego za pierwszego obrońcę islamu na niezmiernych ziemiach należących do Czyngisydów.

Więść o tym jak na skrzydłach obiegnęła całą Złotą Ordę, przyprawiając o lęk gaurów, a o zachwyty wszystkich prawowiernych.

W trakcie rozmów ustalono, że Bejbars nie tylko ruszy na Hulagu, lecz także ogłosi świętą wojnę przeciwko niewiernym. Białym sztandarem tej wojny na ziemiach Deszt-i-Kipczak stanie się gorący obrońca islamu Berke-chan.

Wszystko układało się jak najlepiej i Berke znów odzyskał wiarę we własne siły. Sytuacja Złotej Ord nie wydawała mu się już tak ciężka i beznadziejna jak jeszcze niedawno. Nadszedł czas, żeby pomyśle nie tylko o zagrożeniach zewnętrznych, ale także wrogach wewnętrznych. Chan rozkazał ogłosić, że każ

200
dy, kto przyniesie mu głowy Salimgireja, Kolomona i Kunduz, zostanie szczerze nagrodzony.

A tymczasem uciekinierzy oddalali się coraz bardziej od ziem podległych Złotej Ordzie. Ich oddział rósł z każdym dniem, zasilany różnoplemiennymi zbiegłymi niewolnikami.

Z włości Ałguja nadchodziły smutne wieści. Nowy chan, dowiedziawszy się o wizycie mameluckich posłów w Złotej Ordzie, rozprawiał się okrutnie z muzułmanami. Dawno już żaden z Czyngisydów nie u-rządzał takiej rzezi, której ofiarą padali nie tylko dorośli mężczyźni, lecz także kobiety i niemowlęta.

Akurat wtedy zmarła jego żona Organa-katun i Ał-guj oświadczył, że to muzułmanie są winni jej śmier-^{*} ci.

Wieści były złe, ale Berke się z nich cieszył. Im bardziej Ałgaj był okrutny, tym więcej muzułmanów szukało obrony w Złotej Ordzie, widząc w jej chanie swą jedyną nadzieję. Tymczasem wierzący niezachwianie w swą potęgę Ałgaj mocno się przeliczył, bo nawet silny wiatr zmienia kierunek, gdy na jego drodze rozpęta się burza. Taką burzą stał się Kajdu, spokojnie wyczekujący na sprzyjający moment w górach Tarbagataju. Wreszcie zrozumiał, że jeśli nie chce utracić swego ułusu, musi natychmiast zacząć działać.

Kajdu był odważnym i przewidującym wojownikiem. Wyprawy podejmowane wspólnie z Batu-chanem nie minęły dla niego bez śladu. Poza tym długa służba w Karakorum na dworze chana Mongkego nauczyła go trzeźwej oceny sytuacji i rozplątywania intryg Czyngisydów. Kajdu zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jeśli niczego nie przedsięwzię, niebawem chciwe ręce Ałguja lub Kubiłaja sięgną po jego ułus.

Na należących do Kajdu ziemiach w dawnych czasach osiadło wielu wojowników i nojonów pamiętają-
201

cych złote czasy Czyngis-chana, wspaniałe wyprawy jego syna Ugedeja i rozumne rządy chana Mongkego, kiedy Mongołowie byli jeszcze zjednoczeni, a potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem” nie odważali się jeszcze rozpętywać krwawych rodowych waśni. Ci ludzie patrzyli z bólem na chylącą się ku upadkowi potęgę Wielkiego Chanatu Mongołów i na to, jak mongolskie rody zespolone niegdyś żelazną dyscypliną, teraz opowiadały się po stronie raz tego, to znów innego Czyngisydy.

Kiedy więc Kajdu przygotowując się do walki z Ał-gujem zwrócił się do nich o pomoc, pod jego sztandarem zebrali się wszyscy zdolni do noszenia broni, a niezdolni przysłali swoich synów i wnuków. Stawili się Bekrinowie, Ujgurowie, Kipczaczy i w krótkim czasie Kajdu zebrał siły zdolne przeciwstawić się i Ałgajowi, i Kubiłajowi. Wojsko, w którym znalazło się wielu starych wojowników, święcie przestrzegało przykazań Czyngis-chana i gotowe było iść do końca za swoim przywódcą.

A Kajdu potrafił mądrze i rozsądnie dowodzić tu-menami. Niewysoki i wciąż jeszcze, mimo podeszłego wieku, krzepki wyglądał ze swą szeroką twarzą i wystającymi kośćmi policzkowymi tak, jak czystej krwi Mongoł, chociaż jego matka była z innego plemienia. Nie nosił brody ani wąsów, tylko na swym brązowym podbródku hodował dziewięć włosków, które lubił odruchowo gładzić.

Jego ojciec Kaszin rozpił się i od tego umarł, natomiast Kajdu nie pił nawet kumysu, co było rzadkością w rodzie Ugedeja, w którym pili wszyscy jego synowie i wnuki. Charakterem przypominał Czyngis--chana, zawsze zachowywał trzeźwość umysłu i każdą sprawę rozważał na zimno, nigdy nie podając się chwilowemu nastrojowi.

Podobnie jak jego pradziad, Kajdu podzielił swe woj-
202

słco na obozy, na czele których postawił swoich sy-nów. Obcym nie ufał. Obozem przegradzającym drogę Kubiłajowi dowodził drugi syn Orus, na granicy ze Złotą Ordą stał trzeci syn Bajkagar, czwarty syn Sar-ban miał odpierać Hulagu. Sam Kajdu ze swym pierworodnym Czaparem i młodszą córką Kutułun Czaka zaczął przygotowywać się do starcia z wojskiem Ałguja. W rządzonych przez siebie ziemiach był lubiany. Nie gnębił swoich poddanych, starał się sprawiedliwie sądzić i rozstrzygać zatargi i dlatego koczownicy chętnie szli do jego wojska. Zdołał «pozyskać sobie Bekrinów, z których rodu pochodziła jego matka.

W roku świni (1263) wojska Kajdu i Ałguja stanęły naprzeciw siebie nad brzegiem rzeki Emel. Kajdu świetnie rozstawił swoje siły. Do przodu wysunął pięć tysięcy kipczackich jeźdźców, którzy nie mieli równych sobie w boju na równinie. Oddziałem składającym się z tysiąca najodważniejszych wojowników dowodziła Kutułun Czaka.

Jako pierwsza z okrzykiem „Ugedej!” rzuciła się ona na wroga, pociągając za sobą Kipczaków. I wróg nie wytrzymał naporu. Wojownicy Ałguja pochodzący z Mawarannahru i Wschodniego Turkiestanu potrafili dobrze bronić miast i twierdz, ale nie przywykli do konia. Teraz więc poszli w rozsypkę i podali tyły.

Kiedy goniec, który przyniósł Berkemu wieść o zwycięstwie Kajdu nad Ałgujem, opowiedział mu o przebiegu bitwy, chan pomyślał: „Błogosławiona niech będzie matka, która urodziła Kutułun Czakę, równie dobrą w łożu, jak i na polu boju!”

Zmrużył oczy, wspominając z lubością księżycowe noce spędzone z Angriam, i pomyślał, że mają po tysiąckroć rację Kipczacy, mówiąc że kobieta poza domem powinna być królowną, w domu oszczędną, a w pościeli szczodłą. Jeśli zaś jest szczodra poza domem, w do-
203

mu jest królowną, a w pościeli skąpą, to taką żonę na-j leży oddalić. Tak, Kutułun Czaka dobrze wie, gdzie się ma jak zachować!

W kilka dni później do stolicy dotarła jeszcze jednaj dobra nowina. Tumeny Nogaja przez trzy miesiące u-\ czestniczące w drobnych utarczkach z wojownikami Hulagu, wkroczyły wreszcie na ziemie Azerbejdżanu.1

Dobre wieści niczym wiatr rozpedziły groźne chmury gromadzące się dotąd nad południowymi i wschodnimi granicami Złotej Ordy. Berke-chan, dziękując Al-lahowi za okazaną mu łaskę, rozkazał złożyć wielką ofiarę z niezliczonych sztuk bydła, po czym urządzić wyjątkową w jego stolicy wspaniałą ucztę.

Życie podobne jest do nieboskłonu. Raz bywa jasne i błękitne, to znów nieoczekiwanie zasnuwa się czarnymi chmurami zasłaniającymi słońce, po czym zrywa się zimny wiatr, a nad horyzontem rozbłyskują błyskawice i dobiega stamtąd huk grzmotów.

Ledwie ucichła w Ordzie radość ze zwycięstwa Kaj-du i pomyślnego przebiegu wyprawy Nogaja, gdy jeździec na spienionym koniu przyniósł groźną wiadomość o buncie ruskich miast: Rostowa, Jarosławia, Su-zdału i Wielkiego Ustiugu. Ich mieszkańcy nie chcieli płacić daniny ani Karakorum, ani Złotej Ordzie, ani chanowi Kubiłajowi z Chanbałyku.

Goniec powiedział, że pożar buntu może się rozprzestrzenić na wszystkie ruskie ziemie.

Miał chyba rację. Nie po raz pierwszy Berke miał do czynienia z nieposłuszeństwem Rusów, choć za każdym razem starał się na długo złamać ich wolę oporu, ale nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby zbuntowały się naraz cztery miasta. To rzeczywiście mógł być początek wielkiego pożaru, który niezmiernie trudno będzie stłumić.

Kto w Ordzie najbardziej nienawidzi Rusów? Kog posłać na ich ziemie z karzącym mongolskim miecze

204

w dłoni? Berkendżara? Nie, jest chory i teraz z takim zadaniem sobie nie poradzi... A może wzorem Batu--chana spróbować skłócić ze sobą ruskich kniaziów? To nie powinno być zbyt trudne, gdyż próżni książęta •już nieraz sami wpadali w sprytnie zastawione sidła.

Za panowania wszystkich chanów Złota Orda najbardziej obawiała się zjednoczenia ruskich książąt. W miarę upływu lat coraz częściej pojawiali się wśród nich ludzie marzący o tym, aby zespolić rozproszone ziemie i na zawsze uwolnić się z nienawistnego jarzma. Prosty lud odmawiał posłuszeństwa tym książętom, którzy gotowi byli służyć Ordzie.

Ciężkie, nieznośnie ciężkie było życie Rusów. Po pustoszących najazdach zjawiali się baskakowie, poborcy danin dobierani przez Ordę spośród najokrutniejszych, pozbawionych litości wojowników.

Poza pogłównym zależne księstwa musiały płacić dziesięcinę z plonów i oddawać połowę futer z upolowanych zwierząt. Jeśli zaś ktokolwiek nie mógł zapłacić przypadającego nań podatku, wówczas poborca danin sam wpłacał za niego odpowiednią kwotę do skarbu Ordzie i ściągał ją od dłużnika w następnym roku z odpowiednimi procentami. Jeśli i tym razem dłużnik nie mógł zapłacić należności, wtedy już czekała go niewola. Czasami zbieranie danin powierzano zaufanym spośród miejscowej ludności. Takich ludzi Ru-sowie nazywali bisurmanami, Kipczacy natomiast dali im przezwisko kyrmany.

Za rządów wielkiego chana Mongołów Mongkego w celu uporządkowania poboru podatków i danin na ziemie ruskie został wysłany człowiek imieniem Pysyk Berke, chytry i okrutny osobnik, który służył kiedyś u Chińczyka Jelu Czu-tsaja, głównego doradcy Ugedeja.

Pysyk Berke postanowił dokonać spisu ludności i byłdła we wszystkich ruskich księstwach. Tego samego zażądał od wolnego Nowogrodu. Nowogrodzianie, zwol-

205

nieni od podatków i danin za rządów chana SartakaJ odmówili. Jednak okoliczności im nie sprzyjały. Nad] granicami nadal stali rycerze zakonni i kłótnia z Karakorum i Złotą Ordą była w tej sytuacji niebezpieczna. Pod naciskiem bojarów Nowogród postanowił przeprowadzić u siebie żądany spis.

Ruskie miasta opanowało wrzenie. Baskak Kitak, założywszy swą główną kwaterę w Jarosławiu, przy pomocy byłego mnicha Izosimy, który przeszedł na islam, coraz mocniej gnębił Rusów podatkami i daninami I i wysyłał coraz liczniejsze karawany niewolników na niewolnicze rynki Buchary, Samarkandy i Stambułu

I oto teraz miasta się zbuntowały. Długo zastanawiał się Berke, kogo posłać do stłumienia ich powstania. Wreszcie wybrał Sauka. Znał jego nienawiść do Rusów i dlatego był pewien, że stary doradca zrobi wszystko jak należy.

Pięcioletni oddział zbliżył się do murów Rostowa Wielkiego o świcie. To było na drodze Sauka pierwsze miasto, w którym należało uzmysłwić Rusom groźną siłę mongolskiej broni. Sauk rozkazał rozbić namioty, nieco się zdrzemnął, a gdy wyszedł ze swego białego namiotu słońce stało już dość wysoko i odbijało się w cerkiewnych kopułach miasta.

W tym momencie Sauk zupełnie nie wyglądał na siedemdziesięcioletniego starca. Ruchy miał szybkie, a w patrzących bystro oczach zapalały się młodzieńcze ogniki. Nią dziwnego, bo przecież nareszcie nadszedł dzień, w którym miał się ostatecznie zemścić na Rusach.

— Wezwijcie tutaj Kabłan-nojona — rozkazał.

Nuker wsunął krzywą szablę do pochwy i pobiegł wykonać rozkaz.

206

uk patrzył w zadumie na leżące przed nim mia-Długo mu przyszło czekać na ten dzień. Jeszcze S °zoraj nie było w Ordzie cichszego i bardziej od nie-W niepozornego człowieka.

Wielu ludziom wydawało ^ że godność chańskiego doradcy otrzymał Sauk zupełnie przypadkowo. Dając jakąś radę chanowi nigdy nie podnosił głosu i jeśli Berke nie zgadzał się z nim lub też wyrażał swoje niezadowolenie, natychmiast milkł. Ludziom wydawało się czasem, że Sauka zupełnie nie obchodzi, jaką decyzję podejmie chan, ale sprawy wcale się tak nie miały.

Po prostu doradca nauczył się doskonale ukrywać własne myśli, choć w jego sercu przez całe życie tlił się gorący płomyk nadziei.

Sauk był potomkiem Czyngis-chana, a któryż z nich nie pragnął władzy, nie marzył o rządzeniu narodami, podbijaniu nowych ziem, o blasku powodzenia i sławy.

Już w siedemnastym roku życia zrozumiał, że dla niego ten cel jest prawie nieosiągalny. Jego ojciec Kuł-kan zginął podczas brania ruskiego miasta Kołomny. Matka Kułan-katun była młodszą żoną Czyngis-chana i nie wiedziała, z jakiego rodu i plemienia pochodzi. Było oczywiste, iż żaden z Czyngisydów urodzonych ze starszych żon nie ustąpi mu drogi, tym bardziej, że nie miał w Ordzie krewnych ze strony matki, którzy mogliby mu pomóc w przyszłej walce o tron. Gdyby żył ojciec...

Bardzo szybko też zrozumiał, iż nie ma żadnych szczególnych zdolności, które mogłyby wyróżnić go spośród reszty Czyngisydów. Jednak starannie skrywana nadzieja nie opuszczała go i wciąż paliła jego serce. Wciąż od nowa wspominał ojca i matkę, i wciąż, wierzył, że gdyby Rusowie nie zabili Kułkana, jego życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Dlatego Sauk śmiertelnie nienawidził Rusów, morderców swego nie-ulęknionego ojca i jedyńskich sprawców nieszczęść, ja-

207

kie spadły na głowę starego dziś chańskiego doradcy.

Wraz z upływem czasu do serca zakradło się nowe uczucie, pragnienie dokonania zemsty za siebie i ojca.! Dlatego korzystał z każdej okazji, żeby wziąć udział w/ wyprawach na ruskie ziemie. Ale skąd wziąć umie-sj jętności dowódcze, jeśli nie przyszło się z nimi na świat?

Trzykrotnie Sauk stawał na czele wojska i ani razu nie zapłonęła nad jego głową szczęśliwa gwiazda. Trzykrotnie tylko szybki koń ratował go od nieuchronnej śmierci.

Batu i inni Czyngisydzi widząc brak zdolności Sauka do prowadzenia wojen i najazdów i doceniając przy tym jego pełną skupienia małomówność, postanowili zatrzymać go w stolicy Ordy jako doradcę.

To była jeszcze jedna porażka, pogrzebanie ostatniej nadziei na zdobycie potęgi i sławy.

Sauka ogarnęła wściekłość i rozpacz. Wszystko burzyło się w nim i gotowało, w każdym słowie i postępku innych Czyngisydów widział ironię i lekceważenie, ale dzięki swojemu opanowaniu zdołał udać, że jest zadowolony ze swojej godności. Nie potrafił jedynie ukryć swojej nienawiści do Rusów i przy byle okazji doradzał cEanom ich zniszczenie.

Teraz, patrząc na zbuntowane ruskie miasto, Sauk przypomniał sobie z nadspodziewaną wyrazistością przybycie nowogrodzkiego poselstwa do Ordy, do chana Sartaka. Przekłęci gjaurowie zabili mu ojca i prześladowali jego samego. Wszak to właśnie on omal nie wypił podsuniętej mu przez rudobrodego Swiatosława czary zatrutego wina. Gdyby Sauk wiedział, że wino jest zatrute, nigdy by go nawet nie dotknął. Wszystkiemu jednak był winien Rus, jego oczy. Z jakąż nienawiścią patrzył ten stary wojownik na Mongołów! W jego postępku było wyzwanie i dlatego, zapłonawszy równą nienawiścią, Sauk pokonał nigdy nie opuszczający go strach i wziął czarę.

208

Dziś jest zupełnie inaczej. Strach ustąpił. Pięć tysięcy wojowników z oczami płonącymi żądzą walki i }upu czekało na jego gest lub słowo, aby spełnić każdy rozkaz. Wprawdzie dopiero na starość, ale jednak nadszedł czas, kiedy w jego władzy jest odprawienie krwawych wspominek po poległym na ruskich ziemiach ojcu. Stratuje niepokorne miasta, zetrze je na

proch, żeby już nigdy nie zdołały podnieść się z popiołów, nigdy nie mogły opierać się woli Złotej Ordy.

Sauk pomyślał nagle, że byłoby dobrze, gdyby kiedyś w jego ręce wpadł ryży Rus Światosław. Zmusiłby go wówczas do wyznania, dlaczego tak nienawidzi Mongołów.

Przypomniałby mu tę czarę zatrutego wina...

Tracąc dech od szybkiego biegu, przytrzymując płaczącą się krzywą szablę do namiotu zbliżył się wysoki i tęgi Kabłan-nojon.

Sauk powiedział:

— Wysyłając nas na wyprawę wielki chan Berke rozkazał nam, abyśmy przed zburzeniem miasta zapytali Rusów, czego chcą. Weź setkę wojowników i udaj się do nich. Jeśli uznasz, że ich życzenia nie pokrywają się z naszymi, wezwij Rusów, żeby wyszli walczyć z nami na zewnątrz miejskich murów. Gdy nie zgodzą się, zagroź, że spalimy miasto, a ich samych wyrzniemy.

— Rozkazałeś, panie...

Kabłan-nojon pospieszył do swoich wojowników. Wrócił dopiero w południe.

— Spełniłem twój rozkaz, panie...

— Mów. Słucham.

— Jutro o tej porze Rusowie wyjdą z miasta. Sauk przeraził się na moment. Pragnął tej bitwy

I zarazem się jej bał, gdyż jeszcze żywe były w jego Pamięci gorzkie nauki, jakie otrzymał w młodości.

— Nie wyrażali pokory?

Nie. — Kabłan-nojon pochylił swą wielką, cięż-

— Złota Orda

209

ką głowę. — Nie mogłem się dowiedzieć, gdzie znajduje się książę. Wiem natomiast, że ludzie z jego otoczenia zostali schwytani i wtrąceni do lochu. Buntuje się czerń, której przewodzi pop imieniem Rościsław a jego doradcą jest starzec Światosław. Powiadają, że są braćmi. Buntownicy zakuli Kitaka w kajdany. Izo-! sime, który przyjął naszą wiarę, zgładzili. Mieszkańcy miasta powiedzieli: „Jeśli potrzebujecie Kitaka, to możecie go sobie wziąć, ale ani danin, ani podatków nie będziemy wam odtąd płacili”.

— Co jeszcze mówili?

— ■ Żądali, abyśmy nigdy już nie przysyłali do nich bisurmanów.

— A coś im na to odpowiedział?

— Żeby na to nie liczyli. Rozkazałem uwolnić Kitaka i zaprzestać buntu... Zagroziłem, że jeśli nie u-słuchają, wszystkich czeka śmierć.

— Co oni na to?

— Że wolą śmierć od takiego życia. — Kabłan-no-jon zamilkł na chwilę. — Myślę, że są gotowi na wszystko...

— Ilu jest wrogów?

— Mało. Tylko mieszkańcy miasta i ci, którzy przyszli z pobliskich wsi. Uzbrojeni są byle jak...

— Jak twoim zdaniem powinniśmy postąpić?

— Po co odkładać to, co mamy zrobić zaraz? Trzeba zaatakować miasto, bo nie wiadomo, czy przypadkiem inne miasta nie spieszą im z pomocą. Rusowie się zmienili. Widziałem to. Człowiek, który się już rozebrał, na pewno wejdzie do wody. Wśród Rusów nie ma lęku i dlatego nie należy zwlekać.

— Niech tak się stanie — powiedział łaskawie Sauk. — Odgadłeś moje myśli.

Nad obozowiskiem Mongołów rozległy się gardłowe krzyki i natychmiast zaczął .się w nim ruch i krzątania. Przenikliwie zarżały podniecone konie.

— Naprzód! — rozkazał Sauk. — I niechaj was prowadzi duch wielkiego Czyngis-chana! Zaciekły szturm nie trwał długo. Kiedy ognistoczer-wony księżyc wzeszedł nad czarnymi ruskimi lasami, całe miasto już płonęło. Ale i w rozświetlonej płomieniami ciemności aż do świtu szczekało żelazo, dźwięczały strzały, rżały konie i wściekłe głosy walczących biegly ku gwiazdom.

Mieszkańcy miasta, widząc że nie zdołają odeprzeć Mongołów, zabili Kitaka i pozostałych zakładników. Walczyli do końca z całkowitą pogardą dla śmierci, gdyż wiedzieli, iż śmierć jest teraz jedyną drogą wyzwolenia się z niewoli.

O świcie Mongołowie spędzili wszystkich, których u-dało im się schwytać, na główny plac miasta. Wokół dogasały sterty pni, w które zamieniły się chaty i cuchnący dym pogorzeliśka unosił się ku blademu niebu.

Ranni, skrwawieni ludzie stali ciasno przywarci do siebie i Sauk nie mógł odczytać z ich twarzy nic poza nieludzkim zmęczeniem.

Siedział na koniu i starał się' dojrzeć choćby najmniejszy przejaw strachu. Nie widział nic i to go rozwścieczało.

Wzrok Sauka zatrzymał się na twarzach dwóch wysokich rudobrodych starców. Obnażone siwe głowy, krzepkie ciała i pozy, w których stali, świadczyły o tym, że nie są to zwykli mieszkańcy miasta.

Przyjrzał im się uważnie. Jeden ze starców wydał mu się znajomy, więc podjechał do niego i końcem bicia uniósł do góry głowę jeńca.

Tak, nie mylił się. To był Światosław, o którym wspominał tuż przed bitwą. Uśmiezek wykrzywił jego starcze wargi.

— Widzisz, Rusie, znów się spotkaliśmy...

Posiniaczona, opuchnięta twarz starego wojownika Pozostała nieruchoma.

— Widzę. Pewnie los tak chciał...

Sauk nie wytrzymał pełnego nienawiści, ciężkiego spojrzenia Światosława i odwrócił oczy.

— Teraz będziesz patrzył na dzieło swoich rąk. Zbuntowałeś Rusów, a oni zapłacą za to życiem. Tak będzie zawsze z każdym, kto odważy się podnieść rękę na Mongołów.

Światosław nic na to nie odpowiedział, a Sauk gwałtownie zawrócił konia i odjechał na poprzednie miejsce, żeby dopełnić zemsty.

Krzepcy wojownicy wyciągali z tłumu jeńców na chybił trafił a Sauk sam wyznaczał rodzaj kaźni.

— Zarąbać! — rzucał.

Siedzący na koniu kat, niemłody już, ale potężnie zbudowany Mongoł, dobywał krzywej szabli i unosząc się w strzemionach rozcinał skazańca od ramienia do pasa.

Kabłan-nojon po każdym zręcznym ciosie mrużył oczy i mlaskał z zadowoleniem.

Czasami dla odmiany Sauk rozkazywał:

— Zabić po mongolsku!

W tym wypadku rolę katów spełniali inni wojownicy. Chwyтали jeńca, rzucali go twarzą na ziemię, przyciągali pięty do ciemienia i łamali w ten sposób kręgosłup. Krótki krzyk i już martwe ciało odciągano na bok.

— Zarąbać...

— Zabić po mongolsku...

Krótkie, spokojne rozkazy Sauka spadały na skazańców.

Sauk triumfował. Oto godna zemsta za ojca, za własne nieudane życie! Przekłęci Rusowie!

Dawniej tylko widywał, jak zgładzali ludzi mongolscy chanowie, a dzisiaj po raz pierwszy robił to sam. Niechaj się boją! Niechaj ci, których umyślnie pozostawił przy życiu, opowiedzą innym o jego zemście i przekażą potomnym

iinię Sauka. Rusowie muszą spokojnie, muszą zapa-miętać na zawsze, że samo Niebo zgotowało im los niewolników, że za najmniejszy nawet opór zapłacą życiem. Wielka jest siła Mongołów, a serca ich są z kamienia — nie znają, co to litość i współczucie.

Nieustannie rósł stos trupów. Nad placem unosił się odór pogorzelniska i zapach gorącej ludzkiej krwi.

Kiedy nadeszła kolej starców, Kabłan-nojon pochyliwszy się ku Saukowi powiedział:

— To są podżegacze do buntu. Rościsław i Swiatosław...

— Wiem. — Sauk zawahał się. — Ilu naszych wojowników zginęło przy zdobywaniu miasta?

— Dwa tysiące... Sauk skrzywił się.

— Który z tych starców jest młodszy?

— Rościsław... Ma sześćdziesiąt siedem lat...

— Ustawcie ich obok siebie.

Wojownicy wykonali jego rozkaz. Sauk długo wpatrywał się w twarze braci.

— Bardzo kochasz swego młodszego brata? — zapytał nagle Swiatosława.

— Tak...

— Dobrze...

Sauk zamyślił się. Przypomniało mu się wydarzenie, które miało miejsce przed dwudziestu laty w Biszba-łyku.

Ujgurski emir Baurczin, wyznawca chrześcijaństwa, na rozkaz jednej z żon Ugedeja — Oguł Kajmysz — miał na ziemiach zamieszkałych przez Ujgurów dokonać wielkiej rzezi muzułmanów. Dowiedział się o tym przywódca wyznawców proroka Mahometa, Sejfutdin. Cóż jednak mógł zrobić? Tylko cud mógł uratować muzułmanów. I z woli Allaha cud taki się zdarzył.

Baurczin postanowił pojechać do Karakorum, żeby raz jeszcze usłyszeć potwierdzenie rozkazu z ust samej

Oguł Kajmysz, ale akurat w owym czasie wielkim chanem Mongołów ogłoszono Mongkego. Sejfutdin, znając tolerancję religijną nowego chana, wyprzedził emira i uprosił chana, żeby zechciał wziąć muzułmanów w obronę.

Ledwie Baurczin przybył do Karakorum, natychmiast został pojmany i wtrącony do lochu.

Emir długo nie przyznawał się do niczego, dopóki nie uczyniła tego wyznania Oguł Kajmysz. Los jego został przesądzony.

Chan Mongke sam skazał Baurczina na śmierć. Rozkazał zgładzić go w Biszbałyku, którym jeszcze niedawno zarządzał, na oczach całego ludu.

O! Sauk do dziś nie mógł zapomnieć tego, co wówczas zobaczył. Tylko Mongoł, odważny i bezlitosny wojownik, potrafi wymyśleć taką karę.

Baurczina, przystojnego, zgrabnego, smagłego mężczyznę przyprowadzono na miejsce kaźni zakutego w łańcuchy. Herold ogłosił ludowi wolę chana Mongkego: — Ujgurski emir Baurczin ma zostać zgładzony za zbrodniczy zamiar wymordowania w Biszbałyku muzułmanów, oddanych duszą i ciałem wielkiemu chanowi Mongkemu. Uczynić to przy pomocy noża ma najbliższy mu człowiek. Niechaj ten, który dokona kaźni, zajmie jego miejsce.

Dwaj wojownicy ustawili Baurczina na podwyższeniu, gdzie miała odbyć się egzekucja, a zaraz potem z tłumu wyszedł młody czarnowąsy wojownik bardzo podobny z twarzy do emira. To był jego młodszy brat Urkendzem.

Herold jeszcze raz wykrzyknął słowa chana i podał mu nóż. Kaci zwalili Baurczina na szafot, związali mu ręce i nogi.

Urkendzem, jakby zamierzał zarznąć barana, ukląkł na jedno kolano obok brata i spojrzał wyczekująco na herolda, herold skinął głową.

214

Urkendzem spokojnie pochylił się nad bratem i poderżnął mu gardło wielkim nożem. Potem wstał cały zbryzgany krwią i ślepyimi, znieruchomiłymi oczyma popatrzył znów na herolda, który wziął z rąk sług czerwony kaftan symbolizujący godność emira i narzucił go na ramiona zabójcy, a potem założył mu na głowę czapkę obszytą kunim futerkiem.

Przywykli do okrucieństwa Mongołów ludzie coś podobnego widzieli jednak po raz pierwszy. Wstrząśnięty tłum milczał i tylko kilka drżących, niepewnych głosów próbowało wykrzyknąć: „Niechaj rośnie twoja sława, emirze!”...

Nowy emir dał katom znak, żeby sprzątnęli ciało brata, wskoczył na czarnego jednochodźca w nabijanym srebrem rzędzie i na czele swoich nukerów pojechał do miasta.

Tak, czegoś podobnego nie można zapomnieć i Sauk zdawał się od nowa przeżywać tamto dawne wydarzenie.

— Znamy się — powiedział do Swiatosława. — Pamiętasz, jak wspólnie ucztowaliśmy jeszcze za życia chana Sartaka? Na pamiątkę tego chcę darować ci życie. Jednak wina twoja jest tak ciężka, że kara nie może cię minąć. — Sauk zamilkł, wpijając się wzrokiem w twarz rudobrodego starca. — Zadusisz młodszego brata swoimi rękami. On i tak zostanie zabity, a tobie, jeśli zrobisz tak, jak powiedziałem, przysięgam darować życie.

Stary wojownik opuścił głowę i długo milczał. Wielka łza stoczyła się po jego ogorzalej, pobrużdżonej przez czas twarzy.

— Niech tak się stanie — powiedział wreszcie cicho. — Rozkaż twoim ludziom, żeby rozwiązali mi ręce.

Sauk triumfował. Rusowie jeszcze czegoś podobne-

215

go nie widzieli. Niechaj zapamiętają ten dzień na zawsze. Czyż zresztą może być inaczej? Czyż znajdzie się ktoś gotów poświęcić własne życie dla innego i tak już skazanego? Strach przed śmiercią silniejszy jest od więzów krwi. Tym prawem rządzą się nawet Czyn-gisydzi, ludzie wyróżnieni przez samego Boga.

Sauk wymyślił dla Światosława straszliwą zemstę. Ludzie nigdy nie wybaczą mu zabójstwa brata i do końca swoich dni ten silny niegdyś wojownik będzie dla swoich parszywym psem. I Gorsza od śmierci może być tylko hańba, której nie da się zmyć niczym: ani postępkami, ani słowami. Niechaj więc po spełnieniu postawionego mu warunku Swiatosław pozostanie przy życiu, ale od tej chwili jasny dzień stanie się dla niego ciemną nocą i każdy szmer będzie gnał go, niczym dzikiego zwierza, w leśne gęstwiny jak najdalej od ludzi, ścieżek i dróg. Żywy trup zacznie snuć się po ruskich ziemiach, przyprawiając o drzenie każdego, kto tylko ośmieli się pomyśleć o buncie.

Oczy Sauka gorzały mściwym ogniem. ^

— Rozwiążcie go! — rozkazał nukerom.

Wciąż nie podnosząc głowy stary wojownik stał przed Saukiem, rozcierając posiniałe od arkanu ręce.

— No, na co czekasz? — powiedział niecierpliwie Mongoł.

Swiatosław uniósł gwałtownie głowę. Na moment oczy dwóch starców — Rusa i Mongoła — spotkały się. I nagle Swiatosław skoczył do przodu. Mignął w powietrzu czerwony kaftan spadającego z konia Sauka.

Wszystko to wydarzyło się tak szybko, iż żaden wojownik nie zdążył się nawet poruszyć, nie zdążył do- być szabli. Kiedy jednak wreszcie zareagowali i oderwali Rusa od Sauka, było już po wszystkim. Stała się

216

rzecz straszna. Mongoł leżał bez ruchu na stratowanej kopytami ziemi ze zmiądzoną grdyką. — Z drogi! Precz z drogi! — krzyknął Kabłan-no-jon, napierając na Światosława piersią swego ogromnego ogiera.

Przerażeni nukerzy rozprysnęli się na boki. Błysnęła w promieniach poranego słońca i świsnęła krzywa mongolska szabla...

Wielki chan Złotej Ordy, Berke, triumfował. Tume-ny Nogaja pokonując z łatwością opór wroga zapuszczały się coraz dalej w głąb Azerbejdżanu. W ciągu paru tygodni rozprawił się z Rusami Kabłan-nojon, paląc zbuntowane miasta i topiąc ich ziemię w krwi. Z górnego biegu rzeki Iii przyjechała upragniona Ku-tułun Czaka.

Któż miał się cieszyć, jak nie chan, którego wojownicy wsławiają imię władcy wciąż nowymi zwycięstwami?

Chan nie może mieć powodów do zmartwienia, gdyż wszystkie radości z woli Nieba należą tylko do niego. Niechaj płynie krew, niechaj niewolnicy zawodzą na pogorzeliakach! Cóż z tego? Serce prawdziwego Mongoła winno radować się na widok krwi i łez!

A straty? Straty są nieważne. Nieważne, że zginęło wielu z tych, którzy przynieśli mu zwycięstwo. Po co pamiętać o tym, że są gdzieś na świecie ludzie opłakujący poległych? Na ich miejsce przyjdą inni, młodzi i silni, którzy z oddaniem będą służyć chanowi, spełnią każdy jego rozkaz lub zachciankę.

O poległych ludzie zapomną, za to zwycięstwa pozostaną na wieki w pamięci. Tak mówił wielki Czyn-gis-chan, który nie znał lęku i wątpliwości. Gdyby było inaczej, Mongołowie nigdy nie staliby się najsilniejszym narodem.

217

Berke pragnął nowych zwycięstw i dlatego przyjazd Kutułun Czaki cieszył go i martwił zarazem. Rozgorzałe z nową siłą uczucie do młodej kobiety stale wał- | czyło w nim z chęcią natychmiastowego wysłania jej do ułusu ojca z nowymi wojskami, które pomogłyby mu w walce z Ałgujem.

Jednak tym razem Kutułun Czaka zachowywała się tak, jakby zapomniała o przezorności i zbyt późno przybyła nad brzegi Iii z wojskiem, które jej dał Ber-ke-chan. Wiele zmieniło się tam w czasie, kiedy ona oddawała się miłosnym uciechom.

Pokonany niedawno przez Kajdu próżny i zapalczywy Ałguj nie mógł się z tym pogodzić. Zebrał nowe wojsko i pod dowództwem emira Buchary i Sa-markandy Musabeka pchnął je na swojego wroga.

I znowu do bitwy doszło na brzegami toczącej żółte wody Iii. Na lekko pofalowanej, wypalanej przez słońce równinie zderzyły się wrogie wojska. Teren zdawał się sprzyjać działaniom kipczackiej konnicy Kajdu, która jednak została przeredzona w poprzednich starciach i nie stanowiła już dotychczasowej «groźnej siły». Tymczasem Kutułun Czaka wciąż nie wracała z posiłkami od chana Berkego.

Na odwrót było za późno, więc oddawszy wszystko w ręce Allaha Kajdu rzucił swoje tumeny na wojska Ałguja.

Bitwa była krótka, lecz zaciekła. Kajdu z resztkami rozbitego wojska musiał ratować się ucieczką...

I tu do sporów Czyngisydów wtrącił się przypadek. Pewnego upalnego dnia Ałguj zmarł nagle na atak serca.

Okrutna walka o władzę nad ułusem Dżagataja rozgorzała z nową siłą. Niedawnym zwycięzcom Kajdu był teraz nie w głowie. Zebrawszy silne wojsko i rozprawiwszy się bezlitośnie z krewnymi nowym chanem ogłosił się syn zmarłej Organa-katun, Mubarek-szach.

218

Д tymczasem, otrzymawszy długo oczekiwane posiłki od Berkego-chana, Kajdu wzmocnił swoje wojska i zaj3* S*C ostatecznym podbojem Siedmiorzecza.

Karawana życia bez popasów szła dalej. I wciąż nowe drogi, nowe kierunki wybierał dla niej niepojęty, tajemniczy dla ludzi karawan-baszy imieniem Los.

W roku świni, roku zwad i waśni między potomkami synów Czyngis-chana, został zabity Esen-Tiube zrodzony z Mutugena, syna Dżagataja. Jego zaś synowie — Barak, Momun i Basar — wychowywali się w owym czasie w Chinach u Kubiłaj-chana. Najmądrzejszy i najzuchwalszy z nich był Barak.

Wielki chan Kubiłaj, niezadowolony z tego, że Mubarek-szach samowolnie, bez jego zgody zagarnął tron Ałguja, rozkazał Barakowi udać się do ułusu Dżagataja i zarządzać nim wraz z samozwańczym chanem.

Kiedy jednak posłaniec Kubiłaja przybył do głównego obozowiska Mubarek-szacha, to przekonał się, że nowy chan siedzi mocno w siodle i o żadnej dwuwładzy nie może być mowy. W tej sytuacji postąpił mądrze i ukrył prawdziwy cel swojego przyjazdu. Co więcej, zdołał zrzucić pychę z serca i poprosił pokornie Mubarek-szacha, aby zechciał mu dać w zarząd dawny ajmak ojca leżący nad brzegiem Sejhunu.

Nowy władca ułusu Dżagataja łaskawie spełnił prośbę krewniaka, a Barak, po przybyciu do ajmaku wzorem mądrego Kajdu zaczął usilnie zbierać wokół siebie ludzi zaufanych, krewnych i powinowatych.

Bez rozgłosu, potajemnie gromadził siły, przeciągając na swoją stronę wpływowych nojonów i kiedy Mubarek-szach zaniepokojony działaniami Baraka zaatakował go, Barak zastąpił chanowi drogę opodal Chodżentu i pokonał go w zacieklej bitwie. Sam Mubarek-szach dostał się do niewoli i po niespełna rocznym panowaniu zmuszony był ustąpić tron Barakowi.

Wszystkie bogactwa i cała władza w ułusie należa-

21&

ła teraz do Baraka, który podobnie jak inni Czyngi-sydzi nie zamierzał się z nikim nią dzielić. Dlatego też już bez strachu i należącego szacunku patrzył na swego niedawnego opiekuna. Kubiłaj pilnie obserwował poczynania Baraka i postanowił przywołać do porządku zuchwałego krewniaka, przypomnieć mu, komu zawdzięcza tak szybki i nieoczekiwany wzlot.

Kubiłaj, wielki chan Północnych Chin, do którego włości należała również część Mongolii, miał nadzieję wzorem wielkiego Czyngis-chana zjednoczyć z czasem wszystkie ziemie podbite przez Mongołów. Warunkiem niezbędnym do spełnienia tych zamierzeń było utrzymanie kontroli nad ziemiami wchodzącymi w skład ułusu Dżagataja. Dlatego Kubiłaj wyprawił na Baraka sześciotysięczny oddział doborowych mongolskich wojowników.

Jednak nowy chan nie uląkł się groźby i ruszył naprzeciw z trzydziestoma tysiącami wojska. Wyślany przez Kubiłaja oddział nie dotrzymał mu pola i wycofał się na własny teren.

Kubiłaj postanowił odłożyć zemstę, gdyż wydarzenia w Chinach zmusiły go do chwilowego zaprzestania działań na granicach zachodnich. Barak zaś, pijany powodzeniem, zniszczył miasto Chotan i wycofał swoje tumeny do Mawarannahru.

Czuł się bezpiecznie. Największym i najsilniejszym z pobliskich sąsiadów była Złota Orda, ale chan Ber-ke zdawał się siedzieć spokojnie w swoich włościach i nie zagrażać ułusowi Dżagataja. Ani Kubiłaj, ani Hulagu, zajęci swoimi sprawami, też nie wtrącali się więcej do jego spraw. Ale spokój był pozorny.

Podczas gdy w ułusie toczyła się walka o władzę, Kajdu opanował całe Siedmiorzecze i doszedł nad brzegi rzeki Talas, zbliżając się do ziem podległych Barakowi. To już było rzeczywiste zagrożenie. Uskrzydlo-

220

ny łatwymi zwycięstwami nowy chan ruszył naprzeciw turnenom Kajdu.

W połowie grudnia ich wojska spotkały się na brzegu Talasu. Kajdu w tym czasie był chory, więc w bitwie dowodził jeden z jego synów. Szczęście odwróciło się od niego. Stracił wielu wojowników i był zmuszony się wycofać. Jednak i Barak nie mógł ścigać rozbitego wroga.

Rozszalały się lodowate wiatry, nadeszły mrozy i jego tumeny przyzwyczajone do łagodnych ciepłych zim Mawarannahru i Chorezmu musiały opuścić Siedmiorzecze.

Barak wracał do swego ułusu całkowicie przekonany o tym, że latem znów spotka się z Kajdu i na zawsze rozprawi się z niebezpiecznym sąsiadem, ale jego planom nie dane było się ziścić. Złota Orda, zaniepokojona tym, że Barak staje się z każdym dniem potężniejszy, wysłała na pomoc Kajdu pięćdziesiąt tysięcy wojska. Przywykli do surowych warunków, dosiadający wytrzymałych stepowych koni Kipczacy i Alanowie, stanowiący trzon tego wojska, ruszyli na ziemie ułusu Dżagataja. ProwTadził ich doświadczony dowódca, brat chana Złotej Ordy, Berkendżar.

Nogaj niemal już zakończył podbój Azerbejdżanu. Ruskie miasta pokryte śniegiem zataiły się w swoich lasach i, zda się, na zawsze porzuciły myśl o buntowaniu się przeciwko Złotej Ordzie. A jednak Ber kemu nie dane było zaznać upajającej radości zwycięstwa.

W czasie, kiedy jego tumeny przygotowywały się do walki z Barakiem, umarła średnia żona chana, więc wziął sobie za żonę młodą i piękną Akdżamał o wielkich oczach wielbłądziątka. Oblubienica była córką beja z rodu Argynów, do którego należały niezliczone tabuny koni pasących się na rozległych kipczackich stepów. Berke żył oczekiwaniem dobrych wieści. Nieszczęście jednak krążyło już nad jego głową, a chan Złotej Ordy nie wiedział, że jest ono bardzo blisko.

221

Kolomon miał zaledwie dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy usłyszał o Mongołach. Mieszkał wówczas w kraju Ormian, gdzie jego ojciec, słynny rumijski mistrz, budował jeden z klasztorów.

Strasliwe wieści krążyły po miastach i wsiach. Ludzie na bazarach, rozdziawiwszy ze zdumienia usta i wytrzeszczywszy oczy, słuchali opowieści o dzikich jeźdźcach ciągnących na krótkogrzywych koniach od strony wschodzącego słońca.

Słuchy były przelotne i niejasne niczym porywy wiatru. Ludzie dziwili się im, ale nikt nie wierzył, że straszliwi wojownicy kiedykolwiek dotrą do ich ziem pociętych głębokimi dolinami i wąwozami.

Ojciec Kolomona nadal budował klasztor, a chłopiec całymi dniami przebywał razem z nim. Był oczarowany zdumiewającą grą barw, którymi ojciec pokrywał ściany i mógł całymi dniami przyglądać się zręcznej pracy kamieniarzy. Ojciec odkrywał synowi harmonię linii i uczył go wszystkiego, czego tylko ten chciał się dowiedzieć.

Jednak pewnego dnia tajemniczy Mongołowie pojawili się na pogórzach Kaukazu i natychmiast słuchy przestały być słuchami, zamieniając się w strasliwą prawdę.

:

Mongolskie tumeny dowodzone przez Subedeja i Dżebe-nojona dotarły przez Chorezm do północnego Iranu. Zapłonęły kolejno miasta Char, Kum, Zendżan, Kazwin. Przerażeni okrucieństwem najeźdźców mieszkańcy Hamadanu okupili się Mongołom ogromną daniną. Przechimowawszy w okolicach miasta Rej, gdzie było pod dostatkiem paszy dla koni, Mongołowie z nastaniem wiosny wtargnęli do Azerbejdżanu. Nie na-: potkawszy tam na poważniejszy opór, skierowali swe konie ku Gruzji. Gruzini i Ormianie wystawili przeciwko najeźdźcom zjednoczone dwudziestotysięczne

222

wojsko, którym dowodzili król Lasza i atabek Iwane. W pobliżu miasta Ani rozgorzała okrutna bitwa. Tam też Mongołowie uciekli się do swego ulubionego podstępu. Dżebe z pięciotysięcznym oddziałem ukrył się w zasadzce, a główne uderzenie przyjął na siebie Subedej. Losy bitwy zdawały się przechylać na stronę obrońców, gdyż Mongołowie rzucili się do ucieczki. Dopiero gdy Gruzini i Ormianie złamali swe szyki bojowe, żeby rzucić się w pościg za uciekającym wrogiem, jeźdźcy Subedeja ruszyli do kontrnatarcia, a na tyły uderzył oddział Dżebego.

Lasza i Iwane ponieśli wielkie straty i musieli się wycofać, ale ani Gruzini, ani Ormianie nie zostali złamani.

Bóg wojny Sulde jeszcze nie odwrócił się od Mongołów, ale już gdzieś w pobliżu czytało się nieszczęście. I wówczas mądry Subedej, jakby wiedziony przecuciem, rozkazał skierować na północ swe wojsko ciężko objuczone bogatymi łupami.

Zniszczywszy Szemachę, mongolskie tumeny zatrzymały się pod murami Derbentu. Ta niedostępna, zbudowana na górze, twierdza zagradzała im drogę na kipczackie stepy.

Wzniesiony już w piątym wieku za panowania Sasanidów Derbent należał teraz do Szir-wan-szachów. Twierdza była dobrze umocniona i w pełni zasługiwała na miano „żelaznych wrót”, gdyż obok niej ani na południe, ani na północ nie mógł prześlizgnąć się nawet pojedynczy człowiek.

Napierani z tyłu przez wojska ormiańsko-gruzińskie, Mongołowie znaleźli się w pułapce. Wówczas wysłali swego posła do władców Derbentu. Subedej i Dżebe prosili ich o pokój i przyjaźń, ofiarowywali bogate myto za prawo przejścia przez żelazne wrota.

Derbentczycy chwycili przynętę. Dziesięciu najznakomitszych mężów udało się do Mongołów, aby roz-

223

począć pertraktacje. Tam na rozkaz Subedeja zostali obezwładnieni, a jeden z nich na oczach pozostałych zarąbany.

Pozostałym przy życiu kazano pokazać określoną drogę, a w wypadku nieposłuszeństwa zagrożono śmiercią.

Przez górskie urwiska, tajemnymi ścieżkami mongolskie tumeny za cenę wielkich ofiar przedarły się na ziemie Północnego Kaukazu. Długa i krwawa była droga Subedeja i Dżebego do ojczystych mongolskich stepów rozciągniętych nad brzegami Ononu i Kerule-nu...

Ten najazd nie dotknął młodego Kolomona. Jego rodzina ukryła się za potężnymi murami miasta Ani, którego Mongołom nie udało się zdobyć. Minęło jednak zaledwie parę lat, gdy znów stał się świadkiem straszliwych wydarzeń, znów widział lejącą się strumieniami krew i słońce zasłonięte czarnym dymem pożogi.

Syn chorezmszacha Dżelal ad-Din, utraciwszy swą ostatnią kryjówkę, uszedł przed mongolskimi zagonami wraz z resztą wojska do Indii.

№

Ten utalentowany dowódca nie chciał jednak poddać się losowi i zebrał nowe wojsko. Składało się ono z Seldżuków oraz innych narodów zamieszkujących Indie i Pakistan i wyznających islam. Tysiące wojowników dali mu potomkowie Hunnów osiedli w dolinie rzeki Dżammy.

Dżelal ad-Din poczuł się znów w siodle, wkroczył do Południowego Iranu i tam, podbiwszy z łatwością miasta, które nie zaznały mongolskiego najazdu, pomnożył swoje wojsko.

Wówczas, zamiast szukać nowej zwady z Mongołami, zwrócił swój wzrok na Kaukaz.

W roku kury (1225) opanował Tebryz i podporządkowawszy sobie większą część Azerbejdżanu, przekroczywszy Artpatakan napadł na starożytną stolicę Armenii, miasto Dwin.

224

Gruzini i Ormianie pod dowództwem atabeka Iwa-ne spróbowali zatrzymać Dżelal ad-Dina, ale w pobliżu miasta Garni ponieśli klęskę.

Okrucieństwo muzułmanów mało ustępowało okrucieństwu Mongołów. Palili wsie i pola, karczowali winnice, sprzedawali ludzi na rynkach niewolniczych. Na ziemiach Ormian i Gruzinów zaczął się głód. Ci, którzy nie zginęli na polu walki, teraz umierali z głodu.

Podbijając Kaukaz, Dżelal ad-Din nie zapomniał, że za plecami wciąż ma Mongołów i że wcześniej czy później nadejdzie czas, kiedy przyjdzie się z nimi zetrzeć. Dlatego, stanąwszy

główną kwaterą w twierdzy Bzin, wysłał do Gruzinów wziętego podczas bitwy do niewoli syna atabeka Iwane — księcia Awaga — z propozycją zawarcia pokoju. Królowa Gruzji Rusudan i książęta nie uwierzyli w szczerść jego intencji i nie przyjęli przedstawionych warunków. Wówczas ponownie, w roku psa (1226), napadł na Gruzję i zdobył miasto Tbilisi. Wielki był gniew Dżelal ad-Dina. Na jego rozkaz mordowano każdego, kto nie potrafił wygłosić pierwszej sury Koranu: „Nie masz boga nad Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem...”

Jednak w rok później zjednoczone wojska Gruzinów i Ormian zadały najeźdźcy ciężką klęskę. Wyzwoliły Tbilisi i Dwin. Dżelal ad-Din z resztkami wojska znów uciekł do Indii. Kolomon miał już wówczas osiemnaście lat. Tym razem nieszczęście go nie ominęło. Ojca zabrali w niewolę Chorezmijczycy, matka umarła.

Kolomon został sam, ale poznał już tajemnice kunsztów i potrafił budować. Teraz, podobnie jak ojciec, wznosił klasztory i kościoły.

Niespokojnie było na pogranicznych ziemiach Gruzinów i Ormian. Krótkie chwile spokoju ustępowały gwałtownym starciom i coraz wyraźniej czuło się nadchodzącą wielką burzę.

Ludzie żyli w nieustannym

15 — złota Orda

226

strachu i cień bliskiego nieszczęścia rozpościerał swe czarne skrzydła nad górami Kaukazu. Wkrótce po powrocie na kipczackie stopy Subedeja i Dżebego w wieku siedemdziesięciu dwóch lat zmarł wielki Czyngis-chan. Czując, że jego dni już są policzone, „Ten, który wstrząsnął światem” na rok przed śmiercią ogłosił swoją wolę, zgodnie z którą jego następcą miał zostać trzeci syn, Ugedej.

„W roku konia (1235) nowy mongolski chan zwołał na Wielki Kurułtaj wszystkich potomków Czyngis--chana.

Postanowiono na nim kontynuować dzieło „Tego, który wstrząsnął światem” i pchnąć nieustraszone mongolskie tumeny na ziemie Rusów i do Europy Wschodniej. Głównymi siłami dowodził Batu-chan. Inna część mongolskiego wojska dowodzona przez Dżur-maguna miała ponownie podbić Kaukaz.

Decyzją kurułtaju nadano Batu-chanowi godność laszkarbaszego, głównodowodzącego wojskami, zaś Dżurmagun został laszkarbaszy-tamą. Polecono mu, aby po zakończeniu wyprawy został na zawsze na^ę podbitych ziemiach i dlatego idący z nim wojownicy zabierali ze sobą rodziny. Ogromne taborzyce i jucznych wielbłądów ciągnęły za wojskiem laszkarbaszy--tama.

Dżurmagun miał pod swym dowództwem czterdzieści tysięcy konnych wojowników — cztery tumeny. Wraz z nim udała się na wyprawę również młodsza żona Czyngis-chana, Ałtynaj-begi.

Wielki chan Ugedej rozkazał mu na odjeździe: „Przysyłaj nam zawsze czyste złote złoto, jedwab wyszywany w złote ornamenty, księżycowe perły i czerwone korale, juczne muły...”

W następnym roku, roku mały, Dżurmagun z wielkimi taborami, z kobietami i dziećmi dotarł do Kaukazu.

|26

••■> ■■ ■

W pobliżu Artpatakanu rozgromił wojsko Dżelal ad--Dina. Przywódca Chorezmijczyków został zabity.

Sześciu długich lat potrzebował Dżurmagun na ostateczny podbój Kaukazu. Zaciekle przeciwstawiali się nowemu najazdowi Gruzini, Ormianie, Azerbejdżanie, Alanowie, Osetyni i Czerkiesi. Każde miasto zamieniało się w twierdzę i długo stawiało opór Mongołom.

Po jednej z takich bitew życie Kolomona uległo gwałtownej zmianie. Miał dwadzieścia trzy lata, kiedy arkan najeźdźcy wyrwał go z siodła.

Zgodnie z prawem ustanowionym jeszcze przez Czyngis-chana wszyscy jeńcy zostali rozdzieleni między jego potomków. Kolomon dostał się Mengu Temi-rowi i skierowany został do Złotej Ordy, która na mocy testamentu „Tego, który wstrząsnął światem” miała odtąd władać Północnym Kaukazem.

Mongołowie skierowali swe konie do Azji Środkowej. W jednej z bitew Dżurmagan został ranny, stracił słuch i wkrótce zmarł. Nowym laszkarbaszy-tamą zgodnie z wolą Karakorum został Bajdzu, który nie ustępował w okrucieństwie swemu poprzednikowi. Posłuszne jego woli tumeny ruszyły na Seldżuków Sułtanatu Rumskiego.

Emir Kej Chosrow II wraz z królem Ormian cyli-cyjskich zebrał ogromne, dwustutysięczne najemne wojsko, składające się z Greków, Arabów, Franków, Ormian i Kurdów. Przeciwnicy spotkali się między miastami Karin i Erzindżan. Trzydzieści tysięcy mongolskich jeźdźców dokonało rzeczy zda się niemożliwej: wojsko emira zostało rozbite, a Sułtanat Rumski przestał istnieć. Jego stolica, kwitnące miasto Kajserz-ja leżące na starożytnym szlaku karawanowym zostało rozgrabione i zburzone.

Cesarz Cylicji Hetum I, który to wszystko widział na własne oczy, zaprzagnął uratować swój naród i dobrowolnie poddał się Mongołom, zapłacił wielki okup

227

i zobowiązał się na każde żądanie Bajdzu wspierać go swoimi wojskami.

W roku świni (1256) władcą Kaukazu i Iranu, trzeci-ciego co do wielkości ułusu Czyngisowego imperium został mianowany trzeci syn Tołuja, Hulagu.

Wkrótce nadeszła smutna wiadomość: w dalekich mongolskich stepach zmarł chan Mongke. Testament Czyngis-chana nakazywał Hulagu udać się niezwłocznie do Karakorum, aby wziąć tam udział w pogrzebie. Hulagu tak właśnie postąpił, na czas swej nieobecności mianując dowódcą wojsk Kit-Bugi-nojona.

Mameluk Kutuz dowodzący wojskami Egiptu uznał to za sprzyjającą okoliczność i w uroczysku Ajn Dża-lut rozgromił wojsko Kit-Bugi.

Jednak niedługo cieszył się swym zwycięstwem, gdyż po powrocie do Egiptu został zamordowany przez byłego niewolnika, Kipcza Bejbarsa, który ogłosił się sułtanem.

Z nowym sułtanem pragnął nawiązać przyjaźń chan Złotej Ordy Berke. Bejbars był muzułmaninem, bezwzględnie rozprawiał się z innowiercami, a co najważniejsze był wrogiem Hulagu.

Hulagu rządził z wielkim okrucieństwem, a ponadto prowadził ciągłe wojny, których cały ciężar spadał na barki podbitych narodów. Rujnujące daniny i przymusowy udział w jego wyprawach wywoływały szemrania i częste bunt przeciwko Mongołom, dlatego chan musiał nieustannie wysyłać oddziały do ich tłumienia. Na granicach nowego ułusu też było niespokojnie, a Bejbars czekał tylko na sprzyjający moment, żeby napaść.

Właśnie w tym czasie Berke, oświadczywszy wszem wobec, że wedle ostatniej woli Czyngis-chana Kaukaz winien należeć do Złotej Ordy, rozkazał Nogajowi na czele dwudziestu tysięcy wojska wkroczyć na ziemie Azerbejdżanu.

228

Chan Północnych Chin Kubiłaj obawiając się, iż brat sobie z tym atakiem nie poradzi, wysłał Hulagu trzydziestotysięczne posiłki.

Oczywiście Kolomon, Kunduz i Salimgirej nic o tym wszystkim nie mogli wiedzieć. Konie niosły ich w stronę Azerbejdżanu, oni zaś byli przekonani, że z każdą chwilą oddalają się od znieawidzonej Złotej Ordy. Wydawało się, że już niebawem dotrą do ziem, na których nie zdoła dosięgnąć ich ręka Berke-chana. Skąd mogli wiedzieć...

Ilchan Hulagu, władający Kaukazem, Iranem, Irakiem i Syrią widział wiele pięknych miast, ale nigdy nie zaprzagnął osiedlić się w żadnym z nich. Był pod każdym względem Mongołem. Zimą wraz z całym dworem koczował w stepie, zaś latem wspinał się ku kwitnącym górskim

dolinom, wybierał miejsce na brzegu jakiejś rzeki i tam rozkazywał rozbić jurty swego głównego obozowiska.

On jeden spośród potomków Czyngis-chana we wszystkim święcie przestrzegał przykazań dziada. Żaden też z potomków Hulagu panujących w Iranie nie śmiał pogwałcić mongolskich obyczajów. Nawet przydomek „katun” miały prawo nosić tylko najstarsze żony władców, zaś tron dziedziczyli wyłącznie zrodzeni z nich synowie. Poczynając od Czyngis-chana wszyscy jego mężczyźni potomkowie brali sobie pierwsze żony wyłącznie z rodów Tatarów, Kongiratów, Najmanów, Kereitów i Ojratów. Dzieci urodzone z tych związków wyróżniały się bystrością umysłu i odwagą. Kongiracka żona Czyngis-chana urodziła mu Dżuciego, Dżagata-ja, Ugedę i Tołuja. Krew tych rodów płynęła również w żyłach Ordy, Batu-chana, Mongkego, Hulagu, Kubiłaja, Aryka-Boge i Mengu Temira.

Siostra najmańskiego nojona Buka Temira — Orga-

229

na-katun — była ulubioną synową Dżagataja. Po śmierci swego męża, Kara Hulagu, długo rządziła jego ulusem.

Na początku roku myszy (1264) Hulagu rozkazał rozbić namioty Ordy opodal miasta Tebryz, gdzie było mnóstwo czystych, zimnych źródeł.

Dla ilchana nastąpiły ciężkie czasy. Z dwóch stron sięgali do jego gardła Bejbars i chan Berke. Obaj marzyli o tym, żeby jak najszybciej się z nim rozprawić. Niespokojnie było również na podległych mu ziemiach. Rosło niezadowolenie wśród ludu i zarzewie buntu coraz częściej oświetlało ściany jurty chana Hulagu.

Hulagu nie był tchórzem i przez całe życie walczył o władzę. Wiedział, że nikt i nic nie zdoła poważniej zagrozić chanatowi, dopóki w jego rękach znajduje się mocna maczuga — silne i oddane wojsko. Trzeba było również umieć posługiwać się tą maczugą. Ostatnie wydarzenia dowiodły, że ilchan jeszcze nie zapomniał, jak to się robi.

Hulagu rozprawił się łatwo z dwoma niepokornymi królami gruzińskimi. Wiele szlachetnie urodzonych głów potoczyło się pod nogi mongolskich koni. Ilchan rozkazał przywiązać do ogonów dzikich koni syna sza-chinsaaha Zakare, który jeszcze wczoraj wyprawiał się wraz z Bajdzu-nojonem na Bagdad, atabeka Awa-ga, chaceńskiego księcia Hasandżelala...

Przy życiu zostawił tylko gruzińską królową i córkę atabekę Awaga, Choszak. One też zasługiwały na śmierć, ale wstawiła się za nimi najstarsza żona Do-kuz-katun.

— Dla królowych i dziewcząt szlachetnego rodu o wiele bardziej hańbiące od śmierci z rąk ilchana jest zostanie jego niewolnicami — powiedziała.

Dokuz-katun, wnuczka Ong-chana... Jej słowa zawsze zasługiwały na uwagę, gdyż nie na darmo zyskała swoje imię, które znaczyło „Dziewięć kobiet”. Pod

230

względem rozumu, i nie tylko rozumu, rzeczywiście warta była dziewięciu kobiet. Ojciec Hulagu, Tołuj, liczył sobie czterdzieści siedem lat, gdy się z nią ożenił. Po jego śmierci Sarkaktani-begi, matka Hulagu, poradziła synowi, aby wziął Dokuz-katun za żonę, chociaż była jej rodzoną siostrą. Hulagu usłuchał jej i nigdy tego nie żałował, gdyż Dokuz była nie tylko mądra, ale także wciąż piękna, jakby znała tajemnicę wiecznej młodości. Nadal jej pragnął i w czasie uciech miłosnych wołał od pozostałych żon.

Ilchan niedomagał. Choroba zagnieździła się w jego ciele już ponad rok temu, ale starał się jej nie poddawać, nie kładł się i po dawnemu sprawował rządy.

Wczesną wiosną Hulagu odwiedził wojsko, które przygotowywało się do odparcia Nogaja ciągnącego od Północnego Kaukazu. Byli tam głównie wojownicy, których przysłał mu Kubiłaj. Swoje własne wojsko oddał natomiast pod komendę młodszego brata Dokuz--katun, który miał przeciwstawić się Bejbarsowi.

Laszkarbaszy wojska Złotej Ordy Nogaj dotarł na ziemię Azerbejdżanu inną drogą, niż szli kiedyś Sube-dej i Dżebe. Mianowicie przeprowadził swoje szybkie tumeny pod Derbent północnym brzegiem Morza Cho-dzarskiego.

Hulagu nie spodziewał się, że Nogaj zdecyduje się na takie posunięcie, bo przecież niegdyś Żelazne Wrota omal nie stały się miejscem zguby mongolskich wojsk ściganych przez gruzińskiego króla.

Nogaj jednak postąpił właśnie tak. Zimą po lodzie rzeki Derbent przeprowadził swoich wojowników przez Wąwóz Szyrwański i rozgromił niezbyt liczne wysunięte zagony ilchana. Hulagu zaniepokojony zuchwałym manewrem Nogaja, świadczącym o jego wielkim zdecydowaniu, wysłał ^u naprzeciw duże siły. Jednak Nogaj po opanowaniu ^{er}bentu nie kwapił się do decydującej walki. Trudno

231

się było domyślić, co go powstrzymuje, Ilchan uznał, że laszkarbaszy czeka na posiłki ze Złotej Ordy i popełnił nowy błąd. Część wojowników, Gruzinów i Ormian wprawionych w walkach w górach, wysłał na pomoc synowi. Wówczas Nogaj, który jakby tylko na to czekał, pchnął swoje tumeny na wojska Hulagu. Jego wojownicy, wyszkoleni podczas długiego popasu w Derbencie w walce pieszej i w szturmowaniu miejskich murów obronnych, z łatwością pokonali opór napotkanych po drodze niewielkich twierdz.

Ilchan, zły na siebie, że pomylił się sądząc, iż bez posiłków Nogaj nie odważy się iść naprzód, sam ruszył na wroga. Było już jednak za późno. Szybkie tumeny laszkarbaszy dotarły na przedgórskie równiny Szyrwanu, a to znaczyło, że jazda Nogaja znów zyskała przewagę nad wojskiem Hulagu, składającym się głównie z piechoty.

Mimo wielkiego doświadczenia Hulagu przegrał pierwszą bitwę i jedynie przybyłe na czas posiłki uratowały go przed zupełną klęską.

Zmęczony i wściekły ilchan wrócił do swej głównej kwatery. Po raz pierwszy doznał takiej porażki i po raz pierwszy pomyślał z goryczą, że jego wojsko nie reprezentuje już dawnej siły. Przedtem składało się ono z koczowników: Mongołów, Kipczaków, Seldżuków oraz wojowników innych plemion zamieszkujących brzegi Dzejhunu. Na nich zawsze można było polegać, natomiast podbite narody nigdy nie staną się pewną podporą tronu.

Hulagu poczuł, jak ogarnia go coraz silniejszy niepokój o przyszłość i zaczął w myśli oceniać wszystkich swoich nojonów. Nie znalazł wśród nich ani jednego, który dorównywałby talentowi Subedeja czy Dżebe, od których niegdyś on sam uczył się podbijania ziem i narodów.

Jest Saridża, Burałgi, Dżagan... Daleko im jednak do

232

nojonów Czyngis-chana lub Ugedeja. Tamci mogli kruszyć góry i ścierać kamienie na pył. Umarł Dżurma-gun, nie żyje Bajdżu.

Nojon Bajdżu... Zabił go własny język. Kiedyś wodził tumeny na Bagdad, potem rzucił na kolana cały Iran. Dokonał tego rękami Gruzinów i Ormian, ale całą sławę chciał zagarnąć dla siebie.

A to godziło w honor Hulagu i wszystkich Czyngi-sydów.

Ilchan próbował przywołać no jona do porządku, ale bez powodzenia. Potem do Hulagu dotarły słowa Bajdżu, który utrzymywał, że gdy tylko zapragnie, to całe wojsko pójdzie za nim i wtedy nie zostanie nic z Ordy ilchana. Tego było już za wiele. Hulagu rozkazał zgładzić nojona.

Dopiero teraz przyszła spóźniona myśl, że może Bajdżu niczego podobnego nie mówił, że zawistnicy oczernili nojona... Wówczas jednak nie było czasu do namysłu, gdyż wojownicy istotnie kochali Bajdżu, który był laszkarbaszy-tamą i swą szczodrobliwością potrafił pozyskać sobie podległych mu nojonów. Wyrok został wykonany.

Jakże potrzebny był Bajdzu dzisiaj, w tych ciężkich chwilach, kiedy Nogaj lada dzień mógł znaleźć się pod murami Szemachy, co oznaczałoby, że większość Kaukazu wpadła w jego ręce. A w takiej sytuacji trudno było przypuścić, że uda się go stamtąd kiedykolwiek wyprzeć. Trudno rządzić ufusem zamieszkałym przez wiele ludów. W ziemiach podległych ilchanowi nie było jedności, on zaś wiedział z doświadczenia, że po jakiegokolwiek porażce można ponownie nabrać siły jedynie w*edy, gdy ludzie myślą tak samo, jak ich władca.

Oporą dla tronu mogli stać się jego współwyznawcy, chrześcijanie, ale gdyby nawet udało mu się zebrać ich wszystkich pod swoje sztandary, Hulagu nie

23?
mógł czuć się bezpieczny, gdyż większość narodów zamieszkujących ufus wyznawała islam. Może właśnie dlatego, że mameluk Bejbars i chan Berke również byli muzułmanami, wojownicy Hulagu nie widzieli w nich wrogów, co pozbawiało ich niezbędnej w walce zaciekłości. Bardzo już niewiele pozostało w wojsku Mongołów czystej krwi, którym zawsze było obojętne, jaką wiarę wyznają ich wrogowie.

Na wyprawach i w bitwach przeredziło się przyprowadzone przezeń kiedyś znaną z brzegów Kerulenu czterdziestotysięczne wojsko. Wielu Mongołów wzięło sobie za żony tutejsze kobiety i zaczęło żyć tak, jak to było w zwyczaju na tych ziemiach.

Chan Kubilaj przysłał na pomoc trzy tumeny, ale i w nich niewiele było prawdziwych Mongołów. Zresztą i tych nielicznych trzeba było rozdzielić, jednych wysłać do walki z Nogajem, drugich zaś przeciwko Bejbarsowi.

Choroba coraz mocniej dawała o sobie znać i Hulagu zaczął się już zastanawiać, kogo mógłby postawić na czele wojska powstrzymującego Nogaja.

W czasie długich bezsennych nocy wciąż do tego wracał, ważąc w myśli wady i zalety wszystkich swoich nojonów. Dowódca musiał być doświadczony, sprytny i mądry, żeby działać szybko i bez wahania w każdych okolicznościach. Bajdzu bardzo by się teraz przydał...

Hulagu przypomniał sobie nagle jego syna Adaka. Zrazu odrzucił go, bo nie był pewien, czy Adak nie zechce mścić się za śmierć ojca, czy nie wyczekuje sposobnej chwili, żeby odplacić za nią z nawiązką ilchanowi... Potem jednak uspokoił się, gdyż wiedział, że szybkie wywyższenie, wielka łaska gasi każdy pożar w duszy człowieka marzącego o zaszczytach i sławie. Potomkowie Czyngis-chana potrafili wyszukiwać w ludziach słabe miejsca, umieli wczorajszych wrogów przekształcać w najwierniejszych przyjaciół.

234

Do namiotu weszła ukochana żona Hulagu, Dokuz--katun. Ilchan znów zachwyił się jej płynnym krokiem i smagłą świeżą twarzą. Kiedy jego ojciec Tołuj wziął ją za najmłodszą żonę, Dokuz-katun liczyła zaledwie trzynaście lat. Od tej pory upłynęły trzy dziesięciolecia, ale zupełnie nie odbiły się one na Dokuz--katun, która nadal była piękna i pełna uroku.-

Kobieta podeszła do ilchana, uklękła przed nim i z niepokojem zajrzała w twarz.

— Wielki chanie, jesteś chory? — zapytała. Hulagu gestem pełnym zmęczenia przeciągnął ręką

po twarzy. Ostatnio choroba istotnie coraz częściej dawała o sobie znać. Rankiem miewał zawroty głowy i obrzydliwa słabość ogarniała całe jego ciało. Teraz popatrzył łagodnie na Dokuz-katun i powiedział z niewesołym uśmiechem:

— Pewnie siły już nigdy mi nie wrócą... Dokuz-katun nie odrywała od niego zaniepokojonego wzroku.

— Gdybym mogła zabrać twoją chorobę, uczyniłabym to bez chwili namysłu...

Hulagu wierzył tej kobiecie. Nigdy go przecież nie okłamała i zawsze dzieliła z nim wszelkie trudy i kłopoty.

— Nie powinnaś chorować... — odparł cicho. — O-powiedz mi lepiej, co nowego słychać w Ordzie...

— Czas nadal jeszcze nam sprzyja — powiedziała Dokuz-katun. — Wszystko pozostaje po staremu. Oddział twoich wojowników pojmał w górach Kipczaków, którzy uciekli ze Złotej Ordy. Powiadają, że jest wśród nich Runijczyk, sławny budowniczy, który potrafi wznosić pałace i świątynie. A jego żona...

— Kto to powiedział? On sam?

— Nie. Znaleźli się ludzie, którzy go znają.

— Dlaczego uciekli od Berke-chana?

— Z Rumijczykiem sprawa jest jasna: po prostu

235

tęskni za ojczyzną. Co do kobiety, to miłość może zaprowadzić na koniec świata. A Kipczaków sam zapytaj...

— Dobrze. Wyjdę do nich. Dokuz-katun uśmiechnęła się filuternie.

— Wielki chan widać się starzeje, bo nie zapytał o kobietę...

— Minęły już te czasy — odparł chmurnie Hulagu. Ilchan zawsze był powściągliwy i małomówny, ale

dziś wpatrująca się w jego twarz Dokuz-katun dojrzała głęboko zapadnięte oczy i chude pomarszczone policzki. Zrozumiała, że Hulagu rzeczywiście jest bardzo chory, zbyt chory, aby interesowały go jeszcze jakieś ziemskie rozkosze. Zalała ją fala głębokiego współczucia dla swego władcy.

Hulagu narzucił na ramiona kaftan i wyszedł z namiotu.

Jeńcy stali zbici w ciasną grupę i kiedy noga ilcha-na zstąpiła na rozesłany przed wejściem jaskrawy dywan uderzeniami pochw szabel rzucono ich na kolana.

Chociaż Hulagu nie pytał Dokuz-katun o kobietę, to jednak właśnie ją pierwszą dostrzegł w tłumie, niczym białego łabędzia w stadzie szarych gęsi. Jego wzrok obojętnie prześlizgnął się po reszcie jeńców i natychmiast wychwycił Rumi języka, który choć ubrany w zwyczajny kipczański strój, to jednak wyróżniał się muskularną budową i szlachetnymi rysami twarzy. Hulagu wpadł we wściekłość. Przez całe życie nienawidził ludzi uciekających od swych chanów. Takim nigdy i w niczym nie można było wierzyć, bo skoro zdradzili swego poprzedniego władcę, to równie łatwo odwrócą się od nowego. Uciekinierzy, zdaniem ilehana, nie mieli prawa chodzić po ziemi bez względu na to, co popchnęło ich do opuszczenia swego chana: ciężka dola, tęsknota za ojczyzną czy jeszcze coś innego.

Hulagu nienawidził Berkego, ale przecież Berke mi-

236

to wszystko był chanem. A co może być gorszego i bardziej haniebnego niż zdradzenie swego władcy? Kto może być pewny, że uciekinier jutro nie zwróci się przeciwko temu, kto udzielił mu schronienia i obrony, że nie wbije mu noża w pierś? Jeńcy muszą umrzeć.

Wszyscy co do jednego. Tak nakazywał Czyngis-chan.

Im bardziej ilehanowi doskwierał ból, tym niecierpliwszy i mniej tolerancyjny stawał się dla otoczenia. Teraz częściej niż dawniej rozkazywał zabijać, bo wydawało mu się, że mordując innych tym samym przedłuża własne życie. Nie było jeszcze Czyngisydy, który czując nadchodzącą śmierć pragnął uczynić coś dobrego komuś pozostającemu na świecie lub prosił o przebaczenie boga, w którego wierzył za życia. Hulagu był pod tym względem nieodrodnym potomkiem Czyn-gis-chana.

Znów popatrzył li kobietę. Jej czarne, zdumiewająco długie warkocze ǰć?śh* na zdeptanej ziemi i przypominały lśniące jedwabne wstążki. Takich wspaniałych warkoczy nie zdarzało mu się widzieć nawet u słynących z urody długoszyich cór Persji.

Po raz pierwszy od wielu dni choroby nagle przemknęła mu przez głowę podniecająca myśl: „Żeby tak nawinać te warkocze na rękę!...”

Hulagu aż zmrużył z rozkoszy oczy. Coś drgnęło w jego sercu i nie wydając żadnego rozkazu co do losu jeńców odwrócił się i ruszył w stronę namiotów, w których zazwyczaj załatwiał sprawy podległej mu Or-

Stojący przed wejściem nuker otworzył przed nim rzeźbione, inkrustowane kością słoniową drzwi. Hulagu szybko przeszedł przez trzy połączone ze sobą namioty i usiadł na pokrytym dywanami podwyższeniu, po czym zwracając się do swego wezyra El-Elstebira powiedział:

— Niechaj sprowadzą Adak-nojona.

237

Nuker stojący w przejściu z trzeciego namiotu do drugiego krzyknął:

— Wpuścić Adak-nojona!

Głosy strażników przekazywały dalej rozkaz ilchana:

— Niechaj wejdzie Adak-nojon...

Adak był prawdziwym Mongołem, wysokim, bar* czystym, z rzadką, ledwie widoczną bródką na płaskiej nieruchomej twarzy. W wojsku Hulagu dowodził tysięcznym oddziałem. Wezwanie do ilchana przeraziło go, bo trudno było dociec, co się za tym kryje. Minęło przecież dopiero trzy lata od dnia, w którym Hulagu rozkazał zgładzić jego ojca, Bajdzu. Inna rzecz, iż on sam nie poczuwał się do żadnej winy. Służył ilchanowi uczciwie i wiernie, jak to przystoi prawdziwemu Mongołowi i jak u-czył go ojciec. A całkiem niedawno, kiedy w jednej z bitew wojownicy napierani przez wroga gotowi już byli rzucić się do ucieczki, potrafił pociągnąć ich za sobą i przywrócić wiarę w zwycięstwo. Po tym zdarzeniu Hulagu, który widział wszystko na własne oczy, podarował młodemu nojonowi kindżał ze złotą rękojeścią.

I mimo wszystko trudno było zgadnąć, co Hulagu zamierza. Niedawno jeszcze przecież przyjaźnił się z jego ojcem, co jednak nie przeszkodziło mu w skazaniu go na śmierć. Dusza ilchana jest niczym lisia nora. Ma wiele rozgałęzień i nie sposób przewidzieć, do którego skieruje się jego myśl.

Adak szybkim krokiem zbliżył się do podwyższenia, na którym siedział Hulagu, a tam uklęknął na jedno kolano, przyłożył ręce do piersi i nisko pochylił głowę.

— Przybyłem na twój rozkaz, wielki chanie...

Hulagu bez słowa przypatrywał się młodemu nojonowi, który nadal klęczał z pochyłą głową, ukazując o-gorzały kark jakby umyślnie wystawiony na cios szabli.

238

po obu stronach Hulagu w wyczekujących pozach zamarli wezyr El-Eltebir i skryba z otwartą wielką księgą w rękach.

Wreszcie ilchan przerwał ciszę:

—. Adak-nojonie, czy nie chowasz do nas urazy?

— Nie, wielki chanie...

Hulagu w zadumie pokiwał głową.

— To dobrze, tak powinno być. Na tej ziemi zawsze było wielu ludzi, którzy nie potrafili utrzymać głowy na karku. Jednym z nich był twój ojciec, Bajdzu...

Adak milczał, nie wiedząc, do czego chan zmierza. A Hulagu tymczasem ciągnął z westchnieniem:

— Chyba różnisz się od swego ojca. W ostatniej bitwie dowiodłeś swojej odwagi i tego, że jesteś nam oddany duszą i ciałem. A za takie oddanie...

Hulagu niespodziewanie zamilkł. Jego stopy zaczęły gorzeć, jakby zanurzył je w rozżarzonych węglach. Nadchodził kolejny atak choroby, który zawsze się od tego zaczynał. Ilchan wiedział, że koło południa gorączka ogarnie całe ciało i zmaćci rozsądek. Opanował się z najwyższym trudem. Przez jakiś czas będzie jeszcze w miarę przytomny, więc postanowił to wykorzystać i mówił dalej.

— Za twoje oddanie postanowiłem mianować cię dowódcą tumenu. Od tej chwili odpowiadasz za dziesięć tysięcy nieustraszonych wojowników. — Ilchan kolejno zwrócił głowę w stronę wezyra i skryby. — Rozkazuję to zapisać.

Oczy Adak-nojona rozbłysły radością. Dobył szabli i nie wstając z klęczek pocałował klingę. — Jakimż słowami mam ci dziękować, o wielki chanie! Przysięgam zawsze służyć ci z największym oddaniem!...

Hulagu przypatrywał mu się z wielką uwagą. Tak, nie pomylił się. Ten młodzieniec rzeczywiście będzie

239

wierny jak pies. Co dla prawdziwego Mongoła znaczy śmierć ojca, jeśli oto powierzono mu dowództwo tu-menu? To przecież całkiem inne życie niż dotychczas. To zaszczyt i sława, to słodkie, nie dające się z niczym porównać poczucie władzy nad ludźmi.

Adak-nojon promieniał ze szczęścia.

Hulagu niósł rękę.

— Dobrze — powiedział. — Teraz emirze tumenu, Adak-nojone, wysłuchaj naszego następnego rozkazu. Wezmiesz tumen składający się z wojowników mongolskich i kipczackich i ruszysz przeciwko Nogajowi. Zjednoczysz wszystkie nasze oddziały, zaczaisz się nań opodal Szemachy i zmusisz do ucieczki z pola bitwy.

Adak popatrzył uważnie w oczy ilchana.

— Wykonam twój rozkaz, wielki chanie, ale mam pewną prośbę.

— Mów.

— Pozwól mi zamiast Kipczaków wziąć wojowników miejscowych plemion.

— Dlaczego? — zapytał Hulagu z niezadowoleniem.

— Kipczacy są muzułmanami. Widziałem ich, przy zdobywaniu Bagdadu i w bitwach z Bejbarsem. Tracili tam odwagę i walczyli bez niezbędnego zapału. A wojsko Nogaja prawie w całości składa się z muzułmanów...

— Zrozumiałem cię — powiedział Hulagu. — Niechaj będzie po twojemu. A teraz idź i oby bóg wojny Sulde był z tobą.

Adak w asyście nukerów wyszedł z namiotu, a Hulagu długo jeszcze siedział w zadumie, wsłuchując się w ból, który wolno i nieubłaganie falą gorączki wznosił się od nóg coraz wyżej i wyżej.

Czas płynął i niewiele już zostawało go do chwili, kiedy gorączka ogarnie całe ciało i zmąci rozum. Ilchan popatrzył w kierunku El-Eltebira.

— Przyprawdźcie tu uciekinierów.

240

Namiot był obszerny, więc jeńcy — zakurzeni, ob-iarci, z rękami skrępowanymi arkanami z końskiego łosia — zmieścili się przy jego wejściu. Ze wszystkimi otoczyli ich surowi, milczący nukerzy z ob-Aszonymi szablami w dłoniach.

Wolne ręce miała tylko Kunduz, która weszła do dariojii podtrzymując nimi swoje bajeczne warkocze. Sam ilchan i zebrani wokół niego nojonowie nie mogli oderwać od nich wzroku.

W czasie ucieczki Kunduz wychudła i pociemniała na twarzy, ale nawet to nie zdołało przysłonić jej wspaniałej urody.

Z bocznego, zasłoniętego jedwabną oponą wejścia wysunęła się bezszelestnie Dokuz-katun.

Jej uważne oczy badały na przemian twarz Hulagu, to znów twarz młodej kobiety. Na moment zapłonęły w nich isierki zazdrości, które jednak zaraz zgasły. Czerwone wargi żony ilchana rozchyliły się w miękim uśmiechu.

— Wielki chanie — powiedziała z szacunkiem Dokuz-katun. — Chciałabym porozmawiać z tą uciekinierką, zanim zdecydujesz o jej losie. Jeśli pozwolisz, zabiorę ją na razie do siebie...

Hulagu uśmiechnął się. Domyślił się, że Dokuz-katun wpadła na jakiś pomysł, ale nie widział powodu, żeby przeszkadzać żonie w jego urzeczywistnieniu.

— Niech się stanie wedle twojej woli... — powiedział.

— Chodźmy — powiedziała Dokuz-katun i wzięła Kunduz za rękę. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca, patrząc z rozpaczą na Kolomona.

Rumijczyk lekko skinął głową.

— Chodź ze mną — rozkazała Dokuz-katun głosem pełnym zniecierpliwienia.

— Idź — wyszeptał Salimgirej. — Stanie się to, co się stać musi...

W momencie, gdy skończyło się ich wolne życie,

16 — Złota Orda

241

gdy wpadli w zasadzkę Mongołów i stali się ich jeńcami, uciekinierzy postanowili zgodnie we wszystkim słuchać Salimgireja. Teraz więc Kunduz, podtrzymując rękami ciężkie warkocze, poszła pokornie za Do-kuz-katun.

W namiocie zapadła groźna cisza, a światło padające przez otwór w kopulastym dachu stało się nagle gęste i krwawe.

Ilchan popatrzył przenikliwie na Salimgireja, domyślając się w nim przywódcy.

— Mów! Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Salimgirej pochylił z szacunkiem głowę.

— Byłem setnikiem w Złotej Ordzie — powiedział cicho. — Pochodzę z rodu Kereitów.

Dowiedziawszy się, że Sajdza, głowa naszego rodu, służy tobie, wielki chanie, zapragnąłem stać się twoim wojownikiem.

Hulagu pokiwał głową, jakby zgadzał się z jego słowami.

— A ten człowiek — Salimgirej wskazał Kolomona — jest Rumijczykiem, niezrównanym muratorem. Dostał się do niewoli, kiedy Dżurmagun-nojon* zdobył miasto Gandzę. Potem został oddany Mengu Temiro-wi i jako niewolnik wysłany na ziemie Złotej Ordy. A któryż niewolnik nie marzy o wolności? Dlatego uciekł. Ludzie powiadają, że kościół, który budował w Gandży, wciąż jeszcze nie został ukończony...

Ilchan ożywił się.

— Prawda — powiedział. — Widziałem ten kościół... Oczy Hulagu załśniły. Przypomniat sobie o tym, o

czym jeszcze niedawno często myślał, o swym zamiarze zjednoczenia wokół siebie chrześcijan, uczynienia z nich podpory tronu. Przymknął powieki, a potem spojrzał badawczo na Kolomona.

— Mógłbyś go wykończyć?

— Tak, wielki chanie.

242

— Daruję ci życie, a ty w zamian spełnisz swoją obietnicę.

Ilchan zamilkł, jakby zupełnie zapomniał o Rumijczyku i dopiero po dłuższej chwili zapytał groźnie chmurząc brwi:

— Dlaczego uciekli pozostali?

— Są mieszkańcami gór, którzy w swoim czasie również dostali się do niewoli — odparł Salimgirej.

Hulagu przyjrzał się jeńcom. Wszyscy byli ubrani w stroje kipczackie, ale z łatwością rozpoznał wśród nich Gruzinów i Ormian.

— Ale widzę tu również i Kipczaków...

— Jest wśród nas pięciu wojowników Złotej Ordy, którzy nie chcieli pozostawać dłużej na służbie chana Berkego.

Hulagu skrzywił się ze wstrętem.

— Było im tam za ciężko i spodziewali się, że u il-chana Hulagu będą obżerać się i wylegiwać na miękkich dywanach, dosiadając białością kobiet?

Salimgirej nic na to nie zdążył odpowiedzieć, gdy Hulagu gwałtownie uniósł głowę.

— Wysłuchajcie mojej woli. Ty — tu popatrzył na Salimgireja — spieszyłeś do Sajdzy, aby stać się jego wojownikiem. Niechaj spełni się twoje pragnienie. — Przeniósł wzrok na Kolomona. — Ty dokończysz budowę kościoła. W Gandzy jest wielu chrześcijan. To będzie mój podarunek dla nich. Gruzinów i Ormian weźmiesz ze sobą. Nauczysz ich obchodzić się z kamieniem i gliną.

Ilchan zamilkł, czując jak gorączka coraz wyżej wznosi się wzdłuż ciała. Dotarła już do bioder i niebawem zacznie palić w żołądku.

— Kipczaków zabić! — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Niechaj stanie się to przykładem dla innych. Niewierni własnemu chanowi prędzej czy

243

później zdradzą również i tego, który ich przygarnął.

— Wielki chanie! — wykrzyknął Salimgirej. — To dobrzy wojownicy. Poślij ich ze mną, a staną się pierwsi w bitwie i rozślawią twoje imię.

— Nie zabijajcie ich! — dodał Kolomon. — Wyślijcie ich ze mną na budowę kościoła.

Ni to złośliwy uśmiech, ni to grymas bólu wykrzywił twarz Hulagu. Zalewająca chore ciało gorączka przyprawiała go o wściekłość. Jego, ilchana, pana setek tysięcy ludzi czeka rychła i nieodwracalna śmierć, a ta piątka kipczackich robaków miałyby zostać na ziemi? Niechaj umrą przed nim! Gdyby można było odwlec własną śmierć za cenę cudzego życia, bez wahania zgładziłyby wszystkich ludzi na całej Ziemi...

Nagle ciszę zakłócił miękki, przypochebny głos:

— Czyż ilchan kiedykolwiek mówił dwa razy?

To odezwał się wezyr El-Eltebir. Dla wszystkich stało się jasne, że los Kipczaków został przesądzony. A Hulagu nagle zapytał:

— Kim jest ta kobieta, która była z wami? Kolomon zrobił krok do przodu i natychmiast w rękach strażników błysnęły klingi. Rumijczyk cofnął się.

— To Kipczaczka. Moja żona.

— Dobrze. — Ilchan zamyślił się. — Dziewczyna zostanie w głównym obozowisku — powiedział po dłuższej chwili. — Zobaczysz ją dopiero wtedy, kiedy dokończysz budowę kościoła.

— Ale dlaczego, wielki chanie?

— Zdołałeś uciec od Berkego. Co przeszkodzi ci uciec ode mnie, jeśli ona będzie z tobą?

Kolomon opuścił głowę. Chanowie nie zmieniają swoich rozkazów...

W namiocie Dokuz-katun służebnice i niewolnice o-toczyły Kunduz. Katun rozkazała przynieść jej posiłek, ale Kunduz nawet go nie tknęła.

244

Dokuz-katun przyglądała się jej uważnie.

— Porzuciłaś ojczyste stopy i uciekłaś z Rumijczykiem na obczyznę... Dlaczego? — zapytała. Kunduz uniosła zażawione oczy.

— On mnie kocha, a ja Kocham jego! — wykrzyknęła.

Dokuz-katun uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Jakże mógłby cię nie kochać... Kobiety z takimi włosami pokocha każdy mężczyzna. Oni wszyscy polecą na koniec świata za czymś niecodziennym. Doskonale o tym wiem...

Wyciągnęła nagle rękę i niewolnica, zgadując jej życzenie, podała Dokuz-katun nóż z szerokim ostrzem.

Dwukrotnie błysnęła stal i ciężkie warkocze spadły na ziemię pokrytą jaskrawym dywanem. Kunduz, służki i niewolnice zastygły w pełnym zdumienia przerażeniu.

Stara niewolnica podeszła bezszelestnie, podniosła warkocze i wyniosła je z namiotu. Jej pomarszczone ręce gładziły czarne włosy, jakby to były żywe stworzenia.

— Dlaczego? — dławiąc się łzami wyszeptowała Kunduz. — Dlaczego to zrobiłaś, pani?

Na wargach Dokuz-katun zastygł złośliwy uśmieszek.

Za życia Czyngis-chana całe jego wojsko zostało rozdzielone na dwa skrzydła, prawe i lewe. Do prawego włączono wojowników zamieszkujących ziemie zachodnie, do lewego zaś wojowników z ziem wschodnich.

Na takich samych zasadach było zorganizowane również wojsko Złotej Ordy. Czyngisydzy z prawego brzegu Itilu ze swoimi wojskami należeli do prawego skrzydła, a z lewego brzegu tej rzeki aż do Mawaran-nahru tworzyło lewe skrzydło. Za zwierzchnika pierw-

245

szego uchodził Nogaj, drugim dowodzili: młodszy brat Berkego Berkendżar oraz syn Tutukana, Mengu Te-mir.

W podbojach nowych ziem uczestniczyło zazwyczaj tylko to skrzydło, które znajdowało się bliżej nich i jedynie w największych wyprawach oba skrzydła walczyły razem. Po śmierci Batu-chana Orda ani razu nie odważyła się przedsięwziąć wielkiej wyprawy na zachód i dlatego, kiedy postanowiono odbić Kaukaz, przeciwko Hulagu wyruszyło prawe skrzydło pod dowództwem Nogaja.

Nie było w owym czasie w Złotej Ordzie mądrzejszego odeń no jona. Wedle praw ustanowionych przez Czyngis-chana Nogaj nie miał prawa do dziedziczenia chańskiej władzy, ale jego wpływy wśród Czyngi-sydów były ogromne.

Po śmierci synów Batu-chana, kiedy decydowały się losy tronu Złotej Ordy, Nogaj stanął po stronie Berkego, co wystarczyło do rozstrzygnięcia sprawy.

Nojon wiedział, że Berkemu brakuje wielu cech niezbędnych chanowi, ale inni pretendenci do tronu mieli jeszcze mniej zalet. To zdecydowało o jego wyborze.

Zaraz potem, gdy tylko wbrew woli Karakorum został chanem, odbyła się rozmowa, której w przyszłości nie mógł zapomnieć ani nowy chan, ani Nogaj.

Obaj troszczyli się o przyszłość Złotej Ordy, lecz każdy z nich myślał o tej przyszłości inaczej.

Siedzieli w jurcie sami, pili kumys i rozmawiali.

— Co myślisz o Rusach? — zapytał Nogaj. — Zamierzasz nadal szcuć przeciwko sobie ich książąt i brać od ludu daniny w lisich i zajętych skórkach, czy może masz jakiś inny pomysł?

Berke milczał, obserwując grę drobinek kurzu wirujących w słońcu przedostającym się przez otwór w dachu jurty.

246

— Pamiętaj — z naciskiem w głosie ciągnął nojon — że Rusowie nie są ludem koczowniczym w rodzaju Kipczaków, że zupełnie inaczej żyją i przestrzegają innych obyczajów. Rusowie są liczni, przywykli mieszkać w jednym miejscu i dlatego nie dadzą się długo utrzymać w posłuszeństwie. Jeśli zjawi się wśród nich człowiek, który zdoła zjednoczyć skłócone księstwa, to jego pierwszym łupem może stać się Złota Orda.

— Masz coś do powiedzenia?

— Jesteś chanem, więc do ciebie należy pierwsze słowo...

— Nie zastanawiałem się nad tym. Mów pierwszy...

— Dobrze. — Nogaj zmrużył w zadumie oczy. — Wzorem Kubiłaja, który wkroczył do Chin, powinieneś wkroczyć na ruskie ziemie i rządzić nimi.

— Chcesz, żebym poszedł do nich i stracił Złotą Orde? — zapytał podejrzliwie Berke. — Chcesz, żeby ze mną stało się to samo, co z Kubiłajem? On dzisiaj ma Chiny, ale nie ma już wielkiego chanatu mongolskiego... A poza tym, gdy Rusowie tylko dowiedzą się o naszych zamysłach, natychmiast się im przeciwstawią.

Orda nigdy nie lękała się posyłać swoich wojowników do boju! — powiedział gorąco Nogaj.

— Ale można wszak postąpić również inaczej. Można podzielić ruskie ziemie na ajmaki, którymi rządzić będą mongolscy nojonowie. I niechaj wraz z nimi koczują po ruskich ziemiach nasi wojownicy z rodzinami.

— Coś takiego trudno byłoby przeprowadzić, bo nie ma nic łatwiejszego niż wycięcie w pień małego oddziału...

— Tak, krew może się połać, ale Mongołowie potrafią tłumić bunty i panować. Na miejsce zabitych pošlesz nowych wojowników. Dziewięciobuńczukowy biały sztandar naszego wielkiego przodka Czyngis-cha-

247

na przyniósł Mongołom sławę i szczęście, i dlatego każdy z nich z radością umrze broniąc tego sztandaru — powiedział brutalnie Nogaj.

Berke z trudem hamował ogarniającą go wściekłość.

— Tak myślisz ty! Zapomniałeś jednak, co w swoim czasie Argasun-chuurczy odważył się powiedzieć w oczy samemu Czyngis-chanowi:

Któryż z potomków „Tego, który wstrząsnął światem” nie słyszał o tym zdarzeniu? Znał je oczywiście i Nogaj.

Podczas jednej ze swych wypraw na wschód Czyn-gis-chan podbił ziemie Koreańczyków i wziął sobie za nałożnicę córkę zwyciężonego władcy, dziewicę niezwyklej urody. Zażywając z nią rozkoszy zupełnie zapomniał o mongolskich koczowiskach. I wówczas z ojczystych stepów przygalopował do niego pieśniarz Ar-gasun.

v, — Czy zdrowe są moje żony, synowie i cały mój naród? — zapytał go Czyngis-chan.

' Na to Argasun odpowiedział mu pieśnią:

»<►■■"

Żony twoje i synowie twoi są zdrowi! Nie wiesz jednak, jak się żyje twemu narodowi! Żony i synowie dobrze się miewają! Nie wiesz jednak, o czym myśli naród! Nie wiesz, że je skórę, korę z głodu żuje! Nie wiesz, jak dziś żyje naród twój! Nie wiesz, że pragnienie gasi woda! • Nie wiesz, jak biedują twoi Mongołowie!

W oczach Nogaja zapaliły się złe błyski i Berke zrozumiał, że nojon wspomniał słowa Argasuna. Dlatego powiedział nie kryjąc uciechy.

— To, co wielki przodek dał nam, swoim potomkom, wystarczyło tylko dla nas samych, a zabrakło dla reszty Mongołów. Zupełnie nie znasz życia i nie wiesz, czy Mongołowie znów będą chcieli umierać.

248

Słowa chana były wielce obraźliwe, więc twarz Nogaja zbladła jak płótno.

— Strzeż się, chanie! — wykrzyknął nie kryjąc już gniewu. — Pamiętaj, że jeśli nie zrobisz tego dzisiaj, to jutro może już być za późno. Ani się obejrzysz, gdy Rusowie przyjdą tutaj, żeby panować nad nami.

Berke sam się tego w głębi serca obawiał, ale nie potrafił w to zagrożenie uwierzyć do końca. Dlatego rosła v/ nim złość na Nogaja i rodziło się podejrzenie, iż nojon marzy o bitwach, więc stara się go przekonać, że wszyscy Mongołowie też tylko tego pragną.

— Tego, co mi radzisz, uczynić się nie da.

— A jak wedle ciebie należy postąpić?

— Nie jestem mądrzejszy od Batu-chana — odparł wymijająco Berke — a zatem powinienem iść drogą, którą on wskazał. Gdybym nawet przeniósł się-na ziemie Rusów, to i tak nie wzmocniłbym Złotej Ordy... [-;

Zdziwiony tym wyznaniem Nogaj patrzył z niedowierzaniem na chana. Nie przypuszczał, że Berke może być tak przygnębiony i niezdecydowany.

— Nie rozumiem cię, chanie...

W rozszerzonych, pociemniałych źrenicach Berke-go zabłyśły złe ogniki.

— Rozejrzyj się dokoła! — wykrzyknął. —■ Czyżbyś nie widział, że mongolska szabla już od dawna nie błyszczy tak oślepiająco, jak to bywało za Batu--chana? Wiele zmieniło się od czasu, kiedy odszedł on z tego świata. Podbite narody nadal boją się naszego silnego wojska,

ale już nie lękają się nas, Mongołów. Za czasów Czyngis-chana i Batu Mongoł był przerażający i niepojęty, a teraz Rusowie i inne plemiona wiedzą o nas wszystko. Wiedzą, jak żyjemy i jak potrafimy walczyć. A kiedy wróg jest znany, to wtedy już tak nie przeraża. Groźne jest tylko niepojęte. Znanego wroga ludzie lękają się tylko dopóty,

249

dopóki jest silniejszy. Czy nie dlatego zbuntowały się ruskie miasta: Rostów Wielki, Suzdal i Twer, Jarosław i Ustiug? Czy nie dlatego w Bucharze, którą przecież nie tak dawno Ugedej i Dżagataj starli z powierzchni ziemi, czerń znowu odważyła się podnieść głowy? Gdybyś to widział z tak bliska, jak ja... Noc... Surowe twarze, niepokorne oczy i krwawy blask pochodni... — Berke zamilkł, zdając się od nowa przeżywać to, o czym opowiadał. — A powstanie Gruzinów przeciwko Hulagu, które pod przywództwem Wielkiego i Małego Dawida wybuchło w Tbilisi?... A niedawne zamieszki w naszej stolicy? Kazałem wtedy wyrzynać niepokornych jak barany!

— Słusznie uczyniłeś — zauważył Nogaj. — Dobry wróg, to martwy wróg.

— Ja też tak uważam. Ale czemu wobec tego buntów jest coraz więcej? Dlaczego zamieszki są coraz częstsze? Słyszałeś o moim byłym setniku Salingire-ju... Wydawać by się mogło, że skoro na własne oczy widział, jak rozkazałem zgładzić dziesięć tysięcy niepokornych niewolników, to do dziś powinien trząść się ze strachu. Tymczasem godni zaufania ludzie donoszą mi, że Salingirej zbiera wokół siebie wrogów Ordy-

— Rozkaż go schwytać!... I niechaj wszyscy zobaczą, jak jego głowa toczy się pod kopyta twojego konia! Tylko strach może utrzymać ludzi w posłuszeństwie.

— Tak właśnie uczynię... — powiedział w zadumie Berke. — Ale jak strachem powstrzymać czas?

Nogaj usiłował zrozumieć, o czym chan mówi. Wpatrywał się uważnie w Berkego, ale twarz władcy Złotej Ordy była nieprzenikniona.

— Czy nie za dużo myślisz, zamiast troszczyć się o wielkość i potęgę Ordy? — powiedział z przyganą.

Berke pokręcił głową.

250

— Wszystkie nasze myśli pochodzą od boga... Czas... Wydaje mi się niekiedy, że czas podobny jest do bezbrzeżnego, rozszalałego morza. A morze potrafi rozbić najtwardszą skałę i podmyć najwyższy nawet brzeg... Wielu rzeczy nie mogę zrozumieć, a jeszcze mniej potrafię wytłumaczyć... Nieustraszone tumeny Czyngis-chana podbiły niezliczone narody krzywą mongolską szablą, ostrą strzałą, ciężką maczugą i piekącym batem. Zabieramy zwyciężonym wszystko, czego potrzebujemy, i rządzą nimi nie zsiadając z konia... Ale zamiast tego, żeby słabnąć i wymierać, ludy te wytrwale budują od nowa to, co my burzimy, pasą bydło i orzą ziemię, wydobywają żelazo i kują z niego miecze. Powiedz, mój dzielny nojonie, czy podbite ludy są dziś słabsze niż wówczas, kiedy w czasach naszej młodości pod przewodnictwem Batu-chana tratowaliśmy je kopytami naszych koni? Wiesz, że tak nie jest. Czerń coraz częściej się buntuje, a czyż brak pokory nie jest przejawem siły? Niekiedy wydaje mi się, że nadejdzie czas, kiedy i Rusowie, i Bułgarzy, i mieszkańcy Mawarannahru nie będą już chcieli dawać nam tego, co przywykliśmy im zabierać. Czy Złota Orda potrafi znów ich wówczas stratawać, czy zawsze będzie miała tę siłę, którą jeszcze dzisiaj się cieszy-?

— Po to właśnie wyniesiono cię na białym wojłoku, żebyś troszczył się o potęgę Złotej Ordy! — powiedział ze złością Nogaj, zniecierpliwiony jałowym, według niego, gadaniem chana. — Z dawien dawna na ziemi obok człowieka żyje przemoc i niesprawiedliwość. One są wieczne. Bądź mądry, bądź chytry, a przemoc i niesprawiedliwość nie pozwolą upaść namiotowi Złotej Ordy.

— Nawet damasceńska szabla stępi się, jeśli rąbać nią kamienie...

Nogaj ledwie hamował dławiącą go wściekłość. Już i tak na zbyt wiele pozwolił sobie w rozmowie z cha-

251

nem. Każdy inny na jego miejscu zapłaciłby głową za swoją zuchwałość, ale Berke zawsze był dla niego łaskawszy niż dla pozostałych, a poza tym rozmowa toczyła się w cztery oczy. Wściekłość nojona była zrozumiała gdyż po pierwszy zdał sobie nagłe sprawę z tego, że w chanie tkwi jakby dwóch całkowicie różnych ludzi. Jeden rządzi Ordą tak, jak przywykli rządzić Mongołowie: jest okrutny, krwiożerczy i bezlitosny. Drugi, który oto nieoczekiwanie ujawnił się Nogajowi, jest niezdecydowany, przestraszony i wygłasza słowa niegodne Czyngisydy.

— Czyż można rządzić Złotą Ordą, nie wierząc w jej potęgę? —• wykrzyknął gniewnie Nogaj. — Gdybym to ja był chanem!.. Pokazałbym wtedy całemu światu, co potrzeba jest Złotej Ordzie, żeby jej namiot stał wiecznie!

Berke roześmiał się łagodnie, ale jego oczy zrobiły się zimne jak sople lodu, a twarz stwardniała. Tak, miał rację, że ostatnio nie w pełni dowierzał Nogajowi. Gdybym to ja był chanem... Czy nie za wiele ten nojon sobie pozwala? Wprawdzie wykrzyknął „to w trakcie gorącego sporu, ale jednak... Zresztą nie on jeden o tym myśli. O władzy marzą wszyscy Czyngi-sydzi...

Berke podejrzewał Nogaja o ukryte zamiary, ale ani on, ani nojon nie wiedział jeszcze wówczas, nie przypuszczał nawet, że po latach walka potomków „Tego, który wstrząsnął światem” o prawo zasiadania na tronie chanów kosztować będzie życie niezliczonych ludzi, że utopi step Deszt-i-Kipczak we krwi i stanie się jedną z wielu przyczyn, z powodu których na zawsze runie namiot Złotej Ordy, grzebiąc pod swoimi szczątkami wszystkich tych, którzy wierzyli w jej wieczność i nienaruszalność.

— Powiedziałeś, Nogaju, że gdybyś to ty był chanem... — zaczął wolno Berke. — No więc ja ci po-

252

wiadam — ciągnął już zdecydowanym tonem — że i przy mnie namiot Złotej Ordy będzie niezachwianie stał. Nie ma siły, która skłoniłaby mnie do zboczenia z drogi mojego dziada, Czyngis chana. Przeleję tyle krwi, ile trzeba, żeby nazwa naszego rodu nadal przyprawiała podbite narody o przerażenie.

Tego dnia chan Berke i Nogaj rozstali się wzajemnie z siebie niezadowoleni.

Chan uznał nojona za swego ukrytego wroga, Nogaj zaś zrozumiał, że Berke należy do tego rodzaju chanów, którzy zadowolają się tym, co mają, i nigdy nie zdecydują się na zuchwały postępek. Jego zdaniem należało szukać wśród Czyngisydów innego człowieka który byłby godzien nosić dumne miano chana.

Swój awans na dowódcę wojska, które miało walczyć z Hulagu, Nogaj przyjął z radością. Był już najwyższy czas pokazać sąsiadom, iż Złota Orda nadal jest silna i potrafi obronić należące do niej ziemie.

Poza tym dojrzywała w nim myśl, żeby zebrać wokół siebie Czyngisydów, na których mógłby się oprzeć w razie konieczności walki z Berkem. On sam nie mógł pretendować do chańskiego tronu, ale mógł przecież uczynić chanem tego, kto będzie go we wszystkim słuchał i nieustannie zasięgał jego rady... Szczególne nadzieje w tym względzie wiązał z Tuda Mengu i Telebugą, z wnukiem i prawnukiem Batu-chana. Zapalczywy i beztroski Tuda Mengu uwielbiał Nogaja i dlatego z łatwością dał się kierować. Całkowicie posłuszny nojonowi był znacznie powściągliwszy i mądrzejszy Telebugą...

Tego dnia, kiedy decydowały się losy uciekinierów, ilchan Hulagu zachorował. Jak zwykle w trakcie a-taku zmaćcił mu się rozum i leżał nieprzytomny w swoim namiocie. Poza lekarzami i nukerami strzegącymi życia ilchana nikt nie śmiał wejść ani nawet zbliżyć się do namiotu.

253

Całe życie Ordy na czas choroby Hulagu było podporządkowane El-Eltebirowi. Zgodnie z rozkazem il-chana wezyr natychmiast wysłał pod konwojem Kolo-mona z przydzielonymi mu pomocnikami do Gandzy, natomiast skrepowanych arkanami Kipczaków wtrącił do czarnej jurty, gdzie mieli czekać na egzekucję, która nastąpi dopiero wówczas, gdy chan powróci do zdrowia. Skazując ich na śmierć, Hulagu nie wskazał sposobu, w jaki mają być zgładzeni. Mongołowie przywiązywali wielką wagę do rodzaju zadawanej przez nich śmierci i dlatego decyzja w tej sprawie należała do ilchana.

Wezyra zainteresował Salimgirej. Poczł, że nie jest to prosty człowiek, więc rozkazał pozostawić go w Ordzie.

Salimgirej wiedział, że Kunduz znajduje się w aule Dokuz-katun i wiedział również, że nie zdoła się tam przedostać. Składający się z kilkudziesięciu jurt auł stał opodal głównego obozowiska na brzegu niewielkiego jeziora i zgodnie z obowiązującym porządkiem był bardzo pilnie strzeżony przez osobistych nuberów ilchana. Każdego, kto się do nich zbliżył, czekała niechybna śmierć. Zresztą i w samym aule nieustannie kręcili się groźni eunuchowie. Salimgirej nie chciał jednak zobaczyć się z żoną chana, ale tylko ze zwykłą niewolnicą, Kipczaczką, Kunduz. Postanowił więc spróbować szczęścia. Prze-kradł się nad jezioro i ukrył w trzcinach, licząc na sprzyjającą okazję. Widział, że niewolnice dość często chodzą nad jezioro po wodę.

Czas włócił się i ślimaczył. Słońce przesunęło się już na drugą stronę nieba i zaczynało stygnąć, a brzeg jeziora wciąż był pusty.

Straciwszy wszelką nadzieję Salimgirej postanowił opuścić swoją kryjówkę i wrócić do głównego obozu.

254

Mogli go przecież tam szukać, a długa nieobecność natychmiast wzbudzi podejrzenia.

Ale akurat w tej chwili zobaczył, jak nad jezioro ichodzi stara kobieta z dzbanem. Starając się jej nie przestraszyć, Salimgirej zawołał cicho:

— Matko!... Nie bój się mnie!... Wysłuchaj tylko paru słów!...

Niewolnica stanęła jak wryta. Twarz miała zmieszana i przerażona.

— Matko, pomóż mi zobaczyć się z siostrzyczką, powiedzieć jej słowa pożegnania! Dokuz-katun wzięła sobie dzisiaj nową niewolnicę. Widziałas ją! To Kipczaczką z długimi warkoczami!... — mówił gorączkowo Salimgirej.

Wargi kobiety drgnęły.

— Znam ją, ale nie wiem, czy zdołam ci pomóc...

— Przyrowadź ją tutaj! Powiem do niej tylko kilka słów!...

Niewolnica pokręciła głową.

— Czyżbyś nie wiedział, co mnie czeka, jeżeli to zrobię?...

— Wiem, matko... Ale bardzo cię proszę! Czy nigdy nie miałaś siostry lub brata? Czy nie zaznałaś dość nieszczęść, żeby zrozumieć nieszczęście innego człowieka? Przecież ja jej już nigdy mogę nie zobaczyć...

Kobieta długo milczała z nieruchomą, smutną twarzą. Strach, przyzwyczajenie do ślepego posłuszeństwa powstrzymywały ją przed powzięciem decyzji.

Wreszcie powiedziała niepewnie:

— Spróbuję... Wszystko jest w rękach Allaha... Nabrała wody do dzbana i wolno poszła w stronę aułu.

Stara niewolnica przemogła strach i przyrowadziła Kunduz.

Dziewczyna rzuciła się ku trzcinom, w których u-

255

krył się Salimgirej, ale Kipczak powstrzymał ją władcym głosem:

— Idź nad wodę. Udawaj, że myjesz dzban i nie patrz w moją stronę...

Kunduz usłuchała go.

— Teraz uważaj. Ilchan postawił warunek, że nie zwróci cię Kolomonowi, dopóki on nie dokończy budowy kościoła w Gandzy. Kolomon obiecał zrobić to bardzo szybko. Ja natomiast postaram się uwolnić skazanych na śmierć Kipczaków i razem z nimi uciec w góry. Widać tak już nam jest pisane, że musimy tułać się po świecie jak ścigane zwierzęta. Źle jest wszędzie: i w Złotej Ordzie, i u chana Hulagu... ■— mówił z goryczą Salimgirej. — To na jedno wychodzi, czy bić sowę kamieniem, czy bić sową o kamień. Zawsze zginie sowa. My też zginiemy, jeśli tylko pogodzimy się z losem. Postąpię tak jak Tarabi lub Boszman. Zbiorę wokół siebie wolnych ludzi i zacznę mścić się na chanach.

— A co ze mną? — z bólem w głosie zapytała Kunduz. — Dlaczego mnie tu porzucasz?

— Dopóki Kolomon nie odzyska wolności, ty powinnaś pozostać w Ordzie. Może ilchan dotrzyma słowa i wówczas będziecie mogli żyć jak ludzie... Moja zaś droga jest niepewna i pełna niebezpieczeństw. Kto wie, co mnie może na niej spotkać? Zostań tutaj. Nie porzucimy cię. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zamierzam, to nie odejdziemy daleko. Mam tu do załatwienia pewną sprawę...

Salimgirej rzeczywiście miał coś do załatwienia w głównym obozowisku Hulagu. W namiocie władcy, kiedy ilchan przesłuchiwał uciekinierów, zobaczył pewnego mężczyznę, którego twarz wydała mu się znajoma. Z pamięci wypłynęło nagle dawne, lecz nie zapomniane wydarzenie, jakby błysk odległej błyskawicy oświetlił niespodziewanie kawałek jego życia.

Salimgirej miał wówczas trzynaście lat... Jeden z
256

oddziałów Czyngis-chana ścigał jego ród. Uchodząc przed Mongołami ród ukrył się w górach Wschodniego Turkiestanu, ale i tam nie było ratunku przed czarną nawałnicą. Mongołowie zrabowali bydło i jurty, a wielu ludzi wymordowali. Samego Salimgireja też śmierć by nie minęła, gdyby nie udało mu się uciec.

Pamiętał, jak ostatkiem tchu biegł do lasu porastającego zbocze góry, słysząc za sobą ciężki tętent konia. Pamiętał, jak w przerażeniu oglądał się za siebie i widział dopadającego go czarnego jeźdźca z uniesioną nad głową krzywą szablą. To był dowódca mongolskiego oddziału, Tajbuły.

Tylko gęsty las uchronił go przed niechybną śmiercią... Ale twarzy Mongoła nie zdołał zatrzeć nawet czas i niezliczone nieszczęścia, których życie nie oszczędziło Salimgirejowi. W namiocie Hulagu rozpoznał Tajbułego i krew przodków odezwała się w nim żądzą zemsty. Wszędzie, gdzie Salimgirej bywał, we wszystkich bitwach i potyczkach jego oczy zawsze szukały wroga. I teraz oto cel zdawał się być bliski.

Kipczak odpędził niewczesne wspomnienia i dopiero wówczas zauważył, że Kunduz już nie ma swoich wspaniałych warkoczy.

— Dlaczego obcięłaś włosy? — zapytał ze zdumieniem.

— To nie ja... To ona... — Z oczu dziewczyny popłynęły obfite łzy.

— Kto?

— Dokuz-katun... Powiedziała, że dziewczęta z długimi warkoczami za bardzo podobają się mężczyznom...

Salimgirej zaklął.

— Przyjdzie jeszcze czas, kiedy przerzucę tę po-chutliwą sukę przez swoje siodło! — powiedział gniewnie. — Nie martw się. Głowę masz całą, a włosy odrosną ci jeszcze ładniejsza.

И — Złota Orda

257

Rozmazując łzy po twarzy, Kunduz spróbowała się uśmiechnąć.

— Naprawdę?

- Pewnie. Na waszej weselnej uczcie znów będziesz miała swoje cudowne włosy.
- Kiedy ta uczta będzie!...
- Niedługo. I włosy ci szybko odrosną, i Kolomon niebawem skończy budować kościół...
- Niechaj Bóg usłyszyci twoje słowa...
- Żegnaj, Kunduz...

Na południu dzień umiera szybko. Ledwie słońce dotknęło krawędzi ziemi, a już na świat spadła ciemność i ogromne gwiazdy zamigotały w bezdennym niebie.

Salimgirej długo leżał w zaroślach burzanów, wsłuchując się, jak w obozowisku zamiera życie. Gasły po kolei ogniska przed jurtami, rozległo się szczekanie psów i dobiegające ze stepu rzadkie gardłowe okrzyki wojowników pilnujących tabunów koni.

Burzany kołysały się i szeleściły tajemniczo w porywach ciepłego wiatru.

Salimgirej był cierpliwy. Czarna jurta, w której uwięziono skazańców, stała na skraju Ordy, więc nawet w gęstych ciemnościach, rozświetlonych jedynie migotliwym światłem gwiazd, widział wyraźnie jej kopułę.

Ziemia, stratowana w ciągu dnia kopytami koni, wolno zasypiała. Kiedy zrobiło się już zupełnie cicho, Salimgirej zaczął ostrożnie czołgać się wśród burzanów. Przykładając ucho do ziemi słyszał wyraźnie, jak chodzi wokół jurty wojownik strzegący skazańców.

Kim jest ten człowiek? — pomyślał Salimgirej. — Może jedynym synem swojej matki? Trudno. Takie jest prawo wojny. Jeśli go nie zabiję, wówczas zginie pięciu moich towarzyszy. Ten wojownik, spełniając rozkaz ilchana, traktuje nieznanego sobie ludzi jako

258
wrogów. Dla mnie właśnie on jest wrogiem i to dlatego, że przywykł bez zastanowienia spełniać każdy rozkaz...

Długa była droga do ilchanatu Hulagu, więc Salimgirej wiele spraw zdążył przemyśleć, grzejąc się przy bezdymnych ogniskach rozpalonych gdzieś na dnie głębokiego wąwozu. Czy słusznie uczynił, podżegając do buntu niewolników w Saraj-Berke? Czy śmierć dziesięciu tysięcy niewolników nie była zbyt wysoką ceną za uratowanie Kolomona?

Salimgirej zrozumiał nagle, iż wcale nie chodziło o Kolomona, że nieszczęście Rumi języka stało się jedynie pretekstem. Kiedy Mahmud Tarabi poderwał do walki ludzi w Bucharze, powodowała nim wiara w to, iż uciemiężonym przez najeźdźców ludziom należy przypomnieć, że nie są urodzonymi niewolnikami, że na ziemi istnieje coś takiego jak wolność. Człowiek, który o tym zapomni, staje się niewolnym bydlęciem, ten zaś, który o tym pamięta, nawet w niewoli pozostaje człowiekiem.

Przed oczami byłego setnika stanęła nagle ta straszliwa noc w Saraj-Berke. Zobaczył sędziwego niewolnika, któremu dopiero co rozbił kajdany. Starzec stał na szczycie glinianego ogrodzenia piękny w blasku pochodni, wyciągał ręce ku górze i wołał:

— Ludzie! Patrzcie, jestem wolny! Lepiej przez jedną noc być człowiekiem wolnym, niż sto lat żyć w łańcuchach!...

Salimgirej owi często śniła się ta noc. Często widział we śnie ulice zawałone ciałami zabitych, słyszał przedśmiertne krzyki i brzęk szabel. I zaraz potem stawała mu przed oczami uszczęśliwiona twarz starego niewolnika...

Odległy tętent konia zaskoczył go już bardzo blisko czarnej jurty. Salimgirej rozpląszczył się na ziemi i znieruchomiał.

259

Jeździec zbliżył się i zawołał strażnika.

— Hej ty, nie zasnąłeś?

— Nie.

— Uważaj. Gdybyś zasnął i z jeńcami coś by się stało, twoja głowa potoczy się po ziemi...

— Wiem... — strażnik ciężko westchnął. — Co z nimi będzie? Mają skrupowane ręce i nogi...

— Noc jest ciemna... — powiedział jeździec. — Przyślę ci zmianę, jak tylko wzejdzie księżyc.

— Kim są ci ludzie? — zapytał strażnik.

— Kipczacy. Zdradzili swojego chana, a nasz ilchan wywodzi się z tego samego rodu... Potomkowie wielkiego Czyngis-chana nie wybaczą zdrady nawet wówczas, kiedy nawzajem się nienawidzą.

■—• Tak, wina ich jest straszna. Nie mogą liczyć na litość...

—■ Bądź ostrożny. W Ordzie jest wielu Kipczaków i nie wiadomo, czy nie znajdzie się wśród nich jakiś ich krewny. Wszystko może się zdarzyć...

Jeździec zawrócił konia i wolno odjechał. Wkrótce tętent ucichł w oddali.

«,

Salimgirej wolno dobył noża i bezszelestnie oderwawszy się od ziemi skoczył ku jurcie. Po paru chwilach sześciu mężczyzn przypominających w świetle gwiazd niewyraźne cienie roztopiło się w ciemnościach. Porywy ciepłego wiatru nadal kołysały burzanami, których szmer zagłuszał ostrożne kroki uciekinierów.

Mineło niewiele dni, gdy wśród ludów zaludniających ilchanat Hulagu rozeszły się słuchy, że w górach pojawili się wolni ludzie, którzy napadają na oddziały mongolskie.

Kiedy ta wieść dotarła do uszu Kunduz, jej radość nie miała granic, zwłaszcza, gdy dowiedziała się, że wolni zostawiają w spokoju prostych ludzi, natomiast chańscy poborcy podatków nie mogą spodziewać się

260

po nich litości. Dziewczyna zrozumiała, że Salimgirej żyje i że osiągnął to, czego pragnął. A to z kolei znaczyło, że wkrótce może zostać wyzwolona z niewoli.

Tylko ilchana Hulagu zupełnie nie poruszyła wiadomość o wolnych ludziach. Czy tak potężny władca mógł obawiać się jakiejś watahy włóczęgów? Po prostu rozkazał swemu wezyrowi wysłać oddział karny i natychmiast o wszystkim zapomniał.

Orda żyła utartym trybem. Człowiekowi niezorientowanemu mogło się wydać, że mnóstwo jurt rozrzuconych po stepie ustawiono jak popadło i jak tam komuś przyszło do głowy. Ale ten, kto znał porządki zaprowadzone przez wielkiego Czyngis-chana, wiedział że każdy namiot zajmuje dokładnie określone miejsce. Za każdym razem, gdy Orda zmieniała miejsce postoju, porzucając wydeptany do czarnej ziemi skrawek stepu, rozstawiała swe wojskowe miasto w dokładnie ustalonym porządku.

Skrzypiały ciężkie dwukołowe arby, szły nie kończące się karawany krzykliwych, złośliwych wielbłądów z ciężkimi jukami na grzbietach. Między ich jędrnymi garbami siedziały kobiety i dzieci.

Mijało całkiem niewiele czasu i z tego chaotycznego pozornie ruchu i zamieszania wyłaniał się nieoczekiwanie pierwszy szereg jurt. — Wielkich białych namiotów przeznaczonych dla ilchana: jurta-pałac, jurta do przyjmowania poselstw oraz jurty, w których za dnia przebywali wezyrzy. Za chańskim rządem stawał rząd jurt wezyrów, a dalej rząd przeznaczony dla żon chana. Jeszcze dalej szły jurty mieszkalne nuke-rów, no jonów, wojowników. Orda budowała swe miasto w dziesięciu szeregach.

Jeśli chan był chrześcijaninem, to znajdowało się również miejsce dla jurty-kościółka i jurty dla księży. Jeśli natomiast władca Ordy wyznawał islam, to wznoszono jurty-meczety...

261

Największa i najpiękniejsza była jurta najstarszej żony Dokuz-katun. Przypominała białą górę i zdobił ją wspinały ornament z czerwonego aksamitu. Jurta stała na uboczu od głównego obozu, gdyż Hulagu odchodząc od stepowych prawideł pozwalał żonom budować własny

odrębny auł. Tak było również w tym roku. Żony ilchana wybrały sobie miejsce opodal o-bozowiska, leżące nad jeziorem w szerokiej części niewielkiej doliny.

O rzut kamieniem od jurty Dokuz-katun stała o-zdobiona ornamentem z niebieskiego aksamitu jurta drugiej żony, jeszcze dalej upiększona zielenią jurta trzeciej żony...

W odróżnieniu od kipczackich aułów, w których jurty stawiano tam, gdzie zapragnął tego właściciel, Mongołowie wznosili jurty w jednej linii z zachodu na wschód.

W kobiecym aule trudno było napotkać mężczyznę. Tylko od czasu do czasu pokazał się na progu jakiejś jurty eunuch, wydający piskliwym głosem rozkazy którejs z niewolnic. Nawet w te nieliczne wieczory kiedy pojawiał się ilchan w otoczeniu przybocznej straży, w aule panował całkowity spokój i porządek. Kiedy ilchan oddawał się uciechom cielesnym z jedną ze swych żon, nukerzy znajdowali się pod strażą eunuchów i nie mieli prawa odejść na krok od miejsca, które im wyznaczono. Tylko szalenie odważyłby się wedrzeć do kobiecego aułu. Nic w tych dniach nie zakłócało jego spokoju. Nadal przed zachodem słońca wznosząc tumany złocistego pyłu przemykał do wodopoju do jeziora wielki tabun koni. W wieczornej ciszy słyhać było jak konie chciwie parszając gaszą pragnienie, jak rozgłośnie rzy o-gier zaprowadzający porządek w niespokojnym stadzie.

Kunduz niespokojnie przysłuchiwała się tym dźwię-
262

kom z sercem ściśniętym tęsknotą za Kolomonem i wolnością, którą tak nieoczekiwanie utraciła.

Zbliżała się jesień i chociaż już powinny nadejść chłody, dni nadal były upalne, a gorący stepowy wiatr niósł zapachy niewydeptanej trawy.

Kunduz niedomagala. Leżała w niewolniczej jurcie blada i wychudła, cicha i obojętna na wszystko, co się wokół niej działo. Gdyby wiedziała, co dzieje się w jurcie Dokuz-katun, znalazłaby dość sił, aby wstać z posłania i popędzić tam jak na skrzydłach.

A Dokuz-katun siedziała w tym czasie w otoczeniu pozostałych żon ilchana. Jasnym płomieniem gorzała w kagankach czarna woda ziemi, a tłusty eunuch przymknawszy do połowy oczy i kołysząc się całym ciałem opowiadał cieniutkim głosem starą legendę „Sał-Sał”.

I wyjechał wówczas potwór na słońcu, A nogi jego wlokły się po ziemi...

Nagle drzwi się otworzyły i wojownicy z obnażonymi szablami wtargnęli do jurty. Któraś z kobiet wydała słaby okrzyk.

— Cicho! Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach! — Rozkazał groźny wojownik z czarnymi wąsami.

Dokuz-katun upadła plackiem na dywan, przyciskając do piersi atlasową poduszkę.

Wojownik podszedł
do niej.

— Gdzie jest dziewczyna, której obcięłaś warkocze? Katun czy to z przestachu, czy też z uporu milczała.

— Pytam cię po raz ostatni!

Za wołokową ścianą cicho świsnęła strzała, przebiła ją i upadła do nóg wojownika. Na dworze rozległy się krzyki i brzęk szabel.

263

Czarnowąsy pochylił się i szarpnął Dokuz-katun za rękę.

— Wstawaj. Pójdiesz z nami.

Katun stanęła przed nim blada, na pół rozebrana.

— Ubieraj się! — krzyknął wojownik, wsłuchując się niespokojnie w hałas za ścianami jurty. Dokuz-katun roześmiała się nagle. Zrozumiała, że straż wykryła już obcych i że wyzwolenie jest bliskie.

— A ja myślałam, że każesz mi rozebrać się do końca...

— Może w swoim czasie usłyszysz i taki rozkaz. A teraz idziemy! — Wojownik brutalnie chwycił ją za ramię i przytknął do szyi ostrze noża. — Szybko?

— Oddam ci Kipczaczkę — wychrypiała katun, która pomyślała, że rozwścieczony wojownik gotowy jest na wszystko. A pomoc jeszcze nie nadeszła.

— Za późno. Pojedziesz z nami...

Dokuz-katun przestała się nagle opierać. Chciała przeżyć za wszelką cenę.

Dwaj wojownicy chwycili ją pod ręce i pociągnęli do wyjścia.

Czarnowąsy zwrócił się do pozostałych kobiet:

— Wasza kolej przyjdzie następnym razem... Teraz odejdziemy, ale jeśli któraś z was krzyknie, to nigdy już nie ujrzy słońca!

Po ziemi turlał się piszcząc ze strachu eunuch podobny do kawałka rozlanego ciasta.

Wojownicy zniknęli. Głośny tętent koni roztopił się w ciszy stepu i tylko gardłowe krzyki pogoni i szczęk broni, gdy ścierał się w przelocie ścigający z uciekinierem, dobiegały echem z głębi nocy.

Ludzie Salimgireja uchodzili w góry, do ciemnych wąwozów, w których można się było skryć przed pogonią, przed karą za zuchwały uczynek.

Salimgirej długo się zastanawiał, w jaki sposób wy-

264

zwolić Kunduz. Rozwiązanie znalazł, jak zwykle dzieje się w takich razach, zupełnie nieoczekiwanie.

Chańskie konie, które przypędzano co wieczór do wodopoju nad jezioro, za dnia pasły się na stokach wzgórz. Wojownicy Salimgireja wyczekawszy sposobnej chwili związali koniuchów, przebrali się w ich o-dzież i sami pognali tabun do wieczornego wodopoju.

Kiedy zwierzęta zaspokoili pragnienie, bez najmniejszego trudu skierowali je do aułu chańskich żon. Zaniepokojeni strażnicy rzucili się im naprzeciw, żeby w nadchodzącej ciemności tabun półdzikich koni nie przewrócił jurt i nie stratował ich mieszkańek. Z tego właśnie zamieszania skorzystał Salimgirej.

Kunduz nie udało się wyzwolić, gdyż wolni ludzie zostali wykryci i musieli spiesznie uchodzić. W tej sytuacji, nie widząc innego wyjścia, Salimgirej postanowił wziąć jako zakładniczkę ukochaną żonę ilchana,

Dokuz-katun.

Jeszcze nigdy w Ordzie nie wydarzyło się nic podobnego. Oddział nukerów, który przygalopował do kobiecego aułu, nie mógł już nic zrobić. Noc skryła zuchwałych wojowników Salimgireja, a wiatr rozwiął kurz wzniesiony przez kopyta ich koni.

Hulagu dławił się ze wściekłości. Na ziemię potoczyły się głowy winnych i niewinnych.

W tydzień później do Ordy przygalopował ociekający krwią mongolski wojownik. Straż natychmiast zaprowadziła go do chana.

Leżąc na twarzy u nóg Hulagu i błagając o zachowanie życia Mongoł opowiedział, że w górach na ich oddział napadli rozbójnicy. Wyrznęli wszystkich w pień i oszczędzili tylko jego, każąc przekazać ilchano-wi, że w umówionym miejscu zwrócą mu Dokuz-katun w zamian za Kipczaczkę imieniem Kunduz.

Hulagu nie posiadał się z gniewu, ale nie miał wyboru. Stłumił wściekłość, bo bardzo mu

Dokuz-katun

265

brakowało, a ponadto nie mógł dopuścić, żeby podległe mu narody zaczęły mówić o jego słabości. Przyjdzie czas, kiedy okrutnie ukarze tych, którzy ośmielili się poniżyć jego godność, ale teraz... Teraz musiał zgodzić się na żądanie rozbójników.

Na rozkaz ilchana czterech nukerów zawiozło Kun-duz na umówione miejsce.

Przed zwolnieniem Dokuz-katun Salimgirej powiedział:

— Jesteś wolna, bo niczym wobec nas nie zawiniłaś. Powiedz jednak ilchanowi, że niebawem nadejdzie chwila, w której będzie musiał za wszystko zapłacić. Przelaną krew można odkupić tylko krwią...

Katun stała przed nim, piękna, choć może nieco zbyt tęga i lekko się uśmiechała.

— Przekażę twoje słowa ilchanowi... — powiedziała. — Ale czy musisz odsyłać mnie już teraz? Po co ten pośpiech? Twoim wojownikom będzie beze mnie nudno...

Salimgirej odwrócił się z pogardą i popatrzył na stojących dokoła wojowników. Jeden z nich nagle poczerwieniał i opuścił oczy, drugi zaś poruszył czarnymi wąsami i wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

— Jedź!

— No cóż, twoja wola... To ty jesteś tu ilchanem... Dokuz-katun podeszła do konia i lekko, niemal nie

tykając strzemienia wskoczyła w siodło.

Wierzchowce dwóch kobiet spotkały się na ścieżce i każda z nich spojrzała drugiej w oczy.

Dokuz-katun zuchwale i wesoło, Kunduz obojętnie i smutno.

Salimgirej sam wziął uzdę konia Kunduz i pomógł jej zsiąść z wierzchowca.

Dziewczyna przytuliła twarz do jego piersi i rozplakała się.

— Nie płacz — powiedział cicho były setnik. — Nie trzeba płakać. Wszystko będzie dobrze... Wkrótce wrócimy na kipczackie stepy.

266

Kunduz oderwała się od Salimgireja i z niepokojem zajrzała mu w oczy.

— A co z Kolomonem?

— Nie płacz, dziewczyno... — powtórzył Salimgi-rej — Wszystko będzie dobrze...

Kunduz nie wiedziała tego, co wiedział Salimgirej. Miłość i praca, której człowiek poświęca się bez reszty, dodają mu skrzydeł. A skrzydła te wiernie służą człowiekowi bez względu na to, jakie nieszczęście go spotka. Długie lata niewoli nie złamały Kolomona. Dawniej żyć pomagała mu praca, teraz zaś, kiedy przyszła miłość, jego świat wypełnił się niezwykłymi barwami i wydawało się, iż czas jest bebrzeżny, że można wszystko zaczynać od początku. Dlatego tak bardzo zraniły go słowa Hulagu: „Zobaczysz dziewczynę dopiero wówczas, gdy skończysz budowę kościoła...”

W jaki sposób wczorajszy niewolnik mógł przeciwstawić się woli chana? Nieposłuszeństwo równało się śmierci. Teraz jednak Kolomon kochał i dla miłości warto było żyć. Musiał zatem pracować, wierzyć i czekać.

Pracował więc jak szalony i od chwili, gdy chańscy nukerzy przywieźli go do Gandzy, przed oczami wciąż stała mu twarz Kunduz. Widział ją w porannych mgłach wypełzających z górskich wąwozów, widział i czuł ją we snach. Pracował tak, jakby od tego zależało jego życie, każda chwila bezczynności wydawała mu się stracona, bo odwlekała upragnione spotkanie z ukochaną kobietą. Serce przestrzegało wprawdzie Rumijczyka, żeby nie wierzył chanowi, ale jednocześnie na jego dnie jarzyła się iskierka nadziei.

Kolomon lubił budować kościoły, bo w przeciwieństwie do muzułmańskich meczetów, gdzie dozwolone

267

były tylko ornamenty, ich ściany można było zdobić o wiele bogaciej. Zawsze z największą radością malował ludzkie twarze. Nawet oblicza świętych, które wychodziły spod jego pędzla, do złudzenia przypominały czasem żywych ludzi, spotkanych kiedyś na drogach jego życia.

Znów, jak przedtem w Saraj-Berke, opętała Kolo-mona myśl, żeby namalować wizerunek Kunduz. Nie był szalony, ale jednak nie potrafił się oprzeć tej przemożnej pokusie.

Wiedział, że popełni świętokradztwo, jeśli pod sklepieniem chrześcijańskiej świątyni umieści portret mu-żułmanki. Wiedział, że narazi się na okrutną karę. Ilchan przyjedzie obejrzyć ukończony kościół, zobaczy wizerunek Kunduz, którą z pewnością zapamięta, a wówczas... Kolomon zaczął już pracę nad ołtarzem. Szybko i sprawnie malował wizerunki świętych i tylko miejsce, na którym miała być przedstawiona Matka Boska, nadal pozostawało puste. Rozum ostrzegał Rumijczyka, rysował mu obrazy straszliwej kary, a uzbrojona w pędzel ręka wyciągała się ku zagruntowanej powierzchni ściany, posłuszna tylko sercu. Z każdym dniem zbliżał się termin ukończenia budowy i chwila, w której trzeba było podjąć ostateczną decyzję. I oto pewnego dnia serce pokonało rozum. Pędzel dotknął gładkiej ściany...

Na poświęcenie kościoła przybył sam ilchan. Był pochmurny i zły. Choroba coraz częściej dawała o sobie znać i Hulagu czuł, że jego koniec jest już bliski. Obejrzał pobieżnie dzieło Rumijczyka i rozkazał nagrodzić go garścią złotych monet.

Już siedząc na koniu i gotowy ruszyć w drogę nagle, jakby sobie o czymś niespodziewanie przypomniał, zwrócił się do Kolomona.

268

— Nie chcesz mnie o nic zapytać, Rumijczyku? Pamiętam o swoim przyrzeczeniu i dotrzymam sło-wa- . — Chan krzywo się uśmiechnął. — Twoja żona jest żywa i zdrowa, ale na razie jeszcze jej nie zobaczysz. Wkrótce moje dzielne tumeny wkroczą do Mekki. Kiedy w tym gnieździe islamu zbudujesz świątynię chrześcijańską, nic już nie przeszkodzi ci w połączeniu się z twoją ukochaną.

Ilchan odwrócił się i odjechał. Kolomon rzucił się za nim z krzykiem, ale nukerzy towarzyszący Hulagu zwalili Rumijczyka na ziemię.

Nadzieja, którą Kolomon dotychczas żył, ustąpiła miejsca rozpacz. Życie straciło wszelką wartość. To, co powiedział ilchan, nie pozostawiało śladu nadziei. Tylko towarzysze, z którymi uciekł ze Złotej Ordy, nie pozwolili mu w tych ciężkich dniach zadać sobie śmierci. Kolomon nie wiedział, co robić dalej, jak postąpić.

Nie minął jednak nawet tydzień od wyjazdu Hulagu, gdy lotne tumeny Nogaja niczym huragan uderzyły o mury Gandzy, zburzyły je i wdarły się do miasta. Bitwa była niezwykle krwawa, ale nie trwała długo. Mieszkańcy miasta bronili się zaciekle, lecz wrogowie byli zbyt liczni. Lawina jeźdźców w strojach pokrytych stepowym pyłem rozplynęła się po ulicach grodu mordując, grabiąc i gwałcąc.

Kolomon wraz z niewolnikami i wolnymi mieszkańcami miasta ukrył się w dopiero co zbudowanej przez siebie świątyni.

Wychudły Rumijczyk z głęboko zapadniętymi oczami walczył z zaciekłością osaczonego zwierzęcia. Wypuszczając kolejną strzałę we wroga nie myślał, że broni siedziby Boga, do którego modlił się przez całe życie. Nie, teraz bronił siebie i Kunduz, która znów była przy nim, jak w chwilach ich krótkiego szczęścia. Patrzyła na niego oddanym wzrokiem z ołtarza. Czarno upierzona strzała weszła w pierś Kolomona.

269

Nie poczuł bólu, tylko nagle zawirowało nad nim wysokie sklepienie świątyni i leżąc na kamiennej posadzce ujrzał groźne oczy Boga, a lekkie białoskrzydłe anioły niczym spłoszone jaskółki rozprysnęły się po wysokim wnętrzu.

Od ściany oderwała się Kunduz, podeszła do Kolo-mona, ukłękła i zasłoniła mu dłońmi oczy. A w dębowe, okute żelazem odrzwia kościoła miarowo łomotały mongolskie tarany.

Przenikliwie rżały rozszalałe konie...

Berkendżar, który z pięćdziesięcioma tysiącami wojowników Złotej Ordy przybył na pomoc Kajdu, ciężko zachorował.

Prawa ustanowione przez Czyngis-chana przewidywały podobne wypadki. Aby nie tracić cennego czasu, przedstawiciele tumenów zebrani razem winni zdać się na wolę losu i ciągnąć losy. Ten, któremu dopisze szczęście, miał zostać laszkarbaszym całego wojska.

Tym razem nie trzeba było uciekać się do losowania. Mengu Temir koczujący w dolnym biegu Sejhunu na wieść o chorobie Berkendżara przybył do jego obozowiska z oddziałem liczącym tysiąc jeźdźców i przejął wojska z rąk chorego brata, chana Złotej Ordy.

Do bitwy doszło w pobliżu miasta Sajram i Barak rozbity przez połączone siły Mengu Temira i Kajdu uciekł w głąb Mawarannahru. Zwycięzcy nie ścigali go. Po dojściu do Otraru zatrzymali się z wojskiem na odpoczynek.

Barak oparł się w Chodźencie i tam zaczął gorączkowo zbierać nowe siły. Ludzie byli, ale brakowało broni. Wówczas za radą duchowieństwa muzułmańskiego zagroził rzemieślnikom Buchary i Samarkandy, że wymorduje ich, jeśli nie dostarczą mu potrzebnego wyposażenia.

270 Nie mając innego wyjścia, rzemieślnicy zgodzili się spełnić to żądanie.

W sądach i ulicach obu miast zapłonęły ku-zienne ogniska. Praca nie ustawała dniem i nocą, przez całą dobę dźwięczały młoty i syczało zanurzone w wodzie rozżarzone żelazo, przekształcając się w hartowaną stal.

I znów, jak w dawnych latach, na ustach wszystkich pojawiło się imię Tamdama. Niepokój zapanował w Samarkandzie i Bucharze. Szept czasem bywa groźniejszy od krzyku.

Kajdu, zatrzymawszy swoje tumeny pod Otrarem, uporczywie zwlekał z wkroczeniem na ziemie Mawarannahru. Nojonowie ponaglali go mówiąc, że teraz, kiedy Barak stracił wojsko, jest najbardziej sprzyjająca chwila do rozbicia go raz na zawsze.

Kajdu pozostawał głuchy na te rady. Kiedy jednak to samo zaczął powtarzać mu również Mengu Temir, odpowiedział:

— Co czynić dalej, niech powie władca Złotej Ordy Berke-chan.

Kajdu zdawał się odgadywać myśli Berkego, który jednocześnie pragnął podporządkować sobie Mawaran-nahr i zarazem bał się to zrobić.

Do tego czasu wszystkie prowadzone przez niego wojny nie mogły spotkać się z potępieniem ze strony żadnego z Czyngisydów. Berke spełniał jedynie wolę „Tego, który wstrząsnął światem” i przywracał sobie ziemie, które zgodnie z jego testamentem należały do ułusu Dżuciego. Natomiast sięgnięcie po Mawarannahr oznaczało naruszenie ułusu Dżagataja, a to już groziło chanowi wieloma kłopotami i niebezpieczeństwami.

Północny Kaukaz, Szyrwan i ziemie aż po Otrar zostały odbite i znów należą do Złotej Ordy... Berke zrozumiał, że nigdy nie uda mu się dokonać

271

tęgo, co potrafił zrobić Batu-chan. Jednak bronić honoru Złotej Ordy też nie jest łatwo, a to akurat umiał. Ziemie Złotej Ordy rozciągały się od horyzontu do horyzontu i chan miał z czego być dumny.

Spokój panował również w ruskich miastach, które wciąż jeszcze nie zapomniały mongolskich okrucieństw. No cóż, jeśli Rusowie ośmielą się jeszcze raz podnieść głowy, to przekonają się, że konie Złotej Ordy wciąż jeszcze są ścięte, a jej wojownicy nie odczyli się robić szablą i posługiwać łukiem.

Cisza cieszyła chana, ale mimo wszystko nie mógł się wyzbyć tłącego się na dnie serca ciągłego niepokoju. Wciąż męczyła go zagadkowość postępów Batu--chana, wciąż nie umiał znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego ten mądry i przewidujący wojownik nie osiedlił się na zawsze na ziemiach Kermen-kiwe. Przecież dość tam jest wysokich traw i czystych wód, żeby na niczym nie zbywało i mongolskim koniom, i dzielnym wojownikom. Jednak Batu-chan nie zatknął na tych ziemiach dziewięciobuńczukowego białego sztandaru Czyngis-chana, tylko wrócił na kipcackie stopy. Dlaczego?

Mongolskie tumeny zwyciężyły i nie było w owych czasach siły zdolnej się im przeciwstawić... Może jednak Batu lękał się o przyszłość Złotej Ordy, bo widział to, czego nie dane było widzieć nikomu innemu? Kiedy Berke myślał o tym, ogarniał go przesądny lęk. Motywy postępowania Batu-chana stanowiły dla niego zagadkę.

Nogaj powiada, że trzeba wkroczyć na ziemie Rusów, uczynić je swoimi, a Rusów przekształcić w Mongołów. Łatwo powiedzieć! Ale czyż Nogaj jest mądrzejszy od Batu? Nie. Berke był przekonany, że przerasta Nogaja rozumem chociażby dlatego, że kroczy drogą utorowaną przez Batu-chana i nigdy z niej nie zbacza.

272

Batu uczył, że Rusami należy rządzić z zewnątrz, • ^0 rządzić bezlitośnie. Tak właśnie należy postępować.

Zaufani ludzie przybywający do Ordy z karawanami kupieckimi donoszą, że niemieccy rycerze znów szykują się do wyprawy na Nowogród i Psków, żeby podporządkować sobie zachodnie i północne ziemie Rusów- Czyżby książęta nic o tym nie wiedzieli? A jeśli wiedzą, to dlaczego milczą? Czyżby byli tak pewni siebie, że nie lękają się swoich starych wrogów? Ta cisza wydawała się chanowi bardzo podejrzana i niepokojąca. No dobrze, a co zrobić, jeśli jednak Rusowie poproszą go o pomoc?

Tutaj nie było żadnych wątpliwości. Książętom trzeba będzie pomóc, bo jakież myśliwy odstąpi innemu ustrzelonego lisa, kto dobrowolnie zrezygnuje ze swego poddanego?...

Nogaj świdrującym wzrokiem wpatrywał się w szpiega. Ten ubrany w łachmany derwisza chudy i ogorzały mężczyzna z twarzą wymazaną popiołem pochylił się przed nim w pełnym szacunku ukłonie i mówił:

— Uciekinierzy kryją się w górach. Każdy z nich celnie strzela i jest odważny jak bars. Ci rozbójnicy zostawiają w spokoju biedaków i napadają tylko na poborców podatków... Nie znam ich liczby, ale sądząc ze śladów końskich kopyt jest ich wielu...

— Odejdź. Rozkażę cię nagrodzić — powiedział Nogaj-

Kiedy szpieg wyszedł, długo siedział w samotności, zastanawiając się, jak teraz postąpić.

Nogaj zwyciężył chytrego i odważnego Hulagu, nie lękał się więc również rozbójników.

Musiał jednak przedsięwziąć przeciwko nim jakieś kroki. Nie po raz

18 — Złota Orda

273

pierwszy w ciągu swego długiego wojowniczego życia stykał się z czymś podobnym. Nic nie mogło zachwiać porządku ustanowionego przez Mongołów na podbitych ziemiach, ale kiedy pojawiali się tam niepokorni, przypominali oni drzazgę w ręce dzierżącej szablę. Trzeba się było jej pozbyć, żeby nie czuć drażniącego klucia i swędzenia.

W trakcie swych poprzednich wypraw Nogaj nauczył się, że takich ludzi trzeba karać ze szczególnym okrucieństwem, żeby przerażenie napełniło serca tych, którzy tę karę zobaczą. Dlatego w pościg za niepokornymi wysłał aż pięciuset wojowników. Nie wiedział, że Salimgirej jedynie na krótko zatrzymał się na podbitych ziemiach i że ciągnie już w stronę kipczackich stepów.

Były setnik urzeczywistnił swój zamiar. Mężczyznę, którego zobaczył w namiocie Hulagu, naprawdę okazał się Tajbuły, który w swoim czasie wymordował ród Salimgireja. Długo szukał znenawidzonego nojo-na, aż wreszcie dopadł go nad brzegiem rzeki, gdzie ten rozbił swoje jurty zamierzając rozerwać się gotowaniem.

Salimgirej wziął ze sobą tylko czterdziestu najodważniejszych i najbardziej oddanych sobie wojowników i napadł w nocy na obóz Tajbułego. Utarczka była krótka. Nie spodziewający się napadu wojownicy nojona wyskakiwali półnaczy z jurt i natychmiast natykali się na szablę i strzały.

Salimgirej dojrzał tego, którego tak długo szukał. Tajbuły oświetlony bladym światłem księżyca stał w progu swojej jurty i coś krzychał wymachując szablą.

Salimgirej spiął konia i z rozmachu spuścił mu na głowę czokpar, krótką maczugę ze zgrubieniem na końcu. Nie słyszał odgłosu uderzenia, ale odwracając się w galopie dojrzał, jak ciało Tajbułego miękko osiada na ziemi.

274

Zemsta się dokonała, więc Salimgirej krzyknął do swoich wojowników, żeby się wycofali. Nic więcej nie mieli tu do roboty. Zanim wojownicy nojona schwyтали i osiodłali konie, jeźdźcy Salimgireja byli już daleko.

W kilka dni później oddział przeprowił się przez góry i wkroczył na ziemie Złotej Ordy, gdzie stały tumeny Nogaja.

Podobnie jak rzeki zbierają w sobie wody strumieni, tak samo oddział Salimgireja stawał się z każdym dniem coraz liczniejszy, wchłaniając ukrywających się w górach Osetyńców i Czerkiesów.

Wojownicy, którzy utracili ojczyznę, których wszędzie czekała tylko śmierć lub niewola w starciach z mongolskimi oddziałami walczyli do ostatka. Uciekinierzy przekształcili się w groźną siłę i tam, gdzie się pojawiali, ludzie dzielili się z nimi chlebem i mięsem, pokazywali sekretne ścieżki.

Kunduz, gdy dowiedziała się o śmierci Kolomona, postanowiła zostać w oddziale. Trudno teraz było rozpoznać w niej dawną delikatną i nieśmiałą dziewczynę. Ubrana w męski strój nie gorzej od najlepszego wojownika trzymała się w siodle, celnie strzelała z łuku i brała udział we wszystkich potyczkach z Mongołami. Kiedy zabrakło ukochanego, jej rodzinnym domem stał się oddział Salimgireja.

Z każdym dniem twardniało jej serce, które ożywiało już tylko pragnienie zemsty. O wszystkie nieszczęścia, które na nią spadły, i za utratę ukochanego obwiniła Berke-chana. Tylko Salimgirej znał jej myśli i tylko on, który widział jej niedługie szczęście, potrafił ją zrozumieć i usiłował pocieszyć.

Nie wiedział jednak, że niebezpieczeństwo jest już bardzo bliskie. Wojownicy wysłani przez Nogaja wytrwale tropili uciekinierów i nie sposób było uniknąć

275

bezpośredniego starcia z nimi. Przeciwnicy nie ustępowali Sobie ani odwagą, ani umiejętnościami bojowymi, ale ścigający byli liczniejsi, a siła łamie siłę.

Kilka razy oddziałowi udawało się wyrwać z okrążenia, ale Salimgirej z każdym dniem miał coraz mniej wojowników. Żaden z nich nie liczył na litość i dlatego wołał raczej umrzeć, niż oddać się w ręce wroga... Pewnego razu, kiedy wydawało się już, że niebezpieczeństwo minęło, oddział wpadł w zasadzkę. Salimgirej i Kunduz ramię w ramię odpierali nacierającego przeciwnika, ale nagle koń dziewczyny stanął dęba. Ostatnią rzeczą, którą Salimgirej zdążył zobaczyć, była strzała stercząca z szyi konia i czarne arkany z włosia oplątujące ciało dziewczyny. Przebić się do niej już nie zdołał.

Wielkie było zdumienie Mongołów, kiedy okazało się, że schwytyany przez nich wojownik jest kobietą.

Tuda Mengu, dowódca oddziału, wpatrując się w twarz Kunduz mlaskał z zachwyty językiem i powtarzał:

«»

— I pomyśleć, że taka piękność mogła umrzeć! Dziewczyna-baatur! Wezmę ją sobie za piątą żonę i urodzi mi nieulekłych synów!

Jednak Nogaj, dowiedziawszy się o wzięciu niecodziennego jeńca, odebrał Kunduz Tuda Mengu.

— Wyślę ją do chana Berke — powiedział. — Wszystko, co ma jakąś wartość, należy do naszego władcy, a takie piękno warte jest tysiąca złotych monet.

— Oddaj ją mnie — prosił Tuda Mengu. — Sam zapłacę komu trzeba ten tysiąc monet! Nogaj jednak był nieubłagany.

Berke rozpoznał Kunduz i znów podobnie jak kiedyś, gdy po raz pierwszy ujrzał ją o świcie jadącą na pięknym jednochodźcu, w jego sercu zbudziła się żądza.

276

Patrząc na dziewczynę wilgotnie błyszczącymi oczami chan powiedział:

— Allan jest wielki! Zwrócił mi ciebie, chociaż uciekłaś na kraj świata. Teraz jesteś tutaj i tak zostanie na wieki wieków...

Kunduz milczała. Gdyby Berke wiedział, jak bardzo go nienawidzi, rozkazałby ją natychmiast zgładzić.

Chan rozkazał wezwać swą najmłodszą żonę Akdża-mała, córkę beja z rodu Argynów i polecił jej:

— Weź niewolnicę do siebie i niech stanie ci się siostrą. Długo wędrowała i straciła świeżość. Naucz ją tego, co powinna wiedzieć kobieta...

W swoim czasie uczynię ją swoją żoną, pomyślał Berke. Cóż z tego, że ona nie będzie chciała? Wielki Czyngis-chan uczył: „Jeśli wróg twój utracił siły, nie zabijaj go, lecz raczej wydaj go na pohańbienie...” Temu, kogo słucha Złota Orda, musi być powolna każda kobieta. Kunduz trochę się powściąka, ale w końcu zrozumie, że nie ma innego wyjścia. Przecież z Akdża-mała było podobnie, a jaka jest teraz pokorna...

Na myśl o Akdżamała fala ciepła rozlała się po ciele chana. Ładna jest ta najmłodsza żona. Twarz ma rumianą, a ciało białe i giętkie jak trzcina. Ona również nie chciała zostać jego żoną.

Była najmłodsza w rodzinie argyńskiego beja, właściciela niezliczonych tabunów koni. Rozpieszczone, wesołe dziecko. Przyszedł jednak czas...

Dziewczęca dola podobna jest do losów źrebięcia. Źrebięciu, gdy staje się jednolatkiem, zakłada się uzdę. Dziewczynce, gdy dorośnie, zakłada się biały czepiec. I od tej chwili musi stać się poważną kobietą.

Akdżamał przyszedł w szesnastym roku życia założyć biały kimeszek i zostać żoną Berkego. Cóż z tego, że opierała się i płakała. Ojciec jej, lękając się gniewu Berkego, skrepował córkę arkanem i odwiózł temu, który jej pożądał.

277

Berke-chan doskonale pamiętał dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył Akdżamała. Gościł wówczas u swego brata Ordy, władcy Błękitnej Ordy. Wracając z polowania zajechali do bogatego aulu Argynów, żeby ugasić pragnienie kumysem. Właśnie tam wpadła mu w oczy ta dziewczyna.

— Oddaj mi ją — poprosił Berke brata. Orda zwrócił się do beja:

— Słyszałeś prośbę chana Złotej Ordy? Uczyn tak, jak on tego pragnie. A jeśli nie oddasz córki...

Tego ostatniego zdania nawet nie musiał mówić. Kto ośmieliłby sprzeciwiać się woli i pragnieniom dwóch chanów?

W ten sposób Akdżamał została czwartą żoną Berkego.

Czas płynął, a ona nie mogła pokochać chana. Jej ciało należało do niego, ale dusza pozostawała wolna i niepokorna. Berke to czuł, wybuchał czasem gniewem, ale nie potrafił oprzeć się posępnej urodzie Akdżamała.

Oddając Kunduz pod opiekę swej czwartej żonie, Berke nie spodziewał się jej w ten sposób rozweselić. Liczył na coś innego.

Pamiętał doskonale, że gdy tylko przywiózł ją do obozowiska, pozostałe żony, które do tej pory żyły w najlepszej zgodzie, nagle zaczęły się ze sobą kłócić i zazdrościć względów Akdżamała. Teraz natomiast Berke pragnął, żeby Akdżamał stała się zazdrosna o konkurentkę. Przecież Akdżamał jest kobietą, a serce kobiety nie może pozostać spokojne i obojętne, kiedy jej miejsce zajmuje inna. A gdy tylko zacznie zazdrościć, nawet nie zauważy kiedy zbliży się do chana, zabiegając o jego miłość i przychyłność.

Upływały dni, a nadzieje Berkego wciąż się nie spełniały. Młodszy wezyr, który każdego ranka donosił chanowi o tym, co się dzieje w jurtach jego żon, opo-
278

wiadał że Akdżamał i Kunduz nie tylko się nie kłóca, ale że się nawet zaprzyjaźniły. Chan wiedział, że wezyr go nie okłamuje, a jednocześnie nie chciał mu wierzyć. Przecież to niemożliwe, żeby jedna piękna kobieta nie była zazdrosna o drugą. Akdżamał tylko udaje, że jest jej wszystko jedno, a w rzeczywistości nie chce, żeby Kunduz została następną żoną chana...

Pewnego razu, jak zwykle w asyście nukerów, chan przyjechał nad jezioro. Lato tego roku było deszczowe, za to jesień nadeszła cicha i ciepła, rozgorzała jaskrawymi barwami. Złotem i purpurą płonęły dalekie lasy i nawet step nie wydawał się suchy i szary, lecz przypominał miękki pstry kobierzec. Lekkie srebrzyste pajęczynki płynęły leniwie w złocistym świetle poranka.

Po jeziorze pływał samotny łabędź. Czasami ptak wyciągał swą długą szyję ku wyblakłemu przez lato, bezdennemu niebu i wydawał rozpaczliwy krzyk, rozpływający się nad wodą i nad szemrzącymi cicho puszystymi miotełkami trzcin.

Odleciały do ciepłych krajów ptaki, które latem dotrzymywały towarzystwa osamotnionemu łabędziowi. Mogły to uczynić, bo były dzikie, wolne i miały silne skrzydła.

Berkego już nie przerażała samotność świętego dla niego ptaka. Sprawy Ordy toczyły się pomyślnie i u-rzeczywistniało się to, co zamierzał. Wszyscy Czyngi-sydzi, wciąż chciwie i zawistnie popatrują w jego stronę, poczuli, iż Złota Orda nadal jest silna i potrafi ukarać każdego, kto tylko ośmielił się podnieść na nią miecz.

Dziwna rzecz: krzyk samotnego łabędzia wyzwalał w duszy Berkego nie smutek, lecz uczucie zadowolenia i spokojnej radości.

Chan czujnie nastawił ucha. Gdzieś zza ściany trzcin
279

dobiegły go ludzkie głosy, a potem niewesoła pieśń śpiewana przez smutny dziewczęcy głos. Z gór bezdźwięcznie strumień spada srebrzysty, Trawa zielona na wietrze nie szumi. Po cóż na świat przyszła dziewczyna, Jeśli przez całe życie płakać jej sądzone?

Berke od razu rozpoznał głos Akdżamał. Tylko ona mogła śpiewać tak smutnie i rozpaczliwie, tylko ona nigdy nie nuciła niczego radosnego.

Czasami przyłapywał się na myśli, że pieśni najmłodszej żony sprawiają mu złośliwą radość. Miło mu było słyszeć, jak cierpi dumna dusza tej kobiety, u-partej w swej niechęci i niepokornosci, miło mu było widzieć jej przygnębienie.

— Niech sobie popłacz!.. — mruknął pod nosem i zaraz potem dźwięczny zadziorny głos zagłuszył smętną pieśń Akdżamał.

Wytrzymaj łzy, ma przyjaciółko. Nie płacz. Nie poddawaj się smutkowi i nieszczęściu. Lepiej nóż swój ostrzyj co dzień I na próżno nie wylewaj łez.

Berke uniósł się w strzemionach, starając się dojrzeć śpiewające za rzadką ścianą trzcin kobiety. To były Akdżamał i Kunduz.

Kobiety szły wprost w jego stronę, a z tyłu w pełnej szacunku odległości dreptały za nimi młode służebnice. Zamykali pochód nukerzy ze straży żeńskiego aulu.

Akdżamał miała głowę nisko opuszczoną, za to twarz Kunduz chan widział wyraźnie.

Delikatny rumieniec igrał na jej policzkach, gdy coś z ożywieniem tłumaczyła towarzysze, a jej gibka postać zdawała się płynąć nad ziemią.

Z czego ona się tak cieszy? — pomyślał z nagłą zło-
280

ścią Berke. — Zaraz jej powiem, że nadeszła chwila, w której ma zostać moją żoną i zobaczę, jak to odbije się na jej twarzy.

Ruszył lekko koniem i zagroził kobietom drogę i nie odrywając świdrującego spojrzenia od Kunduz, powiedział:

— Chcę, żebyś jutro została moją żoną.

W ogromnych, pięknych oczach Kunduz błysnęły iskierki radości czy dumy. Ukryła je natychmiast, o-puszczając pokornie głowę.

Berke jeszcze raz obrzucił wzrokiem jej smukłą, gibką figurkę. Pragnął jej.

— Wracajcie do jurt — powiedział uroczyście. — I niechaj ci, do kogo to należy, przygotowują wszystko, co trzeba...

Serce Berkego zalała radość i duma. Niepokorna Kipczaczka od tej chwili należała do niego duszą i ciałem.

Malutki i szczuplutki mufti Szarafutdin w ogromnym zawoju na głowie siedział na honorowym miejscu u stóp Berkego.

— Nadeszła pora, by zapytać o zgodę pannę młodą — powiedział przy pochlebnie.

Dwaj kipczaccy wojownicy podbiegli w pół zgięci do Kunduz, która siedziała w prawej połowie jurty w otoczeniu młodych kobiet. Głowę miała przykrytą białą jedwabną chustą wyszywaną perłami.

Wojownicy zgodnym chórem wypowiedzieli śpiewnie słowa przewidziane przez obrządek: Świadczy my, świadczy my. Jesteśmy warci tego. U progu dnia przyszłego Chan oczekuje upragnionego...

281

Jeden z wojowników podał Kunduz srebrną czarę, a kiedy ją od niego przyjęła, znów chórem zapytali:

— Księżycolica Kunduz, czy zgadzasz się zostać żoną władcy Złotej Ordy, chana Berkego? Kunduz dotknęła wargami brzegu czary i w milczeniu skinęła głową.

Berke nie odrywał od kobiety namiętnego spojrzenia. Coraz bardziej podobała mu się jej pokora.

Wojownicy cofnęli się i stanęli tam, gdzie obrządek tego wymagał.

Mufti Szarafutdin niespiesznie przewracał stronicę Koranu, odszukał stosowną w takich razach siedemnastą surę i odczytał ją przeciągłym głosem. Potem zamknął Koran, potoczył wzrokiem po zebranych i złożony dłoń przesunął nimi po żółtej, pomarszczonej twarzy. Wszyscy uczestnicy uroczystości powtórzyli gest muftiego.

Nadszedł czas uroczystej uczy. Do późnej nocy płonęły ogniska, w kotłach warzyły się góry wonnej baraniny, a biały kumys pachnący jesiennymi trawami pienił się w czarach.

Na uczcie nie było tylko Akdżamał. I Berke przyglądając się gościom pomyślał z mściwym zadowoleniem, że jednak miał rację myśląc, że jej serce będzie cierpieć i zalewać się krwią z zazdrości o inną kobietę.

Po północy żony i nukerzy odprowadzili chana do jurty, która miała być od tej chwili przeznaczona dla Kunduz i stanęła obok jurt pozostałych żon Berkego. Śnieżnobiałą jurte zdobiły różnobarwne chińskie jedwabie i jaskrawe jak wiosenna łąka irańskie dywany.

Chan wkroczył do mieszkania swojej nowej żony. Kunduz wstała na jego powitanie i nisko się pokłoniła.

Słychać było, jak za drzwiami stanęli dwaj nukerzy z obnażonymi szablami, aby aż do świtu strzec bez-

282

pieczeństwa wielkiego chana Złotej Ordy i jego nowej żony, pięknej Kipczaczki.

Kunduz z szacunkiem zdjęła z ramion Berkego brokatowy kaftan, z głowy czapkę wykończoną czarnym sobolem i powiesiła je przy wejściu. W pełnym pokory milczeniu ściągnęła potem buty z nóg chana, który obserwował ją z pełną niedowierzania radością.

Poruszając się bezszelestnie po jurcie Kunduz rozścieliła na honorowym miejscu śnieżnobiałą pościel, wzięła z rąk Berkego pas i zgasiła kaganki.

— Zrobiłam wszystko, wielki chanie. Połóż się. Głos Kunduz drżał ze wzruszenia. Chana ogarnął nagle niewytłumaczalny lęk. Usłyszał, jak otwierają się drzwi, chciał krzyknąć, zawołać straż, ale czyjeś ręce chwyciły go z tyłu i ciężka szorstka dłoń zatkała mu usta.

W bladym księżycowym świetle wpadającym przez otwór w kopule dojrzał błysk przystawionego do jego gardła noża.

Oszalały ze strachu Berke szarpnął się, ale nie zdołał się wyrwać i został powalony na dywan. Walka toczyła się w zupełnej ciszy, przerywanej tylko ciężkimi oddechami ludzi. Niebawem Berke nie mógł nawet drgnąć przywalony ciałami trzymających go napastników. Do ust wetknięto mu knebel i ściśle obwiązano głowę chustką.

— Zaczynajcie — powiedziała półgłosem jakaś kobieta. — Niebawem świt...

Berke z przerażeniem rozpoznał głos Akdżamał. Poczł, jak czyjeś ręce zręcznie rozwiązują mu troczki spodni, po czym rozbawiony głos wyszeptał:

— Z taką robotą nie wolno się spieszyć, bo można za dużo ciachnąć...

Potem był okropny ból. Berke szarpnął się, ale niewidzialni w ciemnościach ludzie trzymali go mocno. Wytrzeszczone oczy chana dostrzegały tylko bladą w

283

księżycowym świetle twarz pochylonego nad nim mężczyzny. Wreszcie mężczyzna poprosił ochryłym szeptem:

— Dajcie trochę palonego wołjoku. To zatamuję krew.

Wstał.

— To wszystko. Mam lekką rękę. Szybko mu się zagoi. Na tronie może siedzieć i z jednym... A drugie rzućcie psom.

— Pewnie nawet psy nie będą tego chciały jeść... — roześmiał się ktoś w ciemności, podając mężczyźnie kawałek białej tkaniny.

— A teraz zwiążcie go — rozkazała Akdżamał. Berke dojrzał nagle pochyloną nad nim Kunduz.

— Teraz wyjmemy ci knebel, ale zarzniemy cię, gdy tylko krzykniesz. Poniosłeś słuszną karę. Bo to przecież ty w swoim czasie pozbawiłeś męskości młodzieńca, który kochał Akdżamał i to samo chciałeś uczynić z Rumijczykiem, Kolomonem... Nie zabiliśmy cię, żebyś poczuł, co to jest ból. Słuchaj mnie uważnie... Nikomu nie powiemy, co się tutaj dzisiaj stało — w głosie Kunduz zabrzmiało rozbawienie — bo gdy lud się dowie, że na tronie Złotej Ordy zasiada nie ogier, tylko wałach, wówczas może się od ciebie odwrócić.

Ktoś rozwiązał chustę i wyciągnął knebel z ust chana. Miękki dywan zagłuszał kroki i obolały Berke nie od razu zrozumiał, że pozostał w jurcie sam.

Kiedy to wreszcie sobie uświadomił, wtedy krzyknął głośno i rozpaczliwie.

Odpowiedziała mu cisza.

Wojownicy Salimgireja po dokonaniu swej straszliwej zemsty, smagając konie pospiesznie oddalali się od obozowiska. Wraz z nimi uciekały Akdżamał i Kunduz. Kunduz już dawno mogła uciec z Ordy, ale jej serce gorzało żądzą zemsty. Przemogła więc w sobie

284

pragnienie natychmiastowego połączenia się z oddziałem Salimgireja ukrywającym się nad brzegami Itilu.

Dla większości wojowników Ordy Berke był władcą, który swą władzę otrzymał od Boga, więc zakusy na jego życie równały się dla nich świętokradztwu. Ale zemsta na nim takim świętokradztwem nie była.

Kunduz szybko zaprzyjaźniła się z Akdżamał i od niewolnych służebnic dowiedziała się o jej nieszczęściu. I pewnego razu, gdy Akdżamał opowiedziała o tym, jak Berke postąpił z jej ukochanym, który przyjechał za nią do Ordy, zrodził się plan zemsty.

Nie ma na ziemi człowieka, którego nie oślepiłby blask złota. Nie na darmo powiada się, że nawet święty zboczy na jego widok ze swej szlachetnej drogi.

Akdżamał udało się przekupić wojowników, którzy mieli strzec jurty Kunduz jej pierwszej małżeńskiej nocy. Reszta należała do ludzi Salimgireja...

I oto teraz wracali do oddziału. Wraz z nimi uchodzili również ci wojownicy, którzy odwrócili się od Berke-chana. Byli również i tacy, którzy schowawszy otrzymane od Akdżamał złoto, osiodławszy zawczasu przygotowane konie pędzili tej nocy coraz dalej od obozowiska Złotej Ordy w stronę Chorasanu, Kermen--kiwe lub Irbitu, spodziewając się znaleźć tam wolne i spokojne życie.

Ciężkie było życie mongolskich wojowników w ułu-sach i może właśnie dlatego na ziemiach podbitych przez Czyngis-chana nigdy nie brakowało zdrad, buntów i niepokojów. Chanowie, no jonowie i bekowie nie skąpili swoim poddanym tylko bata...

W ciągłych wyprawach i najazdach śmierć nieustannie wisiała nad głowami wojowników.

Przed nimi były nieprzyjacielskie włócznie i strzały, za nimi śmierć z ręki straży przybocznej nojona. Cały łup zdobyty na wyprawie wcześniej czy później również trafiał do ich rąk.

Nawet jeśli wojownik wykazał w

285

bitwie hart i odwagę, to nie zawsze broń i wierzchowiec zabitego przezeń wroga stawały się jego własnością. O tym decydował wyłącznie chan lub nojon.

Tak samo wyglądał los rodzin wojowników, które pozostawały w rodzimych ułusach. Bydło i bogactwa trafiały do rąk silnych. A czyż rodzinę nękaną daninami na rzecz chana zdoła wykarmić jeden wielbłąd, kobyła i tuzin owiec?

Wiele razy zdarzało się, że mongolski wojownik po powrocie z wyprawy nie zastawał rodziny. Ludzie chana za nie zapłacony podatek sprzedawali wszystkich w niewolę lub odbierali rodzinie dzieci. Mongolski wojownik niósł innym narodom niewolę i sam był niewolnikiem.

л\

Dlatego wielu z nich, nie mogąc znieść takiego życia, często zdradzało swoich chanów, sprzedawało ich za złoto lub po prostu uciekało. Tacy uciekinierzy zbierali się w bandy, które grabiły winnych i niewinnych.

W odróżnieniu od takich włóczęgowskich band oddział Salimgireja składał się z mścicieli, którzy dobrze wiedzieli, kto jest przyczyną ich nieszczęść. Byli w nim ludzie nienawidzący chanów i marzący o swobod--nym życiu.

Oddział liczył prawie tysiąc wojowników, ale cóż taka garstka znaczyła w porównaniu z potęgą Złotej Ordy? Cóż taki mały obłoczek mógł zrobić z bezbrzeżnym nieboskłonem? Dalekie jeszcze były czasy, kiedy chmury zakryją niebo, a w ziemię zalaną łzami i krwią wbijają się ogniste strzały błyskawic. Jednak Salimgirej nie zaprzestawał walki...

Rozdział piąty

Z dawien dawna, jak tylko mieszkańcy stepów sięgali pamięcią, wszystkie spory i waśnie między rodami i plemionami wybuchały z powodu pastwisk. Tam, gdzie stada miały pod dostatkiem paszy i wody, tam też szczęśliwy czuł się ich właściciel-koczownik.

Również Czyngis-chan, który wyruszył ze swymi tumenami ze stepów Mongolii, marzył o przekształceniu całego świata w jedno ogromne pastwisko. W tym celu burzył miasta i wycinał w pień narody potrafiące uprawiać ziemię, ozdabiać ją sadami i hodować zboże.

Podbiwszy nowe obszary dzielił je na ajmaki i u-lusy, które rozdawał swoim dzieciom, wnukom i wiernym nojonom.

Z tego powodu za każdym razem wybuchały waśnie i rodziły się zawiści. Za życia Czyngis-chana nikt jednak nie ośmielał się wyrażać głośno swego niezadowolenia lub w ogóle podnieść głosu. Inaczej zaczęło dziać się od chwili, gdy groźny władca odszedł z tego świata. Wedle jego przykazań rozdawać ułusy i ajmaki mógł tylko chan, a zatem zakres bogactwa i władzy każdego z Czyngisydów zaczął zależeć od tego, kto zasiądzie na mongolskim tronie.

Oto czemu tak zaciekle i okrutna stała się walka między licznymi grupami Czyngisydów o to, która z tych grup osadzi na tronie „swojego chana”.

Wraz z ajmakiem czy ulusem każdy otrzymywał ogromną władzę. Wszystko co żywe musiało go słuchać, a miasta i osiedla płacić daninę.

287

Otrzymać w zarząd ajmak mógł każdy nojon, który wykazał się odwagą w walce i został dostrzeżony przez chana, ale władać ulusem prawo zwyczajowe zezwalało wyłącznie potomkowi Czyngis-chana bez względu na linię rodu, z której pochodził.

Tej samej zasady miano po śmierci Czyngis-chana przestrzegać w Karakorum, gdy dochodziło do wyboru nowego chana. Prawo do tronu miały zarówno dzieci „Tego, który wstrząsnął światem”, jak i każdy członek jego rodu bez różnicy. Zwycięzał jednak silniejszy, ten, który miał najwięcej zwolenników wśród emirów i nojonów i za którym stało liczniejsze wojsko.

Nieustanne współzawodnictwo nie pozwalało okrzepnąć którejś z linii Czyngisydów i jednocześnie zmuszało nowego chana do liczenia się ze zdaniem otoczenia, uzależniało go od emirów i nojonów, od zarządców ulusów. Wydawało się zatem, że w imperium stworzonym przez Czyngis-chana wszyscy jego potomkowie mają równe prawa i wspólnie troszczą się o pomyślność państwa. Tak się jednak tylko wydawało.

Podobnie działo się również w ulusach, które z każdym rokiem czuły się coraz mniej zależne od Karakorum i coraz rzadziej decydując o własnych sprawach liczyły się ze zdaniem wielkiego chana Mongołów. Złota Orda nie była pod tym względem wyjątkiem.

Tam także, gdy na tronie zmarłego chana zamierzał zasiąść jeden z jego synów, do walki o władzę stawali jego bracia, a nawet ich dzieci.

Po śmierci Batu-chana oraz jego synów, Sartaka i Ułaczkiego, matka tego ostatniego, Barakcziki-katun, postanowiła uczynić chanem swego wnuka Tuda Mengu, zrodzonego z syna Batu-chana, Tutukana.

Innego zdania byli jednak nojonowie zarządzający ajmakami wchodzącymi w skład Złotej Ordy i muzułmańscy kupcy, którzy w owym czasie mieli w państ-

288

wie ogromne wpływy. Ci ludzie poparli brata Batu--chana, Berkego.

Walka była krótka, ale niezwykle zaciekle. Barakcziki-katun zwróciła się o pomoc do Hulagu, ale na próżno. Hulagu był daleko i nawet słów wielkiego chana Móngkego nie usłyszeli w Złotej Ordzie ci, którzy nie chcieli ich słyszeć. Potomkowie Dżuczego zebrani na kurułtaju wynieśli na białym wojłoku Berkego.

Nowy chan postąpił tak, jak postępowali wszyscy Czyngisydzi. Pospadały głowy jego niedawnych przeciwników, w tym również Barakcziki-katun i wielu jej pomocników.

Berke doskonale pamiętał te dni, w których zakończył swoją długą wędrówkę do celu. Szedł do niego całym latami cierpliwie i zaciekle, jak stepowy wilk kryjący się w zasadzce, aby tym łatwiej dopaść zdobyczy.

Przez całe życie zazdrościł bratu, ale postąpił dokładnie tak samo, jak w swoim czasie postępował Ba-tu-chan. Jako prawdziwy koczownik nie chciał stanąć główną kwaterą w żadnym z dawnych miast znajdujących się na ziemiach Złotej Ordy, gdyż tam zbyt wielkimi wpływami cieszyli się emirzy i darugaczi pielęgnujący tradycje muzułmańskie. Nie chciał również zamieszkać w Saraj-Batu, gdzie wszystko przypominało mu o szczęśliwszym od niego bracie. Swoje główne obozowisko przeniósł do własnego ajmaku leżącego w dolnym biegu Itilu.

Tam, na skrzyżowaniu szlaków karawanowych wiodących w stronę ruskich ziem, na Kaukaz i do Iranu, do Europy Zachodniej i Karakorum, postanowił zbudować własne miasto, Saraj-Berke.

Bogate ziemie leżały wokół nowej stolicy. Każdej wiosny wyrastały tam wysokie trawy, a jasne jeziora obramowane wianuszkami trzciny odbijały błękit nie-

19 — Złota Orda

289

ba. Przestrzeni wystarczało i dla ludzi, i dla niezliczonych tabunów chańskiego bydła i koni. Panowanie Berke-chana układało się pomyślnie. U-marli nagłą śmiercią, ustępując mu z drogi, Sartak i Ułakcz. Przywrócił Złotej Ordzie wiele ziem, umacniając w ten sposób jej potęgę. W nowych i starych miastach wznosił warsztaty, w których rzemieślnicy wyrabiali wspaniałe tkaniny, cenne dywany, naczynia i broń. Coraz liczniejsi kupcy odwiedzali Złotą Ordę. I teraz zdarzyło się coś takiego...

Na samą myśl o wydarzeniach tej okropnej nocy chan zaczynał zgrzytać z wściekłości zębami.

Berke lubił brzegi potężnego Itilu. Nawet w czasach, kiedy jego ajmak znajdował się jeszcze na stepach Północnego Kaukazu, zawsze na lato przenościł się w te okolice. A teraz ledwie mógł doczekać się wiosny.

Chana opanował dziwny niepokój. Coś go gnało z miejsca na miejsce i nie pozwalało nigdzie osiąść na dłużej. Nawet barwny step wydawał się mu monotony i szary, jakby wisiały nad nim nieustannie niskie chmury, z których padał zasłaniający wszystko deszcz.

Jego karawana składająca się z dwustu turkmeńskich wielbłądów i niezliczonych ciężkich arb snuła się bez celu po stepie, nieustannie przynosząc się z miejsca na miejsce.

Z ruskich ziem dochodziły wieści o niepokojach w Nowogrodzie i Pskowie. Znowu podnieśli głowy Kawalerowie Mieczowi, przygotowując się do najazdu na lenników Złotej Ordzy.

Berke zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale owoładnęła nim obojętność uniemożliwiająca wszelkie działanie.

Tylko raz w jego zamglonych oczach zapłonęła iskierka życia, kiedy od zaufanego człowieka dowiedział się o istnieniu oddziału Sałimgireja.

290

Szpieg, niemłody już Kipczak o twarzy pokrytej śladami po ospie, starając się nie patrzeć chanowi w oczy mówił półgłosem:

— Oddział liczy około tysiąca ludzi. Przewodzi mu, o wielki chanie, twój były setnik, Sałimgirej. Rozpoznałem go. Wśród buntowników, wielki chanie, są twoje żony Akdżamał i Kunduz...

— Odejdz... — rozkazał Berke. Serce biło mu tak mocno, że omal nie rozsadziło piersi. Teraz już wiedział, kto dopuścił się gwałtu na nim i wiedział, kogo ścigać. Cóż dla Złotej Ordzy znaczył oddział liczący tysiąc ludzi? Wystarczyło jedynie zapragnąć i prochy niepokornych wiatr rozmiecie po stepie.

Berke gotów był już rozkazać, aby na poszukiwanie oddziału wysłano tumen wojowników, ale powstrzymał go przed tym lęk, że uciekinierzy zdążą opowiedzieć ludziom to, czego do tej pory nikt nie wiedział.

I Akdżamał, i Kunduz, i wszyscy biorący udział w wydarzeniach tamtej nocy dotrzymali słowa i żywa dusza nie wiedziała do tej pory, że chan został wykastrowany. Gdyby było inaczej, słuch o tym z pewnością dotarłby do jego uszu, a ludzkie gadanie niczym wiatr rozniosłoby tę hańbiącą Berkego wieść po wszystkich ułusach należących do Czyngisydów. To znaczy, że nie należało działać pochopnie. Wszyscy, którzy wiedzą o wykastrowaniu, winni umrzeć szybko nie zdążywszy otworzyć ust. Prawdziwy Mongoł potrafi być cierpliwy i długo czekać na sprzyjającą chwilę.

i

Bliskość oddziału Sałimgireja mogła wywołać niepokoje wśród niewolników i dlatego chan przede wszystkim rozkazał wzmocnić pilnujące ich strażę.

W Złotej Ordzie, niemało było ludzi niewolnych. Mongołowie zagarniając nowe ziemie nie tylko sprzedawali jeńców do innych krajów, lecz także wielu z nich pozostawiali w granicach Złotej Ordy. Niewol-

291

nicy potrzebni tam byli do budowania, wypasania bydła i wykonywania różnych zajęć gospodarskich.

Za czasów Batu-chana i w pierwszych latach panowania Berkego niewolników trzymano razem w umyślnie w tym celu wzniesionych glinianych twierdzach. Przydzieleni do nich strażnicy odprowadzali ich rano do pracy, a wieczorem zamykali w ich kwaterach. Jednak po buncie, kiedy to dla przywrócenia w Ordzie poprzedniego spokoju trzeba było zgładzić dziesięć tysięcy niewolników, Berke zmienił obowiązujący dotychczas porządek.

Chan zaczął bać się niewolników zgromadzonych w jednym miejscu i dlatego wszystkich, którzy ocalili po stłumieniu buntu, rozkazał rozdzielić między nojo-nów i bliskich im ludzi, a twierdze zburzyć.

Teraz każdy niewolnik mieszkał u swego właściciela. Tam spał, wyprawiał skóry, robił obuwie i folował wołok na jurty.

Berke pozwolił właścicielom po określonym czasie uwalniać niewolników, pozwolił też byłym niewolnikom zakładać rodziny, za co jednak wyzwoleniec musiał do końca swoich dni oddawać panu większość zarobku za swą pracę.

Pięciuset naj biegłych w różnych rzemiosłach niewolników chan pozostawił sobie. Kuli dla jego wojska szable, noże i groty strzał, wyrabiali ozdoby ze złota, srebra i drogich kamieni.

Skarb chański nie karmił i nie odziewał niewolników. Każdy z nich sam musiał zatroszczyć się o swoje utrzymanie. W tym celu co piątek wolno im było uprawiać swe rzemiosło na własny rachunek, biorąc zapłatę wyłącznie w jedzeniu i ubraniu.

Wiadomość o pojawieniu się niedaleko głównego o-bozowiska Złotej Ordy oddziału Salimgireja dotarła również do niewolników. Wielu z nich pamiętało o-statni bunt, wielu też było gotowych przyłączyć się

292

do oddziału, spróbować wydostać się na wolność.

O tym wszystkim Berke wiedział od zaufanych ludzi. Przeczuwał, że prędzej czy później Salimgirej spróbuje oswobodzić niewolników, żeby wzmocnić oddział nowymi ludźmi.

Pozostawało tylko dowiedzieć się, jak to zamierza zrobić. Niewolnicy byli dobrą przynętą. I gdyby wszystko poszło po myśli chana, z niepokornymi można byłoby rozprawić się jednym ciosem, a wtedy na zawsze zeszlaby z nimi do grobu straszliwa tajemnica Berkego. Ani jeden człowiek z oddziału nie może zostać przy życiu. Ani jeden...

Myśl o doznanej hańbie nie opuszczała chana ni dniem, ni nocą. Często nad ranem budził go własny krzyk. Długo wtedy nie mógł usnąć zlany zimnym potem i wpatrywał się w ciemność szeroko rozwartymi, szalonymi oczami.

Ten nocy, kiedy wojownicy Salimgireja pohańbiwszy go zniknęli w mrokach nocy, nikt nie usłyszał jego krzyków i nikt nie pospieszył mu z pomocą. Dopiero o świcie Berke zdołał uwolnić się z arkanów, którymi spętano mu ręce i nogi.

Kiedy wreszcie zjawili się ludzie, Berke niczego im nie mówiąc rozkazał wezwać lekarza.

Nikt z otoczenia nie odważył się zapytać chana, gdzie zniknęła Kunduz, Akdzamał i wojownicy strzegący jurty.

Lekarz Arab obejrzał ranę i starając się nie patrzeć Berkemu w oczy powiedział:

— To zrobił człowiek bardzo biegły... Lekarz albo ftufla... Lękam się nawet pomyśleć...

Chan przywołał go do siebie gestem, chwycił za gardło i powiedział wściekłym, świszczącym szeptem:

— No to nie myśl! Staraj się nie myśleć! Żywa dusza nie śmie się o tym dowiedzieć. Jeśli twój język cię zawiedzie, to wymyślę dla ciebie taką śmierć, że Hiebo zatrząśnie się z przerażenia! Zrozumiałeś mnie?

Lekarz coś wyszeptał białymi ze strachu wargami.

293

— Jeśli pomożesz mi wrócić do zdrowia, to szczodrość moja nie będzie miała granic... — dodał z fałszywą łagodnością w głosie.

Przez kilka dni lekarz nie odstępował chana na krok, poił go leczniczymi wywarami, zmieniał opatrunki.

Któregoś dnia, gdy Berke poczuł się już na tyle dobrze, że mógł usiąść, zawołał do siebie Araba.

— Nikomu nie mówiłeś o moim nieszczęściu? — zapytał.

— Nie, wielki chanie. Mogę przysiąc na Koran...

— Nie trzeba — odparł Berke — wierzę ci... A co tam mówią? — wskazał gestem drzwi.

— Nikt się niczego nie domyśla. Uważają, że zapadłeś, panie, na zwykłą chorobę...

— To dobrze — mruknął Berke. — No cóż, obiecałem cię szczerze nagrodzić i dotrzymam słowa...

Sięgnął do tkanej dywanowym splotem torby i wyjął z niej garść złotych monet.

— Weź... Ręka chana jest szczodra... Usypał stosik monet u swoich stóp.

Oczy Araba błysnęły chciwością. Pochylił się skwapliwie nad złotem, podstawiając chanowi swe chude wygięte plecy.

W ręku Berkego błysnął nóż, którego ostrze z łatwością wbiło się w odsłonięte plecy Araba pod wystającą, podobną do złamanego skrzydła łopatkę...

W kilka dni później Berke-chan znów zajmował się bieżącymi sprawami Złotej Ordy.

Wszystko pozornie pozostało po starym i nikt nie zauważył w nim żadnej zmiany.

Tylko sam Berke wiedział, że jego dusza wywróciła się na nice. Zrozumiał nagle, że ziemskie radości są mu już niedostępne. Już nie zabije mu mocniej serce na widok pięknej kobiety, już nigdy stygnąca krew nie wzburzy się w żyłach. Na zawsze umarła nadzieja, że może wreszcie któraś z żon urodzi mu następcę. Sens

294

życia sprowadzał się teraz wyłącznie do tego, żeby jak najdłużej pozostać chanem, panować nad ludźmi i upajać się władzą. Myśl ta natchnęła go otuchą i pomogła zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie stało.

Tylko czasami, wbrew jego woli, poprzednie życie wdzierało się do wymyślnego przezeń świata, a wówczas spokój opuszczał chana, dusza zaczynała miotać się i gorzeć żywym ogniem.

Nadal, żeby nikt nie zaczął podejrzewać, iż stracił męskość, Berke od czasu do czasu odwiedzał swoje żony. Pewnego razu zanocował u jednej z nich. Kobieta była jeszcze młoda, miała jędrne ciało i jej pieszczoty sprawiały kiedyś chanowi przyjemność, budziły w nim pożądanie. Teraz jednak nawet wspomnienie o tym wywoływało w nim złość i obrzydzenie.

— Jestem zmęczony — powiedział Berke do żony — i dlatego nie chcę cię.

Kobieta nic na to nie odpowiedziała. Słowo władcy jest przecież prawem. Pomyślała tylko, że mówił już jej to samo poprzednim razem i z pewnością powtórzy znów w przyszłości.

Przed świtem chan się obudził. Poślanie obok niego było puste i ręka zamiast ciepłego ciała dotknęła chłodnej tkaniny.

Bezszelestnie wstał i wyszedł z jurty. Księżyc w pełni zalewał step czarodziejskim, zimnym światłem i w jego blasku było wszystko widać daleko dokoła. Znad Itilu wiał miękki, ciepły wiatr.

Było cicho i w tej ciszy Berke usłyszał niewyraźny szept, a potem przytłumione jęki.

Odkoczył w cjpń jurty i znieruchomiał ze zdumienia.

Między dwoma wielbładami wprost na ziemi leżała jego żona. Nie widział jej twarzy, tylko białe biodra poruszające się miarowo w świetle księżyca. Widział też dosiadającego ją młodego nukera, który tej nocy miał strzec spokoju chana.

295

Berke patrzył na to rozszerzonymi szaleństwem oczyma, a potem rozejrzał się dokoła. Dostrzegł opartą o ściankę jurty włócznię wojownika. Wziął ją wolno do ręki, uniósł wysoko nad głowę i rzucił dokładnie tam, gdzie zamierzał.

Przed życiem nie można było uciec. Codziennie przypominało boleśnie o sobie i wówczas chan ze szczególnym zapałem zajmował się sprawami Ordy.

Zasiadał na tronie pozornie spokojny i niewzruszony, lecz w duszy jego podnosiła się wściekłość granicząca z szaleństwem. Dlatego decyzje jego były szybkie i okrutne. W takie dni bywało wielu skazanych na śmierć.

Władza... Sława... Tylko one pozwalały Berkemu utrzymywać się przy życiu zatrutym wspomnieniami straszliwej nocy i palącą żądzą zemsty. Nie było wszak Czyngisydy, który by do swej ostatniej godziny nie myślał o zemście. Chan też śnił o niej każdej nocy...

Mongołowie wprowadzili na kipczackich stepach wielkie zmiany, niwecząc panujące tam od wieków porządki.

ani szlaki koczownicze, ani letnie pastwiska, ani miejsca zimowisk nie mogły należeć do jednej rodziny lub aułu. Każdy ród koczował tam, gdzie mu się spodobało. Nikt nie śmiał zagrozić drogi karawanie. Step był wielki i bezbrzeżny.

Wraz z pojawieniem się Mongołów na stepie zrobiło się ciasno. Zdobywcy podzielili go na ajmaki i od tej chwili wolne niegdyś rody zmuszone były podporządkować się swym nowym władcom, ponieważ oni sami, ich rodziny i bydło należały duszą i ciałem do nich. Zarządca ajmaku ustalał trasy koczowania, wskazywał tereny na zimowiska i letnie wypasy. Zgodnie z jego rozkazem każdy ród miał obowiązek wyznaczyć do służby w chańskim wojsku określoną liczbę wojowników.

296

Najlepsze ziemie władcy zagarnęli dla siebie lub rozdali swoim ludziom. Wszyscy musieli wedle mongolskiego prawa ściśle przestrzegać granic ułusów i jeśli któryś z rodów wykazywał w tym względzie nieposłuszeństwo, usiłując żyć po staremu, spotykała go surowa kara.

Mongolscy wielmoże i kipczaccy bejowie stali się panami całej ziemi i wszystkiego, co na niej żyło.

Gnębili prosty lud, nieśli mu nieszczęścia, ale przemoc tylko słabego zamienia w niewolnika. Kipczacy biorący udział w mongolskich najazdach na inne narody zobaczyli nowe ziemie i zrozumieli, że świat nie ma granic, że można na nim nie tylko paść bydło, ale również orać ziemię, uprawiać zboża i sadzić sady, budować miasta i obrabiać metale.

W kipczackich aułach pojawili się miejscowi kowale. Biedota, która nie mogła nawet koczować, przenosiła się do miast rozsianych na granicy wielkiego stepu i Mawarannahru. Od niewolników spędzonych przez Mongołów na Deszt-i-Kipczak ludzie przejmowali sztukę tkania dywanów, budowania ciepłych domów i handlowania. Biedny Kipczak i niewolnik uczyli się rozumieć nawzajem.

Płynęły lata, ale zamiast spokoju i pokory, które zdaniem mongolskich władców miały zapanować na stepie Deszt-i-Kipczak, wciąż wybuchały tam zamieszki i bunty, takie same jak w chwili, gdy kopyto mongolskiego konia po raz pierwszy dotknęło tej ziemi.

Zrujnowani przez podatki i daniny ludzie uciekali od swoich władców i starali się znaleźć takie miejsce, gdzie nie dosięgłaby ich krzywa mongolska szabla i pętla arkanu z końskiego włosia. Jednak Mongołowie byli wszędzie i nigdzie nie było przed nimi ucieczki. Wówczas uciekinierzy zaczęli zbierać się w oddziały podobne do oddziału Salimgireja. Wspólnie można było przynajmniej bronić własnego życia. Nienawiść do

grabieżców, gwałcicieli i morderców jednoczyła ludzi. Gdy Berke postanowił wreszcie rozprawić się z oddziałem Salimgireja, wcześniej niż zazwyczaj wrócił z letnich wypasów do swej głównej siedziby, Saraju. Tam właśnie zastała go wiadomość, która ucieszyła go i zmartwiła zarazem.

Umarł ilchan Hulagu. Od tej chwili Złota Orda miała o jednego wroga mniej. To był mądry i zawsze groźny wróg. Właściwie należało się cieszyć z jego śmierci, ale Berkego ogarnął nagle głuchy doskwierający smutek. Chan pojął, że wszystko wcześniej czy później musi się skończyć, że nadejdzie również chwila, w której i jego śmierć kogoś uraduje. Zrozumiał, że w gruncie rzeczy Hulagu był bardzo do niego podobny. Obaj szli po trupach, brodzili w przelanej krwi i żyli tylko po to, żeby uczynić swoje u-łusy potężniejszymi, podbić jak najwięcej narodów. A koniec jest równie smutny, jak koniec każdej naj-nędzniejszej nawet żywej istoty: skrawek stepu, na którym ciało i mózg zamieni się w garstkę prochu, a wraz z nimi zetleją bogactwo, sława i wszystkie dumne plany.

Hulagu przynajmniej zostawił na ziemi swoje potomstwo. A komu odda tron Berke? Kto przyjdzie po nim i w jaką stronę skieruje potężnego rumaka Złotej Ordy?

Nieodparta siła coraz częściej ciągnęła teraz chana na brzeg porośniętego trzcinami stepowego jeziora.

Minęła już pełnia lata i przejrzałe trawy kłaniały się ciepłemu, stepowemu wiatrowi, który pędził zielone fale ku zasnutemu fioletową mgiełką dalekiemu horyzontowi.

Berke mocno, jak nigdy dotąd, pragnął żyć. Do tej pory w ogóle o tym nie myślał. Po prostu żył i był przekonany, że lata odmierzone mu przez los jeszcze nieprędko dobiegną końca.

Tego lata młode łabędzie nie przyleciały do starego, samotnego ptaka. Chan poczuł nagle, że w istocie on jest równie samotny na ziemi. Inni urodzili się, aby przedłużyć swój ród, a on przyszedł na świat chyba tylko po to, aby odsiedzieć swoje lata na tronie Złotej Ordy i odejść w niebyt, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Panowanie nad ludźmi to wielkie szczęście, czemu więc zboleła dusza tęskni do tego, co dostępne jest zwykłemu wojownikowi? Czemu marzy o synu, któremu odchodząc można byłoby pozostawić dziedzictwo?

Berke nie odrywając wzroku patrzył na jezioro. Lekkie fale wbiegały na brzeg, poruszały trzcinami, kołysały ich długie, giętkie źdźbła. Rozcinając białą piersią wodę wprost ku chanowi płynął samotny ptak.

Jak długo Berge siebie pamiętał, łabędzie nigdy się do niego nie zbliżały, teraz więc z ciekawością czekał, co będzie dalej...

A ptak zdawał się zupełnie go nie bać. Podpłynął do brzegu i wyciągnawszy śnieżnobiałą szyję położył głowę na wilgotnym piasku.

Chan zbliżył się do niego i znieruchomiał z wyciągniętą ręką. Łabędź miał zupełnie ludzkie oczy, pełne rozpacz i bólu.

Ptak nagle silnie zatrzepotał skrzydłami po wodzie i przenikliwy ochryply krzyk wyrwał się z jego srebrzystego gardła.

Chan odskoczył. Nieruchome łabędzie ciało leżało u jego nóg.

Zastonił twarz dłońmi i w pośpiechu myląc słowa zaczął odmawiać modlitwę...

Tego dnia Berke-chan dłużej niż zazwyczaj przebywał nad jeziorem, wstrząśnięty śmiercią ostatniego Ze świętych ptaków podarowanych mu przez Czyngis-~chana.

Czyżby to już był koniec? — zastanawiał się. — Czyżby to był znak Nieba ostrzegającego, że wkrótce zerwie się nić mojego życia?...

Potem rozpacz ustąpiła miejsca wściekłości. Chan nie chciał poddawać się losowi. Choćby jego dni rzeczywiście miały być już policzone, to jednak wciąż jeszcze pozostaje władcą Złotej Ordy i nikt mu nie może odebrać jedynej dostępnej radości.

Ma przecież jeszcze władzę nad dziesiątkami tysięcy ludzi, a tymczasem gdzieś tam wciąż żyją jego wrogowie ciesząc się ze słońca i widoku błękitnego nieba. Wszystko jest w ręku Allaha, ale dopóki on żyje, Orda wysłucha każdego jego słowa i dokona się to, czego chan zapragnie.

Wściekłość i strach, toczące niczym robak jego duszę, wysuszały również ciało. Żółta skóra napięła się na wystających kościach policzkowych, a w oczach chana pojawił się migotliwy gorączkowy blask.

To nic, że po śmierci nikt go może nawet nie wspomni, ale dopóki żyje, musi porachować się z Salimgi-rejem, Akdżamał i Kunduz. Każę ich pojmać, a zedrę z nich żywcem skórę.

Berke rozkazał wezwać do swego namiotu Tuda Mengu.

Niewysoki, krępy nojon stawił się skwapliwie i teraz w pełnym szacunku pokłonie stał przed chanem. Patrząc na niego Berke pomyślał nagle, że nie jest podobny ani do swojego dziadka Batu-chana, ani do ojca Tatumana. Tuda Mengu to odważny wojownik, ale czasem wybucha bez powodu, bywa też niepowściągliwy w mowie, a niekiedy wręcz gadatliwy. Po tradycyjnych powitaniach chan powiedział. — W lasach w górnym biegu Itilu zebrało się zbyt wielu zbiegłych niewolników. Przewodzi im były nasz setnik Salimgirej. Jest z nim dziewczyna imieniem Kunduz, którą schwytałeś w górach Kaukazu...

300

Tuda Mengu uśmiechnął się szeroko.

— Znam ich oboje, ale Kunduz już chyba nie jest dziewczyną...

Berke skrzywił się z niezadowoleniem.

— Nie o tym chciałem z tobą mówić...

Nojon, nie zauważając irytacji chana znów się roześmiał.

— ■ Jak by nie było, to i tak Kunduz jest radością dla oczu... Ech, czemu posłuchałem nojona Nogaja...

— ■ Słuchaj mnie!... — przerwał mu surowo Berke. — Niewolnicy stają się zbyt niebezpieczni dla Złotej Ordy. Wezmiesz wojsko i wyruszysz przeciwko nim. Szpiedzy wskażą ci drogę do ich kryjówki. Zrobisz tak, żeby ani jeden niewolnik nie uszedł z życiem...

— A co zrobić z Kunduz?

— Zabij ją — powiedział chan. — Wśród niepokornych jest również moja najmłodsza żona, Akdżamał. Ją też zabij.

Tuda Mengu zasmucony mlasnął językiem.

— Po co zabijać takie dwie piękności? Jeśli ich nie potrzebujesz, wielki chanie, oddaj je mnie...

— Zabij — powtórzył Berke. — Jeśli potrzebujesz kobiet, to możesz wziąć sobie wszystkie moje żony...

Tuda Mengu pokręcił odmownie głową.

— Po co mi staruszki? Czy nie mam dość własnych babek?

Nikomemu innemu Berke nie pozwoliłby tak mówić w swojej obecności. Dobrze jednak znał nojona i doskonale wiedział, że to są tylko puste słowa. Nikt lepiej od Tuda Mengu nie spełni tego, czego zapragnie chan. A poradzić sobie z niewolnikami nie będzie łatwo. Oni wiedzą, co ich czeka, jeśli któryś z nich dostanie się żywcem do rąk nojona.

— Zapomnij o pięknych kobietach — powtórnie o-strzegł go chan.

Tuda Mengu spoważniał.

301

— Nie jestem taki szalony — powiedział — żebym tracił głowę dla kobiety. Przywiążę każdą z nich do ogona dzikiego konia...

Nie jest szalony... Jednak wśród Czyngisydów Tuda Mengu uchodził właśnie za takiego. Nikt nie potrafił tak okrutnie rozprawiać się ze zwycięzonymi, nikt nie przelewał tyle krwi, ile ten człowiek.

Wojsko Tuda Mengu miało wyruszyć przeciwko oddziałowi Salimgireja następnego dnia o zachodzie słońca, ale jeszcze tego samego wieczoru wierni ludzie zawiadomili niewolników o szykującej się przeciw nim wyprawie.

Salimgirej postanowił nie unikać starcia z nojo-nem, bo doskonale wiedział, że to nic nie da. Od czasów wielkiego Czyngis-chana Mongołowie zawsze doprowadzali swe zamiary do końca, więc jeśli nawet spróbowałyby się ukryć lub uciec, to i tak Tuda Mengu będzie go ścigał choćby na skraj świata.

Nadchodząca noc zniweczyła plany Berkego. Z Nowogrodu nieoczekiwanie przybyło poselstwo pod przewodnictwem bojara Daniela. Posłowie przyjechali w pilnej sprawie, więc chan niezwłocznie ich przy-

jął.
Znowu gromadziły się chmury nad Nowogrodem i Pskowem, znowu niemieccy rycerze postanowili spróbować szczęścia.

— Jeśli Złota Orda pamięta jeszcze swoją obietnicę daną nam przez chana Sartaka — powiedział Daniel — to niechaj wspomóż nas wojskiem.

Berke był przygotowany na przyjazd Rusów. Już dawno zastanawiał się nad tym, co przedsięwziąć, jeśli Niemcy ruszą na Nowogród i Psków. Ustąpić im, znaczyło stracić ruskie ziemie płacące bogate daniny. Złota Orda nie jest jeszcze taka słaba, żeby odstępować komukolwiek tłusty kąsek.

Chan wezwał Tuda Mengu.

302

—■ Zmieniłem decyzję — powiedział. — Z niewolnikami rozprawi się kto inny. Ty zaś wyruszysz na ziemie Rusów...

No jon ucieszył się.

— Rozkazuj, wielki chanie. Niechaj niewolnikami zajmie się kto inny. Bo gdyby tak te dwie piękności zamglily mi oczy i zmiękczyły serce...

Nie słuchając paplaniny no jona, Berke ciągnął dalej.

— Pójdiesz na ziemie Nowogrodu i Pskowa i pomożesz Rusom rozgromić żelazną konnicę Niemców...

Widząc, że chan nie jest skory do żartów, Tuda Mengu zapytał:

— Kiedy mam wyruszyć?

— O świcie.

— Rozkazałeś, wielki chanie.

Jeszcze gwiazda zaranna nie zdążyła zgasnąć na szarym niebie, gdy wojsko Tuda Mengu ciągnęło już w stronę ruskich ziem.

Salimgirej nie rozumiał postępowania nojona. Oczekiwał napadu i szykował się do bitwy, a Mongołowie tymczasem coraz bardziej oddalali się od brzegów Itilu.

Lękając się zasadzki, wysłał za Tuda Mengu niewielki oddziałek pod dowództwem Kunduz, żeby poznać zamiary nojona.

W południe do obozu Salimgireja przygalopował jeździec. Kunduz donosiła, że wojsko Tuda Mengu zatrzymało się na popas nad brzegiem jeziora otoczonego sosnowym borem. Konie zostały napojone i przepędzone na pastwisko po przeciwnej stronie jeziora. Znaczyło to, iż nojon postanowił tam zanocować.

Salimgirej nie szukał starcia z nojonem ze względu na przeważające siły wroga, ale pokusa, żeby napaść nań nocą, kiedy będzie wypoczywał, nie dawała mu spokoju. Rozkazał swoim ludziom, aby niewielkimi grupkami przedostali się do lasu w pobliżu obozu Mongołów.

303

Wojownicy ukryli się w gęstwinie, żeby wystawione przez nojona posterunki nie mogły ich wykryć. Ludzie przygotowywali się do bitwy, po raz ostatni sprawdzając broń i podciągając popręgi koni.

Salimgirej przedostał się na skraj lasu, chcąc zbadać podejścia do mongolskiego obozu.

Były setnik natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że walka będzie niełatwa, gdyż Tuda Mengu miał co najmniej dziesięć tysięcy wojowników. Cały tumen zahartowanych w bojach, doświadczonych jeźdźców przeciwko jego tysiącowi, wśród którego byli wczorajsi niewolnicy, którzy dopiero niedawno po raz pierwszy wzięli szablę do ręki.

Cóż z tego, że na obóz można napaść z zaskoczenia. Wściekłość i nienawiść źle uzbrojonych ludzi nie wystarczy do rozbicia takiej siły. Mongołów nie da się pokonać, dopóki będą razem. Co jednak Tuda Mengu zamierza? Dlaczego zachowuje się tak dziwnie i zamiast szukać oddziału, przygotowuje się do jakiegoś dalekiego marszu w stronę ruskich ziem?

Ta myśl nie dawała Salimgirejowi spokoju. Widział, że tumen wyruszył bez branych zazwyczaj na wyprawę taborowych wozów, bez karawany załadowanej rozebranymi jurdami, a każdy wojownik miał po dwa zapasowe konie. Tak w mongolskim wojsku postępowano wyłącznie wówczas, gdy trzeba było jechać szybko i... daleko.

Salimgirej usłyszał nagle cichy szmer. Odwrócił się gwałtownie. Nisko pochylona, kryjąc się w gęstych krzewach zbliżała się do niego Kunduz.

— Co się stało? — zapytał ją z niepokojem.

— Z Saraj-Berke przygalopował nasz człowiek. Powiada, że chan zmienił zamiar. Na prośbę Rusów Tuda Mengu idzie do Nowogrodu, żeby pomóc im zwyciężyć wroga, który zamierza napaść na ich ziemie.

304

Salimgirej westchnął z ulgą.

— Popatrz — powiedział wskazując mongolski o-bóz. — Nie damy im rady, jeśli nawet napadniemy nieoczekiwanie. Jest ich zbyt wielu...

Kunduz zmrużonymi oczami patrzyła na niski piaszczysty brzeg jeziora, gdzie dymiły setki ognisk i kręcili się ludzie.

— Szkoda — powiedziała. — Gdyby tak rozbili się przynajmniej na dwa obozy... Wtedy przywiązałabym Tuda Mengu do ogona jego własnego konia... — Jej oczy mściwie błysnęły.

— Zapłaciłby za wszystkie nieszczęścia, które przyniósł ludziom... Teraz będzie trzeba poczekać na inną okazję...

Długo milczeli. Słońce zachodziło za postrzępioną ścianę lasu i długie cienie sosen legły na ziemi. W lesie zrobiło się cicho i mroczno. Z mongolskich ognisk unosił się ku niebu niebieskawy dym, który rozpadał się na wietrze w postrzępione smugi, ulatujące w stronę ruskich ziem.

— Wiem, co trzeba zrobić — powiedziała nagle Kunduz. — Tym razem nam się nie powiedziało, ale pozostaliśmy przy życiu i musimy działać. — Położyła dłoń na ramieniu Salimgireja. — Chodźmy stąd, to opowiem ci, co wymyśliłam...

O świcie wojsko Tuda Mengu przez nikogo nie zaczepiane wyruszyło w dalszą drogę. Marsz jego był szybki jak lot strzały wypuszczonej z mocnego łuku. Zmieniając zdrożone konie, zatrzymując się tylko na krótkie popasy, żeby wojownicy mogli się nieco przespacerować i napaść konie, Mongołowie dniem i nocą pędzili ku północnym ruskim ziemiom.

Zupełnie czym innym zajmował się w tym czasie Salimgirej. Tej samej nocy jego oddział wrócił na stare miejsce postoju i Kunduz opowiedziała, na czym

20 — ziota Orda

3Q5

polega jej pomysł. Ponieważ był bardzo prosty i ro, kujący powodzenie, Salimgirej przyklasnął mu i zajął się jego wykonaniem.

W kilka dni później wysłał do Berkego swojego wojownika, który przekazał chanowi jego słowa:

— Mamy wielkie wojsko — powiedział posłaniec. — Jeśli nie oswobodzisz wszystkich niewolników, wów-j czas napadniemy na ciebie i zburzymy twoje miasto.

Chwila do stawiania takich zuchwałych żądań była dobrze wybrana.

W czasach, kiedy Nogaj był laszkarbaszym Złotej Ordy, niedaleko głównego obozowiska zawsze stacjonowało trzydzieści tysięcy wojowników. Berke, znając zdecydowanie i podstępny charakter nojona, obawiał się nieustannie, aby laszkarbaszy któregoś dnia nie zapragnął odebrać mu tronu. Dlatego po powrocie Nogaja z wyprawy na Hulagu odebrał mu godność laszkarbaszego, dał nowy wielki ułus na zachodnich ziemiach Ordy i wyprawił go tam.

Utrzymując, że nastały spokojne czasy, Berke nie mianował nowego dowódcy wojsk i rozkazał nie trzymać stałego wojska wokół stolicy. Od tego czasu miasta strzegły oddziały składające się z wojowników przysyłanych kolejno przez poszczególne ułusy zaledwie na trzy miesiące. Ich liczebność nie przekraczała jednego tumenu.

Teraz, kiedy Rusowie zażądali pomocy, ten właśnie tumen wziął ze sobą Tuda Mengu. Berke wprawdzie już posłał do nojona Tuk-Bukiego swojego gońca z żądaniem pilnego przysłania wojska do ochrony głównego obozowiska, ale wojsko to jeszcze nie przybyło i w Saraj-Berke nie było żadnej siły zbrojnej poza nukerami ze straży przybocznej chana. Z tego właśnie za radą Kunduz postanowił skorzystać Salimgirej.

Niewolnicy na wieść o żądaniu Salimgireja zaczęli

306

się burzyć. Chan Berke, pamiętając ich poprzedni bunt i kipiąc ze wściekłości, zmuszony był ich oswobodzić.

Oddział wzmocnił sit,- o nowych wojowników. Salimgirej poprowadził swoich ludzi w górę Itilu i wkrótce ślady zatarły się w bezbrzeżnych kipcackich stepach.

A potem nadeszła szara, zimna jesień z przenikliwymi wiatrami. Któregoś dnia spadł śnieg, który już nie stajał. Oddział Salimgireja napotkał podobny oddział wolnych ludzi pod dowództwem baatura Dżagana. Postanowili wspólnie przezimować w środkowym biegu Itilu, gdzie były dobre pastwiska i gdzie można było doczekać wiosny żywiąc się upolowaną zwierzyną.

Na początku zimy Salimgirej i Akdżamał stali się mężem i żoną...

Kipcacki step drzemał spowity w zimny całun śniegu, a w tym samym czasie w ciepłym, nie znającym długiej zimy Mawarannahrze krzepł i nabierał siły Barak-chan.

Rzemieślnicy Chodżentu, Buchary i Samarkandy przygotowywali broń dla jego wojska. Ludzie przerażeni wzrostem potęgi Złotej Ordy i obawiający się nowych najazdów dzikich koczowników robili wszystko, żeby Barak mógł uzbroić swoje tumeny. Własny władca wydawał się im łaskawszy od obcego.

Barak, wypróbując odporność wojska, wysyłał swoje tumeny w stronę Otraru, ale wydać wielkiej bitwy tumenom Kajdu jeszcze się nie odważał.

Miał po temu swe powody. W środkowym biegu Sejhunu, przyczaiwszy się, niczym wielki smok, stało pięćdziesiąt tysięcy jazdy Złotej Ordy pod dowództwem Mengu Temira. Barak lękał się tego wojska bardziej niż Kajdu, gdyż nie wiedział, co Złota Orda zamyśla.

Wszystko jest zmienne na tym świecie i dlatego o-strożność nikomu jeszcze nie zaszkodziła...

307

Nieoczekiwanie Kajdu przysłał poselstwo z nojo-nem Kipcakiem zrodzonym z Kudana, syna Ugedēja na czele, który powiedział:

— Wszyscy jesteśmy potomkami Czyngis-chana i nie godzi się nam gryźć ze sobą.

Kipcackich stepów i przestworów Mawarannahru starczy dla wszystkich. Nie będziemy wszak rozrywać tej ziemi na strzępy.

Barak zgodził się, ukrywając ogarniającą go radość. Postanowiono nie napadać na siebie, a w następnym roku zwołać kurułtaj wszystkich potomków Czyngis--chana i rozstrzygnąć spory polubownie.

Berke dowiedział się o tym porozumieniu w połowie zimy. Sojusz potomków Ugedeja i Dżagataja nie rokował Złotej Ordzie niczego dobrego.

Zebrawszy w pałacu swych nojonów, rozgniewany chan wykrzyknął:

— Co robi Mengu Temir? Po co dałem mu pięć tu-menów? Czy nie po to, żeby poszczuł na siebie wilczęta Ugedeja i Dżagataja, a potem, osłabiwszy ich, jednym ciosem podbił Mawarannahr? A ten podły tchórz zachowuje się jak leniwy kot przy ognisku! TM

Berke postanowił pilnie wysłać do kwatery głównej Mengu Temira oddział, który przypomniaby nojonowi, po co został wysłany nad brzegi Sejhunu i przekazał mu gniewne słowa chana Złotej Ordy.

Zima tego roku była niezwykła. Niemal nie ustawały zawieje, podczas których ziemia zlewała się z niebem i nawet wytrzymałe mongolskie konie nie mogły iść pod wiatr i padały pod jego naporem na kolana.

Za to wiosna była wczesna i gwałtowna. Słońce w ciągu zaledwie paru dni roztopiło zwały śniegu pokrywającego Deszt-i-Kipczak. Ziemia po tych roztopach zamieniła się w morze.

Wystąpiły z brzegów stepowe rzeki Jaik, Irgiz i Turgaj.

Kiedy zaś wody spłynęły i rzeki niemal powróciły

308

do swych koryt, wówczas rozpadały się ulewne deszcze, które przekształciły step w bagno, w którym tonęły konie.

Posłańcy Berkego z najwyższym trudem dotarli do obozowiska Mengu Temira. Wielkie było ich rozczarowanie, kiedy dowiedzieli się, że sojusz między potomkami Ugedeja i Dżagataja okrzepł tak, iż w najbliższym czasie nie da się go zakłócić. Nie wiedzieli, że Mengu Temir wcale nie z opieszałości nie wychylał nosa ze swego obozu i nie podejmował żadnych działań. Nojon postąpił tak umyślnie, bo miał własne dalekosiężne zamiary.

Rozzłoszczony bezczynnością Mengu Temira Berke całą zimę miotał się jak dziki zwierz w klatce.

Z najwyższym trudem doczekał pory, kiedy ziemia nieco podeschła i brzegi Itilu pokryły się pierwszą trawą. Teraz step napojony wiosenną wodą z każdym dniem rozkwitał. Niebo nad nim było wysokie i bezdenne. Na jeziorach i rzecznych rozlewiskach roiło się od ptaków, a w wierzbowych zaroślach nad Itilem całymi nocami śpiewały oszalałe z miłości słowiki.

W jeden z takich wiosennych dni Berke rozkazał zawołać do swego namiotu Tuda Mengu i Toktę, syna Mengu Temira, którzy wrócili z ruskich ziem. Kiedy nojonowie weszli, chan mimo woli zachwyił się ich widokiem. Obaj byli młodzi, smukli i energiczni w ruchach. Obaj odziani byli prosto, w zwykłe kaftany przepasane rzemieniem, na którym wisiała szabla, w miękkie mongolskie buty i czapki obszyte lisim futrem. To ubranie było zwyczajowym strojem mongolskiego wojownika od czasów Czyngis-chana. Ale nojonowie nosili się tak nie tylko dlatego. Berke wiedział, iż ci dwaj ponad wszystko na świecie kochają oręż i konie.

Pochwy i rękojeści ich szabel i kindża-łów kapały od srebra, złota i drogich kamieni, zaś

309

wierzchnowce, karę ogiery, paradowały w rzędach na-Drjanych czystym białym srebrem.

Młodzi nojonowie lubili pohłasować i wśród Czyn-gisyaow cieszyli się opinią zadzierzystych awanturników.

Po stosownych powitaniach chan rozkazał młodzieńcom usiąść. Usłuchali go i usiedli ze skrzyżowanymi nogami na rozesłanym u podnóża tronu puszystym perskim dywanie.

— Пи macie teraz wojowników? — zapytał Berke.

— Zgodnie z rozkazem każdy z nas przyprowadził po pięć tysięcy wojowników — odparł Tokta, wpatrując się czujnie w twarz chana.

— Dobrze. Przygotujcie się do wyruszenia z nimi w każdej chwili. Pod moim dowództwem... Tuda Mengu pochylił się do przodu.

— Droga będzie daleka?

Berke zachmurzył się. Nie lubił, kiedy mu przerywano.

— Nie. Wystarczy zaledwie dwa dni, żeby ujrzeć twarz wroga. Jak nam wiadomo, oddział zbiegłych niewolników znajduje się teraz na prawym brzegu Itilu, w Czarnym Lesie.

Otoczymy go i podpalimy...

Tuda Mengu roześmiał się wesoło.

— To znaczy, że upieczemy żywcem również dwie piękności!...

Twarz Tokty pozostała spokojna i surowa.

— Po co bez potrzeby palić las? — powiedział. — Niewolników jest najwyżej dwa tysiące i nasi odważni wojownicy bez trudu sobie z nimi poradzą.

Berke pokręcił głową.

— Nasi wojownicy przywykli walczyć konno i las nie jest miejscem, w którym mogliby wykazać się dzielnością. Natomiast wśród niewolników jest wielu Rusów i Bułgarów, którzy znają lasy, potrafią walczyć pieszo i w razie potrzeby prześlizgną się przez

310

każdy posterunek. Postąpimy tak, jak powiedziałem. Ogień pomoże nam dokonać tego, czego nie potrafią zrobić wojownicy.

— Niechaj tak się stanie — zgodzili się nojonowie.

— Idźcie przygotować się do wyprawy. I niechaj

już dzisiaj w stronę Czarnego Lasu wyruszą arby z trzydziestoma bukłakami wypełnionymi chińskim o-

gniem.

Tuda Mengu i Tokta skłonili się nisko chanowi.

Czarny Las ciągnął się szerokim pasmem wzdłuż wysokiego brzegu Itilu. Potężne dęby, smukłe sosny i śnieżnobiałe brzozy tworzyły tam nieprzebyte gąszcz.

Oddział Salimgireja, ukrywający się w ciemnej głębi lasu, wyprawiał się stamtąd na mongolskie patrole i ciągnące obok karawany wiozące daniny zebrane na ziemiach ruskich i bułgarskich.

Wojownicy wycięli w gąszczu wąską ścieżkę, którą obok siebie mogło jechać zaledwie dwóch konnych, i nią wydostawali się na step, po czym tą samą drogą wracali do swojego obozu.

Salimgirej nie zamierzał długo tam popasać. Miejsce wprawdzie było wygodne, ale niezbyt bezpieczne, gdyż wstęga lasu była zbyt wąska. Czekał tylko, aż step podeschnie, a rzeki powrócą do swych koryt.

Młody baatur, przywódca wolnych Kipczaków, Dża-gan, z którym zaprzyjaźnił się zimą, namawiał Salimgireja do przeniesienia się w głąb stepu, na brzegi Jaiku, daleko od chańskiej stolicy. Tam koczowały spokrewnione z nim kipczackie rody i można było liczyć na to, że nie wydadzą ich Berkemu.

Salimgirej wiedział, że od tej chwili ani on, ani jego ludzie nie zazną spokoju. Wcześniej czy później ktoś doniesie chanowi, że uciekinierzy ukrywają się w lesie, a wówczas niechybnie dosięgnie ich długa ręka Złotej Ordy.

A jednak zmęczeni nieustannymi starciami i uciecz-

311

kamiludzie potrzebowali choćby krótkiego wypoczynku. Ponadto istniała nadzieja, że uda się pozyskać nowych wojowników i uczynić oddział jeszcze silniejszy.

Nojonowie Berkego potrafili wybierać odpowiednią chwilę.

Dziesięć tysięcy wojowników prowadzonych przez szpiegów przybyło do Czarnego Lasu po północy i zamknęło uciekinierów w szczelnym pierścieniu.

Biegli w posługiwaniu się płynnym ogniem Chińczycy znajdujący się na służbie u Berkechana określili kierunek wiatru i szybko zrobili swoje, wylewając w odpowiednich miejscach zawartość bukłaków.

Tysiące ognistych węży wdarło się do lasu rozświetlając jego gąszcz. Czerwone pióropusze wytrysnęły ku koronom sosen.

Drzewa napełnione żywymi wiosennymi sokami nie chciały umierać, ale ogień był od nich silniejszy. W niebo wleciały płomienie i płaty sadzy podobne do czarnych kruków.

Pierwsi spostrzegli ogień wojownicy stojący na wysuniętych posterunkach i rzucili się ku obozowi. Lawina płomieni toczyła się za nimi, a nad koronami drzew miotaly się z krzykiem ptaki, które utraciły swoje gniazda.

Ognista podkowa coraz ciasniej obejmowała obóz. Spokój panował tylko tam, gdzie las urywał się nad niewidzialnym w ciemności brzegu Itilu. Na rozkaz Salimgireja część wojowników, zebrawszy kobiety i dzieci, wycofała się nad rzekę.

Zanim wojownicy odszukali pasące się na leśnych polanach spętane konie i osiodłali je, gryzący dym zasnuł już cały obóz.

Wolna była tylko jedna droga: w stronę Itilu. Cisza tam panująca była podejrzana i groźna, ale otoczeni nie mieli wyboru i Salimgirej rozkazał wycofać się nad rzekę.

312

— Do wody! — krzyczał. — Wszyscy do wody! Ci, co ocaleją, zbiorą się na przeciwległym brzegu!

Brzeg był urwisty i konie z głośnym rzeniem wpadały do wody. Za nimi, porzuciwszy broń i zdzierając z siebie ubrania, skakali ludzie. Tylko Salimgirej z trzydziesto-roa konnymi pozostał na brzegu osłaniając odwrót.

Ludzie uczepli końskich grzyw i ogonów walczyli z prądem. Nad Itilem było jasno jak w dzień i tylko upragniony przeciwległy brzeg tonął w mroku.

Berke umiał się mścić. Na jego rozkaz jeszcze za widoku tysięcy mongolskich wojowników pod dowództwem Tuda Mengu przepравиło się na drugi brzeg i tam zaczął się w wysokich zaroślach wierzbiny naprzeciw Czarnego Lasu.

— Ani jeden niewolnik nie powinien przedostać się na step! — rozkazał krótko nojonowi. Był pewien, że Tuda Mengu zrobi wszystko, żeby tak się stało.

Ledwie nogi uciekinierów dotknęły dna i gdy ludzie, nie wierząc jeszcze w ratunek, ruszyli ku brzegowi, na ich głowy spadły ciosy ciężkich maczug. Przeszywając ciała zamordowanych włóczykami, Mongołowie spychali zwłoki do wody.

Berke w otoczeniu nukerów stał na wysokim brzegu Itilu i przypatrywał się, jak jego wojownicy podpalają las. Widział potem, jak miotali się nad brzegiem oszaleli ze strachu ludzie, jak z urwiska z przenikliwym rzeniem spadały konie i jak wody Itilu poczerniały od krwi i odbłasków płomieni.

Twarz chana była nieruchoma i purpurowa w świetle ognia, a jego dusza triumfowała.

Nareszcie dokonało się to, o czym tak długo marzył bezsennymi nocami.

Jego wrogowie zostali pokonani. A jakaż radość może się równać z tą radością, jaką sprawia widok znieprawionego, rozdeptanego na miazgę wroga?

Na oczach Berkego umierali sprawcy i świadkowie jego hańby.

313

Mocną zacisnąwszy palce na wiszących u pasa krętych rogach suhaka, starając się niczego nie przepuścić i wszystko zapamiętać, chan nie odrywając wzroku patrzył na pożar.

Przypomniał sobie nagle dawno zapomniane wydarzenie. Wówczas Berke miał niewiele ponad dwadzieścia lat i tak samo jak dzisiaj stał nad brzegiem wielkiej rzeki, i patrzył na ludzi miotających się w dymie i płomieniach. Tyle że wówczas płonął nie las, a piękne ruskie miasto Kermen-kiwe.

Od tej pory odbłask płomieni pożogi zawsze wzbudzał w sercu chana uczucie podniosłej radości.

Berke pomyślał naraz, iż być może ten pożar jest ostatni w jego życiu, że może już nigdy nie chwyci go za gardło przecucie bliskiego zwycięstwa.

Jego nieruchoma dotychczas twarz drgnęła. W lewym uchu zakołysał się złoty kolczyk z ośmiokątnym brylantem, a coś na kształt uśmiechu wykrzywiło bezzębne usta. Za plecami Berkego stała już śmierć, ale nie wiedział o tym, gdyż nie patrzył na siebie z boku.

Do samego świtu, do chwili, kiedy jęzory ««ognia nie! przestały płaszać nad miejscem, gdzie jeszcze niedawno rósł Czarny Las, chan trwał na wysokim brzegu Itilu.

Wielki Itil zmył krew z przybrzeżnych piasków i u-niósł ciała zabitych, a na duszę Berkego przytłoczoną szarym świtem zwalił się niespodziewany ciężar zawodu. Gdybyż to można było zrobić tak, aby bez przerwy płonął ogień, gorzał cały świat i krzyczeli umierający ludzie! Ale coś takiego nie było w mocy nawet wielkiego chana, pana i władcy Złotej Ordy.

Pozostali przy Salimgireju wojownicy, żeby nie zadusić się w gryzącym dymie, zawiązali sobie twarze aż po oczy mokrymi chustami i prowadząc konie krótko przy pyskach zaczęli się przedzierać wzdłuż brzegu, usiłując wydostać się z lasu na otwarty step. Kiedy wreszcie uznali, że niebezpieczeństwo minęło i wdrapali się na urwisko, Salimgirej drgnął zaskoczony, gdyż wprost przed sobą na odległość strzału z łuku dojrzał niewielki oddziałek jeźdźców stojący na skraju lasu. W brzasku rodzącego się dnia bez trudu rozpoznał Berkego w otoczeniu najwyżej dziesięciu nukerów.

Nie wahał się nawet przez chwilę. Sam los zetknął go twarzą w twarz z krwawym chanem i takiej o-kazji nie wolno mu było przegapić. Salimgirej wiedział, że nukerzy ze straży przybocznej Berkego są biegłymi wojownikami, ale tym razem przewaga była po jego stronie.

— Na koń! — krzyknął. — Zemścimy się za naszych poległych!

Ziemia zadrżała pod kopytami koni i ochryple krzyki atakujących zlały się w jedno groźne wycie.

Salimgirej spodziewał się oporu, lecz Berke-chan, krzyknąwszy coś do nukerów, zdzielił konia batem i pomknął w step. Napastnicy nie wiedzieli, że chan wołał nie ryzykować i postanowił zważyć ich tam, gdzie po bitwie w Czarnym Lesie wyznaczono punkt zborny mongolskiego wojska.

Wierzchowce wojowników Salimgireja były mniej zmęczone od koni ordyńców, zdrożonych nocnym marszem. Nic więc dziwnego, że z łatwością dopędzali nukerów i ciosami ciężkich maczug wyrzucali ich z siodeł. Tylko rumak Berkego, sławny w całym kip-czackim stepie, Aktanger, błyskawicznie unosił swego jeźdźca coraz dalej od niebezpieczeństwa. Chana wytrwale ścigał Salimgirej i baszkirski baatur Galimzian. Baatur miał niezwykłego rumaka z rodzaju tych, które lud nazywa uczkurami. W krótkim galopie mógł prześcignąć nawet ptaka, ale nie nadawał się do długiego biegu. I dlatego, zmusiwszy konia do największego wysiłku, Galimzian niemal dopadł ściganego.

315

Wówczas rzucił wodze i wyciągnął z saadaku łuij — Nie strzelaj! — krzyknął Salimgirej. — Spróbuj jemy wziąć go żywcem!

Baszkir zawahał się i za chwilę nie mógł już nic zrobić bo jego wierzchowiec zaczął coraz bardziej zwalniać. Wkrótce Salimgirej wyprzedził baatura. Teraz tylko on ścigał chana.

Pragnienie, żeby za wszelką cenę wziąć go żywcem, dodawało mu sił i zdawało się, że i koń, wspaniały turkmeński argamak, podzielał uczucia swego pana i niemal nie tykając ziemi pędził przez step.

Wolno, lecz nieuchronnie zmniejszała się odległość między jeźdźcami. Wiatr wyciskał im łzy z oczu. Salimgirej uniósł się w strzemionach, żeby zarzucić na j szyję chana pętlę z arkanu, ale właśnie w tym momencie Berke odwrócił się i wykręciwszy się w siodle, niczym młody wojownik, wystrzelił z łuku. Hartowany grot strzały przebijający nawet kolczugę głęboko wszedł w pierś Salimgireja i odrzucił jego ciało do tyłu. Były setnik zwałił się z konia i gasnącymi oczami zdołał jeszcze zobaczyć purpurowe pasemko zorzy poranej, rozciągające się tam, skąd niebawem miało wzejść słońce.

Siedząc na uroczystej uczcie wydanej na cześć zwycięstwa, Berke nadal myślał o marności tego świata. Miał wszystko: sławę, złoto i władzę nad ludźmi, ale z coraz większą ostrością czuł, że wszystko to jest złudne i przemijające. To, z czego był dumny i w czym upatrywał sens swego życia na ziemi, odchodziło i gasło, a dusza zmęczona przeżyтыми latami stawała się głucha na radości i cierpienia tego świata. Pozostawało żyć, postępować i działać tak, żeby wszystko toczyło się utartą koleją.

Czyżby wszystko, co mu się w życiu przytrafiło,

316

było pozbawione sensu, a świat był pusty i bezlitosny? Rozterka wewnętrzna, która ogarnęła chana w noc rozprawy z niepokornymi, już go od tej chwili nie opuszczała. Był rok zająca (1255)...

Gońcy z Iranu przynosili niepokojące wieści. Hula-gu umarł, ale jego spadkobiercy nie chcieli się pogodzić ze swoimi stratami na Kaukazie. W tej sytuacji Berke, wezwawszy do siebie Nogaja, rozkazał mu ponownie ruszyć z tumanami na Step Mugański, żeby przypomnieć wrogom o sile i majestacie Złotej Ordy. Jednak ilchan Abaga nie uląkł się i wysłał naprzeciw wielkie wojsko.

Do bitwy doszło nad brzegami Kury i Niebo tym razem nie było przychylne Nogajowi, który doznał druzgocącej porażki, został ranny w głowę i oślepl na jedno oko.

Resztki złotoordyńców wycofały się pospiesznie do

Szyrwanu.

Wiadomość o zagładzie tumanów Nogaja tak wstrząsnęła Berkem, że na czele trzystutysięcznego wojska wyruszył na pomoc swemu nojonowi. Jednak nawet to nie zmusiło ilchana Abagi do szukania zgody. Postępował tak, jakby kierowała nim ręka opatrności, bo do bitwy tym razem nie doszło. Wielki chan Złotej Ordy umarł w drodze na atak serca. Ciało Berkego wojownicy przywieźli do stolicy. Po raz pierwszy mongolskiego chana grzebano nie tak, jak to było w zwyczaju w jego dalekiej stepowej ojczyźnie. Berke jako opiekun muzułmanów, który sam przyjął wiarę proroka Mahometa, został pochowany na zachód od Saraju na rozległej równinie. Nad jego grobem nie przepędzono tabunów koni, lecz zgodnie z muzułmańskim obrządkiem wzniesiono mazar z czarnego kamienia i na takiej samej płycie wyryto złotymi zgłoskami jego imię oraz stosowną w takich razach surę Koranu.

317

Tymczasowym władcą Złotej Ordy został cherlawy i chory młodszy brat Berkego, Berkendzar.

Na wszystkich ziemiach podległych Złotej Ordzie ogłoszono powszechną żałobę.

Wiosną następnego roku na kurułtaj do Saraj-Ber-ke zjechali się potomkowie Dżuciego. Po długich sporach na białym wojłoku podniesiono nowego chana Złotej Ordy, Mengu Temira. I tym razem szczęście nie dopisało Nogajowi. Wnukowie i prawnukowie Czyngis-chana, lękając się jego energii, władczości i trudnego usposobienia woleli dla własnego spokoju wynieść na tron o wiele łagodniejszego i nie tak upartego Mengu Temira. Nowe czasy nadchodziły dla Złotej Ordy, a przyszłość jej tonęła w mroku.

Chan Berke nie powtórzył dokonań Batu-chana: nie podbił nowych ziem i nie rozszerzył granic swego państwa, ale przez wszystkie lata swego panowania umiejętnie ochraniał to, co mu się dostało w dziedzictwie.

Ten prawdziwy Mongoł w najdrobniejszym szczególe przestrzegał przykazań Czyngis-chana i riikt z potomków Dżuciego za jego życia nie ośmielił się czynić zakusów na złoty tron. Podobnie, jak i jego dziad, Berke sam rozstrzygał wszelkie spory wynikające między emirami i nojona-mi. Nikt nie odważał się pominąć go i dochodzić swego za pośrednictwem ludzi bliskich tronowi. Każdego, kto próbowałby to zrobić, czekała śmierć.

Czyngis-chan nakazywał: „Tumenom, tysiącom i sotniom mogą przewodzić jedynie ci, którzy we wszystkim słuchają chana. Na początku i w końcu roku każdy ma obowiązek złożyć sprawozdanie ze swych działań. Ci zaś, którzy ośmielą dopuścić się samowoli, wypoczywać albo ukrywać swoje działania zacierając ślady na podobieństwo kamienia wrzuconego do wody lub

318

strzały wypuszczonej z łuku w gęste trzciny, winni zniknąć. Tacy dowódcy nie mogą przewodzić wojsku... Berke-chan święcie przestrzegał również i tego przykazania. Wszyscy mu się podporządkowywali i dlatego wojsko Złotej Ordy, podobnie jak za Batu-chana, wyróżniało się żelazną dyscypliną. Nawet Nogaj, krnąbrny i zapalczywy, nie uznający nad sobą niczyjej władzy, nie ośmielał się sprzeciwiać Berkemu.

Chociaż nie odznaczał się szczególnymi zdolnościami wojskowymi, to jednak zdołał Berke pomnożyć nie tylko siłę Złotej Ordy, lecz także jej bogactwa. Sprzyjał handlowi i rzemiosłu i doprowadził do tego, że ani jeden człowiek mieszkający na podległych mu ziemiach nie mógł uniknąć płacenia podatków i danin.

Odszedł z tego świata podstępny, chytry i dalekowzroczny Berke i nie było takiego proroka, który odważyłby się przepowiedzieć przyszłość Złotej Ordy i przyszłość jej nowego chana...

W sierpniu, kiedy upłynął rok od śmierci Berke--chana, urządzono wspominki. Na rozkaz Mengu Temira pośród równego stepu na brzegu Itilu ustawiono pięćset białych jurt.

Emirowie, nojonowie, tysięcznicy i setnicy lewego i prawego skrzydła wojsk Złotej Ordy otrzymali po sto jurt. Sto namiotów przeznaczono dla możnych podległych Złotej Ordzie ludów: Kipcza-ków, Rusów, Alanów, Guzów.

Ze stepu, z sąsiednich ułusów nadciągały coraz to nowe karawany i rozstawiały swoje jurty tam, gdzie wskazał im miejsce wyznaczony do tego człowiek zwany bokeulem.

Pod względem bogactwa i wystawności wspominki Berke-chana nie ustępowały wspominkom po jego ojcu Dżuczim, które miały miejsce w roku kury (1225) na rozległych przestrzeniach Karakengiru.

319

Podobnie, jak i wówczas do Saraj-Berke zjechali się najgodniejsi i najmożniejsi ludzie z Deszt-i-Kip-czak, Chorasanu, Mawarannahru, Iranu i stepów mongolskich.

Wspominki po Dżuczim przekształciły się w swoim czasie w odświętną, radosną ucztę, gdyż pod koniec żałobnych uroczystości na tron Złotej Ordy wyniesiono na białym wojułku Batu-chana.

Najstarszy syn zmarłego, który na rok przedtem o-trzymał we władanie ułus Ibir-Sybir, nazwany później Błękitną Ordą, przyznał na wspominki niezliczone stada bydła. I kiedy Batu zstąpił z białego wojułku na ziemię już jako władca ogromnych przestrzeni i dziesiątków narodów, Orda lejąc łzy radości, zarzucił na ramiona brata brokatowy kaftan wyszywany w czerwone chińskie smoki.

Mądrzy nojonowie, którzy niejedno już w życiu widzieli, nie bardzo wierzyli w szczerość braterskich u-czuć, których byli świadkami, ale jak w takich razach wypadało robić, głośno sławili synów Dżuciego i podrzucali czapki do góry.

Nojonowie pomylili się. Batu-chan, który podobnie jak pozostali Czyngisydzi nie bardzo liczył się z więzami krwi, jeśli względy rodzinne były sprzeczne z interesami stworzonej przezeń Ordy, nigdy nie skrzydził brata.

Bez wahania i wyrzutów sumienia zagarnął, kiedy nadarzyła się po temu okazja, część ziem i miast należących do ułusu Dżagataja, ale ani razu jego wojownicy nie weszli z obnażonymi szablami do ułusu Ordy.

Może Batu-chanowi nie pozwoliły tego zrobić wspomnienia? Wszak właśnie na ziemiach jego brata leżały jeziora Kurgaldżino i Tengiz oraz góry Ułutau, gdzie w swoim czasie zbierały się mongolskie tumeny, żeby pod dowództwem laszkarbaszy Batu wyruszyć na podbój Europy Wschodniej.

320

Wszystkie odmierzone im przez Niebo dni przeżyli bracia w zgodzie i przyjaźni. Może właśnie dlatego-tak zapadły ludziom w pamięć te wspominki Dżucziego, że taka przyjaźń była zupełnym wyjątkiem wśród licznych potomków Czyngis-chana.

Wspominki po Berke-chanie stały się wielkim wydarzeniem w życiu Złotej Ordy. Jego śmierć pogodziła na krótko wszystkich wrogów i dlatego oznaczonego dnia przybyli Czyngisydzy ze wszystkich chanatów i ułusów niezależnie od tego, czy panował między nimi pokój, czy też szykowali się do nowych bitew. Bez końca ciągnęły karawany z Karakorum i Chin, z Wschodniego Turkiestanu i ilchanatu utworzonego przez zmarłego Hulagu...

Na wspominkową ucztę zarżnięto mnóstwo bydła, a płomienie ognisk lizały dna setek ogromnych kotłów, w których gotowało się mięso. Opodal obozowiska uwiązano pięć tysięcy kobył, żeby przyjezdni mogli ugasić pragnienie świeżym pieniącym się kumysem. Jedzenie podawano na obrusach z chińskiego jedwabiu w drogich naczyniach przywiezionych umyślnie z Isfahanu i Tebryzu. Goście siedzieli na pstrych arabskich i perskich dywanach. Berke nie miał syna, więc wspominkom przewodził Mengu Temir i wszystko, co się na nich działo, działo się za jego zgodą i z jego woli.

Nowy chan miał swoje powody do urzędzenia takich wystawnych wspominek. Objąwszy tron Złotej Ordy chciał wszystko wiedzieć i widzieć na własne oczy. A gdzie, jak nie na wielkim zgromadzeniu koczowników, można się lepiej dowiedzieć, jak rody odnoszą się nawzajem do siebie, który z nich ostatnia wzmocnił się i który utracił dawne znaczenie.

Ludzie oszołomieni kumysem i obfitym jadłem[^] podnieceni niecodzienną uroczystością, mimo woli odprężają się, tracą czujność i czasami nawet mówią to,.

21 — Złota Orda

321

czego mówić pod żadnym pozorem nie powinni. Buta i duma to najgorsi wrogowie koczownika.

Mengu Temir miał zatem ogromną ochotę posłu-•chać tego, co mają sobie nawzajem do powiedzenia Czyngisydzy przybyli z różnych ułusów.

Na stepie z dawien dawna między wspominkami po zmarłym a radosną ucztą koczowników nie było wielkiej różnicy. Po dopełnieniu obrzędu zgodnego z obyczajem przodków zebrani oddawali się wesołości. Nieboszczyka nie da się wskrziesić, więc smutek po nim •nie powinien być zbyt długi.

Nadchodzi pora wyścigów, walk zapaśniczych i zawodów między stepowymi śpiewakami-bajarzami. Dziewięć nagród ustanawia gospodarz uczyty dla najszybszego jeźdźca, najsilniejszego zapaśnika, najbieg-lejszego i najgłośniejszego pieśniarza. Mengu Temir nie złamał zwyczaju. Drugiego dnia, kiedy opustoszały kotły z mięsem i ze skórzanych bukłaków wypito wszystek kumys, rozpoczęły się wyścigi, w których wzięło udział pięciuset jeźdźców. Konie pod nimi były tak sa<io róż-nie, jak różne narody zamieszkiwały ziemie Złotej Or->dy. Łabędzioszyje arabskie bieguny, szybkonogie rumaki Guzów, długogrzywe mongolskie tułpary i niezmordowane, szybkie kipczackie argamaki... Zwycięstwo w wyścigach było nie tylko triumfem |jakiegoś jeźdźca i konia, lecz także powodem do dumy rodu i plemienia, do którego rumak należał.

Ledwie wiatr zdążył rozwiać tuman kurzu wzniesiony przez pędzących w step jeźdźców, gdy zebrani na wspominki utworzyli wielki krąg. Nieprędko wrócą uczestnicy wyścigów ze swej dalekiej drogi, więc na razie nadszedł czas tych, którzy pragnęli zmierzyć się z przeciwnikami w zapasach.

W pierwszym rzędzie widzów zajął miejsce chan i władcy podległych mu ułusów, emirowie z rodu

322

Czyngis-chana oraz spadkobiercy tronu. W drugim dowódcy tumenów, tysięcznicy i setnicy. Za nimi stali prości wojownicy: Kipczacy, Guzowie, Alanowie i Bułgarzy...

Mengu Temir zasiadał na podróznym tronie ustawionym na podwyższeniu pokrytym dywanami.

Do koła wyznaczonego do zapasów jako pierwszy wkroczył wojownik lewego skrzydła ordyńców. Był to wysoki i smagły młodzieniec Kipczak. Głowę miał przewiazaną białą chustą, prawe ramię obnażone, a rękaw lekkiego kaftana przylegającego do muskularnego ciała zatknięty za szeroki pas.

Młodzieniec szybkim krokiem zbliżył się do tronu, ukląkł na prawe kolano i pochyleniem głowy powitał chana.

Mengu Temir z przyjemnością popatrzył na zgrabnego, opalonego na brąz wojownika.

— Kogo wystawia prawe skrzydło? — krzyknął no-jon, pełniący rolę mistrza ceremonii. Czyjeś potężne ręce lekko rozsunęły stojących w przodzie ludzi i do koła wszedł potężnie zbudowany mongolski wojownik. Był niewysoki, miał szeroką klatkę piersiową, a na jego obnażonych ramionach przetaczały się potężne mięśnie.

— Mnie! — krzyknął wyzywająco i potoczył wzrokiem po zebranych.

W odpowiedzi rozległ się pełen podziwu pomruk. Wielu obecnych znało Mongoła. To był znany zapaśnik, który nieraz wychodził zwycięsko z pojedynków.

Mengu Temir uśmiechnął się pod wąsem. Mongoł do czasu ukrywał się w tłumie wojowników obawiając się, że jeśli wyjdzie pierwszy, to nie znajdzie współzawodnika. Mistrz ceremonii popatrzył pytająco na chana, który skinął głową.

— Zaczynajcie!

323

Zapaśnicy z wypiętymi do tyłu pośladkami i głowami nisko pochylonymi do ziemi ruszyli ku sobie, jakby mieli zamiar się bój. Ich ręce poruszały się wolno w powietrzu, zdając się coś w nim wymacy-wać.

I nagle młodzieniec błyskawicznie chwycił Mongoła za kołnierz kaftana. Barczysty zapaśnik poderwał się w powietrze, przeleciał przez plecy Kipczaka i ciężko zwałił się na ziemię.

Nikt nie przypuszczał, że walka zakończy się tak prędko i zaskoczeni wynikiem pojedynku widzowie milczeli przez dłuższą chwilę.

Mistrz ceremonii uniósł ręce ku niebu i wykrzyknął:

— Zwyciężył wojownik z lewego skrzydła!

W tylnych szeregach, gdzie stali wojownicy kipczaccy, podniósł się głośny gwar.

— Chwała!

— Żyj długo!

— Dzięki ci, duchu Kipczaków!

— Arruah! Arruah! Kiedy gwar ucichł, nojon zwrócił się w stronę, gdzie siedzieli przedstawiciele prawego skrzydła i zapytał:

— Czy jeszcze ktoś chce stanąć do walki ze zwycięzcą?

I znów do koła wszedł zapaśnik Mongoł. Był już niemłody, ale w dawniejszych czasach żadna uczta nie obchodziła się bez niego. Słynał z potwornej siły i, jak opowiadali ludzie,

kiedyś w pojedynkę wyciągnął za garb wielbłąda, który wpadł do studni. Nie brał już udziału w walkach, ale dzisiaj postanowił bronić honoru swego skrzydła.

Nowy zapaśnik okazał się potężniejszy od pierwszego. W pasie był tak szeroki, że chyba nie znalazłyby się ręce zdolne objąć go i oderwać od ziemi.

Mongoł nie czekał na atak, lecz natychmiast pewnie ruszył na swojego przeciwnika.

324

I znów zdarzyła się rzecz niesłychana. Ledwie ręce zapaśników zetknęły się, gdy natychmiast kipczacki wojownik użył swego błyskawicznego chwytu. Przez chwilę wydało się, iż ciało młodzieńca załamało się pod ogromnym cielskiem Mongoła, ale już za moment olbrzym gruchnął o ziemię.

Nikt już nie czekał na decyzję mistrza ceremonii. Setki ochrypłych z podniecenia głosów krzyczały jeden przez drugiego:

— Kipczak! Kipczak!

— Arruah! Duch!

— Są jeszcze orły!

— Jeśli mieć syna, to tylko takiego!

Starając się ukryć swoje wzruszenie, powściągliwie uśmiechali się kipczacy baaturowie. Nie godziło się im w obecności chana głośno wyrażać swej radości, jak to czynili zwykli wojownicy.

Mengu Temir przyzwyczajony do tego, że w podobnych pojedynkach zawsze zwyciężali Mongołowie, zachował kamienną twarz i nawet się nie skrzywił, kiedy i trzeci zawodnik wystawiony przez prawe skrzydło znalazł się na ziemi.

Step zdawał się drżeć od szalonego wrzasku tysięcy ludzi. Kipczacy wykrzykiwali swoje rodowe zawołania bojowe, przywoływali imiona sławnych wojowników i batyrów:

— Żyj, Kipczaku! Kotan-chan!

— Szeru-chan! Szeru-chan!

— Są jeszcze synowie, którzy godni są swoich przodków!

— Chwała Arruahowi!

Mengu Temir ze skrytym niepokojem wpatrywał się we wrzeszczący tłum. Nigdy jeszcze nie widział i nie słyszał niczego podobnego w Deszt-i-Kipczak. Jeśli podbity naród zaczyna wspominać imiona swoich wielkich wojowniczych przodków — pomyślał — to zna-

325

czy, że już nie czuje się niewolnikiem. Trzeba o tym pamiętać...

Zgodnie z regułami zawodów zapaśnik, który trzykrotnie zwyciężył w pojedynkach, otrzymuje główną nagrodę, gdyż dowiódł, że nikt mu nie może dorównać w sile i zręczności. Ale nojon-mistrz ceremonii, gdy tylko ucichł ryk tłumu, złamał obyczaj i krzyknął:

— Kto jeszcze chce siebie wypróbować? A może w prawym skrzydle nie ma już prawdziwych mężczyzn?

Do koła wbiegł Tuda Mengu.

— Niech spróbuje walczyć ze mną!

Oczy nojona płonęły, twarz wykrzywiały mu spazmy wściekłości. Niemal tocząc pianę z ust, zaczął się szybko rozbierać.

Zebrani zamarli. Nikt z nich nie pamiętał niczego podobnego. Potomkowie Czyngis-chana nigdy nie brali udziału w zawodach, bo wedle stepowego obyczaju w razie porażki przedstawiciela chańskiego rodu hańba padała na całą jego rodzinę.

Tysiące oczu wpatrywało się w Mengu Temira. Jak postąpi, co zdecyduje wielki chan Złotej Ordy?

Mengu Temir opanował się i nawet zdołał się uśmiechnąć.

— Wróc na miejsce — powiedział surowo. — Postępek twój jest godny pochwały, ale wszyscy potomkowie „Tego, który wstrząsnął światem” winni pamiętać o jego nakazie, zabraniającym nam walczyć ze swymi wojownikami. Czyżbyś o tym zapomniał? Tuda Mengu wziął się w garść i oprzytomniał. Błona wściekłości opadła z jego oczu i wówczas, starając się zachować godność i udając, że ulega wielkiemu chanowi, wrócił na miejsce.

Mengu Temir uniósł rękę majestatycznym gestem. Zapadła martwa cisza i w tej ciszy rozległy się jego władcze słowa:

326

— Wszystko winno być tak, jak nam nakazywali przodkowie i nikt niechaj nie waży się obalać ustalonych przez nich porządków. Trzykrotnie zwyciężył wojownik lewego skrzydła i główna nagroda słusznie jemu się należy. Niech tak się stanie...

I znowu ryk tłumu buchnął do nieba.

. — Chwała sprawiedliwemu chanowi!

— ■ Nie na darmo powiadają, że chan ma rozum czterdziestu ludzi!

— Mengu Temir jest sprawiedliwym chanem!

Ledwie podniecenie nieco ucichło, gdy ze stepu dobiegł daleki równy tętent. To wracali uczestnicy wyścigu.

Ludzie w jednej chwili utworzyli dwie żywe ściany, otwierając w ten sposób drogę galopującym koniom.

Po prawej i lewej ręce chana zajęli miejsca emirowie i nojonowie.

Nie trzeba było długo czekać. W stronie, gdzie wschodzi słońce, ukazał się tuman kurzu, który rósł, potężniał i toczył się na zebranych. A przed tą ogromną kurzawą ukazał się nagle malutki czarny punkcik.

Tysiące oczu wpiło się weń, czekając na chwilę, kiedy będzie można rozpoznać, do kogo należy pędzący w przodzie rumak.

Czyjś przenikliwy krzyk wystrzelił z tłumu.

— Ou! To Kokbesti naszego Argynbaja!

Coś jakby szelest liści przetoczyło się nad tłumem.

— To on!

— Pędzi pierwszy!

Któryś z kipcackich baaturów stojących opodal Mengu Temira nie wytrzymał:

— Dopóki na stepie jest Kokbesti, to żaden tułpar nie ma prawa zwyciężyć w wyścigach.

— Arruah! Dopomóż nam! — krzyczeli wojownicy.

— Krzyczcie, Argynowie, krzyczcie, Kipczaczy! Nie-

327

chaj wasze bóstwa opiekuńcze dodadzą Kokbesti skrzy, deł!

Wspaniały rumak z uszami przyciśniętymi do głowy i z małym chłopcem na grzbiecie przemknął obok chań-skiego tronu...

Wieczorem, wracając do swego obozowiska, chan Złotej Ordy Mengu Temir myślał o minionym dniu. We wszystkich zawodach wygrali dziś wojownicy lewego skrzydła.

Kipczaczy. Wydawać by się mogło, że nie ma w tym nic złego, bo byli to przecież jego wojownicy. Wystarczy im rozkazać, a posłuszni jego woli pójdą bez słowa na śmierć... A jednak dręczący niepokój trawił duszę chana.

Patrzył, jak słońce zachodzi za krawędź ziemi i myślał, że na Deszt-i-Kipczak zachody nie wiedzieć czemu zawsze są czerwone i że niebo wówczas wygląda jak zalane krwią...

Kurułtaj, na którym Kajdu i Barak doszli do porozumienia, odbył się w roku świni (1269).

«»•

Nad brzegi Tałas, żeby wziąć udział w tym uroczystym wydarzeniu, zjechali się nie tylko potomko wie Dżagataja i Ugedeja, lecz także syn Dżuczego, Berkendżar, który miał przekazać zebrany słowa chana Złotej Ordy, Mengu Temira.

Siedem dni trwała wielka uczta. Ósmego, zebrawszy się w jurcie Kajdu, potomkowie Czyngis-chana zaczęli mówić o tym, co wszystkich ich tam przywiodło.

Tym razem też, podobnie jak w ubiegłych latach, kiedy między nimi na krótko zapanowywał spokój, mówili Czyngisydzi, iż pora najwyższa zapomnieć o waśniach i panować nad podbitymi narodami wspólnie, kochając się i nawzajem sobie we wszystkim pomagając.

— Kiedy sześciu się kłóci ze sobą, to każdy z nich

328

straci to, co posiada. Kiedy zaś żyją ze sobą w zgodzie, to nie ma siły zdolnej ich pokonać — powiedział Kajdu. Wszyscy zebrani zgodzili się z nim.

ISfa tym kurułtaju nie wynoszono na białym wołoku nowego chana, ale i tak podjęte tam decyzje miały ogromną wagę. Nikt nie sprzeciwił się temu, aby od tej chwili Azją Środkową rządził Kajdu. Władcy ufu-su Dżagataja, Barakowi, oddano dwie trzecie Mawaran-nahru. Trzecią częścią tego obszaru, na co również wszyscy się zgodzili, mieli zarządzać wspólnie Mengu Temir i Kajdu.

Złota Orda odzyskała należące kiedyś do niej miasta: Ałmałyk, Tokmak, Merke, Kułan, Taraz, Saud-kent, Kumkent, Szołak i Kurgan.

W ten sposób ziemie, rozdzielone niegdyś przez Czyngis-chana między synów, wróciły we władanie ich potomków.

Na kurułtaju postanowiono także podzielić na nowo niewolnych rzemieślników mieszkających w Bucharze i Samarkandzie, gdzie każdy z władców miał postawić nad nimi swoich ludzi do pobierania podatków.

Kurułtaj zakończył się w niespotykanej zgodzie. Wszyscy zebrani na nim przysięgali sobie nawzajem wierność i postanowili zbratać się, zmieszawszy swoją krew. Potomkowie Czyngis-chana pili wino z jednej czary i jedli mięso z jednej misy.

Dopiero teraz wielu zrozumiało mądrość i przezorność Mengu Temira, który dowodząc przed dwoma laty pięćdziesiątymy tysiącym wojskiem przewidując nie pchnął go na Mawarannahr. Dziś za to, nie przelewając ani kropli krwi i nie ryzykując, iż z woli przypadku może utracić przychylność Nieba, uzyskał wszystko, co chciał.

Chan Złotej Ordy, nie bardzo wierząc w szczerłość Baraka i Kajdu i pragnąc na wszelki wypadek zabez-

329

pieczyć swoje interesy w Samarkandzie i Bliharze, rozkazał jednemu ze swoich tumenów stanąć obozem w pobliżu tych miast, na granicy ułusu Dżagataja.

Na tym samym kurułtaju Barak wspomniał ostrożnie, że chciałby przyłączyć do swego ułusu ziemie Chorasanu i Afganistanu, co u większości Czyngisy-dów nie wywołało sprzeciwu.

Nowe bitwy miały toczyć się daleko od podległych im terenów, a zatem nie mieli powodów do niepokoju.

Baraka gorąco poparł Kajdu, który spodziewał się, iż ten osłabi swoje wojsko w walkach ze spadkobiercami Hulagu władającymi tymi ziemiami. Silny sąsiad, nawet jeśli jest pobratymcem, zawsze stanowi zagrożenie.

W następnym roku Barak, uskrzydłony poparciem, pchnął swoje tumeny do Chorasanu, ale przysłani mu do pomocy przez Kajdu wojownicy kipczacy w przeddzień bitwy opuścili jego obóz.

Ilchan Abaga zadał Barakowi taką klęskę, że ten z pięcioma tysiącami wojska ledwie zdołał ukryć się za murami Buchary.

«•

Ucieczka Baraka była tak pospieszna i paniczna, że uchodząc przed pogonią spadł z konia, uszkodził sobie kręgosłup i stracił władzę w nogach.

Widząc, że Barakowi źle się dzieje i że nie zdołał on jeszcze zgromadzić nowego wojska, podnieśli głowy siedzący do tej pory spokojnie potomkowie Dżagataja. Sytuacja Baraka była niezwykle ciężka. Nie mając innego wyjścia, ponownie zwrócił się o pomoc do swego pobratymca Kajdu.

Kajdu ponownie wyraził gotowość przyjścia z pomocą i z dwoma tumenami ruszył ku środkowemu biegowi Sejhunu. Jednak jego marsz był niespieszny, jakby jego wojownicy jechali nie na gorących rumakach, tylko na powolnych wołach. Kajdu wyczekiwał. Było mu wszystko jedno, kto odniesie zwycięstwo, i

330

trzymał w pogotowiu swoje wypoczęte, zaprawione w bojach wojsko.

Zdarzyła się rzecz niesłychana. Na wpół sparaliżowany Barak dowodzący nowo zaciągniętym, niewyszko-lonym wojskiem zwyciężył!

Teraz Kajdu już nie był mu potrzebny, wobec tego poprosił o zawrócenie jego tumenów. Jednak Kajdu ani myślał zawracać, bo nadeszła dla niego pora działania. Łup był w zasięgu ręki, a któryś z Czyngisy-dów odmówi sobie łatwej zdobyczy, choćby wydrzeć ją miał za cenę krwi swemu pobratymcowi?

Powód do gniewu zawsze można znaleźć.

Kajdu oskarżył Baraka o to, że przeszkadzał jego ludziom w zbieraniu danin od należących do niego zgodnie z decyzją kurułtaju rzemieślników buchar-skich.

Tumeny Kajdu jeszcze tej samej nocy okrążyły zmęczone bitwą wojsko Baraka. Barak umarł nie doczekawszy świtu.

Rozmaicie o tym ludzie mówili. Jedni, że serce e-mira pękło nie mogąc znieść zdrady, drudzy zaś, że otruł go wysłany przez Kajdu człowiek.

Kto potrafi dociec prawdziwej przyczyny? Jedna rzecz była pewna: Czyngisydzi niemal zawsze umierali szybko i nieoczekiwanie. Wszyscy dawno już do tego przywykli...

Nie bacząc na to, co gadają ludzie, Kajdu rozkazał pochować Baraka niezwykle uroczyście, tak, jak na to zasługiwał każdy z rodu wielkiego Czyngis-chana. Dokonawszy tego, co nakazywał mongolski obyczaj, Kajdu postąpił po swojemu.

Wszyscy potomkowie Dżagataja, którzy przyszli z hołdem i skargami na krzywdy zaznane od zmarłego, otrzymali część jego majątku. Żona Mubarek-szacha

331

na oczach Kajdu wyrwała z uszu żony Baraka złote kolczyki, on zaś nie uważał za stosowne zabronić znęcania się nad kobietą, która jeszcze niedawno dzieliła łoże z jego pobratymcem. A minął zaledwie rok od chwili, gdy pierś Kajdu zetknęła się z piersią Baraka i w złotej czarze zmieszała się ze sobą ich krew na znak wieczystej przyjaźni...

Przyłączywszy do swoich tumenów wojsko Baraka, Kajdu dostał do rąk wielką siłę i choć nie wybrano go jeszcze chanem, stał się potężny i groźny. Podległe mu ziemie rozpościerały się teraz od Chanatu Chińskiego Kubiłaja na wschodzie do granic Złotej Ordy na północy i zachodzie oraz ilchanatu Kajdu na południu.

Z obojętną pogardą patrzył teraz Kajdu w stronę Złotej Ordy, która nieraz pomagała mu w trudnej chwili.

Po wspominkach Berkego, na których chan Mengu Temir dowiódł swej sprawiedliwości, jego wpływy wśród głównej podpory jego tronu — Kipczaków — znacznie wzrosły. Chan zresztą doskonale zdawał* sobie sprawę z tego, że nie może na tym zbyt wiele budować. Kipczaczy byli główną siłą, ale nie należało nigdy zapominać, iż jest to jednak naród podbity przez Mongołów, który w każdej chwili może sprawić groźną niespodziankę.

Butni nojonowie w rozmowach z chanem niejednokrotnie dawali do zrozumienia, że nie należy Kipcza-kom zbyt popuszczać i zawsze postępować tak, aby na czele każdej wyprawy stali wojownicy mongolscy. Mengu Temir rozumiał jednak, że co innego dawać dobre rady stojąc z boku, a co innego rządzić narodami. W wyścigach i zawodach, w których

wypróbo-wywano siłę i zręczność, zwyciężyli wprawdzie Kipczacy, ale to przecież niczego nie zmieniało. Można było pod byle jakim pozorem pozbawić ich nagród

332

i zrobić tak, żeby pierwsze miejsca zajęli Mongołowie, ale takie są już stepowe obyczaje, że niesprawiedliwość pamięta się tam aż do siódmego pokolenia. Czy warto zatem być drobiazgowym? Niechaj Kipczacy cieszą się ze swoich małych zwycięstw i sławią sprawiedliwość chana. Władza przecież pozostaje w rękach tych, którzy na rozkaz Czyngis-chana przyszli do Deszt-i-Kipczak ze stepów Kerulenu i Ononu. Zachowanie tej władzy na wieki jest najwyższym celem każdego mongolskiego chana.

Mengu Temir myślał o tym, że utrzymanie tej władzy będzie z każdym rokiem coraz trudniejsze. Kipczaków było wielu, znacznie więcej niż Mongołów. Zwyczaje i tryb życia tych narodów są na tyle bliskie, że z łatwością znajdują wspólny język. Coraz więcej mongolskich wojowników bierze sobie za żony kipczackie kobiety i w wojsku coraz mniej zostaje czystej krwi Mongołów.

Mengu Temir doskonale pamiętał radę Nogaja, której no jon w swoim czasie udzielił Berkechanowi, namawiając go, aby wkroczył na stałe na ruskie ziemie i przekształcił Rusów w Mongołów. Czyżby mądry Nogaj nie rozumiał, że podbite narody są ogromnym jeziorem, Mongołowie zaś garścią soli? Wystarczy otworzyć dłoń i sól rozpuści się bez śladu.

Chan pomyślał z krzywym uśmiechem, że gdyby posłuchał rad Nogaja i osiadł ze swoim wojskiem na ruskich ziemiach, to być może już po roku zostałby ochrzczone, a on i jego wojownicy nosiliby ruskie stroje...

O wiele bardziej niż wzrost potęgi Kajdu niepokoiły Mengu Temira wypadki zachodzące na ziemiach leżących na zachód od Złotej Ordy.

Jeśli nawet tu, na stepie, Kipczacy zaczynają podnosić głowy i myśleć o sobie jako jednym narodzie, to co musi dziać się tam, gdzie ludzie wiedzieli i u-nieli znacznie więcej niż prości pasterze bydła?

333

Minęło prawie czterdzieści lat od czasu, kiedy przez ruskie ziemie przetoczyła się mongolska konnica, tratując pola i paląc miasta, a nadal ruskie księstwa nie potrafią się zjednoczyć, nadal książęta na szczęście Mongołów kłócą się i wadzą ze sobą.

Ostatnio zaczęło być głośno o księstwie Twerskim i Moskiewskim, ale również i one nie szukały porozumienia, lecz nadal ciągnęły zastarzałe spory.

Na moskiewskim tronie zasiada syn Aleksandra Newskiego, książę Daniel. Kto wie, co on zamysła? Czy nie zamierza posługując się imieniem ojca zebrać Rusów pod swoimi sztandarami? Pozostałe księstwa jakby ukryły Moskwę, odgrodziły ją swoimi ziemiami od Złotej Ordy, więc Moskwa z każdym rokiem staje się silniejsza, a jej skarb bogaci się, gdyż wiele szlaków handlowych biegnie przez to miasto.

Jeśli Moskwa zjednoczy się z Księstwem Twerskim, to czy aby nie dołączą do nich inne i czy wówczas Złota Orda nie będzie musiała zapomnieć o Kajdu, i znów wyprawić swoje tumeny na Rusów? Wszystko to bardzo Mengu Temira niepokoiło. Czasy 'zmieniały się i walka z Rusami może tym razem być o wiele trudniejsza niż za Batu-chana.

Jednak ludzie żądni bogactwa i sławy byli nie tylko wśród Czyngisydów. Ruscy książęta nadal swarzyli się ze sobą, a w ich oczach często zapalał się ogień chciwości i zawiści.

Dopóki na ruskich ziemiach nie będzie zgody — nic nie zagrozi Złotej Ordzie. Po prostu trzeba mieć tam stale swoje oczy i uszy, żeby nie przegapić chwili, kiedy należy się wtrącić. Dżuczi, Batu, Berke... Każdy chan uważał się za mądrzejszego i bardziej dalekowzrocznego od swych poprzedników. Każdy szukał własnej drogi, ale żaden nie zdołał skrócić z głębokiej koleiny przetartej przez ordę Czyngis-chana. Mengu Temir bardzo szybko zrozumiał, że jest to jedyna droga również i dla niego.

334

Panować nad podbitymi narodami i trzymać je mocno w rękę można było jedynie tak, jak uczył wielki przodek. A do tego niezbędne było silne wojsko i złoto.

Zamierzając podbić pół świata, Czyngis-chan odbiera! pokonanym narodom wszystko, czego potrzebowały •jego tumeny. Tangutom z państwa Si Sia zabrał żelazo i rozkazał wykuć z niego szable dla swoich wojowników. Chińczykom zabrał proch, tarany do burzenia murów i maszyny oblężnicze. W ten sposób jego-wojsko stało się najsilniejsze.

Złota Orda też miała niemałe siły, ale po to, żeby wojsko słuchało chana, musiał on być bogaty, szczodry i obdarzać każdego, kto wyróżnił się odwagą w bitwie lub zasłużył sobie na to wierną służbą.

Czyngis-chan wszystko zdobywał w walce, grabiąc kwitnące, nie znające od dawna rujnujących najazdów miasta. Jednak już mądry doradca chana Ugedeja, Je-lu Czu-tsaj, powiedział: „Ziemią, którą zdobyło się konno, nie można rządzić pozostając w siodle...” Bez szkody dla samej Złotej Ordy nie można było bez końca, grabić ludzi już wielokrotnie ograbionych.

Mengu Temir uważał, iż nadeszła pora, aby zająć się wewnętrznymi sprawami Ordy. Zwiększył podatki obciążające podbite narody, rzemieślników i kupców. Od tej chwili każdy płacił za to, że żył, płacił daninę od każdej sztuki bydła i spłach-cia zasianego pola, każdego upolowanego zwierzęcia Ł ptaka, od każdej złowionej ryby, zrąbanego drzewa i wykutej podkowy.

Pobieranie podatków w naturze jest niezbyt wygodne, dlatego niezbędne były pieniądze. W Złotej Ordzie kursowały pieniądze wszystkich państw i ziem, jakich tylko dotknęło kopyto mongolskiego wierzchowca, ale-miały one różną wartość i ludzie brali je tylko dlatego, że były wybite ze złota i srebra.

Mengu Temir wiedział, że tylko to państwo jest

335

prawdziwym państwem, które ma własną monetę. Dlatego postanowił kontynuować dzieło rozpoczęte Przez Berke-chana.

Pierwsze złote monety Złotej Ordy zostały wybite w Bułgarze. Berke wyznawał islam i dlatego rozkazał Przedstawić na nich profil kalifa An Nasirieddina Allana zmarłego trzydzieści pięć lat przed objęciem przez niego tronu i zasłużonego między innymi tym, że w swoim czasie zdołał odrodzić potęgę Kalifatu Bagdadzkiego. Płacąc kupcom monetami z wizerunkiem An Nasirieddina, Berke uważał, iż tym samym rozślawia wiarę muzułmańską. Wszystko się zmieniło, gdy w roku konia (1258) Hu-lagu na czele swych wojsk stanął pod murami Bagdadu.

Chińskie maszyny oblężnicze i tarany zrobiły, co do nich należało. Wojownicy Hulagu wdarli się przez wyłomy w murach i niczym mrówki rozbiegli się po ulicach miasta. Zaczęła się rzeź i grabież.

Mieszkańcy Bagdadu nie zamierzali się poddawać, ale kalif Mustasim, który jeszcze wczoraj odmówił otwarcia przed Mongołami bram miasta, poprosił o litość.

— Oszczędzę cię, jeśli zdołasz namówić mieszkańców Bagdadu do zaprzestania oporu — powiedział il-chan.

Mustasim usłuchał i zwrócił się do prawowiernych muzułmanów ze słowami:

— Zaprzestańcie oporu, a Mongołowie nie zrobią wam krzywdy. Taka jest wola Allaha...

Bagdadczycy uwierzyli swemu kalifowi, ale kiedy zdali broń, Mongołowie postąpili z nimi tak, jak przywykli postępować z podbitymi narodami. Za miastem w otwartym stepie urządzili rzeź, w której nikogo nie oszczędzono.

Ziemia jeszcze nie zdążyła wchłonąć krwi pomordowanych, gdy Hulagu powiedział do Mustasima:

336

— Jesteśmy gośćmi twego domu. Pokaż nam, czym chata bogata.

Kalif, trzęsąc się ze strachu, zaprowadził Mongołów do drzwi okutych czarnym żelazem. Wojownicy Hulagu wyważyli je i wynieśli ze skarbcza ogromne ilości złotolitych strojów oraz skrzyń wypełnionych po brzegi denarami, perłami i innymi drogimi kamieniami. Wszystko to złożyli u nóg ilchana, ale on nawet nie spojrzął na łup. Czoło miał gniewnie zachmurzone, kiedy zwrócił się do Mustasima:

— A teraz pokaż nam złoto kalifów.

— Przysięgam...

— Nie przysięgaj! — wykrzyknął gniewnie Hulagu. — Pytam cię, gdzie leży złoto, które bagdadzcy kalifowie zbierali przez całe wieki?

Jeden z nojonów przystawił ostrze szabli do szyi Mustasima.

— No!... Gadaj! Bo inaczej moi wojownicy sami je wywęszą! Ale jeśli zrobią to bez twojego udziału, nie będziesz miał czym okupić swego życia.

Twarz kalifa stała się bielsza od jego zawoju.

— Tam... — wyszeptał, wskazując drżącą ręką w stronę niewielkiej sadzawki rozlanej pod ścianami pałacu.

Wojownicy mongolscy zaopatrzyli się w skórzane bukłaki i zaczęli wyczerpywać nimi wodę ze zbiornika. Kiedy ukazało się dno pokryte białym piaskiem, najniecierpliwszi z nich zaczęli kopać. Wkrótce u stóp Hulagu wyrósł stos sztab złota, a wojownicy wydostawali z dna coraz to nowe.

Ilchan zachowywał kamienny spokój i tylko w jego skośnych oczach migotały czerwonawe złote odbłyśki.

— O, kalifie, obrońco prawowiernych! — powiedział z uśmiechem Hulagu. — Teraz winienes pokazać nam swój drugi skarb. Harem!

22 — Złota Orda

337

— Odebrałeś mi wszystko! — wykrzyknął błagalnie Mustasim. — Pozostaw mi przynajmniej moje kobiety!

— Dobrze. Zostawię ci sto nałożnic, a pozostałe rozdaję swoim nojonom i wojownikom. Bo czy to jest sprawiedliwe, żeby takie skarby były ukryte przed oczami nieustraszonych mężów? Im częściej złoto jest w użytku, tym mocniej świeci. Chyba to samo dotyczy również pięknych kobiet, prawda? — Ilchan roześmiał się ochryple.

Kalif niepotrzebnie zabiegał o swoje żony i nałożnice, bo nie dane mu już było zażywać ziemskich rozkoszy. Zanim na niebie zdążył narodzić się nowy księżyc, mongolscy wojownicy na rozkaz Hulagu udusili Mustasima i jego najstarszego syna.

Dowiedziawszy się o upadku Kalifatu Bagdadzkiego, wielki chan Mongołów, Mongke, rozkazał Berkemu przetopić wszystkie monety z wizerunkiem An Nasi-rieddina. Od tego momentu Złota Orda mogła bić swoją monetę tylko za jego pozwoleniem.

Berke udał, że się z tym zgadza, ale polecił oddanym sobie muzułmanom nadal wybijać monety z profilem kalifa An Nasirieddina. Czyniono to w najgłębszej tajemnicy w mennicach Ałmałyku, Chodżentu i Otrar, z tym jednak, że wypuszczały one wyłącznie pieniądź srebrny i miedziany.

Dawno już Złota Orda oderwała się od Karakorum i podejmując decyzję o biciu własnej monety Mengu Temir jeszcze raz chciał przez to podkreślić, iż rządzi niepodległym państwem.

Nie było już Wielkiego Chanatu Mongolskiego. Umarł ostami jego władca, Aryk Boge. W roku owcy (1271) Kubilaj ogłosił się cesarzem chińskim, przeniósł stolicę do Chanbałyku i nazwał nowe państwo Juan.

Hulagu utworzył swój ilchanat. Azją Środkową rządził Kajdu. Do Mengu Temira należała Złota Orda.

Długo zastanawiał się chan, jak powinny wyglądać

jego pieniądze, czyja twarz ma być wybita na denarach. Może twórcy Złotej Ordy, Batu-chana lub Berke-go, który umocnił jej potęgę?

Nie, złoto Ordy winno uświetniać imię jej władcy i dlatego niechaj każdy widzi na denarach twarz wielkiego chana Mengu Temira...

Mengu Temir był przygnębiony. Dopiero co z jego jurty wyszedł pierwszy wezyr Kataj, którego słowa zmały przejrzyste źródło chańskiego dobrego nastroju.

Wezyr przyniósł nieprzyjemną wiadomość. Do Mengu Temira i dawniej docierały podobne słuchy, ale nigdy dotąd nie chciał w nie wierzyć.

Kataj powiedział, że najmłodsza żona chana — Uł-dzataj — zdradza go z Abaszem, jednym z jego synów urodzonym przez drugą żonę Kubun-katun.

Dla mongolskich chanów było rzeczą zwyczajną, że syn brał za żonę jedną z byłych żon swego ojca. Zdarzało się również, że i ojciec po śmierci syna brał sobie za żonę synową, ale zdrada zawsze spotykała się z potępieniem.

Mengu Temir był już niemłody, ale jednak przyniesiona mu przez wezyra wiadomość przyprowadziła go o gniew.

Chan był człowiekiem opanowanym, więc nie pokazał tego po sobie i ograniczył się do zmarszczenia brwi.

Wyobraził sobie Ułdzataj w ramionach Abasza i niepohamowana wściekłość zmały mu rozum. Nie, na coś takiego nie mógł pozwolić!

Spróbował odpędzić od siebie ten widok, ale nadal stało mu przed oczami białe ciało pięknej żony rozpostarte na ziemi, a na nim krótkoręki, beczkowaty A-basz...

Klasnął w dłonie. W wejściu pojawił się nuker.

339

— Niechaj zjawi się tu mulazim.

Nuker znikł i prawie natychmiast na jego miejscu wyrósł mulazim, człowiek do szczególnych chańskich poruczeń.

— Podejdz bliżej — rozkazał Mengu Temir. Ręce mu drżały.

Mulazim zbliżył się bezszelestnie i pochylił głowę czekając na dalsze rozkazy.

— Abasz-ogłan nie powinien ujrzeć jutrzejszego świtu — powiedział cicho, lecz dobitnie chan. — Zrozumiałeś mnie?

— Rozkazałeś, wielki chanie — odparł wojownik, na którego twarzy nie drgnął nawet jeden muskuł.

— Odejdz.

Mulazim wycofał się z namiotu.

Nigdy żaden z chanów nie podawał wykonawcom swojej woli przyczyn skłaniających go do wydania rozkazu. Nikt nie powinien znać myśli władcy. Tajemnica chana, to miecz zawieszony nad głową mulazima. Wystarczy, aby człowiek do specjalnych poruczeń nieostrożnie zdradził się choćby jednym słowem, a ten miecz dosięgał go nawet na końcu świata.

Mengu Temira nie interesowało, w jaki sposób zostanie wykonany jego rozkaz. Mulazim rozważy wszystko i uczyni tak, jak to uzna za stosowne, - ale wolę chana spełni pokonując każdą przeszkodę.

Dywan zasłaniający wejście odchylił się i do namiotu weszła Ułdzataj.

Mengu Temir drgnął zaskoczony. Najmłodsza żona zdawała się domyślać, co tu przed chwilą zaszło.

W jurcie było jasno od promieni słonecznych wpadających przez otwór w dachu, więc chan mógł dokładnie przyjrzeć się kobiecie, która stała przed nim i uśmiechała się.

Ta córka oirackiego emira Buka Temira i najmłodszej córki Czyngis-chana, Cziczigan, postępowała zaw-

sze tak, jak chciała, i pozwalała sobie na wiele rzeczy, których nie ośmieliłyby się zrobić inne żony chana.

Dwóch synów i dwie córki podarowała Mengu Temi-rowi, który bardzo ją kochał.

Teraz też patrząc na nią poczuł, jak serce mu mocniej zabiło. Przez głowę przemknęła zła myśl: „Niech Abasz umrze. Poza nim jest jeszcze dziewięciu synów i zawsze będę miał komu pozostawić tron...”

Twarz Ułdzataj przybrała nagle niezadowolony i kapryśny wyraz.

— Wielki chanie — powiedziała — czyżbys uważał, że się zestarzałeś a ja mogę zamienić złoto na miedź?...

— O czym mówisz? — zapytał ochryłym głosem Mengu Temir.

— Mówię o twoim wezyrze, Kataju. Ten człowiek już od dawna nie chodzi jak wszyscy ludzie, tylko pełza jak robak...

— Co on ci zrobił?

— On chce posiać między nami wrogość... Jego dusza pełna jest czarnych zamysłów...

Chan uśmiechnął się z niedowierzaniem, bo skąd miał wiedzieć to, co wiedziała Ułdzataj.

Wezyr nie chcąc zanadto zranić próżności chana powiedział mu jedynie, iż żona go zdradza, nie mówiąc, że o świcie tego właśnie dnia przyłapał Ułdzataj i A-basza na gorącym uczynku. Nie wiedział też Mengu Temir, że jego żona nie mogła sobie znaleźć ze strachu miejsca.

Miała nadzieję, że Abaszowi uda się usunąć wezyra, zanim ten doniesie o wszystkim chanowi, ale kiedy zobaczyła, że Ka-taj wyszedł z jurty Mengu Temira, który zaraz potem przywołał mulazima, zrozumiała, że sprawa jest przegrana. Postanowiła jednak działać i dlatego przyszła do chana.

— Nie chciałam ci nic mówić — ciągnęła teraz — żeby nie zmącić źródła naszej wspólnej radości... Po-

341

wiedz mi, czy kiedyś cię okłamałam? — wykrzyknęła patrząc na chana z oddaniem.

Mengu Temir czekał, co kobieta ma jeszcze do powiedzenia.

Ułdzataj nagle uśmiechnęła się. Nie był to uśmiech wesoły.

— Kipczacy chyba mają rację mówiąc, że nie ma mężczyzny, który by nie patrzył z pożądaniem na piękną kobietę i nie piłby kumysu...

Chan zrobił się czujny. Czyżby i Kataj należał do tych, którzy nie potrafią spokojnie przejść obok pięknej kobiety? Przecież jest już taki stary! A może jednak wezyr ze złości oczernił Ułdzataj i Abasza?

— Od chwili, gdy zostałam twoją żoną, nie odważyłam się nawet pomyśleć o tym, że mogłabym rzucić cię na twoje dobre imię. Chcę cię jeszcze raz zapytać, wielki chanie, czy tak nie było?

Mengu Temir pomyślał, że kobieta ma rację. Nigdy nie miał jej nic do zarzucenia. A jednak znów nic jej nie odpowiedział, lecz nadal wpatrywał się w jej twarz zwężonymi oczyma.

»

— Nic nie mówisz! Wobec tego dowiedz się, że wczoraj twój wezyr, ten nędzny robak, powiedział mi, żebym go ogrzała i dzieliła z nim pościel. A jeśli odmówię lub powiem ci o jego bezczelnym żądaniu, to... — Ułdzataj nieoczekiwanie uśmiechnęła się, pokazując równe białe zęby. — Nie przestraszyłam się, bo wiedziałam, że nic nie może zmącić twojej wiary we mnie. Nie uwierzyłam też w groźby wezyra. Nikt nie śmie wyrażać się źle o żonie chana, jeśli nawet w czymś zawiniła. Tajemnica chana i tajemnica katun są rzeczą świętą. Czyż godzien jest litości i pobłażania ten, kto rzuca cię na Złotą Orde?

Ułdzataj zamilkła na chwilę, a potem nagle poderwała głowę ukazując twarz opromienioną uśmiechem szczęścia.

342

— Opowiadam ci o tym, wielki chanie, żebyś raz jeszcze przekonał się, iż nie mam przed tobą tajemnic. Zapomnijmy o tej rozmowie... — Zbliżyła się do Mengu Temir a i szepnęła namiętnie: — Stęskniłam się za tobą!... Tak dawno już mnie nie odwiedzałeś!... Nie zapominaj o mnie, mój władco!...

Nie czekając na odpowiedź Ułdzataj pobiegła do wyjścia i zniknęła równie niespodziewanie, jak pojawiła się w namiocie.

Kiedy nastąpiła noc, Mengu Temir udał się do jurty najmłodszej żony.

Ułdzataj była namiętna, ręce miała czułe, a ciało podatne i jedwabiste jak fala Itilu.

Chan poczuł, że stęsknił się za pieścotami najmłodszej żony.

Tajemnica katun jest tajemnicą chana. A tajemnica chana — tajemnicą Złotej Ordy...

O świcie, kiedy znużony pieścotami Mengu Temir zasnął, zamiast Abasza w swojej jurcie został uduszony wezyr Kataj.

Od tego dnia już żaden z ludzi bliskich chanowi nie miał złych myśli, niczyje oczy nie widziały i niczyje uszy nie słyszały o Ułdzataj nic, co należałoby donieść chanowi. Spokój i porządek znów zapanował w głównym obozowisku Złotej Ordy.

Ułdzataj starała się teraz jak najczęściej spotykać z chanem, a Mengu Temir obserwując ją ukradkiem wciąż od nowa podziwiał jej urodę, która nieodmiennie wzbudzała w nim pożądanie.

Mądry Kataj przeliczył się, bo widać zapomniał o tym lub nie wiedział, że silniejszy od każdego rozumu jest kobiecy urok.

Pewnego razu Ułdzataj przyszła do chana, kiedy był sam w swojej jurcie. Zdarzało się to bardzo rzadko, więc Mengu Temir zrozumiał, że młodsza żona ma mu do powiedzenia coś ważnego.

343

Patrzył, jak chodzi po jurcie, jak z bukłaka nalewa kumys do srebrnych czar i mimo woli przypomniał sobie, w jaki sposób ta kobieta została jego żoną.

Mengu Temir nie był wówczas jeszcze chanem. Zdarzyło się to piętnaście lat temu, kiedy jako pięćdziesięcioletni doświadczony wojownik został mianowany dowódcą lewego skrzydła złotoordyńskiego wojska.

Niebo sprawiło, że znalazł się w górach Tarbagata-ju. Tam właśnie ujrzał Ułdzataj, córkę Buka Temira, która właśnie rozpoczynała piętnastą wiosnę życia, a jej twarz była świeża i czysta jak woda górskiego jeziora zabarwionego poranną zorzą.

Mengu Temir posłał zaufanego człowieka do ojca dziewczyny i zażądał, żeby ten oddał mu córkę za żonę.

Buka Temir znalazł się w trudnej sytuacji. Wnukowi wielkiego Batu-chana nie mógł odmówić, gdyż w przeciwnym razie jego gniew mógłby spaść na cały ród. Dlatego też przekazał Mengu Temirowi takie słowa:

— Wyswatałem swoją córkę z synem mego przyjaciela, nojona z rodu Kereitów. Nie godzi mi się na stare lata łamać swojego słowa. Niechaj zatem Mengu Temir sam porozmawia z Ułdzataj. Jeśli przypadnie jej do serca, to wówczas będzie powód do zerwania poprzedniej umowy.

Ułdzataj zaś powiedziała ojcu:

— Mengu Temir jest stary. Podoba mi się ten, za którego zostałam wyswatana i tylko on zostanie moim mężem.

Potomkowie Czyngis-chana nie przywykli, żeby im odmawiano. Człowiek Mengu Temira przekazał ojcu dziewczyny krótkie słowa swojego pana:

— Czekaliśmy na odpowiedź zbyt długo, więc niecierpliwość i gniew opanowały nasze serce...

Buka Temir wiedział, co kryje się za słowami wnuka Batu-chana, więc odpowiedział:

344

— Jestem już za stary na to, żeby zastąpić wśród ludzi jako ten, który łamie przysięgę. Jeśli Mengu Temirowi potrzebna jest moja córka, niechaj weźmie ją sobie sam, przerzuciwszy przez siodło swojego konia.

Jeszcze tej samej nocy nieustraszeni mongolscy wojownicy przywieźli skrepowaną Ułdzataj do jurty Mengu Temira...

Mengu Temir był jeszcze dość silny i krzepki, żeby bez trudu zniewolić brankę i uczynić ją kobietą. Jednak Ułdzataj, przerażona brutalnością i zachłannością swego zdobywcy, tęskniła za swoim narzeczonym, młodym i czułym Kutukiem. Przez zaufanych ludzi uprosiła go, żeby ją wykradł. Kutuk uczynił tak, jak pragnęła jego ukochana.

Zdarzyła się rzecz niezwykła. Na wieść o ucieczce swojej najmłodszej żony Mengu Temir nie wpadł we wściekłość i nie rozkazał jej ścigać.

Cały miesiąc przeżyła Ułdzataj z młodym dżygitem i nikt nie odważył się zakłócić ich szczęścia. Potem jednak zdarzyło się to, co musi się zdarzyć, kiedy ludzie łączą się wbrew woli Nieba.

W pierwszym tygodniu drugiego miesiąca Kutuk zaczął zasypiać przed nastaniem północy. W tydzień później Ułdzataj chcąc zakosztować miłości, musiała sama budzić męża przed świtem. A później już ani pieszczotami, ani łzami nie mogła młoda kobieta przerwać głębokiego, spokojnego snu Kutuka.

I wówczas ogarnęła ją nagła tęsknota za Mengu Te-mirem, który miał żelazne ręce i nienasycone pragnienie brania i dawania rozkoszy.

Chęć oddania się temu, który wziął ją siłą, była taka przemożna, że Ułdzataj pokonawszy wstyd posłała zaufanego człowieka do Mengu Temira ze słowami: „Weź mnie!”

Mengu Temir nie wysłał po uciekinierkę swoich nu-kerów, lecz przyjechał do aułu Kutuka sam w środku

345

dnia, przed nikim się nie kryjąc. Przerzuciwszy swoją Ułdzataj przez siodło tak, jak to robi pasterz z owcą, która odbiła się od stada, przywiózł ją do obozowiska.

Nikt nie ważył opierać się groźnemu Mengu Temi-rowi. Przerażony Kutuk ukrył się w burzanach i stamtąd patrzył z lękiem, jak porywają mu żonę.

W swoim obozowisku Mengu Temir zajrzał w oczy Ułdzataj i zapytał:

— Będiesz mi wierną żoną i nigdy już nie ośmielisz się uciekać?

— Tak, mój panie!

Od tej chwili Ułdzataj była ukochaną żoną Mengu Temira i nigdy nie skłamała mu ani nie oszukała.

Jeśli jednak zgłodzony Katak mówił prawdę, jeśli najmłodsza żona rzeczywiście go zdradzała? Nie! To niemożliwe!

Białe smukłe ręce Ułdzataj podały chanowi czarę kumysu.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — zapytał Mengu Temir.

„».

— Tak — odparła kobieta z uśmiechem. — Przyjechali swatowie z aułu mojego ojca. Proszą, żeby nasza córka została młodszą żoną mojego brata, Tautaja.

Mengu Temir zmrużył oczy. Tautaj, najstarszy z braci Ułdzataj, został po śmierci swego ojca Buka Temira emirem ojrackiego rodu.

Gładząc swą rzadką, posiwiałą już brodę chan powiedział:

— Dobrze jest, kiedy przyjeżdżają swaci. Jeśli owca będzie bez tryka, krowa bez byka, a kobyła bez ogiera, to skąd weźmie się jagnię, cielę i źrebię? Jeśli mongolska dziewczyna nie wyjdzie za mąż, to skąd wezmą się nowi wojownicy? Tautaj-emir dobrze myśli, ale nie nadaje się na tryka, byka ani ogiera. Jest zbyt stary, aby mógł spłodzić Mongoła. Dlatego nie oddam

346

mu za żonę naszej córki Kurt-Fudzi, która zostanie żoną sułtana Korman Sojurgatmysza.

— Powiadają, że sułtan jest chory — zauważyła o-strożnie Ułdżataj.

— Nie szkodzi. W takim razie znajdę Kurt-Fudzi innego męża. — Mengu Temir roześmiał się. — A co byś powiedziała, gdybym oddał ją któremuś z ruskich książąt, a od Rusów wziął żony dla moich synów?

Ułdżataj popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Trudno było jej pojąć, czy chan żartuje, czy też zdradza jakąś swoją ukrytą myśl.

Mengu Temir nie wiedział wtedy, że los po swojemu rozporządzi życiem jego córki, która nie zostanie żoną ruskiego księcia, lecz pójdzie za sułtana Korman Sojurgatmysza. W rok później sułtan umrze i Kurt--Fudzi weźmie za żonę Sabyłmasz, syn jednego z braci Ułdżataj. Po trzech latach śmierć osiągnie i jego. I wówczas dokona się to, co było zapisane w Niebie: córka chana Złotej Ordy zostanie żoną sześćdziesięcioletniego Tautaja, którego swatom Mengu Temir w swoim czasie odmówił zgody na to małżeństwo.

Kurt-Fudzi urodzi starcowi trzech synów, trzech Mongołów, choć co prawda ludzie zaczną utrzymywać, że Tautajowi pomogli zostać ojcem młodzi wojownicy z jego aulu.

Rozdział szósty

Czas i śmierć nie oszczędzały prostych wojowników, ale i potomkowie wielkiego Czyngis-chana nie byli wieczni. Śmierć zabierała ich tak samo, jak w swoim czasie wzięła „Tego, który wstrząsnął światem”...

Potężne i niezmiernie rozgałęzione było drzewo rodu Czyngis-chana. Setki jego wnuków i prawnuków rządziły podbitymi ziemiami i narodami.

W tym czasie, kiedy chanem Złotej Ordy stał się Mengu Temir, jedynym pozostałym przy życiu prawnukiem Dżuciego był Nogaj.

Poczynając od wielkiej wyprawy na Europę w roku myszy (1240), której przewodził Batu, Nogaj uczestniczył we wszystkich wojnach, a jego tumeny ani razu nie doznały porażki.

Zawsze i we wszystkim przestrzegał przykazań Czyngis-chana, co pozwalało mu, podobnie jak jego dziadowi, utrzymywać w karbach różnojęzyczne wojsko, które w jego rękach stało się niezwycięzoną siłą.

Nogajtrzymał porządek obowiązujący za życia „Tego, który wstrząsnął światem”.

Dziesiętnik podlegał setnikowi, setnik dowódcy tysiąca, a ten z kolei dowódcy tumenu. Nad tumenami stali trzej nojonowie, a nad nimi laszkarbaszy, naczelny dowódca skrzydła.

Czyngis-chan uczył: „Jeśli podczas bitwy chociażby jeden z dziesiątki ucieknie z pola boju, to wszyscy należący do tej dziesiątki winni zostać zgładzeni. Jeśli zaś cała sotnia wykaże odwagę, ale podległa jej do-

348

wódcy dziesiątka wykaże tchórzostwo, to należy zgładzić całą sotnię.

Jeśli jeden z dziesięciu zostanie otoczony przez wrogów, a pozostałych dziewięciu nie pospieszy mu z pomocą, to wszyscy zasłużyli na śmierć. Jeśli to samo przydarzy się dziesiątce, a pozostałych dziewięćdziesięciu nie uczyni wszystkiego, żeby wybawić dziesiątkę z niebezpieczeństwa, to wszyscy winni zostać zgładzeni...”

Tak nakazywał wielki Czyngis-chan.

Jeszcze okrutniejsze były jego prawa wobec tych, którym powierzał dowództwo nad wojownikami.

Jeśli prosty wojownik sam odpowiadał głową za swe tchórzostwo lub samolubstwo w obliczu niebezpieczeństwa zagrażającego innym, to ci, którzy stali nad dziesiątkami, setkami i tysiącami, za nieudolność w dowodzeniu i brak osobistej odwagi byli traceni wraz z całymi rodzinami.

Jedyną karą za wszystko była śmierć. Wojownicy Czyngis-chana urodzili się po to, żeby zabijać się nawzajem. Jeśli nie chcieli tego robić lub robili źle, to umierali sami.

Po powrocie z wyprawy na ziemie ruskie i do Europy Zachodniej wielu Mongołów osiadło w dolnych biegach rzek Północnego Kaukazu, Itilu i Tanu.

Zwierzchnik ułusu swoje wojsko rekrutował zawsze spośród mieszkańców podległych sobie ziem. Nogajowi poszczyliło się, bo w jego ułusie było wielu Mongołów, którzy pamiętali czasy Czyngis-chana i uczyli swoich synów i wnuków tego, do czego sami przywykli i co wydawało się im niezbędne i oczywiste.

Podczas wyprawy krymskiej zginął rodzony brat jednej z żon Nogaja, syn emira chadarkińskiego rodu Makur Kurana. Nogaj przyłączył jego wojsko do swojego.

Chadarkińczycy byli prawdziwymi Mongołami wyróżniającymi się odwagą i dyscypliną.

349

Mając silne wojsko, Nogaj czuł się niezależny i potrafił dać to do zrozumienia innym Czyngisydom. Trzej jego synowie dowodzili utrzymywanymi w żelaznych korbach tumenami i byli gotowi wykonać każdy rozkaz ojca.

Nogaj nigdy nie nazywał się chanem, ale wszystkie sprawy dotyczące jego ułusu rozstrzygał sam, nie prosząc Złotej Ordy o pomoc ani o radę.

Szczególnie butnie zaczął zachowywać się po objęciu tronu przez Mengu Temira. Nowy chan w żaden sposób nie wykazał swego niezadowolenia, lecz wręcz przeciwnie udał, iż wszystko jest w najlepszym porządku, gdyż ułus Nogaja nadal uważany jest za część Złotej Ordy.

Mengu Temir w owym czasie miał co innego na głowie. Na jego rozkaz o dzień drogi od ujścia Jaiku powstawało nowe miasto Sarajczik. Tam, w samym sercu Złotej Ordy, z dala od granic, gdzie nieustannie wybuchały bratobójcze bitwy, chan postanowił u-mieścić własną mennicę.

Z jednego jeszcze powodu Mengu Temir nie chciał kłócić się z Nogajem. W Mawarannahrze i "Chorasanie rósł w siłę Kajdu i już pozwalał sobie zabierać część przysługujących Złotej Ordzie pieniędzy wpłacanych przez niewolnych rzemieślników.

Gdyby coś podobnego wydarzyło się za Batu-chana lub nawet za panowania Berkego, Złota Orda nie puściłaby płazem zniewagi i pchnęłaby swoje tumeny na krzywdziciela. Mengu Temir jednak bał się Kajdu i lękał się, że w starciu z nim Orda zostanie rozbita i utraci nawet to, co posiada.

Zgładziwszy w sposób podstępny Baraka, Kajdu u-mocnił sojusz ze swoim dawnym wrogiem, ilchanem Iranu, Abagą, i utworzył na podległych sobie ziemiach nowy silny chanat. Pragnąc jeszcze skuteczniej zabezpieczyć się przed niespodziewanym atakiem z połud-

350

nia, obiecał swą słynną córkę Kutufun Czaka oddać za żonę wnukowi Abagi, Gazanowi.

Mengu Temir zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli zaatakuje, to Abaga na pewno nie pozostanie z boku. Ilchan skorzysta z okazji i przez Azerbejdżan i Kaukaz zada Złotej Ordzie cios w plecy.

Obawiając się Kajdu, Mengu Temir jednocześnie z rosnącym niepokojem śledził poczynania Nogaja.

Każdej zimy Nogaj urządzał wielkie polowania, w których brało udział całe jego wojsko. Takie wyprawy łowieckie trwały od trzech do czterech miesięcy i obejmowały ogromne przestrzenie.

Od czasów Czyngis-chana takie polowania oznaczały przygotowania do wyprawy wojennej. Podczas łowów sprawdzano wytrzymałość wojowników, ich zdolność do cierpliwego znoszenia trudów: spania na ziemi w deszczu i śniegu, długotrwałego obchodzenia się bez pożywienia i picia. Ćwiczone ich spostrzegawczość i uwagę, uczono słuchać we wszystkim swoich dowódców.

Czasami Mengu Temirowi zaczynało się wydawać, że Nogaj postanowił oderwać się od Złotej Ordy i o-głosić się samodzielnym chanem. Ale przecież był on zawsze nieubłaganym

zwolennikiem praw ustanowionych przez Czyngis-chana, a zatem trudno było przypuszczać, że to właśnie on je pogwałci...

Czego zatem Nogaj chce? Czyżby wytyczył sobie znacznie ambitniejszy cel, niż rozkawałkowanie Złotej Ordy, i sam zamierza zostać jej chanem?

Takie myśli wpędzały Mengu Temira w ponury nastrój, z którego długo nie mógł się wyzwolić.

Tak, żaden z Czyngisydów nigdy jeszcze nie uciekał od godności chana i nie rezygnował z tronu, jeśli na jego zdobycie miał nikłą bodaj szansę. Jednak Mengu Temir mylił się sądząc, że Nogaj pragnie właśnie tego.

Nogaj był nie tylko mądrym i umiejętnie potrafiącym działać dowódcą, lecz także człowiekiem bardzo

351

dalekowzrocznym, i świetnie rozumiał, że obalenie Mengu Temira nie będzie rzeczą łatwą. Miał on zbyt wielu popleczników gotowych pospieszyć mu z pomocą. Podnieść rękę na chana wybranego przez kuruł-taj, znaczyło pogwałcić najświętsze z przykazań Czyngis-chana. Nie tylko wrogowie, ale również przyjaciele powstaną przeciwko człowiekowi, który zdecyduje się na podobne świętokradztwo.

Nie, Nogaj wcale nie pożądał godności chana. Po prostu zawsze chciał być silny, żeby nie tylko prawe skrzydło wojsk, lecz także cała Złota Orda liczyła się z jego zdaniem. Żeby każdy, kto zasiadał na jej tronie, przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji zawsze wspomniał o nim i jego pierwszego zapytał o radę lub zgodę. Do tego Nogaj, wedle własnego przekonania, miał pełne prawo. Któż bardziej od niego przyczynił się do wyniesienia Złotej Ordy i do pomnożenia jej bogactw? Poza tym był najstarszym z potomków Dżucziego, a zatem każde jego słowo powinno być na wagę złota.

Czyż którykolwiek z potomków Czyngis-chana może zasiąść na tronie Ordy bez jego zgody i błogosławieństwa? Zdaniem Nogaja taka rzecz była nie do pomyślenia.

Nogaj wiedział jednak również i to, że do rozkazywania chanom nie wystarczą pragnienia i dobre chęci. Tylko silne wojsko i poparcie większości potomków Dżucziego umożliwi mu rządzenie Złotą Ordą bez tytułu, jakie do tego daje miano chana.

Dlatego nieustannie troszczył się o wojsko i przeciągał na swoją stronę każdego, kto mógłby być dla niego pożyteczny. Nie przebierał przy tym w środkach. Jednych oszukiwał, drugim pochlebiał, trzecich straszył, czwartych po prostu przekupywał.

Potomkowie Dżucziego często bywali gośćmi jego ułusu.

352

W roku krowy (1277) Nogaj zaprosił do siebie Tuda Mengu, z którym wyprawił się kiedyś przeciwko il-chanowi Hulagu na ziemię Azerbejdżanu.

Droga do jego ułusu była trudna i daleka. Trzeba było przeprowadzać się przez wielkie rzeki Tan i Uzi i dopiero wówczas docierało się do bogatej doliny rzeki Kehreb, która niosła swe wody przez ziemię Mołdawian, na których znajdowało się główne obozowisko

Nogaja.

Ale czy długość drogi może mieć jakieś znaczenie dla urodzonego w siodle mongolskiego wojownika?

Lato tego roku było upalne i niemal bezdeszczowe, więc trawy na obszarach, przez które przechodziła karawana Tuda Mengu, przed czasem pożółkły. Dolina powitała gości chłodem i zielonymi łąkami. Dokoła niej stały niewysokie góry porośnięte lasami, a wiosenne wody podczas wylewu Uzi zdążyły tak obficie napoić ziemię, że niestraszne jej było najgorętsze nawet lato.

Zasobne, nie znające zimy ziemie należały do Nogaja. Tylko w grudniu spadał tam na krótko śnieg, który wkrótce roztapiał się pod tchnieniem ciepłych wiatrów. Dobrze i swobodnie żyło się w dolinie i ludziom,

i bydłu.

Nogaj po otrzymaniu w zarząd ułusu jako prawdziwy koczownik nie rozkazał budować miast. Zimą i latem Mongołowie mieszkali w jurtach ustawionych dokładnie tak, jak nakazywał to obyczaj przodków.

Na dwa dni przed spodziewanym przybyciem Tuda Mengu do obozowiska Nogaj wysłał naprzeciw u-pragnionemu gościowi, wnukowi wielkiego Batu-chana, oddział pod dowództwem swej najmłodszej żony, Kip-czaczki Gibadat-begi. Oddział składał się z dziewcząt i młodzieńców dosiadających szybkonożnych, bogato przystrojonych rumaków. Widok Tuda Mengu zaskoczył Nogaję. Nie taKim

23 — złota Orda

353

pari[^] tał tego gorącokrwistego, wesołego, skorego do żartów woj^ownika-

Tet.aZ miał przed sobą zupełnie innego człowieka,

któ[^]y wprawdzie niczym na pozór nie różnił się od tegQ> ;akieg^o znał Nogaj, ale w jego oczach pojawił się- niezdrowy blask, policzki zapadły, a ręce pozostawały w nieustannym ruchu, jakby wciąż czegoś szukały.

Nogaj domyślił się, że Tuda Mengu przeżył jakieś nieszczęście, ale o nic go nie zapytał, tylko rozkazał zaprowadzić na wypoczynek do ustawionych dla gości jurt.

Tuda Mengu sprawiał wrażenie człowieka szalonego. Towarzyszący mu Kebek-tajszi zdradził Nogajowi jego straszliwą tajemnicę.

Średnią żoną Tuda Mengu była córka ałczy—tatarskiego emira Turę Kutłuka, krewna starszej żony Ba-tu-chana, sławnej Barakczy-katun.

W swoim czasie mądra i chytra Barakczy-katun, żeby jeszcze wzmocnić więzy rodzinne z potomkami Czyngis-chana, wydała ją za piętnastoletniego Tuda Mengu.

Przez wiele lat z rzędu córka Turę Kutłuka rodziła martwe dzieci. Zapalczywy i niepohamowany w gniewie Tuda Mengu groził, że odeśle ją do rodziców i kiedy był już niemal zdecydowany spełnić swoją groźbę, urodziła mu syna podobnego doń jak dwie krople wody.

Pragnąc, żeby jego dziedzicowi szczęściło się w życiu, Tuda Mengu dał mu imię dziadka, Batu.

Chłopiec rósł wesoły i zdrowy. Niebo obdarzyło go odwagą i zdecydowaniem. W strzelaniu z łuku i zabawach z szablami z łatwością zwyciężał swoich rówieśników i we wszystkim był zawsze pierwszy.

Tuda Mengu nie posiadał się z radości. Marząc o tym, że syn pójdzie śladami przodków i kiedyś po-

354

wtórzy bohaterskie dokonania swego dziadka i pradziadka, od siódmego roku życia zaczął zabierać gazę sobą na wszystkie, nawet najtrudniejsze, wyprawy. Tym razem też, wybierając się do ułusu Nogaję, wziął syna ze sobą.

Nieszczęście wydarzyło się wkrótce potem, jak karawana Tuda Mengu przepawiła się na tratwach przez; szeroko rozlaną rzekę Uzi i zatrzymała się na dzienny popas.

— Ojczy — powiedział Batu. — Podobno tutaj żyją dziki. Nigdy ich nie widziałem, a chciałbym zobaczyć.

— Czy mój syn powinien to robić? — zawahał się Tuda Mengu. — Jesteś jeszcze za mały na to, żeby brać udział w polowaniu na takiego grubego zwierza, a zetknięcie się z dzikiem bez broni jest bardzo niebezpieczne. Ten zwierz jest silny i łatwo wpada we wściekłość.

— Ja chcę, ja niczego się nie boję... — upierał się chłopiec.

Za Batu wstawił się jego opiekun, Ajdzu, wysokŁ smagŁy wojownik, syn tanguckiego emira Lu-Szidur-gu:

— Niech popatrzy. Będziemy przy nim. PrzyszŁy wojownik nie powinien znać lęku. Tuda Mengu dŁugo się jeszcze wahał. Przeczucie nieszczęścia powstrzymaŁo go przed wyrażeniem zgody. Wymyślał sobie nawet w duchu, że powiedział synowi o niebezpieczeństwie, jakim grozi spotkanie z dzikami. Powinien wymyśleć jakąś inną przyczynę-odmowy! Teraz chłopiec, któremu wciąż powtarzano, że Mongoł nie może się niczego bać, tak dŁugo będzie nalegał, aż w końcu dopnie swego.

— Dobrze — powiedział wreszcie niechętnie Tuda» Mengu. — Idź. — I zwracając się do opiekuna dodał: — Uważajcie na Batu. Postarajcie się, żeby wypŁoszone przez was zwierzęta przeszŁy bokiem.

355

Ajdzu pochylił się w niskim ukłonie.

Młodociany Batu i towarzyszący mu wojownicy ruszyli nad rzekę, gdzie wznosiła się ściana gęstych trzciny.

UpłynęŁo niewiele czasu, gdy nagle okropny, niewytłumaczalny strach ogarnął Tuda Mengu. Natychmiast wskoczył na konia i pogalopował tam, dokąd poszedł jego syn.

Niezwykła cisza stała nad rozlegŁym trzciniowiskiem, w którym cicho świergotał jakiś ptaszek. Nie było sŁyszeć ani Batu, ani strzegących go wojowników.

Tuda Mengu uniósł się w strzemionach, usiłując po ruchach trzciny dociec, gdzie znajdują się ludzie, gdy nagle krzyk, przenikliwy i rozpaczliwy, uderzył go ■w uszy. Zdzielił biczem konia...

To, co Tuda Mengu zobaczył, gdy wierzchowiec rozsuwając potężną pierś zarosła trzciny wypadł na niewielką polankę, zmroziŁo mu krew w żyłach. Na stratowanej ziemi leżał z rozprutym brzuchem Batu, a nad nim ze zjeżonym na karku włosiem stał ogromny odyniec. Dzik usłyszał trzask łamanych trzciny, gwałtownie zawrócił w miejscu i pochyłając ciężką głowę runął na jeźdźca.

Tuda Mengu był jednak szybszy. Dobył błyskawicznie szabli i z ogromnym zamachem ciął odyńca w głowę, odcinając ją od potężnego tułowia, które przebiegŁo jeszcze kilka kroków i zwałiŁo się ciężko w zarosła trzciny.

Oszalały z wściekŁości i rozpaczy Tuda Mengu nadal ciął szablą powalonego olbrzyma.

Nie sŁyszał, jak podbiegli wojownicy, którzy mieli strzec Batu, nie sŁyszał ich nieśmiaŁych tłumaczeń, że chłopiec uciekŁ im, pragnąc dać dowód swojej odwagi-

Kiedy siły zaczęły opuszczać Tuda Mengu, wówczas

356

zwrócił swą zbiełaŁą, wykrzywioną z bólu i rozpaczy twarz do wojowników.

Atabek Ajdzu popatrzył w oczy swego pana, odrzucił szablę i zakrył twarz dŁońmi.

Tuda Mengu o nic wojowników nie wypytywał. Zarabał ich od razu nad ciałem syna, a żaden z nich nawet nie usiłował się bronić, żaden nie bŁagał o litość. I nikt z karawany Tuda Mengu nie uważał ich śmierci za niesprawiedliwą. Cóż z tego, że chłopiec sam im uciekŁ, a oni przez pomyłkę szukali go w innej stronie?

Cóż z tego, że śmierć Batu była dzieŁem przypadku, że syn Tuda Mengu miał nieszczęście natknąć się na drzemiącego odyńca, który nie niepokojony nigdy nie napada pierwszy... Cóż z tego, że, jak powiadają ludzie, topielec sam biegnie do wody? Wojownik o-chraniający potomka wielkiego Czyngis-chana ma obowiązek w razie potrzeby podnieść szablę nawet przeciwko wszechmocnemu Niebu...

Od tego dnia rozum Tuda Mengu zanurzył się jakby w głębokiej i ciemnej studni. Z nikim nie rozmawiał i siedział samotnie w swojej jurcie, a jego oczy zasnuŁe mgiełką dziwnego półsnu tylko z rzadka stawały się zimne i jasne.

Na trzeci dzień młodego Batu pochowano na wysokim brzegu rzeki i karawana znów ruszyła w drogę do ułusu Nogaja.

Następnego dnia po przyjeździe Tuda Mengu gospodarz postanowił podzielić z nim jego smutek i wypowiedzieć słowa pocieszenia.

Tuda Mengu w odpowiedzi pochylił w milczeniu głowę, ale dusza jego pozostała niema i nie przyjęła ciepłych słów pociechy. Dopiero w tydzień później "wrócił do względnej równowagi. Ale to był już zupełnie inny człowiek. Umarł zadziorny, pełen radości życia Tuda Mengu, a urodził się nowy: pochmurny i o-

357
bojętny na sprawy świata i wszystkie jego uciechy.

Raczej słuchał Nogaja, niż sam mówił, ze wszystkim się zgadzał i wkrótce zaczął zbierać się w powrotną drogę.

Obdarzywszy Tuda Mengu cennymi podarkami, Nogaj chcąc jakoś go pocieszyć w strapieniu, zaproponował:

— Weź sobie, jaką chcesz dziewicę z mojego aułu. Ale Tuda Mengu tylko pokręcił odmownie głową i odrzekł:

— Zrobię to następnym razem.

Nogaj zmartwił się. Z Tuda Mengu było bardzo źle, skoro postąpił tak, jak w takim wypadku nie postąpiłby żaden Mongoł.

Wkrótce po wyjeździe Tuda Mengu do Nogaja ze Złotej Ordy przygalopował ze słowami rozkazu syn chana, Tokta.

Wielki chan życzył sobie, aby Nogaj przygotował się do wyprawy na Kajdu.

Nogaj powitał gości z wszelkimi honorami, szczerze obdarowując Toktę i ludzi z jego świty, ale wysłuchawszy z szacunkiem posła, powiedział:

— Przekaż wielkiemu chanowi, iż zawsze jestem gotów usłuchać jego słowa. Jednak od czasów panowania Batu-chana prawo najeżdżania Mawarannahru i Chorasanu przysługuje emirom i nojonom tych ułu-sów, które leżą najbliżej tych ziem. Ja natomiast mam inne zamiary. Jeśli wielki chan Mengu Temir postanowi wyruszyć ze swymi tumenami na Kajdu, to do sprawy niechybnie wtrąci się ilchan Abaga. Wszak Kajdu obiecał wydać za jego wnuka, Gazana, swoją córkę, Kutuľun Czakę. Wówczas właśnie stanę się niezbędny Złotej Ordzie. Gdy tylko nastanie zima i zamrzną rzeki, ja ze swymi tumenami znaną mi już drogą przez Derbent i Szyrwan wyruszę przeciwko Abadze i uderzę nań z tyłu. Jeśli Niebo będzie mi przychylnie i moi wojownicy odniosą zwycięstwo, to

358
czyż nie ochłodzi to gorącej głowy Kajdu { nie si go do proszenia Ordy o pokój?

Toktę przekonały słowa mądrego Nogaj a. Nastę> go dnia wyruszył do Deszt-i-Kipczak, żeby przekazać" ojcu odpowiedź nojona.

— Nie zostanę żoną Gazana — P^owied[^]ia) a Kutuľ Czaka, patrząc na ojca z beztróskim uśmiechem.

— Czemuż to, moja Angiar? — spytał zaskoczony Kajdu. Rzadko zwracał się do córki imieniem nad nym jej przy narodzinach, gdyż uważał, że odpowiedniejszy dla niej jest przydomek Angiar -[^] Dar Nieba

— Gazan jest młodszy ode mnie. Poza tym n" chcę mieszkać w obcym kraju. Przecież wiesz, że przv wykłam być wolna...

Kajdu pokiwał głową z potępieniem.

— Po co mam jechać do Iranu, jeśli ofiarowałeś mi wspaniałą ułus? Rzeka Czu poi jego rienn(€) na III, rych rozciągają się wielkie pastwiska dla bydła a pod legli mi Kipczacy uprawiają zboże i hodują sady.

— To prawda, że podarowałem ci bogaty ułus —

zgodził się Kajdu. — Ale trzeba myśleć o dniu jutrzejszym. Twój brat, Urus, którego tu^{en} stoi poⁱ Górami Tarbagatajskimi na brzegu jasnego Zajsanu donosi nam, że coraz częściej wojownjCy Kubiłaiia przychodzą z Chin, żeby odbierać bydł0 podległym nam narodom. Oznacza to z pewnością[>] że Kubibi przygotowuje się do wojny, a oprzeć ^u się będzie niełatwo. Ja do ciebie też nie przyjechałem tylko w gości, ale głównie po to, żeby zabrać z twojego ulusu część wojska i oddać je Urusowi...

— Ojcze, dlaczego ogarnia cię lęk!? — zapytała Kutułun Czaka z gniewnym błyskiem w Oku.
— Czyż mało wrogów zwyciężyliśmy? I jeśli ktoś odważy się napaść na twoje ziemie, zwyciężymy zno^u!

Kajdu długo milczał, wpatrując się ciężkim wzrokiem w córkę.

359

— Iran jest niezbyt daleko... — powiedział wreszcie. — Wiesz przecież, iż ziemia, na której się urodziłem, leży o wiele dalej. Nawet szybki sokół potrzebowałby wiele dni, by dolecieć do brzegów błękitnego Kerulenu... A przecież nie zawahałem się pójść do obcych krajów i uczynić ich swoimi. Poza tym Gazan jest wnukiem ilchana Abagi, po którego śmierci na tronie zasiądzie ojciec Gazana, Argun. Jak szybko to nastąpi, zależy tylko od przypadku...

— A kto jest moim ojcem?! — roześmiała się wyzywająco Kutułun Czaka. — Czyż to nie mój ojciec włada całym Mawarannahrem, ziemiami Siedmiorze-cza, Chorasaniem i Wschodnim Turkiestanem?

— Właśnie dlatego powinnaś zostać żoną Gazana — powtórzył Kajdu z uporem.

— Właśnie dlatego nią nie zostanę! — wykrzyknęła Kutułun Czaka. — Chciałam ci jeszcze powiedzieć...

Kajdu uniósł głowę i popatrzył na córkę. Nie opuściła oczu.

— Jestem brzemienna...

Ta wiadomość była dla Kajdu ciężkim ciosem. O-garnął go gniew.

— Kto się odważył?...

— Emir Abdakuł...

Chan zazgrzytał zębami. Abdakuł był Ujgurem, który niedawno przybył z Północnych Chin. Ten syn uj-gurskiego idikuta był piśmienny, potrafił rozmawiać z obcokrajowcami i dlatego Kajdu dopuścił go do swojej osoby.

I oto czym ten człowiek odpłacił chanawi za łaskę! Sześć miesięcy temu sam Kajdu wysłał go do Kutułun Czaki, żeby przeprowadził tam spis ludności i u-porządkował zbiór podatków.

Chan nawet nie przypuszczał, czym się dla niego skończy ta wyprawa postawnego i urodziwego Ujgura.

— Lata płyną, ojcze... — powiedziała ze smutkiem

360

Kutułun Czaka. — Jak długo mam leżeć w pościeli i nie znać szczęścia macierzyństwa? No i stało się... Powiadają, że Gazan przyjął islam, a wedle obyczajów muzułmańskich popełniłam grzech, bo poczęłam, nie będąc niczyją prawowitą żoną... Kajdu opuścił głowę i po długim namyśle zapytał:

— Sądzisz, że twój postępek przyda blasku mojej Ordzie?

— Oddaj mnie Abdakułowi! — zażądała Kutułun Czaka. — Wówczas nikt nie ośmieli się powiedzieć o mnie złego słowa.

Kajdu wiedział, że gdyby nawet zgodził się na to, złośliwych plotek nie da się uniknąć. Każdy będzie się dziwił i zastanawiał, dlaczego potężny Kajdu wydał swą jedyną córkę za syna jakiegoś tam idikuta. Mężem godnym Kutułun Czaki mógł być jedynie Gazan. Ród, z którego się wywodzi, rządzi obecnie Iranem, Azerbejdżanem, Irakiem i Rumią. Całkiem zresztą możliwe, że wkrótce sam Gazan zostanie ilcha-nem.

Kutułun Czaka nazwała Abdakuła emirem, ale wystarczyło, by Kajdu zmarszczył brwi, i nie pozostanie po nim nawet śladu.

Kajdu wpadł w ciężką zadumę. Czekala go trudna przeprawa z Abagą, któremu trzeba będzie jakoś powiedzieć, że jego córka zaszła w ciążę z jakimś przybłądą.

W podobnych wypadkach potomkowie Czyngis-chana długo się zastanawiali. Kutułun Czaka powinna umrzeć, bo kiedy jej zabraknie, Abadze nie trzeba będzie niczego tłumaczyć. Hańba nie spadnie na chana i na jego ród. Śmierć zawsze pomagała Czyngisynom w rozstrzygnięciu najtrudniejszych spraw. Teraz też była jedynym wyjściem.

Jednak myśl o śmierci córki przyprawiła Kajdu o drżenie.

361

Nie! To nie może się wydarzyć. Musi znaleźć się jakieś inne rozwiązanie. Nie na darmo przecież Kaj-du uważany jest za najmądrzejszego i najsprytniejszego z potomków Ugedeja i Dżagataja. Czas dopomoże mu, podpowie, jak postąpić, a na razie...

— Dobrze — powiedział. — Uczynię tak, jak tego pragniesz...

Kutułun Czaka objęła ojca.

— Wiedziałam, że powiesz mi te słowa!

— Czyżbym mógł postąpić inaczej, mój Darze Nieba? — zapytał z westchnieniem chan.

— Nie smuć się, ojcze! — wykrzyknęła rozpromieniona Kutułun Czaka. — Mam dla ciebie cudowny podarunek.

Kajdu popatrzył na nią wyczekująco.

— Pamiętasz, jak Berke-chan rozkazał zabić dziesięć tysięcy niepokornych wojowników?

— Pamiętam.

— I wiesz, że przyczyną ich buntu był budowniczy z Rumii?

Kajdu skinął głową.

«*

— Wraz z Rumijczykiem z Saraj-Berke uciekła wówczas kipczacka dziewczyna imieniem Kunduz.

— I o tym słyszałem — powiedział Kajdu marszcząc czoło. — Podobno była piękna?

— Tak. Ma urodziwą twarz i kształtne ciało, ale najpiękniejsze u niej są włosy. Nigdy takich nie widziałam... Zaraz sam się o tym przekonasz.

Kutułun Czaka kłaśnięciem w dłoń przywołała służebnicę.

— Przyrowadź długowłosą kobietę i jej syna. Kobieta skłoniła się bez słowa i wyszła tyłem z namiotu.

Kutułun Czaka zwróciła się znów do ojca.

— Czas odbiera urodę kwiatom i kobietom. Młodość Kunduz minęła, ale jej włosy są nadal piękne.

362

pewnie z ich powodu mężczyźni zawsze ją kochali. Dokuz-katun z zazdrości obcięła Kipczaczce warkocze, ale one znów jej urosły. Berke-chan też pewnie w niej się zadurzył, gdy tylko do niego trafiła. Nie mógł jednak zażyć z nią rozkoszy, bo już pierwszej nocy Kunduz wykradli zbiegli niewolnicy. Pamiętasz, że Berke rozkazał spalić Czarny Las na brzegu Itilu, w którym ukrywali się zbrojni zbiegowie? Kunduz też tam była, ale zdołała się uratować wraz z synem.

— A jak trafiła do ciebie?

— Moi wojownicy znaleźli ją w karawanie, która ciągnęła ze Złotej Ordy do Ałmałyku. O resztę zapytaj ją sam. Trzymałam ją dla ciebie...

Kutułun Czaka mówiła prawdę, ale myliła się w jednym: siedmioletni Akbergen nie był synem Kunduz, lecz został zrodzony ze związku Akdżamał z Sa-limgirejem, którzy owej straszliwej nocy pożaru nad Itilem zginęli z rąk wojowników mongolskich.

I nie do Ałmałyku chciała dotrzeć Kunduz, lecz do Bucharu. Po śmierci Kolomona świat dla niej utracił wszelkie barwy. Kobiety, którym udało się uratować wraz z nią, wyruszyły wkrótce na niezmierzone przestrzenie Deszt-i-Kipczak, żeby szukać tam swojego losu.

Kunduz natomiast zamieszkała w malutkim biednym aule na brzegu Jaiku. Nazywała

Akbergena swoim synem, chodziła w łachmanach, pomagała ludziom obrządzać bydło, doila kobyły. Wszyscy uważali ją za niespełna rozumu, ale nie wypędzali i dawali jeść. Jednak długo tak trwać nie mogło. Człowiek, który raz był wolny, nigdy nie zamieni swobody na takie życie. Długimi zimowymi nocami, leżąc w dziurawej jurcie biedaków, którzy ją przygarnęli, Kunduz wspominała przeszłość i myślała o przyszłości. Musiała poczekać, aż Akbergen podrośnie, okrzepnie i nauczy się trzymać w siodle. Zresztą w owych latach nie było dokąd uciekać.

363

Na stepie panował spokój. Tylko czasem dochodziły niejasne słuchy, że gdzieś tam pojawił się oddział rozbójników, którzy grabili wszystkich bez wyjątku, zabierali bydło i bogatym, i biednym. Takimi ludźmi Kunduz gardziła.

Pilnie przysłuchiwała się nowinom, które czasami przynosili do aulu zatrzymujący się tam na odpoczynek wędrowni derwisze.

Stepem przeciągały karawany z dalekich krajów, ale wszędzie było cicho, tylko chanowie kłócili się ze sobą, wydzierając sobie nawzajem podległe im ziemie. Akbergen podrósł i już zaczynał pomagać Kunduz, pasąc wiosną jagnięta.

Jednak pewnego razu usłyszała to, na co tak długo czekała. Szeptem, obawiając się donosów, ludzie z karawany opowiedzieli jej, że w Bucharze znów się burzy. Pojawił się tam Tamdam i wzywa lud do przepędzenia Mongołów.

Kunduz doskonale znała to imię. Pamiętała, jak przy nocnym ognisku Salimgirej opowiadał o nieustraszonemu Mahmudzie Tarabim, o swym towarzyszu Tam-damie, którzy buntowali rzemieślników z Buchary przeciwko mongolskim władcom i ich baskakom. Wiedziała również o tym, w jaki sposób Salimgirej uratował Tamdama.

Dłużej już nie mogła w aule wytrzymać, więc uprosiła jednego z karawan-baszów udających się do Buchary, żeby wziął ją ze sobą.

Droga była daleka. Zaczynała się w Deszt-i-Kipczak, wiodła przez Góry Mugodżarskie, omijała Aral i stamtąd biegła ku Bucharze. Doliny Czu karawana minąć nie mogła.

Jeszcze niedawno ziemie te należały do Złotej Or-dy, ale teraz rządził nimi Kajdu, który wiedział, że Mengu Temir nigdy nie pogodzi się ze stratą i w końcu przyjdzie tam na czele wojska. Obawiając się

364

szpiegów, Kajdu rozkazał sprawdzać wszystkie przechodzące doliną karawany.

Karawan-baszy wiedział, że w Bucharze jest niespokojnie i na wszelki wypadek powiedział, iż udaje się do Ałmałyku.

Kutułun Czaka nigdy nie widziała Kunduz, a jednak z łatwością ją rozpoznała. Znowu za sprawą włosów. Kunduz nieustannie obcinała warkocze, ale włosy jej rosły bardzo szybko i wciąż były gęste i piękne. Żeby warkocze nie przeszkadzały w drodze, owijała je wokół talii. Kutułun Czaka była nie tylko walecznym wojownikiem, lecz także kobietą i dlatego jej wzrok natychmiast zatrzymał się na Kunduz.

Jeśli człowiek posiada coś niezwykłego — odwagę lub bogactwo, rozum lub zdumiewająco piękne włosy — słuch o tym szybko rozchodzi się po stepie.

Siedząc na karym jednochodźcu i przypatrując się tym, którzy stłoczyli się przed nią w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie swego losu, Kutułun Czaka przyglądała się uważnie Kunduz.

Twarz kobiety zachowała ślady dawnej piękności, a poza tym włosy... To one powiedziały władczyni ulusu, kim jest ta kobieta.

— Rozwiąż warkocze... — powiedziała rozkazująco. Kunduz milczała.

Wówczas Kutułun-Czaka rozkazała jednemu z nuke-rów:

— Ty to zrób.

Niewysoki, krzywonogi nuker zeskoczył z siodła * podbiegł do kobiety.

Ledwie wyciągnął do niej rękę, gdy stojący obok: Akbergen rzucił się na niego. Mongoł z łatwością go odepchnął. Chłopiec upadł, ale natychmiast poderwał się na nogi. Nuker uderzył go w głowę ręką batoga. Krew zalała oczy Akbergena.

Kunduz osłoniła go własnym ciałem, a potem, pa-
365

trząc ku górze na siedzącą w siodle Kutułun Czaka krzyknęła.

— Powstrzymaj swego psa! Sama to zrobię! Jednym szarpnięciem rozwiązała grube warkocze,

które na podobieństwo czarnych węży opadły na zakurzoną ziemię.

— A więc to ty jesteś ową Kunduz?

— Tak. Ale czemu jestem winna ja i mój syn? Dlaczego rozkazałaś postępować ze mną jak z niewolnicą? Czy dlatego, że mam takie długie warkocze?

Kutułun Czaka uśmiechnęła się. Wiedziała wszystko, co stepowa wieść niosła.

— Gdyby tylko na tym polegała twoja wina... — powiedziała. I zwracając się do nukerów dodała: — Kobieta z dzieckiem zabierzcie do obozowiska i oddajcie pod straż pewnym ludziom... — Kutułun Czaka popatrzyła groźnie na karawan-baszę: — Kim jesteście i dokąd się udajecie?

— Jestem kupcem — odparł pokornie karawan-baszy. — Mam zezwolenie na handel. Wie o tym twój ojciec Kajdu, pani... •»

— Co masz na poparcie swych słów?

Karawan-basza skwapliwie sięgnął za pazuchę i wydobyl jedwabną chustę. Trzęsącymi się ze strachu rękami rozwiązał mocno zaciągnięty supeł i odwinął z jedwabiu srebrną blaszkę.

— Tę pajdze dał mi w swoim czasie wielki chan Ugedej... — powiedział cicho.

Pajdze pojawiły się już za czasów Czyngis-chana. Bywały złote, srebrne, miedziane, żeliwne lub drewniane. Były też na nich różne wizerunki: rozwarta paszcza tygrysa, tygrys siedzący spokojnie, szybujący sokół... Posiadacz każdego z tych znaków miał określone przywileje: prawo wolnego przejścia przez ziemie należące do Mongołów, zwolnienie od podatków za

366

sprzedane towary lub pierwszeństwo w otrzymaniu zmiany koni...

■— Wiem — znów odezwał się karawan-baszy — Ze mój znak jest tylko srebrny i gotów jestem zapłacić za towary, które przewożę przez twój ułus, pani...

Twarz Kutułun Czaki nadal pozostawała groźna.

— Dobrze — powiedziała. — Moi nukerzy przejrzą twoje towary i wezmą to, co należy wziąć... Wtedy będziesz mógł ruszyć w dalszą drogę.

Po jakimś czasie dwaj nukerzy poprowadzili przez step Kunduz i Akbergena. Słońce już zachodziło, ale oni się nie spieszyli, gdyż siedziba władczyni ułusu znajdowała się tuż za rozciągającymi się opodal kurhanami.

Kunduz znała stepowe prawa i obyczaje, dlatego też nietrudno jej było się domyślić, jaki los ją czeka. Nowy dzień i spotkanie z Kutułun Czaka nie mogły przynieść jej nic dobrego.

Uratować ją mógł tylko cud, ale i w cudy Kunduz już dawno przestała wierzyć. Przeżyła wiele nieszczęść i bardzo niewiele radości, żeby mogła się jeszcze ludzić. Kutułun Czaka wiedziała o niej za dużo, aby pozwoliła się oszukać.

Kunduz poczuła nagle zmęczenie życiem i stało się jej obojętne, co zamierza uczynić z nią córka Kajdi. Jedynie to, że miała przy sobie chłopca, którego pokochała jak własne dziecko i od dawna za takie uważała, zmuszało ją do gorączkowego szukania wyjścia.

Ponizanie się, błaganie o litość z pewnością niczego nie da, bo serca potomków Czyngis-chana kamienieją na widok ponizenia i pragną, aby stało się ono jeszcze większe. Postanowiła

więc, że skoro nie ma żadnej, nadziei na uratowanie siebie i Akbergena, to przynajmniej trzeba umrzeć z godnością.

Rankiem chmurni, milczący nukerzy zaprowadzili
36?

Kunduz wraz z chłopcem do białego, dwunastoskrzydłowego namiotu. Kunduz była tak napięta, że pociemniało jej w oczach i kiedy wojownicy wpełzli ją w chłodny półmrok namiotu, przez dłuższą chwilę nie mogła niczego dojrzeć.

Kiedy wreszcie odzyskała zdolność widzenia, dostrzegła Kutułun Czakę pólżącą na honorowym miejscu zasłanym białym wołokiem i wspartą na wielkiej puchowej poduszce.
— Usiądź.

Ktoś stojący z tyłu szarpnął Kunduz za rękę i posadził na leżącej u wejścia trzciny macie. Kobieta obrzuciła obojętnym wzrokiem bogato przystrojone wnętrza namiotu, ogromne, ozdobione kolorowymi ornamentami skrzynie ustawione pod ścianami i leżące na nich stosy kolorowych poduszek. W namiocie było wiele dziewcząt i kobiet.

Nie odrywając wzroku od twarzy Kunduz, Kutułun Czaka rozkazała:

— Dajcie im kumysu. Pewnie są bardzo spragnieni po wczorajszym tłustym posiłku — dodała z drwiną.

Sędziwa kobieta o zmęczonej twarzy potrząsnęła bukłakiem i drewnianym czerpakiem napełniła dwie duże czary. Następnie podała je Kunduz i Akberge-nowi.

— Dziękuję, matko — powiedziała cicho Kunduz. Upiła łyk kumysu i postawiła czarę przed sobą.

— Widzę, że nie jesteś spragniona... — Kutułun Czaka uniosła się gwałtownie i usiadła po męsku z podwinętymi nogami. — Teraz powiedz mi, dlaczego uciekałaś od Berke-chana i nie chciałaś być jego żoną? Czyż to nie jest wielki honor dla każdej dziewczyny?

Kunduz popatrzyła jej w oczy.

— Moje serce należało do innego mężczyzny. Ber-ke-chan rozłączył mnie z nim. Czy zatem mogłam zostać jego żoną?

368

— Ale przecież to był chan Złotej Ordy.

— Sercu nie można rozkazywać! — powiedziała z uporem Kunduz.

— Takie serce powinno się wyrwać i wyrzucić!

Kunduz uśmiechnęła się. Powinna zamilczeć, ale dusza jej kipiała od gniewu, którego nie umiała opanować.

— Tak, ja nie kochałam chana. Są jednak kobiety, które go kochały. Ich serca nie wzięłyby do pyska nawet pies.

Piękna twarz Kutułun Czaki pobladła, a jej nozdrza rozdęły się drapieźnie.

— Może powiesz mi, jakie to były kobiety?

— Córka wielkiego Kajdu powinna znać je lepiej ode mnie...

— Za takie słowa powinno się wykłuć ci oczy! Kunduz roześmiała się cicho.

— Lepiej rozkaż, pani, obciąć mi warkocze, jak to zrobiła Dokuz-katun...

Oczy Kutułun Czaki zapłonęły mściwym blaskiem.

— Nie. Nie obetnę twoich wspaniałych włosów. Jutro przyjedzie tu mój ojciec. Dam mu ciebie. Jeśli zaś obetnę twoje warkocze...

— To i tak mnie weźmie — przerwała jej Kunduz. — Nie ma takiego Mongoła, który by nie wziął nawet staruszki...

— Pohamuj język! — krzyknęła Kutułun Czaka. — W przeciwnym razie każę przelać twoją krew! Gdybym spotkała cię na stepie!..

— Jestem gotowa — odparła zuchwale Kunduz. — Niech tylko dadzą mi konia i broń.

Nukerzy i wszystkie obecne w namiocie kobiety wstrzymali oddech. Ta Kipczaczka pozwoliła sobie na niesłychaną zuchwałość: wyzwala córkę chana na pojedynek. Co na to odpowie córka nieulekłego Kajdu, sama słynąca z niezwyklej odwagi?

— Złota Orda

369

Kutułun Czaka przymknęła oczy i zapytała nieoczekiwanie cichym głosem:

— To twoje dziecko?

— Tak — odparła Kunduz ze ściśniętym sercem.

— Przecież nie masz męża! Kto więc jest jego ojcem?

— Mówiłam już... Miałam ukochanego mężczyznę... Kutułun Czaka otworzyła oczy i na jej policzkach

ukazały się czerwone plamy widoczne nawet przez ciemną opaleniznę.

— To znaczy, że syn jest ci droższy od żrenicy oka... Albo więc natychmiast padniesz mi do nóg i będziesz błagać o przebaczenie za swoją zuchwałość, albo rozkażę swoim nukerom, żeby zarżnęli go na twoich o-czach!

Rozległ się czyjś zdławiony okrzyk i w namiocie zapadła martwa cisza. Kutułun Czaka czekała na odpowiedź.

Kunduz z przerażającą jasnością zrozumiała, że córka Kajdu spełni swoją groźbę. Ona sama nie lękała się śmierci, ale Akbergen musiał żyć. Ciężka dola przy-» padła mu w udziale już w chwili narodzin, ale Kunduz miała serce kobiety i chciała wierzyć, że kiedyś jednak do chłopca uśmiechnie się szczęście. — Zbyt długo się zastanawiasz! — powiedziała Kutułun Czaka świszczącym szeptem. Pochyliła się do przodu i wyglądała teraz jak żmija szykująca się do ataku.

Kunduz rozplakała się. Przytuliła chłopca do siebie i raz jeszcze pomyślała, że nie zdoła uratować go inaczej niż za cenę własnego poniżenia.

— Niechaj Bóg sprawi, abys kiedyś zapłakała tak, jak ja teraz... — tłumiąc łkanie powiedziała Kunduz.

Kutułun Czake zerwała się z podwyższenia.

— Do nóg! Do nóg! ■— wrzasnęła dławiąc się z wściekłości.

370

— Pocałuj buty wielkiej Kutułun Czaki... — wyszeptała ledwie dosłyszalnie sędziwa kobieta, która nalewała kumys. — Pocałuj!.. Wtedy przebaczy ci i twój syn będzie żył...

— Mamo, nie trzeba! — krzyknął nagle Akbergen. — Wolę już umrzeć!..

Szept podobny do porywu wiatru rozległ się wśród ludzi obecnych w namiocie.

Kutułun Czaka oprzytomniała, zasłona wściekłości opadła z jej oczu i już tylko ze zdziwieniem popatrzyła na chłopca.

— To taki z ciebie wilczek! — powiedziała.

Kajdu i Kutułun Czaka czekali na nukerów, którzy mieli przyprowadzić do namiotu Kunduz i Akbergena.

— Oddaję ją tobie, ojcze — powiedziała Kutułun Czaka. — Natomiast chłopca zostawię sobie...

— Mądra jesteś, córko — uśmiechnął się Kajdu. — Z takiego wilczka może wyrosnąć dobry wojownik, jeśli tylko przyuczyć go do brania mięsa z ręki.

Zasłona u wejścia do namiotu uchyliła się. Do środka wpadł nuker, który padł na kolana i zgodnie z obyczajem podpełzł do honorowego miejsca, gdzie zasiadał chan z córką.

— Niestety!.. Jeńcy zniknęli! Nuker, który ich pilnował, leży w jurcie z poderżniętym gardłem!

Kutułun Czaka zerwała się na równe nogi.

— Ruszajcie w pościg! — rozkazała. — Uciekinierzy żywi lub martwi muszą znaleźć się u moich stóp.

W dwa dni później grupy pościgowe rozesłane w step na wszystkie cztery strony świata wróciły z niczym.

Kunduz i Akbergen zniknęli niczym maleńkie kamyki wrzucone do głębokiej studni.

W roku owcy (1271), kiedy to umarł Barak, miasta

371

Mawarannahru przeżywały trudne czasy. Zrujnowa przez nieustanne wojny między chanami, wymęcen* podatkami, grabieżami i ciągłym strachem śmierci lub utraty rodziny, domu i dobytku mieszkańcy małych i Wielkich grodów zaczęli coraz głośniej szemrać

Kiedy do rzemieślników Buchary i Samarkandy do tarła wieść, że Barak umarł i że od tej pory wszystkie jego ziemie rządzone będą przez Kajdu, wówczas zb kii się, iż może dojść do nowej rzezi i zaczęli umac" niać swoje miasta, przygotowywać się do stawienia o-poru.

Kajdu jednak wykazał wielką łaskawość i nie zaczął przelewać krwi swoich nowych poddanych. Natchnęło to ludzi otuchą i iskra buntu, która mogłaby prze kształcić się w wielki pożar, nieoczekiwanie zgasła Lu dziom zaświtała niejasna, nieśmiała nadzieja

Właśnie w tym czasie w Bucharze znów pojawił się Tamdam. On i jego zwolennicy mówili ludziom że ich nadzieje są płonne, że nie ma na świecie dobrych władców, że wszystko pozostanie po staremu: i gwałty i grabieże, i przelew krwi.

Czas płynął i wszystko potoczyło się tak jak to przepowiadał Tamdam. Nic więc dziwnego że w Bu charze, Samarkandzie, Chodżencie i innych miastach miał coraz więcej zwolenników.

Znowu Mawarannahr zaczął się burzyć, znów na gwarnych bazarach przekazywano sobie podniecające wiadomości.

Kunduz i Akbergen z wielkim trudem dotarli do Buchary. Droga była długa i pełna niebezpieczeństw ale gdy wreszcie Kunduz dotarła na miejsce i znalaz' ła się wśród przyjaciół Tamdama, nareszcie poczuła się szczęśliwa.

Po zagarnięciu należącej do Złotej Ordy doliny Czu Kajdu czekał, jak na to zareaguje Mengu Temir. Chan

372

jednak milczał i nie podejmował żadnych prób odbicia utraconych ziem.

Zachęcony tym ilchan Abaga spróbował wtargnąć na Północny Kaukaz i odebrać go Złotej Ordzie. Doszło tam jednak tylko do kilku niewielkich potyczek, które nie przyniosły zwycięstwa żadnej ze stron.

Bardziej niż Kajdu i Abaga obawiał się Mengu Temir umocnienia wpływów Nogaja w innych ulusach. Nogaj urósł w potęgę i coraz częściej, nie pytając nikogo o zdanie, prowadził samodzielne rozmowy z o-ściennymi państwami i narodami.

Niespokojnie było również w ruskich ziemiach i dlatego wciąż trzeba było wysyłać tam oddziały do tłumienia buntów to w jednym, to drugim miejscu.

Książęta nadal się kłócili i chcąc nawzajem siebie poniżyć szukali, każdy dla siebie, pomocy u Złotej Ordy, prosili o wojska, żeby móc wyrównać rachunki za stare i nowe krzywdy.

Mengu Temir nie odmawiał im. I kiedy panujący w Nowogrodzie Wasyl postanowił wyprawić się na Litwę, dał mu dwa tumeny pod dowództwem Turajtemi-ra i Ałtyna.

Ucierpiała nie tylko Litwa, lecz także ziemie ruskie, przez które szli Mongołowie. Znów czarne chmury dymu wzbijały się nad miastami i klasztorami, znów krzyk i'Płacz stał nad stratowanymi polami.

W roku węża (1281) Mengu Temirowi spuchło gardło. Z początku nie zwrócił na to większej uwagi, ale wkrótce dla wszystkich stało się oczywiste, że po chana Złotej Ordy przysłała śmierć. I stało się to, co stać się miało. Jesienią, kiedy niebo nad Deszt-i-Kipczak stało się ciężkie i szare niczym brudna końska derka, a nie kończące się deszcze zasnuły wszystko dokoła, chan odszedł z tego świata.

Dzięki zabiegom Nogaja nowym chanej Złotej Ordy mianowano Tuda Mengu. Nikt nie śmiał sprzeciwić się

Mawarannahru przeżywały trudne czasy. Zrujnowani przez nieustanne wojny między chanami, wymęczeni podatkami, grabieżami i ciągłym strachem śmierci lub utraty rodziny, domu i dobytku mieszkańcy małych i wielkich grodów zaczęli coraz głośniej szemrać. Kiedy do rzemieślników Buchary i Samarkandy dotarła wieść, że Barak umarł i że od tej pory wszystkie jego ziemie rządzone będą przez Kajdu, wówczas złękli się, iż może dojść do nowej rzezi i zaczęli umacniać swoje miasta, przygotowywać się do stawienia o-poru. Kajdu jednak wykazał wielką łaskawość i nie zaczął przelewać krwi swoich nowych poddanych. Natchnęło to ludzi otuchą i iskra buntu, która mogłaby przekształcić się w wielki pożar, nieoczekiwanie zgasła. Ludziom zaświtała niejasna, nieśmiała nadzieja.

Właśnie w tym czasie w Bucharze znów pojawił się Tamdam. On i jego zwolennicy mówili ludziom, że ich nadzieje są płonne, że nie ma na świecie dobrych władców, że wszystko pozostanie po staremu: i gwałty, i grabieże, i przelew krwi.

Czas płynął i wszystko potoczyło się tak, jak to przepowiadał Tamdam. Nic więc dziwnego, że w Bucharze, Samarkandzie, Chodźencie i innych miastach miał coraz więcej zwolenników. Znowu Mawarannahr zaczął się burzyć, znów na gwarnych bazarach przekazywano sobie podniecające wiadomości.

Kunduz i Akbergen z wielkim trudem dotarli do Buchary. Droga była długa i pełna niebezpieczeństw, ale gdy wreszcie Kunduz dotarła na miejsce i znalazła się wśród przyjaciół Tamdama, nareszcie poczuła się szczęśliwa.

Po zagarnięciu należącej do Złotej Ordy doliny Czu, Kajdu czekał, jak na to zareaguje Mengu Temir. Chan

372

jednak milczał i nie podejmował żadnych prób odbicia utraconych ziem.

Zachęcony tym ilchan Abaga spróbował wtargnąć na Północny Kaukaz i odebrać go Złotej Ordzie. Doszło tam jednak tylko do kilku niewielkich potyczek, które nie przyniosły zwycięstwa żadnej ze stron.

Bardziej niż Kajdu i Abaga obawiał się Mengu Temir umocnienia wpływów Nogaja w innych ułusach. Nogaj urósł w potęgę i coraz częściej, nie pytając nikogo o zdanie, prowadził samodzielne rozmowy z o-ściennymi państwami i narodami.

Niespokojnie było również w ruskich ziemiach i dlatego wciąż trzeba było wysyłać tam oddziały do tłumienia buntów to w jednym, to drugim miejscu.

Książęta nadal się kłócili i chcąc nawzajem siebie poniżyć szukali, każdy dla siebie, pomocy u Złotej Ordy, prosili o wojska, żeby móc wyrównać rachunki za stare i nowe krzywdy.

Mengu Temir nie odmawiał im. I kiedy panujący w Nowogrodzie Wasyl postanowił wyprawić się na Litwę, dał mu dwa tumeny pod dowództwem Turajtemi-ra i Ałtyna.

Ucierpiała nie tylko Litwa, lecz także ziemie ruskie, przez które szli Mongołowie. Znowu czarne chmury dymu wzbijały się nad miastami i klasztorami, znów krzyk i płacz stał nad stratowanymi polami.

W roku węża (1281) Mengu Temirowi spuchło gardło. Z początku nie zwrócił na to większej uwagi, ale wkrótce dla wszystkich stało się oczywiste, że po chana Złotej Ordy przyszła śmierć. I stało się to, co stać się miało. Jesienią, kiedy niebo nad Deszt-i-Kipczak s ało się ciężkie i szare niczym brudna końska derka, a me kończące się deszcze zasnuły wszystko dokoła chan odszedł z tego świata.

miaZiękl Zabiegom Nogaja nowym chanej Złotej Ordy kowano Tuda Mengu. Nikt nie śmiał sprzeciwić się

373

staremu nojonowi, jedynemu żyjącemu jeszcze prawnukowi Dżucziego, za którym stało silne wojsko.

Poczynając od panowania Batu-chana aż do śmierci Mengu Temira przez niemal czterdzieści lat Złota Orda stała niezachwianie i ani razu nie wstrząsały nią wewnętrzne waśnie, ani razu nikt nie zapragnął otwarcie podnieść ręki na chana lub odmówić mu posłuszeństwa.

Nie wiedział mądry Nogaj, gdy rozkazał wynieść na białym woźniku Tuda Mengu, że od tej chwili inny los będzie pisany Złotej Ordzie. Do ostatniego jej dnia nie ucichnie już bratobójcza walka potomków wielkiego Czyngis-chana o jej złoty tron, nie ustaną rzezie, podstępne mordy i knowania...

Tuda Mengu zasiadł na tronie Złotej Ordy w roku konia (1282). Siedem dni trwała uroczysta uczta z tej okazji. Strumieniami płynął kumys i każdy, kto uczestniczył w uczcie, dostał tyle mięsa, ile tylko mógł zjeść.

Niczym ptaki polatywały nad stepem zawołania ro- dowe Mongołów i Kipczaków, do horyzontu rozlegał się wściekły tętent koni uczestniczących w wyścigu...

Ósmego dnia Czyngisydzi, emirowie i nojonowie zebrali się w namiocie, żeby usłyszeć pierwsze słowo nowego chana.

Krótkie i niepojęte było to słowo. Każdy mógł je rozumieć tak, jak sam chciał. •

Patrząc na zebranych chmurnym wzrokiem Tuda Mengu powiedział:

— Dobrze zrobiliście, że wynieśliście mnie na białym woźniku. Namnożyło się zbyt wiele dzików, ale teraz nie będzie dla nich litości.

Niczego więcej nie odkrył zebrany wielki chan i wszyscy rozjechali się do swoich ułusów i ajmaków w przekonaniu, że przez „dziki” Tuda Mengu rozumie wrogów Złotej Ordy i że rządy jego będą twarde, aby ten, kto spróbuje ją napaść, został rozdeptany.

374

W pół roku później chan przyjął islam i rozesał po całej Złotej Ordzie gońców z rozkazem, żeby w jego głównej kwaterze zebrali się emirowie, nojonowie i potomkowie Czyngis-chana. Nie przyjechał tylko Nogaj.

— Czy będziemy na niego czekać? — zapytał któryś z nojonów.

Tuda Mengu był chmurny i zmęczony. Oczy lśniły mu gorączkowym blaskiem.

— A czy on w ogóle jeszcze żyje? — zapytał, krzywiąc wargi w wymuszonym uśmiechu. Stary nojon z pewnością by mu tych słów nie wybaczył...

— Słuchajcie mnie! — rozkazał chan. — Wezwałem was po to, żeby powiedzieć, iż zbliża się długo wyczekiwany czas. Wiosną następnego roku, kiedy dzikie świnie żyjące w trzcinach wydadzą na świat potomstwo, każdy z was ma przybyć do mojego obozowiska z pięcioma tysiącami wojska.

— Powiedz, wielki chanie, co zamierzasz? Na kogo mamy podnieść nasze miecze?

Tuda Mengu zerknął podejrzliwie na pytającego.

— O tym wiem tylko ja. — Twarz mu skamieniała i nikt więcej nie odważył się powtórzyć pytania.

Ci, którzy mieli spełnić chański rozkaz, długo się nad tą zagadką zastanawiali, usiłowali dociec, co zamyśla Tuda Mengu. Może nową wyprawę na ruskie ziemie?

Było to bardzo prawdopodobne, gdyż w ruskich ziemiach działy się rzeczy zadziwiające.

Tuż przed śmiercią Mengu Temira perejasławski książę Dymitr wyprosiwszy posiłki od Złotej Ordy wraz ze swoją drużyną rozbił horodeckiego księcia Andrzeja.

Książę Andrzej poskarżył się nowemu chanowi na

375

swego krzywdziciela, otrzymał od Tuda Mengu kilka tysięcy mongolskiej jazdy i z kolei spalił miasta i osiedla księcia Dymitra.

Wiść o tym, że chan go obraził, szybko dotarła do Nogaja. Czegoś podobnego stary Czyngisyda nie mógł wybaczyć i dlatego natychmiast udał się do stolicy Złotej Ordy.

Nogaj był chytry i dlatego nie chciał, aby ktoś mógł się domyślić, że jego dusza burzy się ze wściekłości. Przybrawszy zatem obojętny wyraz twarzy zapytał Tuda Mengu:

— Dlaczego wyznaczyłeś na wiosnę zgrupowanie wojska?
— Będę tępił dziki — odparł chan z bezmyślnym uśmiechem. — To nieczyste stworzenia. Prorok Mahomet zabronił jeść ich mięso. Żeby je zabijać, zostałem muzułmaninem... Zaskoczony jego słowami Nogaj milczał, a Tuda Mengu ciągnął:
— Mówię o obrzydliwych stworach, które żyją w trzcinowiskach nad Itilem, Tanem i Uzi...
— Pochylił się nad Nogajem i zapytał jak o rzecz najwyższej wagi: — Jak sądzisz, Złota Orda ma dość wojska, żeby wytepić je do nogi?
Nieulękły Nogaj, który nieraz zaglądał śmierci w oczy, wolno wycofywał się z namiotu Tuda Mengu.
— Batu! Batu! — jęknął chan. — Przeklęte dziki!... One zabiły mi syna! O, Batu!...
Wielki chan Złotej Ordy, Tuda Mengu, stracił rozum. Kiedy tylko stało się to oczywiste dla wszystkich, natychmiast skończył się spokój i zgoda wśród potomków wielkiego Czyngis-chana.
Nogaj chciał uczynić chanem średniego syna Mengu Temira — Toktę, ale inni Czyngisydzi sprzeciwili się zamiarom starego nojona i wzięli stronę syna Tuda Mengu — Telebugi.

376

Wiedząc, że w otwartej walce trudno będzie mu dopiąć swTego, Nogaj udał, że podporządkowuje się woli większości. Było mu wszystko jedno, kto zostanie chanem, pod warunkiem, iż nowy władca będzie pamiętał, komu zawdzięcza tron. Właśnie takim wydawał mu się Tokta.

Nie, Nogaj wcale nie pogodził się z porażką, tylko po prostu postanowił poczekać na sposobną porę i wtedy za wszelką cenę osiągnąć cel. Nie wzdragał się przed użyciem żadnych środków. Jeśli potrzeba będzie przelać krew, to krew zostanie przelana.

Zostawszy chanem, Telebugą nie zapomniał, że Nogaj jest jego wrogiem i rozpoczął z nim niewidoczną dla postronnych walkę. Potrzebny był byle pretekst, żeby tajemne stało się jawne. I taki pretekst się znalazł.

Jeszcze w czasach, kiedy Tuda Mengu był przy zdrowych zmysłach, na prośbę Nogaja mianował baska-kiem na ziemiach ruskich Mongoła Ahmeta.

Ten człowiek był gorszy od wilka. Jego serce nie znało litości ani współczucia. Ahmet zebrał wokół siebie złoczyńców z różnych księstw i kipczackich rozbójników, którzy uciekli ze Złotej Ordy. Im właśnie poruczył zbieranie podatków i danin, a oni służyli mu z wielkim oddaniem. Ten oddział nie oszczędzał ani prostego kmiecia, ani bojara, ani książęcego drużynika.

Kurski książę, Oleg, i lipiecki Swiatosław bili czołem przed chanem Złotej Ordy, Telebugą, i prosili o wzięcie ich w obronę przed gwałtami Ahmeta.

W innych okolicznościach chan nie słuchałby książąt i rozkazałby ich wypędzić, ale Ahmet był człowiekiem Nogaja, a zatem otwierała się możliwość pokazania prawnukowi Dżuciego, kto jest prawdziwym Panem Złotej Ordy.

Telebugą dał książętom wojsko i pozwolił im wybić rozbójników zgromadzonych wokół baskaka Ahmeta.

377

Książęta dwukrotnie rozbili oddział poborcy, który ^reszcie musiał uchodzić do ułusu Nogaja. Powód do otwartej walki się znalazł. Pięć tysięcy wojowników Nogaja pod dowództwem jego synów Ke-tego i Zoktego wyruszyło na niepokornych książąt.

Oleg nie stawiając im czoła uciekł do Złotej Ordy na dwór Telebugi, a Swiatosław uszedł w woroneskie

lasy. Oddziały Nogaja przez dwadzieścia dni grabiły kur-ską ziemię, wielu ludzi pozbawili życia i wielu uprowadzili w jasyr. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Niebo sprzyjało Nogajowi, który w ciągu dwóch lat zniszczył wszystkich swoich przeciwników. Zabrakło braci Tokty: Ałguja, Mułakaja, Togarczego, Kadana i

Kudukana. Tylko Ałgaj i chan Telebuga polegli w bitwach. Pozostali zaś umarli w różny sposób: jeden przypadkiem spadł z konia na polowaniu, drugi napił się kumysu i odszedł z tego świata od bólow w żołądku, inny wreszcie został zarżnięty we własnej pościeli. Przy wtórze radosnych okrzyków na tron Złotej Ordy wyniesiono na białym woźniku Toktę.

я*

Kajdu widział, jak popadają w ruinę bogate nie[^] gdyś i kwitnące miasta Mawarannahru. Pustoszały warsztaty, rzemieślnicy wyruszali w świat w poszukiwaniu miejsca, gdzie można byłoby we względnym spokoju żyć i zarabiać na skromne utrzymanie, zarastały burzanami pola, wysychały aryki. Ziemia zamieniała się w pustynię.

Życie ludzi i ich losy niewiele Kajdu obchodziły. Niepokoiło go tylko to, że do jego skarbu trafiało coraz mniej pieniędzy. Czasy Czyngis-chana minęły i teraz inaczej należało rządzić podbitymi narodami. Biedne państwo, to znaczy biedny chan. Kto będzie się takiego słuchał, kto będzie się go bał?

378

Aby jakoś poprawić sytuację, Kajdu po długim namyśle mianował emirem Mawarannahru Duwę, syna zamordowanego przez siebie Baraka.

Chan nie pomylił się w swym wyborze. Duwa okazał się zręcznym dowódcą i mądrym zarządcą. Wypędził ze służby złodziei i łapówkarzy, uporządkował podatki, popierał rzemieślników, zabronił grabić rolników.

Nie minęło dziesięć lat, gdy Mawarannahr zaczął się znów rozwijać, a dochody chana wydatnie się zwiększyły.

Duwa zajmował się nie tylko sprawami gospodarki, lecz także toczył nieustanne wojny z Chinami i Błękitną Orda.

Błękitna Orda uważana była za samodzielne państwo, ale w istocie zależała od Złotej Ordy. Rządził nią Bajan, którego ojcem był Toka Temir, średni syn Dżu-cziego. Panowanie jego toczyło się spokojnie, dopóki chanem nie zapragnął zostać jego stryjeczny brat Ku-irczuk, który z pomocą Kajdu i Duwy rozbił wojsko Bajana, a jego samego zmusił do ucieczki na kipczackie stepy.

Obalony chan poprosił o pomoc Złotą Orde. Tokta był wprawdzie zajęty wówczas własnymi sprawami, ale jednak dał mu wojsko.

Teraz z kolei musiał uciekać Kuirczuk. Ukrył się w ordzie Kajdu. Na żądanie wydania samozwańca Kajdu odpowiedział Tokcie odmownie.

Bajan-chan zaczął szukać sobie niezawodnego sprzymierzeńca. W roku konia, już po śmierci Kubilaję wysłał do nowego cesarza Chin, Temira, poselstwo przyjaźni. Jednak dopiero w sześć lat później Temir zdołał wysłać mu liczne wojsko. W roku krowy (1301) doszło do wielkiej bitwy, w której Kajdu został zabity, a Duwa ciężko ranny.

Wielkie zmiany zaszły również w ilchanacie Hula-

379

L Umarł Abaga, a na tron wstąpił jego wnuk Gazan g Czternasty wiek zaczynał się niepomyślnie dla imperium Czyngis-chana. Nie żyli już najdzielniejsi z jego potomków: Batu, Mongke, Kubilaj, Hulagu, Orda, lajdu. Państwo stworzone przez „Tego, który wstrząsał światem» rozpadło się na cztery wielkie części: Złotą Orde, Cesarstwo Chińskie, ilchanat Hulagu oraz Azję Środkową. Ostatnim z jego potomków pamiętających wielkiego Czyngis-chana, pozostawał siedem-dziesięcioośmioletni Nogaj.

Tokta zdradził Nogaję. Umocniwszy się w Złotej Ordzie odmówił posłuszeństwa najstarszemu z Czyngisidów, który wprowadził go na tron. I wtedy po raz pierwszy w ciągu swego długiego życia Nogaj zapragnął zostać chanem. Teraz, kiedy był ostatnim z bezpośrednich potomków Czyngis-chana, miał do tego pełne prawo.

—

Stary Czyngisyda spieszył się. Nie miał zbyt wiele czasu na to, aby postępować tak, jak to czynił dotychczas: wyczekiwać i zza węgła zabijać swoich wrogów. Wybuchnęła w nim gromadzona przez dziesięciolecia wściekłość. Nogaj zaczął przygotowywać swoje tumeny do otwartej wojny. Pierwszą rzeczą, jaką w tym celu uczynił, było rozgrabienie Krymu, którym w tym czasie rządził brat Tokty, Tok-Buga.

Ale i Tokta nie siedział beczynnie. Wiedział, że starcie z Nogajem będzie zaciekle, a przegrany nie może liczyć na łaskę.

Pierwsza bitwa rozgorzała w roku myszy (1300) na brzegu Tanu. Nogaj rozbił swego wroga i zwycięstwo go uskrzydliło. Wiedział, że to zwycięstwo nie jest jeszcze ostateczne, ale pierwszy krok ku tronowi Złotej Ordy miał już za sobą.

Dopiero w rok później u schyłku lata, kiedy na stepie pożółkły już trawy, a ptaki przygotowywały się do odlotu ku ziemiom, gdzie panuje wieczne lato, w

380

ostatniej bitwie starły się tumeny Nogaja i Tokty.

Nawet wielki Czyngis-chan nie widział nigdy takiej bitwy, takiej liczby wojowników na raz. Step od horyzontu do horyzontu był pokryty jeźdźcami.

Rżały rozszalałe konie, szczękały szable, a zwiastujące nieszczęście kruki oślepione tumanami kurzu wznoszącego się aż pod niebo, padały na zalaną krwią ziemię. Jęków i krzyków rannych nie było słychać. Walka trwała siedem dni.

Wedle muzułmańskiej kroniki w tej bitwie po stronie Tokty brało udział sześćset tysięcy wojowników. Nogaj miał trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Tokta zaraz po powrocie do Ordy, jakby starając się zatrzeć wspomnienia o przerażającej bitwie, urządził ogromną ucztę.

Jedno tylko różniło to święto od tych, które odbywały się za panowania poprzednich chanów.

Tym razem współzawodniczyli ze sobą nie Mongołowie i Kip-czacy, lecz rody, gdyż już od dawna te narody mówiły jednym językiem i przestrzegały tego samego obyczaju. Groźni niegdyś zdobywcy, którzy przyszli z dalekiego Wschodu, roztopili się w wielkim stepie.

I stało się tak, jak stać się musiało: pierwszy przybiegł najszybszy biegun, najsilniejszy zapaśnik zwyciężył wszystkich swoich przeciwników, a najlepszy strzelec odciął grotem strzały nić, na której u szczytu wysokiego słupa zawieszona była srebrna płytką.

Kiedy, zda się, wszystkie zawody dobiegły końca, nadszedł czas najważniejszych zmagania, dla których tysiące ludzi z płonącymi podnieceniem oczami obsiadły okoliczne wzgórza.

Już, w niepamiętnych czasach, kiedy jeszcze Kipcza-cy nie wiedzieli o istnieniu Mongołów i nie modlili się do Allaha, zwracając swe twarze ku świętemu kamieniowi Kaaba, a każdy ród miał swoich bogów i czcił

381

tylko ich, istniał zwyczaj urządzania zawodów między najpiękniejszymi dziewczycami Deszt-i-Kipczak.

Nie każda piękna dziewczyna mogła do nich stanąć. Rada starszych każdego rodu wybierała najzręczniejsze i najodważniejsze. W dniu, na który wyznaczono uroczystą ucztę, z całego stepu, z najodleglejszych jego zakątków zjeżdżali się ludzie, żeby zobaczyć to widowisko.

.

W wielki krąg utworzony przez zebranych jedna za drugą wkraczały rozebrane do naga dziewczęta. Miały wykonać trzy zadania i za to mogły prosić lud i chana o spełnienie trzech swoich prośb. Obyczaj stepowy stanowił, że władca musiał spełnić nawet najtrudniejsze z nich.

Kiedy wszystkie przygotowania dobiegły końca i przybyli z całego Deszt-i-Kipczak ludzie zamarli w oczekiwaniu na widowisko, ze swego namiotu wyszedł chan Tokta i majestatycznie zasiadł na podróżnym tronie ozdobionym złotem, kością słoniową i drogimi kamieniami. Na podwyższeniu u stóp tronu usiadło trzech głównych sędziów: dziewięćdziesięcioletni tube-

_kji __starszy sędzia, siedemdziesięcioletni sube-bij —
średni sędzia i czterdziestoletni bała-bij — młodszy
sędzia.

Chan machnął ręką, dając w ten sposób znak do rozpoczęcia zawodów. Z umyślnie rozstawionej w tym celu jurty zaczęły wychodzić jedna za drugą obnażone dziewczęta. Wszystkie były piękne, długonogie, smukłe, białociałe i długowłose. Zebrany zaparło dech w piersi od ich urody. Zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć śpiew skowronka wysoko na niebie.

Wszystkie dziewice olśniewały pięknnością, ale nawet wśród róż zawsze znajdzie się taka, która nie ma równych sobie. Tak i tym razem spojrzenia obecnych mimo woli biegly ku jednej z piękności. Gdyby nie jej długie, sięgające niemal ziemi czarne warkocze,
382

dziewczynę można byłoby wziąć za białą mewę. Qdv szła po kręgu ciała jej zdawało się promieniować nje_ ziemskim światłem i kusić rozkoszą. I tylko w \viei_ kich, bezdennych oczach dziewczyny taił się smutek, który usiłowała ukryć opuszczając często swoje gęste rZęsy

Sędziowie wymyślili tym razem niełatwe zadania! Dziewczęta miały rozwiązać zębami węzeł cienkiego arkanu, na którym do wbitego w ziemię pala przy^g, cowany był gorącokrwisty wierzchowiec, trafić z łuku w podrzuconą do góry tiubietijkę z włożonym do niej kamieniem i wreszcie jak najdłużej usiedzieć na oklep bez trzymania na wierzchowcu, którego pędzono po kręgu na długim arkanie.

Zwycięzczynią zostawała ta dziewczyna, która uporała się z wszystkimi zadaniami.

Od pierwszej chwili sympatia wszystkich zebranych była po stronie dziewczyny podobnej do mewy. Step trząś się od wrzasku tysięcy ludzi cieszących się z każdego jej powodzenia. Nawet sam chan Tokta nie mógł oderwać od niej oczu i pochylony do przodu śledził każdy jej ruch.

A dziewczyna podobna do me^y miała na itI in_ kar-Ajym i była najmłodszą córką Nogaja. Po zwycięstwie Tokty została wzięta w jasyr przez jeden z kip-czackich rodów i była tam traktowana jak niewolnica.

Inkar-Ajym jedyna ze wszystkich wykonała wszystkie trzy zadania i kiedy mistrz ceremonii zaprowadził ją do chana, Tokta zapytał niecierpliwie:

— Powiedz, piękna, jakie trzy twoje życzenia доат spełnić?

Dziewczyna uniosła głowę i bez lęku popatrzyła chanowi w oczy. Tłoczący się wokół ludzie zamarli w oczekiwaniu na jej słowa.

— Pierwszym moim życzeniem jest... — wargi Inkar-Ajym ułożyły się w filuterny uśmiech — aby cjbán Tokta wziął mnie za żonę.

383

Szmer zdziwienia przeleciał nad stepem. Chan oblizał wyschnięte ze zdenerwowania wargi i ukrywając ogarniającą go radość powiedział:

— Niechaj tak się stanie. Nie wolno mi pogwałcić obyczaju przodków. A jakie będzie twoje drugie życzenie?

— Powiedz mi, najjaśniejszy chanie, czy człowiek może lec w pościel ze swą żoną, jeśli jego ręce zbroczone są krwią jej ojca?

— Nie! — odparł bez wahania chan.

— Wobec tego proszę, aby chan, mój zwycięski mąż, podarował mi życie mojego ojca... Nogaja, jeśli oczywiście jeszcze nie dosięgła go wroga strzała.

Ludzie milczeli czekając na słowa chana. Tokta powiódł po nich spojrzeniem.

— Niechaj i to się stanie — powiedział głośno. — Teraz powiedz mi swoje trzecie życzenie.

— Nie mam więcej życzeń! — odparła Inkar-Ajym. Tego samego dnia chan spełnił pierwsze życzenie

pięknej jak mewa dziewczyny i wziął ją za żonę. Natomiast drugiemu jej życzeniu nie dane było się spełnić. Los Nogaja toczył się własną drogą.

Po latach, kiedy Tokta umarł, Inkar-Ajym zgodnie ze stepowym obyczajem została żoną jego młodszego brata, Togrudży. Urodziła mu i wykarmiła własną piersią przyszłego sławnego chana Złotej Ordy Uzbeka.

Po raz pierwszy w ciągu całego jego długiego życia Niebo odwróciło się od Nogaja i bóg wojny Sulde nie raczył mu pomóc. Z siedemnastoma tylko wojownikami uciekał nojon na ziemię Baszkirów.

Jeśli szczęście się odwraca, to odwraca się wiele razy z rzędu. Na drugi dzień, kiedy oddziałek Nogaja przeprowił się przez Itil, przypadkiem natknęła się nań ruska drużyna, walcząca w bitwie po stronie Złotej Ordy i teraz wracająca do domu.

Starcie było krótkie. Pod kopyta koni potoczyła się

384

siwa głowa dzielnego Nogaja, ostatniego prawdziwego Mongoła, który przyszedł na te ziemie z woli samego wielkiego Czyngis-chana.

Nikt już teraz nie przeszkadzał Tokcie w rządzeniu Złotą Ordą. Mógł zatem, jak przystoi potężnemu i mądrymu chanowi, rozdzielić wedle własnej woli swoje ziemie na ułusy i rozdać je we władanie tym, którzy pomogli mu zwyciężyć.

W jedenaście lat później, kiedy w roku świni (1312) chan Tokta odszedł z tego świata, nad Złotą Ordą świeciło złote słońce, zwiastując jej długą potęgę i sławę. Jednak za płaskim stepowym horyzontem zbierały się już czarne chmury i bezdźwięczne strzały błyskawic tryskały z nich zapowiadając burzę.

25 — Złota Orda

..

III

Objaśnienia

Poniższe objaśnienia obejmują wyrazy i terminy orientalne, występujące w tekście książki, zestawione w kolejności alfabetycznej. Ponieważ wyrazy te wywodzą się z różnych języków, ich pochodzenie zaznaczono w nawiasach następującymi skrótami: tur. — z języka tureckiego; mong. — z języka mongolskiego; iran. — z języka perskiego lub tadżyckiego; arab. — z języka arabskiego; chin. — z języka chińskiego.

Ajmak (mong.) — grupa rodów lub część plemienia, posiadająca wspólnego naczelnika. Później jednostka administracyjno-terytorialna. W książce wyraz jest użyty w znaczeniu części składowej dzielnicy państwa mongolskiego, podległej członkowi rodu panującego, członkowi rodu chana dzielnicy.

Arba (tur.) — wóz, nazwa ogólna.
Ardza (mong.) — wódka mleczna pędzona dwukrotnie dla uzyskania większej zawartości alkoholu.
Argamak (tur.) — koń krwi arabskiej i turkmeńskiej hodowli; w ogóle dobry, szybki koń.
Arruah (z arabskiego ar-ruh) — dusza, duch.
Aryk (tur.) — kanał nawadniający pola uprawne.
Atabek (tur.) — dosłownie „ojciec-książę”, wychowawca i opiekun synów władcy (pierwotnie w państwie Seldżuków); później występuje także jako tytuł panujących i książąt w państewkach powstałych po rozpadzie imperium seldżuckiego.
Auł (tur.) — grupa jurt, należących do jednej lub wielu rodzin (zwykle spokrewnionych), które koczują razem.
Auruk (mong.) — obóz, w którym pod ochroną pozostawionego w tym celu oddziału przebywały kobiety i dzieci, w czasie gdy żołnierze prowadzili operacje wojenne.
Awariz (arab.) — podatki lub daniny nadzwyczajne, ściągane poza ustalonymi normami podatkowymi.

387

Baatur (mong.) — bohater, dzielny wojownik.
Bakszowie (chin.) — pierwotnie określenie mnichów buddyjskich czyniących cuda, później używane w znaczeniu mistrz, nauczyciel (bakszi). W tekście książki oznacza: znachor, szaman.
Bała-bij (tur.) — młodszy sędzia (dosłownie: „dziecko-sę-dzia”). Nazwa ta jest użyta w tekście książki anachronicznie, ponieważ w czasie rozgrywania się akcji powieści wyraz bij (bej) nie miał jeszcze znaczenia „sędzia”.
Baskak (tur.) — poborca podatków w imperium mongolskim i jego państwach dzielnicowych. Nazwa ta była używana w zachodniej części imperium.
Begi (mong.) — w początkach imperium mongolskiego tytuł występujący u niektórych plemion mongolskich przy imionach dziewcząt i młodych kobiet z arystokratycznych rodów.
Bej (tur.) — przedstawiciel arystokracji stepowej, pan, książę. Występuje także jako tytuł różnych pomniejszych władców i dostojników państwowych.
Bek (tur.) — to samo, co bej (patrz wyżej). Forma bek jest raczej literacka i bardziej archaiczna niż bej.
Beki (mong.) — tytuł występujący przy imionach niektórych mongolskich przywódców plemiennych przed powstaniem imperium. Później wyszedł z użycia. Łączył się przypuszczalnie z pewnymi funkcjami sakralno-wróżbiarskimi.
Bokeuł (mong. boketil) — tytuł dostojnika dworskiego, nadzorującego sprawy kuchni. Do jego obowiązków należało m.m. próbowanie potraw podawanych na stół chana w celu zabezpieczenia władcy przed otruciem. Bokeuł nadzorował także niektóre inne sprawy dworu z zakresu intendentury.
Chorezmszach (iran.) — tytuł władcy Chorezmu, państwa podbitego przez Czyngis-chana.
Chuurczy (mong.) — skrzypek i pieśniarz, człowiek recytujący pieśni i poematy epickie przy akompaniamencie instrumentu smyczkowego, zwanego chuur.
Czaczka (tur.) — tabakierka.
Czokpar (tur.) — bojowa maczuga w kształcie pałki ze zgrubieniem na końcu, broń używana w walce wręcz.
Darasun (mong.) — napój alkoholowy pędzony ze zboża (ryżu) lub owoców.
Darchan (mong.) — dosłownie „kowal”; tytuł łączący się w czasach imperium mongolskiego i później ze zwolnieniem

388

od danin i powinności na rzecz chana. Osoby obdarzone tym tytułem nosiły go często jako dodatek do imienia.

Darugaczi (mong.) — gubernator, komendant miasta lub większego okręgu rolniczego, działający z ramienia wielkiego chana. Także namiestnik wielkiego chana w państwach wasalnych.

Derwisz (iran.) — mnich żebrzący, przeważnie członek mistycznego bractwa muzułmańskiego.

Dombra (iran.) — instrument muzyczny, rodzaj bałajki. U niektórych ludów tureckich nazywano tak również kobyz (por. niżej).

Dżygit (tur.) — młodzieniec, junak.

Emir (arab.) — pierwotnie dowódca, władca, później tytuł książąt, wyższych dostojników państwowych i władców w państwach muzułmańskich Bliskiego Wschodu i pogranicza stepów.

Farsach (iran.) — miara długości równa około 7—8 km.

Hadzi (arab.) — człowiek, który odbył pielgrzymkę do Mekki, używa się także przydomku lub tytułu.

Idikut (tur.) — dosłownie „święty majestat”, tytuł władców ujugurskich we wschodnim Turkiestanie.

Ilchan (tur.) — tytuł władców mongolskich, panujących w Iranie: Hulagu i jego następców.

Imam (arab.) — duchowny muzułmański.

Iszan (iran.) — człowiek nabożny, święty; używa się w stosunku do osób duchownych lub związanych z religią. Dosłownie znaczy „oni”, użyte jako forma grzecznościowa w stosunku do pojedynczej osoby, podobnie jak niemieckie „Sie”.

Jaman (tur.) — przypuszczalnie chodzi o powinności związane z utrzymaniem i obsługą stacji kurierskich i kurierów. Stacje te nazywały się po turecku jam (z mongolskiego dżam).

Kadi (arab.) — sędzia (duchowny).

Kadyrchan — tytuł złożony z dwóch wyrazów: kadyr (arab.) — potężny, wszechmocny i chan (tur.) — władca, chan. Karawan-baszy (iran.-tur.) — kierownik karawany.

Karawanseraj (iran.) — zajazd dla karawan.

389

Katun (tur.-mong.) — chanowa, żona wielkiego chana lub chana dzielnicowego.

Kebteułowie (mong. kebtoul) — członkowie straży nocnej. Straż nocna stanowiła najważniejszą i najbardziej odpowiedzialną część gwardii przybocznej chana.

Kesziktenowie (mong. keszikten) — członkowie gwardii przybocznej chana.

Kobyz (tur.) — strunowy instrument muzyczny, rodzaj skrzypiec ze smyczkiem w kształcie łuku.

Kurułtaj (mong.) — w czasach imperium (a także później) zjazd członków rodu panującego z udziałem wyższych dostojników państwowych, wodzów i władców wasalnych, na których rozstrzygano sprawy wielkiej wagi państwowej, jak np. podjęcie kroków wojennych, wybór wielkiego chana lub inne przedsięwzięcia dotyczące całego imperium. Takie kurułtaje nazywano wielkimi. Kurułtaje zwoływano także w państwach dzielnicowych. Tu rozstrzygano ważne sprawy danej dzielnicy.

Kuszbegi (tur.) — tytuł dworskiego łowczego; do jego obowiązków należał nadzór nad sprawami związanymi z łowczymi ptakami, sokołami i orłami chana.

Laszkarbaszy (iran.-tur.) — głównodowodzący, dowódca wojsk (od irańskiego laszkar „wojsko, armia” i tureckiego baszy „jego dowódca”).

«№

Mazar (arab.) — mogiła, przeważnie mogiła świętego.

Medresa (arab.) — muzułmańska szkoła duchowna.

Mufti (arab.) — wysoki duchowny muzułmański, będący re-ligijno-prawnym autorytetem w sprawach szariat, tj. prawa muzułmańskiego.

Mulazim (arab.) — dworski sługa, sługa wysoko postawionej osoby.

Muġa (arab.) — uczyony, mistrz; tytuł nadawany duchownym muġmańskim.
Murid (arab.) — czġowiek, pragnący pošwięcić się religii, uczeń mistrza duchownego, uczonego teologa.

Naib (arab.) — zastępcza, namiestnik, regent.

Namaz (arab.) — modlitwa, kaġda z pięciokrotnych w ciągu dnia modlitw obowiązujących muġmanina.

Nojon (mong.) — dowódcza, zwierzchnik; później — ksiąę.

Nuker (mong. nokor) — towarzyszy (broni), członek druġzyny wodza lub chana.

390

Oġlan (tur.) — dosłownie „syn, chġopiec”. W zachodniej części imperium, tam gdzie używano języków tureckich, był to jednocześnię tytuł członków rodu panującego, potomków Czyn-gis-chana.

Pajdza (chin.) — glejt, metalowa tabliczka z napisem (złota, srebrna lub šelazna), dawana osobom podrózuującym z ramienia lub pod opieką chana.

Saadak (mong.) — sajdak, futerał na łuk zawieszony z lewej strony u pasa łuczniaka. Kołczan ze strzałami był przymocowany do pasa z prawej strony.

Sahib (arab.) — pan, właściciel.

Saksauł (tur.) — niewielkie drzewo pustyne o twardym drewnie.

Sube-bij (tur.) — w tekście występuje w znaczeniu „średni sędzia”. Przypuszczalnie od mong.-tur. wyrazu siibe „rada, doradzanie” i tur. bij „sędzia”. Por. także tube-bij i bała-bij.

Sulġiczi (tur.) — słuęa, podający władcy wodę do umycia rąk i ręcznik. Od wyrazu siilgi „ręcznik”.

Sułtan (arab.) — tytuł; w zachodniej części stepów i na ziemiach przyległych oznaczał członków rodu chańskiego, ludzi szlachetnie urodzonych, arystokratów.

Szariat (arab.) — prawo muġmańskie.

Szulen (mong.) — dosłownie „rosół, bulion”, w okresie imperium nazywano tak daninę składającą się z owiec przeznaczonych do gotowania na potrzeby chana i dworu. Wymiar daniny wynosił pierwotnie jedną sztukę od stada.

Tabib (arab.) — lekarz.

Tajsz (chin.) — tytuł używany wśród Mongołów na określenie przedstawiciela arystokracji.

Takyr (tur.) — nagie, pozbawione roślinności miejsce na stepie.

Tama (mong.) — oddziały wojskowe lokowane w zajętych, przez Mongołów krajach. W książce występuje określenie la-szkar-tama w tym samym znaczeniu. Laszkar (iran.) — wojsko.

Tube-bij (tur.) — najwyższy sędzia. Nazwa pochodzi od tur. tubę „szczyt, wierzchołek” i bij (bej) „sędzia”, w książce użyta została anachronicznie, ponieważ, wyraz bij (bej) jako określenie sędzięgo pojawia się znacznie później

Tulenguci (tur. tolongiit) — ludzie niewolni, ludzie znajdu-

391

jacy się na służbie chanów lub przedstawicieli arystokracji Ij stepowej.

Tułpar (tur.) — bojowy koń, szybki i wytrzymały ruw;;. 1

Tumak (tur.) — ostro zakończona czapka zimowa z długimi, | szerokimi nausznikami i częścią opadającą z tyłu na kark.

Tumen (mong.) — dziesięć tysięcy. W armii mongoI:->i°j czasów imperium i później w państwach dzielnicowych od- *| dział wojskowy liczący 10 tys. šołnierzy.

Turgautowie (mong. turgaut) — oddziały gwardii przybocznej chana pełniące funkcje straży dziennej.

Uczkur (tur.) — dosłownie „szybko latający”. W tekście książki nazwa szybkiego, rącęgo konia.

Ulemowie (arab.) — uczeni teologowie muzułmańscy, uważani za obrońców prawowierności i przestrzegania przepisów religijnych.

Ułus (mong.) — w czasach imperium mongolskiego określenie ogółu poddanych chana (także chanów dzielnicom -eh) z punkt» widzenia władcy. Z biegiem czasu wyraz ten przybrał znaczenie „państwo”. Np. ułus Dżagataja (lub Dżucziego) to ogół poddanych Dżagataja (lub Dżucziego) a później po prostu państwo (dzielnicca) Dżagataja (lub Dżucziego).

lindan (mong.) — dosłownie „napój”. We wcześniejszym okresie imperium nazywano tak daniny w postaci mleka kłaczy lub kumysu dostarczanego na potrzeby dworu. ^

Wezyr (arab.) — wysoki dostojnik państwowy w krajach muzułmańskich. W pewnych okresach i państwach druga osoba po władcy. v/ muzułmańskich dzielnicach imperium mongolskiego pozycja wezyra nie była tak wysoka.

Żaurynszy (tur.) — człowiek posiadający umiejętność wrózenia z baraniej łopatki. Wyraz użyty przez autora ma współczesną formę kazachską i w takim brzmieniu nie mógł występować w opisywanym okresie.

■

xY